

Walter Scott

Waverley

czyli sześćdziesiąt lat temu

Przekład Teresa Świdorska

*Pod jakim królem?
Mów, nędzny, lub umrzyj!
W. Szekspir
Henryk IV część II*

Rozdział XXX

Jak strata podkowy może stać się poważną nieprzyjemnością

Zachowanie się i wygląd Waverleya, a przede wszystkim beztroska, z jaką traktował błyszczącą zawartość swej sakiewki, onieśmielały nieco jego towarzysza, powstrzymując go od prób nawiązania gawędy. W własnych rozmyślaniach niepokoiły go przy tym różne przypuszczenia i widoki osobistych korzyści z tym związanych. Toteż podróżni w milczeniu posuwali się naprzód, aż wreszcie ciszę przerwało oświadczenie przewodnika, „że szkapa jego zgubiła jedną z przednich podków, wobec czego jego dostojność niewątpliwie uzna za swój obowiązek przybić nową”.

Było to obliczone na zbadanie, o ile Waverley jest skłonny dać się wyzyskać w drobiazgach.

- Chcecie więc, żebym opłacił kowala? Ale gdzież my go znajdziemy?

Rad, że nie natrafił na opór ze strony chwilowego swego pana, pan Cruickshanks zapewnił go, że Cairnvreckan¹, wieś, do której właśnie podjeżdżali, ma szczęście posiadać znakomitego kowala; „ponieważ jednak jest to wyznawca², dla nikogo nie przybiłby gwoźdźcia w sabat, czyli kościelne święto, chyba że w wypadku nieodzownej konieczności, za co zawsze liczy sześć pensów od podkowy”. Najważniejsza, zdaniem mówiącego, część tej wiadomości wywarła bardzo słabe wrażenie na słuchaczu, który zadawał sobie tylko w głębi ducha pytanie, do jakiego świątobliwego zgromadzenia ten mistrz weterynarii mógł należeć; nie wiedział bowiem, że wyrazu tego używano tu dla określenia osoby przypisującej sobie niezwykłą pobożność w wierze i obyczajach.

Wjechawszy do wioski Cairnvreckan dostrzegli od razu dom kowala, ponieważ dom ten służył równocześnie za gospodę, miał dwa piętra i dumnie wznosił swój dach kryty szarą łupkową dachówką ponad otaczające go chaty poszyte strzechą. Przylegająca doń kuźnia wcale nie wykazywała tej świątecznej ciszy i spoczynku, jakie zapowiadał Ebenezer znając świątobliwość przyjaciela. Przeciwnie - walił tam młot, jęczało kowadło, stękały miechy i cały warsztat Wulkana³ zdawał się być w pełnym ruchu. Rodzaj pracy

¹ Cairnvreckan - oznacza po ang.: rozbitcie o kamienie. Jest to aluzja do dalszych losów Waverleya, które w tej właśnie wiosce zaczynają się układać niepomyślnie dla niego.

² wyznawca - w języku ang. użyte jest słowo „professor”, mające dwojakie znaczenie: wyznawca i nauczyciel.

Oberżysta przez „wyznawcę” rozumie prezbiterianina, natomiast Waverley sądzi, że mowa jest o jakimś profesorze-nauczycielu

³ warsztat Wulkana - Wulkan w mitologii rzymskiej bóg ognia i sztuki kowalskiej. Ziejąca ogniem góra, czynny wulkan Etna na wyspie Sycylia, uchodziła w starożytności za kuźnię boga Wulkana

nie miał też charakteru wiejskiego ani pokojowego. Sam majster, John Mucklewrath⁴, jak to głosił jego szyld, mozolił się pracowicie wraz z dwoma pomocnikami nad składaniem, naprawianiem i dopasowywaniem starych muszkietów, pistoletów i szabel rozrzuconych w wojennym zamieszaniu dokoła jego warsztatu. Otwarta szopa, zawierająca kuźnię, roiła się od osób przychodzących i wychodzących, które zdawały się przekazywać sobie wzajemnie ważne nowiny; jeden rzut oka na ludzi, przechodzących pośpiesznie przez ulicę albo też stojących gromadkami z oczyma zwróconymi ku górze i podniesionymi rękami, świadczył, że jakaś nadzwyczajna wieść porusza umysły wiejskiej społeczności Cairnvreckan.

- Nadeszły jakieś wiadomości - rzekł karczmarz spod Świecznika, pchając swą głębę jak latarnia i chude gnaty swej kobyły w sam środek tłumu - muszą być wiadomości; a z pomocą bożą dowiem się zaraz, o co chodzi.

Waverley, lepiej opanowujący ciekawość niż jego towarzysz, zsiadł z konia i oddał go chłopakowi stojącemu beczynnym w pobliżu. Podczas gdy się rozglądał chcąc wybrać osobę, z którą by najłatwiej mógł się rozmówić, gwar dokoła niego oszczędził mu kłopotu wywiadów. Imiona Lochiel, Clanronald, Glengarry i innych wybitnych naczelników góralskich, wśród których wymieniano też kilkakrotnie Vich Ian Vohra, tak często krążyły z ust do ust, jak gdyby to były nazwy sprzętów codziennego użytku; sądząc zaś po ogólnie wyrażanym strachu, Edward zrozumiał z łatwością, że ich zejście w Niziny na czele zbrojnych klanów albo już nastąpiło, albo groziło lada chwila.

Zanim Waverley zdążył zapytać o szczegóły, przez tłum przebiła się silna, szerokokoścista niewiasta o twardych rysach, z wyglądu może czterdziestoletnia; ubrana była tak, jak gdyby widłami narzucono na nią suknię, a rumieniec oblewał jej twarz wszędzie tam, gdzie nie pokrywał jej kopeć i sadza; podnosząc wysoko w górę dwuletniego dzieciaka, którego huśtała w rękach, nie zważając na jego przerażenie i krzyki - zaśpiewała pełną piersią:

Karol jest mój miły, mój miły, mój miły,
Karol jest mój miły,
Kawaler młody!

- Czy wy wiecie, na co wam teraz przyszło - mówiła dalej herod-baba - wy, skomlące, durne wigi? Czy słyszycie, co to nadchodzi, by pognębić waszą butę?

⁴ Mucklewrath - nazwisko charakteryzujące nosiciela: wielki zapal, wielki gniew

Nie wiecie, co idzie,
Nie wiecie, co idzie,
Wszystkie dzikie Macrawy nadchodzą.

Wulkan z Cairnvreckan, którego Wenerą⁵ była ta radośnie tryumfująca bachantka⁶, spojrział na nią z ponurą i groźnie zagniewaną twarzą, podczas gdy kilku przedstawiciele wiejskiej starszyny pospieszyło zażegnać całe zajście.

- Cicho, kumo! Czy to czas, czy to dzień po temu, żeby wykrzykiwać wasze głupie, hałaśliwe śpiewki? Czas, gdy wino gniewu nalane jest bez przymieszki do pucharu oburzenia, dzień, w którym kraj powinien dać świadectwo przeciw papiestwu i prałactwu, i kwakierstwu⁷, niezawisłości, i supremacji⁸, i erastenizmowi⁹, i antynomianizmowi¹⁰, i wszelakim błędom Kościoła?

- A oto macie całe wasze wigostwo - odparła jakobicka heroina - oto całe wasze wigostwo i wasz prezbiterianizm, wy, stękające durnie z obciętymi uszami! Cóż to? Czy wy myślicie, że ci chłopcy w spódniczkach będą dbali o wasze synody i wasze prezbiteria, o wasze grzywny za rozpustę i wasze pokutne krzesło¹¹? Na pohybel temu całemu paskudztwu! Niejedną uczciwszą niewiastę posadzono na nim niż te, które legają obok wszystkich wigów w tym kraju. Ja sama...

Tu John Mucklewrath w obawie, ażeby nie wdała się w szczegóły czerpane z osobistego doświadczenia, wystąpił w roli mężowskiej zwierzchności.

- Idź do domu i niech cię licho... że tak powiem, a nie zapomnij nastawić kaszy na wieczerzę!

A ty, ty głupi niedołęgo - odpowiedziała mu miła połowica, której wściekłość, dotychczas rozlewająca się szeroko na całe zgromadzenie, teraz nagle a gwałtownie wpędzona została w swoje właściwe koryto - stoisz tu i wykuwasz rusznice dla głupców, którzy z nich nigdy nie wypalą do górala - zamiast pracować na chleb dla rodziny i podkuć konia temu zgrabnemu młodemu panu, co właśnie przyjechał z północy! Ten z

⁵ Wenera - Wenus w mitologii rzymskiej bogini piękności, żona Wulkana.

⁶ bachantka - w mitologii rzymskiej kapłanka Bachusa, boga wina

⁷ kwakierstwo - protestancka sekta religijna założona w Anglii przez Jerzego Foxa (1624 - 1690)

⁸ supremacja - nadrzędność, wyższość, pierwszeństwo

⁹ erastenizm - nauka teologa szwajcarskiego Tomasza Erasta (1524-1583) głosząca, iż władza świecka stać winna ponad władzą kościelną. Erastianizm odmawiał Kościołowi prawa sądenia za grzechy i przestępstwa przyznając prawo sądu tylko władzom świeckim

¹⁰ antynomianizm - termin stworzony przez reformatora religijnego Lutra, oznaczający te odłamy protestantyzmu, które powołując się na Pismo święte usprawiedliwiały swoje błędy lub nadużycia

¹¹ pokutne krzesło - kara wprowadzona przez duchowieństwo prezbiteriańskie w XVII i XVIII wieku, polegająca na sadzaniu w publicznym miejscu grzesznika celem potępienia go

pewnością nie zalicza się do waszej skomlącej psiarni króla Jerzego, ale wart co najmniej dzielnego Gordona.

Oczy zebranych zwróciły się teraz na Waverleya, który, korzystając ze sposobności, poprosił kowala, by podkuł konia jego przewodnika co prędzej, gdyż pragnął puścić się zaraz w dalszą drogę; usłyszał już bowiem dosyć, żeby zrozumieć, że niebezpiecznie byłoby pozostawać długo w tej miejscowości. Oczy kowala spoczęły na nim niechętnie i podejrzliwie, tym więcej że żona jego popierała żądanie Waverleya.

- A jak się pan nazywa? - zapytał Mucklewrath.

- Nic to was nie obchodzi, przyjacielu, bylebym wam zapłacił za robotę.

- Ale może to obchodzić państwo - odpowiedział jakiś stary wieśniak, od którego zalatywało silnie wódką i torfowym dymem. - Myślę właśnie, że należałoby odłożyć pańską podróż, aż się pan zobaczy z lairdem.

- Z pewnością - odpowiedział Waverley wyniośle - przekonacie się, że trudno i niebezpiecznie jest zatrzymywać mnie bez powołania się na zarządzenie właściwej władzy.

Nastała chwila milczenia, a w tłumie zaczęto szeptać: „Sekretarz Murray¹²”, „Lord Lewis Gordon¹³”, „Może sam Kawaler!” Takie przypuszczenia krążyły między nimi i widocznie rosła skłonność do oparcia się odjazdowi Waverleya. Edward starał się pomówić z nimi łagodnie, ale słowa jego zagłuszyła dobrowolna aliantka, pani Mucklewrath, biorąc go w obronę z natarczywą gwałtownością, której skutki poszkodowani złożyli na karb Edwarda.

- Chcecie zatrzymywać każdego pana, który jest przyjacielem księcia? - i ona bowiem, choć w innym nastroju, podzielała ogólne przekonanie co do Waverleya. - Jeno mi się waście dotknąć go! - tu wyciągnęła swe długie i silne palce, zdobne w pazury, których sęp by jej pozazdrościł. - Moich dziesięcioro przykazań wpakuję w twarz pierwszemu drabowi, który palcem go dotknie!

- Idźcie do domu, gospodyni - odezwał się wspomniany już wieśniak. - Lepiej wam przystoi niańczyć dzieci gospodarza niż tu nas zagłuszać.

- Jego dzieci? - odparła amazonka patrząc na męża z uśmiechem niewypowiedzianej pogardy. - Jego dzieci!

O, chciałabym, byś umarł, gospodarzu,
By darń zielona głowę ci nakryła!

¹² Murray - sekretarz księcia Karola Stuarta, który później opuścił jego stronnictwo

¹³ Lewis Gordon - arystokrata szkocki, zaufany ks. Karola

Bo wtedy ja bym tym moim wdowieństwem
Dziarskiego, hej! górala obdarzyła.

Ta piosenka, budząc tłumnie śmiechy wśród młodszych słuchaczy, wyczerpała do reszty cierpliwość podrażnionego mistrza kowadła.

- Choćby mnie diabli mieli wziąć, wpakuję jej tę stal gorącą do gardła! - krzyknął w najwyższym gniewie, chwytając sztabę z kuźni; byłby też pewnie wykonał swoją pogrózkę, gdyby go nie powstrzymała część gromady, podczas gdy reszta starała się usunąć sekutnicę sprzed jego oblicza.

Waverley byłby ulotnił się wśród tego zamętu, ale nigdzie nie mógł dojrzeć swego konia. Nareszcie zauważył w pewnej odległości wiernego swego towarzysza Ebenezera, który spostrzegłszy, jaki obrót sprawy gotowe przyjąć, usunął oba konie ze ścisku i siedząc na jednym, a trzymając za uzdę drugiego, odpowiedział na głośne i powtarzane nawoływania Waverleya:

- Nie! Nie! Jeżeli pan jest wrogiem Kościoła i króla i będzie jako taki zatrzymany, musi pan odpowiadać wobec uczciwych ludzi za niedotrzymanie umowy, a ja będę mógł zatrzymać konia i walizę na pokrycie szkód i wydatków, gdyż mój koń i ja sam stracimy zarobek jutrzejszy nie licząc poobiedniego kazania.

Zniecierpliwiony już Edward, ściskany ze wszystkich stron, popychany przez tłum i każdej chwili spodziewający się aktów gwałtu, postanowił zastraszyć otoczenie i w końcu wyciągnął pistolet grożąc, że zastrzeli każdego, kto by go śmiał zatrzymać, a równocześnie obiecując to samo Ebenezerowi, jeżeli na krok ruszy się z końmi. Tak więc masowy opór w Cairnvreckan byłby zapewne został złamany, Ebenezer zaś, którego przyrodzona bladeść przeszła w odcień trupi, nie byłby śmiał sprzeciwić się popartym tak przekonywająco rozkazom, gdyby w sprawę nie wdał się wioskowy Wulkan; nieszczęśnik ten spragniony wyładowania na kimś godniejszym furii wznieconej przez jego połowicę i z radością widząc w Waverleyu taką właśnie osobę, rzucił się na niego z rozżarzoną do czerwoności, żelaznym prętem tak energicznie, że wystrzał z pistoletu okazał się koniecznym aktem samoobrony. Gdy napastnik upadł, Edward pod wrażeniem grozy tego wypadku nie miał dość przytomności umysłu, by dobyć z pochwy szablę lub wyciągnąć drugi pistolet; toteż pospólstwo opadło go, rozbroiło i byłoby go gwałtownie poturbowało, gdyby pojawienie się czcigodnego duchownego, pastora tej parafii, nie pohamowało ich wściekłości.

Zacny ten człowiek (nie żaden Goukthrapple ani Rentowel) utrzymał wpływ swój na prosty lud, chociaż obok abstrakcyjnych zasad Chrystusowej wiary głosił również praktyczne jej zastosowanie. Udało mu się to, być może właśnie dzięki temu, że w nauce

swej łączył praktykę z doktryną, toteż pamięć o nim utworzyła rodzaj epoki w rocznikach Cairnvreckan, tak iż ludzie z tej parafii, chcąc oznaczyć zdarzenia sprzed „sześćdziesięciu lat”, dotąd jeszcze mówią, że „było to za czasów dobrego pastora Mortona”.

Pastora zaalarmował wystrzał z pistoletu i rosnący hałas dokoła kuźni. Nakazawszy stojącym w pobliżu zatrzymać Waverleya bez czynienia mu krzywdy, zwrócił przede wszystkim uwagę na ciało Maucklewratha, nad którym żona jego pod wpływem powrotnej fali uczuć wyła i targała swe zmierzwione włosy, odchodząc prawie od zmysłów. Podniósłszy kowala, przekonano się przede wszystkim, że żyje; następnie zaś, że prawdopodobnie żyć będzie tak długo, jak gdyby nigdy w życiu nie słyszał strzału z pistoletu. Śmierć jednak minęła go z bliska, gdyż kula drasnęła mu głowę, pripraviając o chwilową utratę przytomności, którą przedłużyło trochę przerażenie i zamącenie umysłu. Powstał teraz i domagał się zemsty na osobie Waverleya, z trudem godząc się na propozycję pastora Mortona, by Waverleya zaprowadzono przed miejscowego dziedzica jako sędziego pokoju¹⁴ i oddano mu go do dyspozycji. Reszta obecnych jednogłośnie przystała na takie załatwienie sprawy, nie wyłączając pani Mucklewrath, która zaczęła już odzyskiwać równowagę po doznanym nerwowym wstrząsie.

Ponieważ wszelki spór w ten sposób ustał, Waverley musiał udać się pod eskortą wszystkich nie złożonych niemocą mieszkańców wsi do dworu Cairnvreckan odległego o jakieś pół mili.

¹⁴ sędzia pokoju - laird (dziedzic) miał wówczas władzę administracyjną i polityczną

Rozdział XXXI

Badanie

Major Melville z Cairnvreckan, starszy pan, który młodość spędził w służbie wojskowej, przyjął pastora Mortona bardzo serdecznie, a naszego bohatera z grzecznością, wobec dwuznaczności sytuacji Edwarda nieco skrepowaną i chłodną.

Rozpytano o istotę zranienia kowala, a gdy się okazało, że rana jest nieszkodliwa, a warunki, w jakich ją kowal odniósł, czyniły zadanie jej przez Edwarda aktem naturalnej samoobrony, major osądził, że może tę sprawę uważać za załatwioną, byle Edward złożył małą sumkę na jego rękę na rzecz poszkodowanego.

- Rad bym - mówił dalej major - by mój obowiązek kończył się na tym; musimy jednak zbadać jeszcze powody pańskich wędrówek po kraju w tych niefortunnych i niespokojnych czasach.

Tu wystąpił pan Ebenezer Cruickshanks i wyśpiewał sędziemu wszystko, co wiedział lub podejrzewał wnioskując z rezerwy Waverleya i wykrętów Calluma Beg. Twierdził więc, że koń, na którym Edward jechał, należał do Vich Ian Vohra - choć nie odważył się powiedzieć tego poprzedniemu towarzyszywi Edwarda z obawy, by mu której nocy ta bezbożna banda Mac-Ivorów nie spaliła dachu nad głową i stajni. Zakończył przesadnym przedstawieniem własnych zasług względem Kościoła i państwa, dzięki którym stał się z pomocą bożą (jak się skromnie wyraził) narzędziem przechwytania tego podejrzanego i groźnego delikwenta¹⁵. Wyraził nadzieję nagrody w przyszłości i natychmiastowego odszkodowania za stratę czasu, a także za uszczerbek na opinii poniesiony przez to, że podróżował w interesie państwa w dzień świąteczny.

Na to major Melville odpowiedział bardzo spokojnie, że zamiast chwalić się zasługą w tej sprawie, pan Cruickshanks winien by wypraszać się od bardzo ciężkiej grzywny, gdyż zaniedbał, wbrew przepisom świeżej proklamacji, zameldować w najbliższym urzędzie obcego, który przybył do jego gospody; że wobec owych tak wysławianych zasług pana Cruickshanksa dla Kościoła i państwa major nie chce go obciążyć winą i woli przypuścić, że gorliwość jego dała się uspić sposobnością pobrania od obcego podwójnej opłaty za wynajęcie konia; że jednak, nie czując się powołanym do samodzielnego rozstrzygnięcia o postępowaniu tak wielce ważnej osobistości, woli tę sprawę oddać pod rozwagę przyszłych kwartalnych roków sądowych¹⁶. Wobec tego opowiadanie nasze nie ma na razie nic więcej do dodania na temat męża spod Świecznika, który jak niepyszny powrócił

¹⁵ delikwent - przestępca, oskarżony

¹⁶ roki sądowe - rozprawy, orzeczenia sądowe

do domu.

Następnie major Melville rozkazał wieśniakom rozejść się z wyjątkiem dwóch, którzy pełnili rolę strażników i którym kazał poczekać na dole. Tym sposobem pokój został opróżniony z wszystkich, prócz pana Mortona, którego major prosił o pozostanie, jakiegoś pośrednika, który służył za pisarza, i samego Waverleya. Nastąpiła przykra i kłopotliwa pauza; wreszcie major Melville, patrząc na Waverleya z wielkim współczuciem i często zaglądając do jakiegoś *memorandum*¹⁷ trzymanego w ręku, poprosił go o podanie nazwiska.

- Edward Waverley.

- Tak przypuszczałem; do niedawna w...pułku dragonów, bratanek sir Everarda Waverleya z Waverley-Honour?

- Tak jest.

- Młodzińcze, niezmiernie mi przykro, że ten niemiły obowiązek mnie właśnie przypadł w udziale.

Tu podał Waverleyowi wydany przez Najwyższy Sąd Kryminalny Szkocji formalny rozkaz ujęcia i aresztowania Edwarda Waverleya, szlachcica, podejrzanego o zdradzieckie knowania i inne wielkie zbrodnie i przestępstwa.

Zdziwienie, jakie Waverley objawił na tę wiadomość, major Melville przypisał świadomości winy; natomiast pastor Morton był raczej skłonny widzieć w tym zaskoczenie niesłusznie posądzonej niewinności. W obu przypuszczeniach tkwiło coś niecoś prawdy, bo chociaż w sumieniu swym Edward czuł się wolnym od zarzuconej mu zbrodni, szybki myślowy przegląd własnego postępowania wzbudził w nim przekonanie, że oczyszczenie się z zarzutów w sposób zadowalający dla osób postronnych może mu nasunąć wiele trudności.

- Najprzykrzejszą stroną tej niemiłej sprawy - podjął major Melville po chwili milczenia - jest to, że wobec tak poważnego zarzutu muszę żądać okazania papierów, jakie pan ma przy sobie.

- Służę nimi, oto one - rzekł Edward rzucając na stół portfel swój i wszelkie zapiski. - Co do jednego tylko pisma pragnąłbym by pan mógł się bez niego obejść.

- Niestety, panie Waverley, nie mogę panu pozwolić na żadne wyjątki.

- A więc pokażę i to, panie majorze; że jednak nie ma ono żadnego znaczenia w tej sprawie, poproszę o jego zwrot.

Wydobył złożone na piersiach wiersze, które otrzymał tegoż dnia rano, i podał je wraz z kopertą. Major przejrzał je w milczeniu i polecił pisarzowi zrobić z nich odpis, po czym

¹⁷ *memorandum* (łac.)- tu: notatnik

kopię włożył do koperty i położył przed sobą na stole, sam oryginał zaś z wyrazem smutnej powagi oddał Waverleyowi.

Dawszy teraz więźniowi - bo za takiego musimy już uznać naszego bohatera - trochę czasu do namysłu, major Melville powrócił do jego przesłuchiwania. Ciągnął więc dalej badania, dyktując pisarzowi pytania i odpowiedzi.

- Czy panu znany jest niejaki Humphry Houghton, podoficer dragonów Gardinera?

- Oczywiście, był on sierżantem w moim szwadronie, jest to syn dzierżawcy mego stryja.

- A czy po opuszczeniu pułku utrzymywał pan jakąkolwiek korespondencję, wprost lub pośrednio, z sierżantem Houghtonem?

- Ja?! Ja miałbym korespondować z człowiekiem jego sfery i stanowiska!... Jak to i w jakim celu?

- To właśnie ma pan wytłumaczyć; czy na przykład nie posyłał pan do niego po jakieś książki?

- Przypomina mi pan o jednym małym poleceniu - odpowiedział Waverley - które dałem sierżantowi Houghtonowi, ponieważ ordynans mój nie umiał czytać. Pamiętam, że prosiłem go listownie o wybranie kilku książek, których spis mu dostarczyłem, i przysłał mi ich do Tully-Veolan.

- A jakiego rodzaju były to książki?

- Prawie wyłącznie odnosiły się one do literatury pięknej; przeznaczone były jako lektura dla pewnej damy.

- A czy nie było wśród nich, panie Waverley, traktatów i pamfletów¹⁸ o treści noszącej jakieś znamiona zdrady państwa?

- Były tam pewne traktaty polityczne, na które ledwie okiem rzuciłem. Przysłał mi je usłużny, zacny przyjaciel, którego serce należy wyżej cenić niż roztropność lub trzeźwość polityczną; prace te wydały mi się bardzo nudne.

- Tym przyjacielem - ciągnął dalej wytrwały inkwizytor - był niejaki pan Pembroke, niezaprzysiężony duchowny, autor dwóch zdradzieckich dzieł, których rękopisy znaleziono wśród pańskich bagaży?

- Ale z których, daję panu na to moje szlacheckie słowo - odpowiedział Waverley - nie przeczytałem nawet sześciu stronic.

- Ja nie jestem pańskim sędzią, panie Waverley; protokół z pańskiego przesłuchania przedłożony będzie gdzie indziej. A teraz pójdziemy dalej. Czy zna pan osobę znaną pod nazwiskiem Chytry Will albo Will Ruthven?

¹⁸ pamflet - pismo polemiczne o treści złośliwej lub obelżywej Konferencja i jej następstwa

- Nigdy do tej chwili nie słyszałem podobnego nazwiska.

- Czy nigdy pan nie porozumiewał się przez tę osobę, albo przez jakąkolwiek inną, z sierżantem Humphry'm Houghtonem, namawiając go, by popełnił dezercję, nakłonił do niej jak największą ilość towarzyszy i połączył się z góralami i innymi buntownikami, którzy chwycili dziś za broń pod dowództwem młodego Pretendenta?

Mogę pana zapewnić, że nie tylko nie jestem zupełnie winny spisku, jaki mi pan zarzuca, ale jest mi on wstrętny z głębi duszy i nigdy bym nie popełnił takiej zdrady w celu pozyskania tronu czy to dla siebie, czy dla kogokolwiek innego w świecie.

- A jednak, gdy patrzę na tę kopertę, adresowaną ręką jednego z tych zbłąkanych panów, którzy dziś z bronią w ręku powstają przeciw ojczyźnie, i czytam wiersze, które ona zawiera, nie mogę nie dopatrzeć się podobieństwa pomiędzy przedsięwzięciem, o jakim wspominałem, a postępkami Wogana, który piszący zdaje się stawiać panu za wzór.

Waverleya uderzył ten zbieg okoliczności, lecz zaprzeczył stanowczo, jakoby intencje piszącego stanowić mogły dowód winy, skądinąd urojonej.

- Jednakowoż, jeżeli mnie dobrze poinformowano, podczas nieobecności swej w pułku bawił pan kolejno u tego góralskiego naczelnika oraz w domu pana Bradwardine z Bradwardine, który również z bronią w ręku występuje w tej nieszczęsnej sprawie.

- Nie myślę tego ukrywać, ale twierdzę z całą stanowczością, że nie byłem wtajemniczony w jakiegokolwiek ich zamysły przeciwko rządowi.

- Chyba jednak nie może pan zaprzeczyć, iż towarzyszył pan gospodarzowi swojemu, panu Glennaquoich, na zjazd, w którym pod pozorem wspólnych łowów uczestniczyła większość spiskowców celem omówienia przygotowań do zbrojnego ruchu?

- Przyznaję, że byłem na takim zebraniu - powiedział Waverley - ale nie widziałem i nie słyszałem nic takiego, co by mu nadawało przypisywany przez pana charakter spisku.

- Stamtąd udał się pan - mówił dalej sędzia - z Glennaquoichem i częścią jego klanu na spotkanie z armią młodego Pretendenta; po złożeniu mu hołdu powrócił pan, by wyćwiczyć i uzbroić resztę, przyłączyć ją do jego band zdążających ku południowi?

- Nie chodziłem wcale z Glennaquoichem na tego rodzaju wyprawę. Nigdy nawet nie słyszałem, że osoba, o której pan wspomina, jest obecna w kraju.

Tu opowiedział przebieg wypadku, jaki go spotkał na polowaniu, po czym dodał, że w powrotnej drodze dowiedział się nagle o odebraniu mu szarży; nie przeczył też, że wtedy dopiero po raz pierwszy zauważył oznaki wskazujące gotowość górali do chwycenia za broń; dodał jednak, że nie będąc skłonny przyłączyć się do ich sprawy i nie mając powodu dłużej pozostawać w Szkocji, powracał teraz w ojczyste strony, dokąd wzywali go

ci, którzy mieli prawo kierować jego postępowaniem, jak się o tym major Melville może przekonać z listów leżących na stole.

Wobec tego major Melville odczytał listy Ryszarda Waverleya, sir Everarda i ciotki Racheli; wnioski jednak, jakie z nich wyciągnął, nie odpowiedziały oczekiwaniu Edwarda. Brzmiała w nich nuta niezadowolenia z rządu, zawierały wcale niedwuznaczne napomknienia o zemście, a list biednej ciotki Racheli, wyraźnie mówiący o słuszności sprawy Stuartów, został zrozumiany jako otwarte ujawnienie tego, co w pozostałych listach wyrażone było tylko w półsłówkach.

- Pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie, panie Waverley - rzekł major Melville. - Czy nie otrzymywałeś kilkakrotnie listów od swego komendanta przestrzegających pana i nakazujących powrót na stanowisko oraz uwiadamiających o nadużywaniu pańskiego imienia dla siania niezadowolenia wśród twych żołnierzy?

Nigdy, panie majorze Melville. Otrzymałem od niego tylko jeden list, w którym w uprzejmej formie wyrażał swe życzenie, bym urlopu mojego użył inaczej niż przebywając stale w Bradwardine; uważałem wtedy - nie taję tego - iż nie jest on powołany do mieszania się w takie sprawy; w końcu tego samego dnia, gdym w gazecie wyczytał, że jestem usunięty z wojska, odebrałem drugi list od pułkownika Gardinera, nakazujący mi powrót do pułku. Rozkaz ten - wskutek nieobecności mej, o której już wspomniałem i którą wytłumaczyłem - doręczono mi zbyt późno, bym mógł się doń zastosować. Jeżeli były prócz tego inne listy, a sądząc po zacności pułkownika przypuszczam, że mogło tak być w istocie - nie doszły mnie one wcale.

- Nie poruszałem dotąd, panie Waverley - ciągnął dalej major Melville - pewnej sprawy mniej ważnej, którą jednak omawiano publicznie w sposób dla pana ujemny. Opowiadają, że gdy w obecności pańskiej wzniesiono toast obraźliwy dla monarchy, pan, oficer jego królewskiej mości, pozwolił, żeby obowiązek ujęcia się za tę obrazę wziął na siebie ktoś inny spośród obecnych. Nie można takiego zarzutu wytoczyć panu przed sądem, ale skoro, jak mi wiadomo, oficerowie pańskiego pułku zażądali wytłumaczenia tej pogłoski, jako szlachcic i jako żołnierz, dziwić się tylko muszę, że go pan im nie dostarczył.

Tego już było za wiele. Osaczony i zarzucony ze wszystkich stron oskarżeniami, w których grube fałsze mieszały się ze szczegółami prawdy, nadającymi im pozór wiarygodności - sam jeden, bez przyjaciół, w obcym kraju - Waverley, już prawie całkowicie rezygnując z ocalenia życia i honoru, oparł głowę na rękę i stanowczo odmówił odpowiedzi na dalsze pytania, skoro szczere i uczciwe zeznania, jakie składał dotychczas, dawały tylko broń przeciwko niemu.

Nie okazując zdziwienia ani niezadowolenia z tej zmiany w zachowaniu się

Waverleya, major Melville jął mu spokojnie zadawać szereg dalszych pytań.

- Co mi z tego przyjdzie, jeżeli będę panu odpowiadał? - chmurnie odparł Edward.- Pan zdaje się być przekonany o mojej winie i nagina każdą odpowiedź, którą daję ku poparciu powziętego z góry uprzedzenia. Niechże się pan więc cieszy swoim mniemanym tryumfem i nie dręczy mnie więcej. Jeżeli jestem zdolny do takiego tchórzostwa i zdrady, o jakie mnie zarzuty pańskie obwiniają, tedy nie jestem godzien, by mi wierzone w czymkolwiek. Jeśli zaś nie zasługuję na pańskie podejrzenia - Bóg i własne sumienie niech mi będą świadkiem, że tak jest - to w takim razie nie widzę powodu, bym miał szczerością dawać oskarżycielom moim broń w rękę przeciw samemu sobie. Uważam dalsze odpowiadanie za bezcelowe i zamierzam przy tym postanowieniu wytrwać. - To powiedziawszy zapadł ponownie w chmurne i stanowcze milczenie.

- Niech mi wolno będzie - rzekł sędzia - przypomnieć panu o pewnej okoliczności mogącej uzasadnić korzyść szczerego i otwartego wyznania. Niedoświadczenie młodości, panie Waverley, czyni ją podatną na zakusy ludzi bardziej przemyślnych i chytrych, a jeden przynajmniej z pańskich przyjaciół -mam tu na myśli Mac-Ivora z Glennaquoich - należy do czołowych przedstawicieli tej właśnie grupy, podczas gdy pana, z jego widoczną naiwnością, młodością i niezajomością obyczajów góralskich, byłbym skłonny zaliczyć do ofiar przez nich obalamuconych. W takim wypadku jakiś fałszywy krok czy błąd w rodzaju pańskiego dałby się łatwo wytłumaczyć, a ja służyłbym chętnie za pośrednika. Jednakże, skoro pan z pewnością jest zaznajomiony z siłami tych ludzi, którzy w kraju broń podnieśli, a także z ich środkami i zamiarami, muszę żądać, by pan zasłużył na to pośrednictwo z mojej strony przez szczerę i otwarte ujawnienie wszystkiego, co pod tym względem do wiadomości pańskiej doszło. Jeśli tak się stanie, mógłbym - jak sądzę - obiecać panu, że bardzo krótki osobisty areszt byłby dla pana jedynym niemiłym następstwem przyłączenia się do tych niefortunnych intryg.

Waverley z całym spokojem wysłuchał tej oracji do końca, po czym, zerwawszy się z krzesła z energią dotąd nie okazywaną, odpowiedział:

- Panie majorze Melville, skoro takie jest pańskie nazwisko, odpowiadałem dotąd na pytania pańskie szczerze lub też odrzucałem je z rozdrażnieniem, ponieważ odnosiły się one tylko do mnie osobiście; jeśli jednak pozwala pan sobie uważać mnie za dość podłego, bym podjął się donosicielstwa przeciw tym, którzy - jakkolwiek może być ich wina w życiu publicznym - przyjmowali mnie u siebie jako gościa i przyjaciela - oświadczam tedy, że uważam pytania takie za zniewagę nieskończenie obraźliwszą niż pańskie oszczerce podejrzenia; skoro zaś mój ciężki los nie daje mi możliwości zareagowania na nią inaczej niż słownym oporem, upewniam pana, że raczej wyrwie mi pan serce z piersi, niż usłyszysz z mych ust jedno słowo o tym, co do mojej wiadomości

dojść mogło jedynie w pełnym zaufaniu szczerzej gościnności.

Pan Morton i major zamienili spojrzenia, a duchowny, którego w ciągu przesłuchania kilkakrotnie trapił silny katar, uciekł się do tabakierki i chustki do nosa.

- Panie Waverley - przemówił major - obecne moje stanowisko nie dopuszcza możliwości zadawania ani odczuwania obrazy, wobec czego nie będę przedłużał dyskusji potrącającej o tego rodzaju sprawy. Niestety, muszę podpisać rozkaz zatrzymania pana pod strażą, ale ten dom będzie na razie pańskim więzieniem. Przypuszczam, że nie zechce pan dać się namówić do wzięcia udziału w naszej wieczerzy (Edward potrząsnął głową), każę jednak zanieść panu posiłek do jego pokoju.

Nasz bohater uklonił się i przeszedł w towarzystwie stróżów sprawiedliwości do małego, lecz ładnego pokoju, gdzie odmówiwszy wszelkiego jedzenia i wina, rzucił się na łóżko; zaraz też, otumaniony męczącymi wypadkami i myślowym trudem tego nieszczęsnego dnia, zapadł w głęboki i ciężki sen. Sam się nawet tego nie spodziewał, że zaśnie; jednakże opowiadają o Indianach z Ameryki Północnej, że poddawani torturom - przy najmniejszej przerwie w mękach - zasypiają, dopóki nie zbudzi ich przytknięty ponownie płomień.

Rozdział XXXII

Konferencja i jej następstwa

Po wyjściu Waverleya dziedzic i duchowny z Cairnvreckan zasiedli w milczeniu do wieczerzy. Dopóki służba była w pobliżu, żaden z nich ani nie chciał mówić o sprawie, która zaprzętała ich myśli, ani też nie mógł się zdobyć na mówienie o czymś innym. Młodość i widoczna szczerłość Waverleya stanowiły dziwne przeciwieństwo z mrokiem podejrzeń gromadzących się dokoła niego, a przebijająca z jego zachowania się naiwność i otwartość świadczyły o tym, iż nie zna się on na intrygach, i przemawiały silnie na jego korzyść.

Każdy z nich rozmyślał o szczegółach badania i każdy patrzył na niego przez szkiełko własnych uczuć. Obaj byli ludźmi trzeźwego i bystrego sądu i obaj równie byli zdolni do powiązania różnych szczegółów śledztwa i wyprowadzenia z nich odpowiednich wniosków.

Jednakże wielka różnica w ich przyzwyczajeniach i wychowaniu wywoływała często znaczną rozbieżność sądów wysnutych z tych samych przesłanek.

Major Melville obracał się wiele w obozach i w miastach; z zawodu był czujny, a z doświadczenia ostrożny; widział on w świecie niemało zła i stąd, chociaż sam uczciwy urzędnik i człowiek zacny, w sądach swoich o innych bywał zawsze wymagający, a niekiedy niesprawiedliwie surowy. Pan Morton, przeciwnie, przeszedł od literackich zajęć na uniwersytecie, gdzie kochali go koledzy i poważali nauczyciele, do spokoju i prostoty obecnego swego zawodu, w którym miłość i szacunek parafian odpłacały jego serdeczną o nich troskę; uczucia te wobec niego objawiały się zwłaszcza w starannym ukrywaniu tego, co - jak wiedzieli - najbardziej by go bolało, a mianowicie własnych przekroczeń obowiązków i zasad, których szereg było zadaniem jego życia. Toteż mówiono ogólnie (choć obaj cieszyli się uznaniem), że *laird* wie tylko o wszystkim złym w parafii, a pastor - tylko o dobrym.

Po odejściu służby milczenie obu panów trwało dalej, aż wreszcie major Melville, nalawszy sobie szklankę i podsunąwszy butelkę panu Mortonowi, zaczął:

- Bardzo to przykra sprawa, panie Morton. Obawiam się, że ten młodzieniaszek gotów nie ujść stryczka.

- A niechże Pan Bóg zachowa! - odpowiedział duchowny.

- Podzielim pańskie życzenie - rzekł świecki sędzia. - Ale sądzę, że nawet pańskiej miłosiernej logice trudno będzie nie wyciągnąć tego wniosku.

- A to dlaczego? Setki zbłąkanych w dobrej wierze panów stanęło teraz z bronią w

ręku przeciw rządowi, wielu z nich, niewątpliwie, w imię zasad, które wychowanie i wcześniej zaszczerpane uprzedzenia ozłociły mianem patriotyzmu i bohaterstwa. Sprawiedliwość, wybierając sobie ofiary spośród takiego mnóstwa (bo przecież wszystkich się nie zgładzi), powinna baczyć na pobudkę moralną. Ten, którego ambicja albo nadzieja osobistych korzyści wiodła do burzenia pokoju w praworządnym państwie, niechaj pada ofiarą prawa; ale przecież młodość, uwiedziona mętnymi wizjami cnoty rycerskiej i urojonej lojalności, może zasługiwać na przebaczenie.

- Jeżeli przewidziana rycerskość i mniemana lojalność staną pod zarzutem zdrady głównej - odpowiedział major - nie znam takiego sądu w całym chrześcijaństwie, mój drogi panie Morton, który by udzielił im *habeas corpus*¹⁹.

- Ja jednak nie mogę nabrać pełnego przekonania, że wina tego młodzieńca została dostatecznie stwierdzona.

- Ponieważ pańskie dobre serce zaślepią zdrowy sąd - odpowiedział major Melville. - Proszę, niech pan weźmie pod uwagę: młodzieniec ten pochodzi z rodziny dziedzicznych jakobitów, stryj jego jest głową stronnictwa torysów w hrabstwie, ojciec - obrażonym i niezadowolonym dworakiem, nauczyciel - niezaprzyśiężonym duchownym, autorem dwóch dzieł o zdradzieckiej treści; otóż ten młodzieniec, powiadam, wstępuje do dragonów Gardinera, sprowadzając ze sobą gromadę młodych chłopaków z dóbr stryja, którzy szczerze przyznali się po swojemu, w rozmowach z towarzyszami, do zasad episkopalnego Kościoła, wyniesionych z Waverley-Honour.

Młodzieniec ów otrzymuje urlop, jedzie do Tully-Veolan - zasady barona Bradwardine są dość dobrze znane, nie mówiąc o tym, że stryj chłopca ocalił barona w roku piętnastym; tam chłopiec wdaje się w awanturę, w której, jak powiadają, kompromituje swój mundur; pułkownik Gardiner pisze do niego najpierw łagodnie, później ostrzej - a skoro sam to stwierdza, nie sądzę, by pan mógł o tym wątpić; grono oficerskie żąda, by wytłumaczył przebieg sprzeczki, w którą miał być zamieszany; nie daje odpowiedzi ani swojemu dowódcy, ani też kolegom.

Tymczasem żołnierze jego zaczynają się burzyć, w szeregi ich wkrada się rozprężenie, a gdy w końcu wieść o tym nieszczęsnym powstaniu staje się ogólnie wiadomą, okazuje się, że ulubiony jego sierżant Houghton i ktoś drugi jeszcze, utrzymują stosunki z francuskim emisariuszem, upoważnionym, jak mówi, przez kapitana Waverleya; wysłaniec ten nalega na sierżanta - wedle własnych zeznań tych ludzi - by

¹⁹ *Habeas Corpus Act* - nazwa wydanego w 1679 r. angielskiego aktu prawnego, ustalającego, że nikt nie może być aresztowany bez okazania pisemnego nakazu, oraz ustalający możliwość wypuszczenia więzionego za kaucją aż do najbliższej rozprawy sądowej. Nazwa ta stanowi skrót od „*Habeas corpus ad subiciendum*” (łac), co dosłownie oznacza: „żebyś miał ciało do przedstawienia na sądzie”

popęłił dezercję razem z oddziałem i połączył się ze swym kapitanem będącym u księcia Karola.

Godny ów kapitan, jak sam przyznaje, bawi wówczas w Glennaquoich u najczynniejszego, najprzebieglejszego i najbardziej zagorzałego z jakobitów Szkocji; udaje się z nim w każdym razie na ich sławny myśliwski zjazd, a przypuszczałbym, że i trochę dalej. Tymczasem pułkownik wysłał doń dwa dalsze pisma, z których w jednym powiadamia go o zamieszkach w jego oddziale, w drugim zaś stanowczo nakazuje mu wrócić do pułku, co sam zdrowy rozsądek powinien był mu dyktować, gdy widział, że bunt szerzy się wszędzie dokoła. Odmawia bezwarunkowo i rezygnuje z szarży...

- Już mu ją wprawdzie odebrano - wtrącił pan Morton.

- Ale on żałuje - odpowiedział Melville - że ta kara uprzędiła jego rezygnację. Z bagażu jego przejętego w pułkowej kwaterze i w Tully-Veolan pokazuje się, że zawiera on zapas zjadliwych jakobickich broszur, wystarczający do zatrucia całego kraju, a ponadto jeszcze nie drukowane elukubracje²⁰ jego czcigodnego przyjaciela i nauczyciela, pana Pembroke.

- On mówi, że ich wcale nie czytał - wtrącił duchowny.

- W zwykłym wypadku uwierzyłbym mu - odparł urzędnik - gdyż są równie głupie i pedantyczne w układzie, jak szkodliwe w swej treści. Ale czy może pan przypuścić, że młodzieniec w jego wieku woziłby się z takim śmieciem, gdyby nie cenił głoszonych tam zasad? Dalej: gdy nadchodzi wiadomość o zbliżaniu się powstańców, wyrusza w pewnego rodzaju przebraniu, odmawia wymienienia swego nazwiska; jeśli zaś ten stary fanatyk mówi prawdę, jedzie w towarzystwie bardzo podejrzanego osobnika, na koniu, o którym wiadomo, że należał do Glennaquoicha; ma przy sobie listy od rodziny, tchnące nienawiścią do domu brunszwickiego, a także wiersz pochwalny na cześć niejakiego Wogana, który porzucił służbę Parlamentu i na czele oddziału angielskiej kawalerii przyłączył się do powstańców góralskich, walczących o przywrócenie domu Stuartów - czyż to nie przypomina dokładnie własnego jego spisku? Wszystko to podkreślone jeszcze końcowym: „Idź i czyn podobnie”, ze strony tego lojalnego obywatela, tego tak pewnego i pokojowo usposobionego człowieka, Fergus Mac-Ivor z Glennaquoich, Vich Ian Vohra i tak dalej. A wreszcie - mówił dalej major Melville rozgrzewając się w miarę nagromadzenia szczegółów swojego wywodu - gdzieś spotykamy to drugie wydanie kawalera Wogana? Ależ oczywiście na najprostszej drodze do wykonania swojego zamiaru, bo w trakcie strzelania z pistoletu do pierwszego z królewskich poddanych, który odważa się stanąć w poprzek jego zamiarom.

²⁰ elukubracje - utwory powstałe w znużonym wysiłku umysłowym; kręte drogi rozumowania

Pan Morton przezornie wstrzymał się od wszelkiego sprzeciwu, gdyż czuł, że to by tylko utwierdziło majora w jego przekonaniu; zapytał więc po prostu, co zamierza zrobić z więźniem.

- Jest to sprawa kłopotliwa, zważywszy stan, w jakim kraj się obecnie znajduje - odpowiedział major Melville.

- Czy nie mógłby go pan zatrzymać tutaj, w swoim własnym domu (przecież to taki przyzwoity młodzieniec), gdzie by czuł się bezpieczny, dopóki burza nie przewieje?

- Drogi mój przyjacielu - odpowiedział major - zarówno twój dom, jak i mój przestaną niebawem być bezpieczne, nawet gdyby prawo pozwalało mi zatrzymać go. Dowiedziałem się właśnie, że wódz naczelny, który pomaszerował w góry celem odszukania i rozproszenia powstańców, nie chciał wydać im bitwy pod Corryerick i pociągnął ze wszystkimi rozporządzalnymi siłami rządowymi na północ do Inverness²¹ - pozostawiając góralom wolną drogę na Niziny.

Ta ważna polityczna wiadomość odwróciła, rzecz prosta, na pewien czas rozmowę od sprawy Waverleya: na koniec jednak podjęto znowu ten przedmiot.

- Sądzę - rzekł major Melville - że będę musiał zdać tego młodzieńca pod straż jednego z owych luźnych oddziałów ochotniczych rozesłanych ostatnio dla uśmierzenia buntowniczych okręgów. Odwołują ich teraz do Stirling²², a mały oddziałek ma właśnie przechodzić tędy jutro lub pojutrze pod dowództwem tego człowieka z zachodu - jakże to on się nazywa?... Widział go pan przecież i mówił, że to istny wzór jakiegoś kromwellockiego wojskowego świętego.

- Gilfillan, kameronczyk²³ - odpowiedział pan Morton. - Oby tylko bezpieczeństwu młodzieńca nic przy nim nie groziło! Dziwne rzeczy dzieją się dzięki gorączce i rozterce duchowej w tak burzliwej i przełomowej chwili, a niestety Gilfillan należy do sekty, która cierpiąc prześladowania, nie nauczyła się miłosierdzia.

- Wystarczy, by odstawił młodego Waverleya do twierdzy w Stirling - rzekł major. - Wydam wyraźne zarządzenie, że ma być dobrze traktowany. Nie mogę doprawdy obmyślić lepszego sposobu zabezpieczenia go, a nie wyobrażam sobie, aby mi pan doradzał wzięcie na siebie odpowiedzialności za wypuszczenie go na wolność.

- Ale nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żebym go jutro odwiedził bez świadków? - zapytał duchowny.

- Nie, oczywiście, pańska lojalność i charakter są dla mnie dostateczną gwarancją.

²¹ Inverness - miasto w półn. Szkocji

²² Stirling - zamek w Stirling - był więzieniem wojskowym

²³ kameronczycy - zwolennicy sekty prezbiteriańskiej Ryszarda Camerona

Przyjaciele rozstali się teraz i udali na spoczynek, obaj pełni niepokoju o stan rzeczy w kraju.

Rozdział XXXIII

Powiernik

Po niepokrzepiającej nocy, pełnej męczących snów, Waverley zbudził się rano w pełnej świadomości okropnego swego położenia. Jak się to mogło skończyć, nie wiedział. Ogarnęło go uczucie rozgoryczenia na rząd, któremu przypisywał winę swej kłopotliwej sytuacji i niebezpieczeństw, a jednocześnie przeklinał w duchu, płynące ze skrupułów, odrzucenie propozycji Mac-Ivora, który chciał go ze sobą pociągnąć w pole.

- Dlaczego ja - mówił do siebie - jak inni ludzie honoru, nie skorzystałem z pierwszej sposobności, by powitać w Brytanii potomka dawnych jej królów i spadkobiercę w prostej linii jej tronu? Wszak cała tradycja zacności A wartości domu Waverleyów opiera się na ich lojalnej wierności względem domu Stuartów. Z tego, jak ten szkocki urzędnik pojął listy mojego stryja i ojca, wynika jasno, że powinienem był zrozumieć, iż nakłaniają mnie oni do wstąpienia w ślady przodków - i tylko moja gruba tępota w połączeniu z umyślną, dyktowaną przez ostrożność, niejasnością ich wyrażania się mogła mnie tak w błąd wprowadzić. Gdybym był uległ pierwszemu szlachetnemu odruchowi oburzenia, kiedym się dowiedział, że honor mój skrzywdzono, jakżeż inaczej wyglądałoby obecne moje położenie! Byłbym wolny, pod bronią, walczący, jak moi przodkowie, za miłość, za wierność i za sławę. A teraz oto jestem tutaj, uwikłany w sieć i udręczony, na łasce tego podejrzliwego, surowego i zimnego człowieka, który może mnie skazać na samotność więzienną albo na hańbę publicznego stracenia. O Fergusie! Jakże prawdziwą okazała się twa przepowiednia i jak prędko, jak bardzo prędko się spełniła!

Podczas gdy Edward rozważał te przykre sprawy i całkiem naturalnie, choć niezupełnie sprawiedliwie, składał na panującą dynastię winę tego, co spowodził przypadek, a po części własne jego nieopatrzne postępowanie - pastor Morton skorzystał z pozwolenia majora Melville i przyszedł złożyć mu poranną wizytę.

Pierwszym odruchem Waverleya było prosić, by go nie niepokojono pytaniami i rozmową; opanował się jednak na widok dobrotliwej i budzącej uszanowanie twarzy duchownego, który obronił go przed napastliwym gwałtem wieśniaków.

- W innych warunkach - zaczął nieszczęsny młodzieniec - miałbym dla pana tyle wdzięczności, ile by jej było warte bezpieczeństwo mego życia; jednakże obecnie czuję taki zamęt w duszy i tyle jeszcze przewiduję przyszłych ciężkich przejść, iż zaledwie czuję się zdolny dziękować panu za jego wstawiennictwo.

Morton odpowiedział, że daleki będąc od roszczenia praw do jego dobrej opinii, pragnął tylko - i to stawiał jako jedyny cel swych odwiedzin - wynaleźć sposób zasłużenia

na nią.

Umilkł na chwilę, a potem mówił dalej:

- Nie narzucam się pańskiemu zaufaniu, panie Waverley, w celu dowiedzenia się o jakichś okolicznościach, których ujawnienie mogłoby być szkodliwe czy to dla pana, czy dla innych osób; przyznaję jednak, że szczerze pragnę, by mi pan zwierzył wszelkie szczegóły, które mogłyby się przyczynić do pańskiego uniewinnienia. Mogę pana uroczyście zapewnić, że złożyłbyś je w ręce zaufanego i, w miarę skromnych jego sił, szczerze mu życzliwego pośrednika.

- Przypuszczam, że jest pan prezbiteriańskim duchownym? (Pastor Morton przytaknął głową). Gdybym się kierował uprzedzeniem wszczepionym mi przez wychowanie, mógłbym nie ufać życzliwym pańskim zapewnieniom; jednakże zauważyłem, że podobne uprzedzenia panują w tym kraju przeciwko zawodowym kolegom pańskim o przekonaniach episkopalnych, wobec czego gotów jestem uwierzyć, że tak jedne, jak i drugie są bezpodstawne.

- Źle czyni, kto myśli inaczej - odrzekł Morton - albo sądzi, że przepisy i obrzędy kościelne są jedynym sprawdzianem chrześcijańskiej wiary i moralności.

Waverley po pewnym namyśle nabrał przekonania, że zwierzenie się Mortonowi ze szczegółów dotyczących jego osoby nie może zaszkodzić ani panu Bradwardine, ani Fergusowi Mac-Ivor, którzy obaj otwarcie wystąpili z bronią w rękę przeciwko rządowi, mogłoby natomiast - jeżeli zapewnienia tego nowego przyjaciela były równie szczerze, jak poważnie wyrażone - stać się dla niego pożyteczne. Toteż opowiedział krótko większą część wypadków znanych już czytelnikowi, przemilczając jednak uczucia swe dla Flory i w ogóle nie wspominając imienia jej ani też Róży Bradwardine. Mortona szczególnie uderzyło opowiadanie o bytności Waverleya u Donalda Bean Lean.

- Rad jestem powiedział - że nie wspominał pan o tej okoliczności majorowi. Mogłoby to być bardzo fałszywie zrozumiane przez kogoś, kto nic bierze w rachubę, że ciekawość i bodziec romantyczny bywają nieraz pobudką działania w młodości. Dla mnie samego, gdybym był w twoich latach, panie Waverley, tego rodzaju narwana wyprawa (przepraszam za wyrażenie) miałaby powab niesłychany. Są jednakże ludzie na świecie, którzy nie chcą uwierzyć, że można się narażać na niebezpieczeństwo i na znużenie bez odpowiednio ważnej przyczyny, i stąd przypisują nieraz czynom pobudki niezmiernie dalekie od prawdy. Ten Bean Lean sławny jest w kraju jako rodzaj Robin Hooda, a opowiadania o jego zręczności i śmiałych przedsięwzięciach stanowią u tutejszego ludu temat zwykłych gawęd w zimowe wieczory przy kominku. Niewątpliwie posiada on zdolności wynoszące go ponad prostą sferę, w jakiej się obraca; a że nie jest pozbawiony ambicji ani obciążony skrupułami, będzie prawdopodobnie usiłował

odznaczyć się w okresie tych nieszczęsnych ruchów.

Tu książd Morton starannie zanotował sobie różne szczegóły spotkania z Donaldem Bean, jak również inne okoliczności opowiedziane przez Waverleya.

Zainteresowanie, jakie mu ten zacny człowiek okazywał w jego niedoli, a przede wszystkim pełna wiara, którą zdawał się pokładać w jego niewinności, podziałały kojąco na serce Edwarda, w którym chłód majora Melville zaszczerpił przekonanie, że cały świat sprzysiągł się na jego zgubę. Gorąco uściskał dłoń Mortona, zapewniając go, że jego dobroć i współczucie zdjęły mu z serca wielki ciężar; oświadczył też, że bez względu na los, jaki go czeka, należy on do rodziny, która umie być wdzięczną i ma możność wdzięczność tę okazać. Te jego żarliwe wyrazy dziękczynienia wycisnęły łzy z oczu zacnego pastora, toteż zainteresował się on tym silniej sprawą, w której podjął się dobrowolnie pośredniczyć - na widok szczerych ponad wszelką wątpliwość uczuć swego młodego przyjaciela.

Edward zapytał teraz, czy Mortonowi wiadomo, co go w dalszym ciągu może czekać.

- Zamek Stirling - odpowiedział duchowny. - I w tym wypadku rad jestem z tego, gdyż komendant tamtejszy jest człowiekiem honorowym i ludzkim. Więcej miałbym wątpliwości co do traktowania pana w czasie drogi; major Melville mimo woli bowiem zmuszony jest powierzyć straż nad pańską osobą komu innemu.

- Cieszę się z tego - odpowiedział Waverley. - Nie znoszę tego chłodnego, wyrachowanego szkockiego urzędnika. Mam nadzieję, że on i ja nigdy się już nie spotkamy; nie wykazał najmniejszego zrozumienia dla mojej niewinności i niedoli, a mroząca akuratność, z jaką przestrzegał wszelkich form grzeczności, zadręczając mnie jednocześnie swymi pytaniami, podejrzeniami i przypuszczeniami, męczyły mnie niczym tortury inkwizycji. Niech go pan nie broni, mój drogi panie, gdyż tego cierpliwie znieść nie mogę; niech mi pan raczej powie, kto będzie miał pod swoją strażą tak ważnego więźnia politycznego, jakim się stałem.

- Sądzę, że niejaki Gilfillan, należący do sekty noszącej miano kameronczyków.

- Nigdy o nich dotąd nie słyszałem.

- Uważają się oni - mówił duchowny - za przedstawicieli najściślejszych i najsurowszych prezbiterianów, którzy za czasów Karola II i Jakuba II odmówili korzystania z Aktu Tolerancji²⁴, obejmującego inne odłamy tego wyznania. Schodzili się oni na modlitwy w szczerym polu, a że rząd szkocki traktował ich z wielką gwałtownością i okrucieństwem, niejednokrotnie chwyтали za broń podczas panowania tych królów. Nazwę wzięli od swojego przywódcy Ryszarda Camerona. Od tego czasu liczebność ich

²⁴ Akt Tolerancji - dekret Karola II Stuarta wydany w 1672 roku, zezwalający różnym wyznaniom na odprawianie nabożeństw według swoich obrzędów religijnych

zmniejszała się stopniowo; ale wielu jeszcze znaleźć można w hrabstwach zachodnich, a niektórzy, w lepszym będąc nastroju niż w roku 1707, stanęli teraz zbrojnie po stronie rządu. Osobnik zwany przez nich Natchnionym Gilfillanem był przez długi czas ich duchowym przewodnikiem, a teraz dowodzi małym oddziałem, który przechodzić będzie tędy dziś albo jutro, maszerując ku Stirling; pod jego to właśnie eskortą major Melville zamierza wysiać pana w drogę. Chętnie przemówiłbym za panem do Gilfillana, lecz ponieważ jest on przepojony uprzedzeniami swojej sekty, a usposobienie ma zawzięte, niewiele by sobie robił z tego, co mu powie erastiański duchowny, jak by mnie grzecznie nazwał. Muszę cię teraz pożegnać, młody mój przyjacielu: na razie wolę nie nadużywać względności majora, żeby mi pozwolił odwiedzić pana jeszcze raz w ciągu dnia.

Rozdział XXXIV

Stan rzeczy nieco się poprawia

Około południa pastor Morton wrócił z zaproszeniem od majora Melville, by pan Waverley zaszczycił go swoim towarzystwem przy obiedzie pomimo niemiłej sprawy zatrzymującej go w Cairnvreckan, a z której cieszyłby się serdecznie, gdyby pan Waverley zdołał się całkowicie wywikłać. Korzystne sprawozdanie duchownego i jego opinia zachwiały trochę przekonaniem starego żołnierza co do przypuszczalnego udziału Edwarda w buncie wojskowym; a choć przy niespokojnym stanie kraju samo podejrzenie o nieprawomyślność albo o skłonność do przyłączenia się do powstania jakobitów mogło być poczytane za zbrodnię, w żadnym razie nie mogło ono uchodzić za plamę na honorze. Poza tym osoba, której major ufał, przekazała mu nieściśle, jak się potem okazało, wiadomość sprzeczną z niepokojącymi nowinami poprzedniego wieczora. Wedle tego drugiego wydania pogłoski, górale cofnęli się znad granicy Nizin z zamiarem ścigania armii maszerującej ku Inverness.

Wieści te wprawiły majora w tak dobry humor, że chętnie zgodził się na propozycję Mortona, by nieszczęsnemu swemu gościowi okazać trochę uprzejmej gościnności; dodał nawet od siebie, że ma nadzieję, iż cała ta sprawa okaże się młodzieńczym wybrykiem, który pan Waverley lekko odpokutuje krótkim więzieniem. Poczciwy pośrednik miał nieco kłopotu, zanim zdołał nakłonić młodego swego przyjaciela do przyjęcia zaproszenia. Utrzymywał on, że zaproszenie dowodzi niewiary majora w tę część oskarżenia, która tyczyła się postępowania Waverleya jako żołnierza i człowieka honoru, wobec czego odrzucenie tej uprzejmości mogłoby być zrozumiane jako przyznanie się do tego, że nie zasługuje on na taki sąd. Krótko mówiąc, przekonał Edwarda, że męskie i przyzwoite załatwienie sprawy wymagało spotkania się z majorem w sposób najnaturalniejszy w świecie: opanowując tedy silną niechęć do zetknięcia się jeszcze raz z tą chłodną i przesadnie ceremonialną grzecznością. Waverley oddał się pod kierownictwo nowego przyjaciela.

Spotkanie było z początku dość chłodne i formalistyczne. Ale Edward, przyjąwszy zaproszenie i doznawszy ulgi duchowej pod kojącym wpływem dobroci Mortona uważał, że wypada mu zachowywać się swobodnie, chociaż nic mógł udawać serdeczności. Major był z natury *bon vivant*²⁵. wino zaś miał doskonałe. Opowiadał różne dykteryjki z swych dawnych kampanii wojennych, przy czym wykazywał wielką znajomość ludzi i obyczajów

²⁵ *bon vivant* (franc.) - hulaka, tu: dobry kompan

światowych. Pastor Morton nie był pozbawiony wewnętrznego zasobu pogodnego i spokojnego poczucia humoru, toteż umiał ożywić każde kółko znajomych, w których gronie czuł się dobrze. Waverley, żyjący jak we śnie, łatwo uległ płynącym z zewnątrz bodźcom i niebawem okazał się najbardziej ożywionym członkiem całego towarzystwa. Posiadał on zawsze wybitny dar wymowy, chociaż łatwo milkł pod wpływem zniechęcenia. Obecnie zależało mu na tym, by na towarzyszach wywrzeć korzystne wrażenie i okazać się człowiekiem, który nawet w bardzo przykrych okolicznościach potrafił nieszczerze swe znieść swobodnie i z pogodą. Chociaż wrażliwy, wielce był opanowany, co ułatwiło mu zadanie. Cała trójka rozprawiała z ożywieniem, widocznie znajdując wzajemne w sobie upodobanie, a uprzejmy gospodarz częstował już trzecią butelką burgunda, gdy posłyszano z oddali odgłos bębna. Major, który w rozweseleniu starego żołnierza zapomniał o swoich urzędowych obowiązkach, mruknął jakieś wojskowe przekleństwo, po czym wstał i podszedł do okna wychodzącego na bliski gościniec; to samo uczynili jego goście.

Bęben zbliżał się, nie wybijając miarowego wojskowego marsza, ale coś w rodzaju pobudki, która, na wieść o pożarze, zrywa ze snu rzemieślników w szkockiej mieścinie.

Zadaniem tego opowiadania jest zachowanie bezstronności wobec wszystkich; muszę przeto zaznaczyć, oddając sprawiedliwość doboszowi, że szczyił się on znajomością wszelkich marszów i werbli stosowanych w brytyjskiej armii i w tej myśli zaczął wybijać pierwotnie „Hasło Dumbarton”, uciszył go jednak Natchniony Gilfillan, dowódca oddziału, który - nie chcąc, by ludzie jego maszerowali pod takt tej świeckiej, a nawet, jak się wyraził, wyzywającej melodii - nakazał doboszowi wybijać Psalm 119. Ponieważ to zadanie przekraczało umiejętność dzielnego skórotłuka, musiał się więc uciec do wspomnianej już, niewinnej pobudki mającej zastąpić świątobliwą muzykę, której ani on sam, ani jego instrument sprostać nie mogli.

Ochotnik sprzed lat sześćdziesięciu

Słyszając ten niepożądany warkot major Melville spiesznie otworzył oszklone drzwi i wyszedł na rodzaj tarasu odgradzającego dom jego od gościńca, skąd ta wojskowa muzyka płynęła. Waverley i nowy jego przyjaciel wyszli za nim, choć prawdopodobnie major byłby się chętnie obszedł bez ich towarzystwa. Ujrzeni niebawem, w uroczystym pochodzie, najpierw artystę od bębna; następnie wielką chorągiew o czterech polach, na których wypisane były słowa: Pakty, Kościół, Król, Królestwa. Za nosicielem tego zaszczytnego ciężaru szedł dowódca oddziału, człowiek może sześćdziesięcioletni, chudy, ciemny, o sztywnym wyglądzie. Pycha, która w oberżyscie spod Świecznika przechodziła w arogancką obłudę, na twarzy tego człowieka miała szlachetniejszy wprawdzie, ale też bardziej ponury odcień szczerego i głęboko zakorzonego fanatyzmu. Trudno było patrząc na niego nie wyobrazić go sobie w jakiejś niezwyklej sytuacji, gdzie gorliwość religijna odgrywałaby rolę naczelną. Męczennik na stosie, żołnierz na polu bitwy, samotny wygnaniec zdany na wszelkie udręczenia i braki, a czerpiący pociechę w głębokim przeświadczeniu o sile i czystości swej wiary; może prześladowczy inkwizytor, równie straszny w czasie sprawowania władzy jak nieugięty w przeciwnościach - wszystko to zdawało się stanowić odpowiednie wcielenia tej postaci. Obok szlachetnych cech energii, z afektowanej i napszonej precyzji jego zachowania się i mowy przebijało też coś, co graniczyło ze śmiesznością - tak że zależnie od nastroju patrzącego i od światła, w którym się pan Gilfillan ukazywał, można było równie dobrze odnosić się doń z lękiem, jak z podziwem lub drwiną. Miał na sobie ubiór wieśniaka z zachodnich okolic kraju, sporządzony z lepszego co prawda materiału, niż go używają niższe warstwy, ale nie silący się bynajmniej na współczesną elegancję ani też nie naśladowający mody szlachty szkockiej któregośkolwiek okresu. Broń jego składała się z szabli i pistoletów, które, sądząc po ich staroświeckim wyglądzie, pamiętały może klęskę pod Pentland albo Bothwell Brigg²⁶.

Gromada jakich trzydziestu uzbrojonych ludzi, podległa temu dowódcy, miała wygląd bardzo mieszany. Ubiór ich, nie różniący się od zwykłej odzieży noszonej w kraju nizinnym, był wielce różnobarwny, co w zestawieniu z ich uzbrojeniem nadawało im raczej pozór nieregularnej bandy - tak dalece bowiem oko przywykło łączyć pojęcie wojska z jednolitością stroju. Na przodzie szło kilku ludzi, którzy widocznie podzielali

²⁶ Pentland albo Bothwell Brigg - miejsca porażek walczących kowenantystów w r. 1666 i 1679

entuzjazm dowódcy; tych można by się obawiać w walce, gdyż wrodzoną ich odwagę potęgował zapał religijny. Inni kroczyli, z sapaniem, przejęci ważnością noszenia broni i całą nowością swojej roli, podczas gdy reszta, widocznie zmęczona marszem, wlokła się tępo lub odrywała od towarzyszy w poszukiwaniu napojów orzeźwiających, jakich dostarczyć mogły sąsiednie chaty czy piwiarnie. „Sześciu grenadierów Ligoniera²⁷ - pomyślał sobie major wspominając własne doświadczenia wojskowe - rozbiłoby całą tę hołotę w puch!”

Powitawszy jednak grzecznie Gilfillana, zapytał go, czy otrzymał w pochodzie list, który do niego wysłał, i czy może podjąć się odprowadzenia do zamku Stirling więźnia stanu, wspomnianego w tym liście.

- Tak - odpowiedział zwięźle wódz kameronczyków głosem wychodzącym, jak się zdawało, z najgłębszego wnętrza jego osoby.

- Ale eskorta pańska, panie Gilfillan, nie jest tak silna, jak się tego spodziewałem - rzekł major Melville.

- Niektórzy z moich ludzi - odpowiedział Gilfillan - łaknęli i pragnęli po drodze, toteż zatrzymali się, póki biednych ich dusz nie pokrzepi słowo.

- Bardzo żałuję - powiedział major - że pan nie liczył na otrzymanie w Cairnvrekan posiłku dla swych ludzi; wszystko, co mój dom posiada, jest na usługi osób zaciągniętych do służby wojskowej.

- Ja nie mówiłem o cielesnych wygodach - odpowiedział sekciarz patrząc na majora Melville z czymś w rodzaju pogardliwego uśmiechu .- W każdym razie dziękuję panu; ale ludzie zatrzymali się przy czcigodnym Jabeshu Rentowel, czekając na wygłoszenie poobiedniej nauki.

- I pan doprawdy - rzekł major - w chwili kiedy powstańcy mają zalać tę okolicę, zostawił znaczną część swych podkomendnych na polowym kazaniu?

Gilfillan znowu uśmiechnął się wzgardliwie, dając taką pośrednią odpowiedź:

- Tak więc dzieci tego świata mają być mędrsze w swym pokoleniu od dzieci światła!

- Bądź co bądź, mój panie - powiedział major Melville - ponieważ ma pan odprowadzić tego kawalera do Stirling i oddać go wraz z tymi papierami w ręce komendanta Blakeney, muszę pana prosić o zachowanie pewnych reguł dyscypliny podczas marszu. Pragnąłbym też, byś dobrze zrozumiał, że tego pana, swego więźnia, masz traktować bez surowości i niegrzeczności, nie krępując go więcej, niż tego wymagać będą względy bezpieczeństwa.

- Znam rozkazy - odpowiedział Gilfillan - podpisane przez szanownego i pobożnego

²⁷ Ligonier - jeden z wybitnych oficerów w armii ks. Marlborough

szlachcica, Williama hrabiego Glencairn, ale nie znajduję tam - wskazówki, że mam otrzymywać rozkazy albo polecenia od majora Williama Melville z Cairnvreckan.

Major Melville zarumienił się aż po mocno obsypane pudrem uszy widoczne spod starannie zakreconych wojskowych loków przy skroniach - a to tym bardziej, że zauważył w tej samej chwili uśmiech na twarzy pastora Mortona.

- Panie Gilfillan - odpowiedział trochę oschle - tysiącrotnie przepraszam za udzielenie pouczeń osobie tak wielkiego znaczenia. Myślałem jednakże, że skoro pana wychowano na hodowcę wołów, jeśli się nie mylę, warto by panu przypomnieć różnicę zachodzącą między góralami a góralskim bydłem, w razie zaś spotkania kogoś, kto zna się na służbie wojskowej i skłonny jest o tym pomówić, sądzę, że wysłuchanie go nie zaszkodziłoby panu w niczym. Skończyłem jednak i pozostaje mi tylko raz jeszcze polecić tego pana nie tylko pańskiej bacznej straży, ale i uprzejmości. Panie Waverley, prawdziwie mi przykro, że w ten sposób rozstawać się musimy; jednakże ufam, że jeśli pan zawita znów kiedy w te strony, będę miał sposobność uczynić mu pobyt w Cairnvreckan przyjemniejszym, niż na to obecne okoliczności pozwoliły.

To mówiąc ucisnął rękę naszemu bohaterowi. Również i Morton serdecznie się z nim pożegnał, po czym Waverley dosiadł konia, którego muszkieter prowadził za uzdę, pomiędzy dwoma rzędami straży mającej udaremnić wszelką próbę ucieczki - i wyruszył z oddziałem Gilfillana. W drodze przez wioskę towarzyszyły im okrzyki dzieci wołających: „Patrzcie! To ten pan z Południa, którego mają powiesić za to, że strzelał do długiego Johna Mucklewrath, naszego kowala!”

Rozdział XXXVI

Przygoda

Obiad jadano w Szkocji „sześćdziesiąt lat temu” o godzinie drugiej. Tak więc w ten prześliczny dzień jesienny pan Gilfillan rozpoczął swój marsz około czwartej po południu w nadziei, że chociaż Stirling odległe było o « osiemnaście mil, zdoła stanąć tam jeszcze tego wieczora, zarwawszy co najwyżej parę godzin nocy. Zdobywał się przeto na wysiłek i maszerował dzielnie na czele swoich ludzi, raz poraż spoglądając na naszego bohatera, jak gdyby szukał z nim sporu. Na koniec, nie mogąc oprzeć się pokusie, zwolnił kroku, aż zrównał się z koniem więźnia, i przeszedłszy kilka kroków w milczeniu, zagadnął nagle:

- Czy może mi pan powiedzieć, kim był ten jegomość czarno ubrany, towarzyszący dziedzicowi z Cairnvreckan?

- Prezbiteriański duchowny - odpowiedział spokojnie Waverley.

- Prezbiteriański! - ciągnął dalej Gilfillan pogardliwie. - Marny erastianin albo raczej zakuty prelatysta, sprzyjający czarnej tolerancji, jeden z tych niemych psów, co to nie umieją szczekać, a w swoich kazaniach plotą piąte przez dziesiąte, głosząc jakieś puste strachy i czeze pociechy bez żadnego sensu, treści ani życia... A pana także karmiono takimi błędami?

- Nie, ja należę do anglikańskiego Kościoła - odpowiedział Waverley.

- To bliscy sąsiedzi - odpowiedział zwolennik Paktu - i nic dziwnego, że się tak dobrze zgadzają. Kto by pomyślał, że piękny gmach Kościoła szkockiego²⁸, zbudowany przez naszych ojców w roku 1642, będzie skalany przez cielesne cele i zepsucie doczesne; ach tak, kto by pomyślał, że cudnie rzeźbione dzieło przybytku tak prędko zostanie zburzone!

Na to ubolewanie, któremu kilku z obecnych zawtórowało głębokim jękiem, nasz bohater nie uznał za stosowne odpowiedzieć; wobec tego pan Gilfillan postanawiając, że uczyni zeń przynajmniej słuchacza, skoro nie nadaje się do dysputy, ciągnął dalej swoją jeremiadę.

Nie wiadomo, jak długo jeszcze ten wojskowy teolog byłby przeciągał swoją napastliwą przemowę, w której nie przepuszczał nikomu, prócz rozprószonej garstki „ludzi ze wzgórz”²⁹, jak ich nazywał.

²⁸ piękny gmach Kościoła szkockiego - mówiący ma na myśli pakt kowenantystów zawarty w 1643 r. z przeciwnikami Karola I Stuarta, na mocy którego kowenantyści zobowiązywali się do udzielenia im pomocy zbrojnej w walce ze stronnictwem królewskim. Kowenantyści mieli nadzieję, że tą drogą uczynią purytanizm oficjalnym wyznaniem w Anglii

²⁹ ludzie ze wzgórz - tak nazywano kameronczyków, którzy za panowania Karola II ukrywali się przed prześladowaniem w górach

Temat był obfity, głos mówcy potężny, a pamięć miał dobrą: toteż nie zanosiło się na to, by zakończył kazanie przed dotarciem do Stirling, gdyby nie to, że uwagę jego ściągnął na siebie kramarz wędrowny, który przyłączył się do maszerujących z którejś z poprzecznych dróg, a wzdychał i jęczał nader pilnie przy każdej odpowiedniej przerwie w jego nauce.

- A któż ty jesteś, przyjacielu? - zagadnął Gilfillan.

Biedny przekupień w drodze do Stirling, który błaga o opiekę oddziału waszej dostojności w tych niebezpiecznych czasach! Ach! Wasza dostojność ma nadzwyczajną zdolność wyszukiwania i tłumaczenia tajemnic - tak, tajemnych, ciemnych i niezrozumiałych przyczyn upadku tego kraju; o tak, wasza dostojność sięga do korzenia sprawy.

- Przyjacielu - przemówił Gilfillan przyjaźniejszym niż dotychczas głosem - nie tytułuj mnie dostojnością. Ja nie chodzę po parkach, publicznych placach ani miastach jarmarcznych, gdzie by tłumy chłopów i mieszczan ściągały przede mną czapki jak przed majorem Melville z Cairnvreckan i nazywały mnie panem dziedzicem, kapitanem albo jego dostojnością - nie! Moje skromne środki, nie wynoszące więcej niż dwadzieścia tysięcy marek, pomnożyły się z pomocą bożą, ale pycha w mym sercu nie urosła wraz z nimi; nie lubuję się też w tym, by mnie nazywano kapitanem, chociaż mam mianowanie podpisane przez tego uczonego w piśmie szlachcica, hrabiego Glencairn. Póki żyję, nazywam się i chcę być nazywany Habakukiem Gilfillan, który staje w obronie nauki przyjętej przez sławny Kościół szkocki, wówczas gdy nie frymarczył on jeszcze z przeklętym Achanem³⁰; Gilfillan czynić tak będzie zawsze, póki zostanie mu choć jedna blaszka w sakiewce i kropla krwi w żyłach.

- Ach - rzekł handlarz - widziałem ja pańskie gospodarstwo koło Mauchlin³¹... co to za żyzny zakątek! W ładnym miejscu leży pańska posiadłość! A takiej rasy bydła nie ma w swoich dobrach żaden pan w całej Szkocji.

- Dobrze mówisz... dobrze mówisz, przyjacielu - odpowiedział Gilfillan, który nie był niewrażliwy na tego rodzaju pochlebstwa. - Dobrze mówisz, boć są to prawdziwe lancashire'y, a podobnych nie ma nawet w Kilmaurs. - I tu zaczął rozprawiać o ich doskonałościach, co zapewne równie obojętne będzie naszym czytelnikom, jak niewiele wzruszyło naszego bohatera. Po tej wycieczce powrócił do swych teologicznych wywodów, podczas gdy handlarz, mniej biegły w tych mistycznych zawilosciach,

³⁰ Achan - postać biblijna. Achan ukradł zdobycz wojenną w Jerycho, przeznaczoną do świątyni, i został za to ukamienowany jako świętokradca. Tu: fanatyczny Gilfillan jest zdania, że Kościół szkocki przyjmując opiekę państwa postępuje tak, jakby się układał ze świętokradcą

³¹ Mauchlin - jedna z najżyźniejszych okolic w Szkocji

zadawała się wzdychaniem i objawianiem w odpowiednich chwilach, jak bardzo czuje się zbudowany.

- Jakież byłoby to szczęście dla biednych, zaślepionych narodów, tych papieżników, wśród których przebywałem, gdyby ich ścieżki oświecała taka jasność! Choć jestem tylko skromnym kupcem wędrownym, byłem aż w Moskwie, przeszedłem Francję, Niderlandy, całą Polskę i większą część Niemiec; och! jakby to bolało duszę waszej dostojności widzieć te szepty i śpiewania, i msze w kościołach, i to granie na organach na chórze, i te pogańskie tańce, i zabawy w dni świąteczne.

Promienie słońca zalegały jeszcze na samej granicy widnokregu, gdy oddział wstępował po biegnącej parowem dość stromej ścieżce na szczyt wzniesienia w terenie. Okolica była otwarta, stanowiąc część obszernego wrzosowiska czy pastwiska, niemniej jednak silnie pofalowana, gdyż w wielu miejscach były tam kotliny pełne żarnowca i janowca oraz jary zarosłe karłowatymi krzewami. Gąszcz krzaków wieńczył wzgórek, na który wdzierał się oddział. Czoło gromady, złożone z ludzi najsilniejszych i najczynniejszych, wysunęło się naprzód i doszedłszy do szczytu, zniknęło z oczu towarzyszy. Gilfillan wraz z kramarzem i szczupłym gronem bezpośredniej straży Waverleya podchodził pod szczyt wzniesienia, reszta zaś drużyny ciągnęła za nim w dość znacznej odległości.

Tak wyglądała sytuacja, gdy kramarz, nie mogąc się rzekomo dopatrzeć swego pieska, zaczął się zatrzymywać i gwizdać na niego.

Sygnal ten, powtarzany kilkakrotnie, uraził surowego jego towarzysza, zwłaszcza że świadczył o lekceważeniu skarbów teologicznej i kontrowersyjnej wiedzy³² roztaczanych ku jego zbudowaniu. Toteż oświadczył on mrukiwie, że nie ma czasu na niepotrzebnego kundla.

- Gdybyś jednak wasza dostojność zechciał rozważyć, jak to było z Tobiaszem...

- Tobiasz! - zawołał Gilfillan zapalczywie. - Tobiasz i jego pies - to wszystko pogańskie i apokryficzne³³ brednie, w które chyba tylko prelatysta albo papista wierzyć może. Boję się, że się na tobie zawiodłem, przyjacielu.

- To bardzo być może - odpowiedział kramarz z wielkim spokojem. - Ale pomimo to ja sobie pozwolę gwizdnąć raz jeszcze na mego biednego Bawty³⁴.

Na ten ostatni sygnał odpowiedziano w sposób niespodziewany: sześciu czy ośmiu silnych górali, zacajonych wśród zarośli i krzaków, zeskoczyło do parowu, wywijając szablami. Gilfillan, nie tracąc odwagi na widok tego niepożądanego zjawiska, wykrzyknął

³² kontrowersyjna wiedza - wiedza przeciwna jakimś ustalonym założeniom

³³ apokryficzne - pismo sfalszowane, nieautentyczne

³⁴ Bawty (szkoc.) - duży pies; nazwa odpowiadająca mniej więcej polskiemu: brytan

mężnie: „Miecz Pana i Gedeona³⁵!” i, wyciągnąwszy szablę, byłby prawdopodobnie przyniósł tyleż zaszczytu dobrej starej sprawie, co dzielni jej obrońcy spod Drumclog; wtem jednak - o dziwo! - kramarz, wyrwawszy muszkiet najbliższemu stojącemu, zadał jego kolbą tak potężny cios w głowę niedawnego swego nauczyciela kamerońskiej wiary, że ten jak długi runął na ziemię. W zamieszaniu, jakie potem nastąpiło, jeden z towarzyszy Gilfillana, strzelając na oślep, powalił konia pod naszym bohaterem. Waverley został przez padającego konia przygnieciony i odniósł kilka poważnych potłuczeń; prawie natychmiast jednak dwóch górali wydobyło go spod zwierzęcia i ująwszy pod ramiona uprowadziło z dala od walki i od drogi. Biegli oni bardzo szybko, na pół podtrzymując, a na pół wlokąc naszego bohatera, który jednakże zdołał jeszcze usłyszeć kilka strzałów oddanych w pobliżu porzuconego przezeń miejsca. Dowiedział się później, że to strzelali ludzie Gilfillana, którzy się teraz skupili, gdyż czoło i tył oddziału zeszyły się wreszcie razem. Widząc tę zbiorówkę górale wycofali się zdążywszy jednak wpierw trafić Gilfillana i dwóch z jego ludzi, którzy, ciężko ranni, pozostali na miejscu. Parę jeszcze wystrzałów zamienili górale z ludźmi z Zachodu; ci jednakże, pozbawieni teraz dowódcy i lękając się drugiej zasadzki, nie wysilali się zbytnio, aby odbić więźnia, i uznali za rzecz roztropniejszą ruszyć w dalszą drogę ku Stirling, unosząc z sobą rannego wodza i towarzyszy.

³⁵ Gedeon-biblijna postać sędziego

Rozdział XXXVII

Waverley pozostaje nadal w ciężkim położeniu

Pośpiech, a właściwie gwałt, z jakim pędzono Waverleya, pozbawił go niemal przytomności, gdyż obrażenia odniesione przy upadku nie pozwalały mu ruszać się równie sprawnie, jak zazwyczaj. Gdy to przewodnicy jego zauważyli, przywołali do pomocy kilku jeszcze towarzyszy i zawiązawszy bohatera naszego w jeden ze swoich pledów, rozdzielili w ten sposób jego ciężar między siebie i ponieśli go dalej nie mniej pośpiesznie, bez żadnego z jego strony udziału. Mówili mało, i to po gaelicku, nie zwolnili też kroku, dopóki nie ubiegli jakich dwóch mil; wtedy dopiero ograniczyli nieco niezwykły pośpiech marszu, idąc mimo to wciąż jeszcze bardzo szybko i zmieniając się raz po raz.

Waverley próbował odezwać się do nich, nie otrzymywał jednak innych odpowiedzi, jak tylko „*Cha n'eil Beurl agam*”, co znaczy: „Nie umiem po angielsku”; Waverley dobrze wiedział, że jest to stała odpowiedź górala, gdy albo nie rozumie, albo też nie chce odpowiadać na pytania Anglika czy mieszkańca Nizin. Wymienił wtedy imię Vich Ian Vohra, rozumiejąc, że jego przyjaźni zawdzięcza uwolnienie swoje ze szponów Natchnionego Gilfillana; jednakże i to nie wywołało żadnego oddźwięku u jego eskorty.

Wieczorny zmrok ustąpił przed blaskiem księżyca, gdy oddział zatrzymał się nad brzegiem stromego wąwozu, który w częściowym oświetleniu wydawał się zarośnięty drzewami i gęstwiną krzaków. Dwóch górali spuściło się na dół małą ścieżyną, jak gdyby dla zbadania wnętrza parowu; po kilku minutach jeden z nich powrócił i rzekł coś do towarzyszy; ci natychmiast podjęli swój ciężar i ponieśli go, bardzo uważnie i starannie, po wąskim i spadzistym zejściu. Pomimo całej ich ostrożności Waverley zetknął się niejednym raz, w sposób dość dotkliwy, z wystającymi sękami i gałęzmi zwieszającymi się ponad ścieżką.

Zszedłszy na sam dół i znalazłszy się widocznie nad brzegiem potoku (gdyż Waverley słyszał szum znacznej ilości wody, chociaż jej w ciemności nie dostrzegął), gromadka znowu przystanąła przed małą i prymitywnie skleconą chatką. Drzwi jej były otwarte, ukazując wnętrze tak niewygodne i surowe, jak tego należało się spodziewać ze względu na jej położenie i wygląd zewnętrzny. Nie było tam widać żadnej podłogi; dach był w kilku miejscach dziurawy; ściany utworzone były z luźnych kamieni, przetykanych torfem, strzecha zaś - z gałęzi drzew. Ogień palił się w środku i zapełniał cały szalas dymem uchodzącym w równej mierze drzwiami, jak i okrągłym otworem w dachu. Stara

góraliska sybilla³⁶, jedyna mieszkanka tego pustkowia, zajęta była warzeniem jakiejś strawy. Przy świetle ogniska Waverley rozpoznał, że towarzysze jego nie należeli do klanu Ivora, gdyż Fergus zawsze pilnie przestrzegał, by jego współplemieńcy nosili tartany tego wzoru, jaki właściwy był ich rodowi; był to znak rozpoznawczy, niegdyś przyjęty u górali, a jeszcze i dotąd utrzymywany przez tych naczelników, którzy szczylicili się swoim rodem i zazdrośni byli o swą odrębną i wyłączną władzę.

Edward przebywał w Glennaquoich dość długo, by poznać dokładnie odznakę, o której tam często wspomniano; toteż teraz przekonawszy się, że nic go nie łączy z jego chwilowymi towarzyszami, strapionym wzrokiem rozejrzał się po wnętrzu chaty. Jedynym sprzętem, poza balią do prania i silnie podniszczoną drewnianą wyżymaczką, zwaną w Szkocji *ambry*, było obszerne drewniane łóżko, obite wedle zwyczaju deskami ze wszystkich stron, do którego wchodziło się przez zasuwane drzwiczki. W tej komórcie górale ułożyli Waverleya, gdy na migi odmówił wszelkiego pożywienia. Zasnął snem przerywanym i niepokrzepiającym; pod oczyma snuły mu się dziwaczne widziadła, które musiał rozpędzać nieustannym wysiłkiem myśli. Po tych objawach nastąpiły dreszcze, gwałtowny ból głowy i rwące bóle w członkach, rankiem zaś stało się widoczne dla góralskich jego towarzyszy czy strażników (nie wiedział bowiem, za kogo ich ma uważać), że Waverley jest zupełnie niezdolny do dalszej podróży.

Po długiej pomiędzy sobą naradzie sześciu członków gromady opuściło chatę zabierając broń; pozostał tylko jeden starzec i jeden młodzieniec. Starszy zwrócił się do Waverleya i obmył jego potłuczenia, widoczne teraz skutkiem opuchnięcia i sińców. Własny jego kuferek, którego górale nie omieszkali zabrać, dostarczył mu bielizny i ku wielkiemu jego zdziwieniu został mu oddany do swobodnego użytku z całą swą nietkniętą zawartością. Poślanie jego legowiska zdawało się czyste i wygodne, a stary jego opiekun, powiedziawszy po gaelicku słów kilka, którymi według domysłów Waverleya zachęcał go do spoczynku, zamknął drzwi łóżka, ponieważ nie miało ono zasłony. I tak oto nasz bohater stał się już po raz drugi pacjentem góralskiego eskulapa, ale w sytuacji o wiele mniej wygodnej, niż gdy był gościem zacnego Tomanraita.

Gorączka, będąca skutkiem obrażeń odniesionych przez Waverleya, opadła dopiero trzeciego dnia, ustępując dzięki staraniom otoczenia i sile jego organizmu, tak że chory mógł już teraz podnieść się w łóżku, choć jeszcze nie bez bólu. Zauważył jednakże, że zarówno pielęgnująca go baba, jak i stary góral bardzo niechętnie zgadzali się na otwieranie drzwiczek łóżka, co pozwoliłoby mu znajdować rozrywkę w przyglądaniu się ich zajęciom; wreszcie gdy Waverley kilkakrotnie odsunął, a oni tyleż razy zamknęli

³⁶ sybilla - w starożytności: wróżka

drzwi jego klatki, stary jegomość położył koniec sporowi, zabijając z zewnątrz gwóźdź tak skutecznie, że drzwi nie można było otworzyć, dopóki tej przeszkody nie usunęto.

Gdy się zastanawiał nad przyczyną takiej przekory u ludzi, których zachowanie się nie wskazywało chęci rabunku i którzy pod każdym innym względem zdawali się dbać o jego dobro i wypełniali troskliwie jego życzenia, naszemu bohaterowi zaczęło się przypominać, że w chwilach najgorszego stanu jego choroby dokoła jego posłania krążyła postać kobiety młodszej od jego sędziwej góralskiej pielęgniarki. Kto to mógł być? I dlaczego pragnęła się ona ukrywać? Pobudzona wyobraźnia nasunęła mu na myśl Florę Mac-Ivor. Pomimo jednak że gorąco pragnął uwierzyć w to, iż jest ona w pobliżu, by jak litościwy anioł czuwać nad jego łóżem bóleści, Waverley musiał dojść do wniosku, że było to przypuszczenie zupełnie nieprawdopodobne; nie można przecież było wyobrazić sobie, że porzuciła Glennaquoich, gdzie czuć się mogła względnie bezpiecznie, by zejść w Niziny objęte obecnie wojną domową i zamieszkać w takiej norze jak ta chata. Jednakże serce biło w nim żywiej za każdym razem, gdy wyraźnie rozróżniał lekki, kobiecy krok u drzwi chaty lub stłumione dźwięki łagodnego i delikatnego kobiecego głosu, rozbrzmiewającego na przemian z ochrypłym, gardłowym krakaniem starej Joanny - jak sądząc z rozmów nazywano wiekową jego pielęgniarkę.

Nie mając innej rozrywki w swej samotności. Waverley usiłował obmyślić jakiś plan dla przeniknięcia owej tajemnicy - a to wbrew staraniom Joanny i starego górala, gdyż młodego nie widywał już od czasu pierwszego ranka. Na koniec po dokładnych badaniach przekonał się, że nietęgi stan jego drewnianego więzienia daje mu możliwość osiągnięcia celu, gdyż z miejsca nieco przegniłego zdołał wyciągnąć gwóźdź. Przez ten maleńki otworek mógł dojrzeć postać niewieścią, otuloną w pled, w chwili rozmowy z Joanną. Od czasów jednak prababki naszej Ewy zaspokojenie zdrożnej ciekawości zwykle pociągać za sobą pokutę rozczarowania. Nie była to postać Flory: twarzy w ogóle nie mógł dostrzec, na domiar utrapienia - gdy dłużej gwoździem dla powiększenia dziury, lekki odgłos skrobania zdradził jego zamiar i przedmiot ciekawości natychmiast zniknął - a nawet, jeżeli mógł zauważyć, nie odwiedził już więcej chaty.

Zaprzestano odtąd wszelkich ostrożności, zmierzających do ograniczenia pola jego widzenia, i nie tylko pozwolono, ale pomagano mu wstawać i opuszczać to jego w dosłownym znaczeniu więzienne łoże. Nie dano mu jednakże wychodzić z chaty; młody góral powrócił i stale jeden albo drugi pilnował go. Ile razy Waverley zbliżał się do drzwi chaty, strażnik grzecznie, ale stanowczo bronił mu wyjścia, zastawiając sobą drzwi i znakami dając do zrozumienia, że grozi niebezpieczeństwo i że nieprzyjaciel jest w pobliżu. Stara Joanna zdawała się być niespokojna i czuwała pilnie:

Waverley więc, który jeszcze na tyle nie odzyskał siły, by móc ująć wbrew woli swoich

gospodarzy, z konieczności uzbroił się w cierpliwość. Pożywienie jego było pod każdym względem lepsze, niżby się tego mógł spodziewać, gdyż na jego stole pojawiał się drób, a nawet wino. Górale nigdy nie ośmielali się zasiąść z nim razem do stołu i traktowali go z pełnym uszanowaniem, stawiając opór tylko w razie chęci wyjścia. Jediną dostępną rozrywką było wyglądanie oknem, czy raczej tym bezkształtnym otworem, który zastępował okno, na szeroki i dziki potok, szalejący i pieniaący się w skalnym korycie, gęsto osłoniętym drzewami i krzakami, o dziesięć stóp poniżej poziomu jego więziennego schroniska.

Szóstego dnia po przybyciu Waverley czuł się już tak dobrze, że zaczął rozmyślać nad ucieczką z tego nudnego i nędznego więzienia, w tym przekonaniu, że lepiej narazić się na niebezpieczeństwo niż dłużej znosić ogłupiającą jednostajność pobytu u Joanny. Stawiał sobie tylko pytanie, dokąd ma się udać, skoro już odzyska swobodę. Dwa projekty zdawały się wykonalne, oba jednak połączone były z niebezpieczeństwem i trudnością. Pierwszą możliwością był powrót do Glennaquoich i połączenie się z Mac-Ivorem, który - o czym nie wątpił - przyjąłby go życzliwie; w obecnym zaś stanie ducha surowość, jakiej doświadczył, najzupełniej zwalniała go, we własnych oczach, z powinnej istniejącemu rządowi wierności. W myśl drugiego projektu chodziłoby o przedostanie się do szkockiego portu morskiego i przepłynięcie okrętem do Anglii. Waverley wahał się, ważąc w myśli oba zamiary, i prawdopodobnie w razie dojścia do skutku ucieczki byłby się zdecydował na ten z nich, który wydałby mu się łatwiejszy. Jednakże nie było mu sądzone dokonać wolnego wyboru.

Wieczorem siódmego dnia drzwi chaty otworzyły się nagle i weszło do niej dwóch górali; w przybyszach Waverley poznał członków pierwotnej eskorty, która doniosła go do tej chaty. Rozmawiali przez chwilę ze starcem i jego towarzyszem, po czym bardzo wyraźnymi znakami dali Waverleyowi do zrozumienia, że ma się przygotować do towarzyszenia im. Była to radosna wiadomość. Dotychczasowe zdarzenia w czasie jego uwięzienia dowodziły jasno, że nie ma tu knoń na jego szkodę, a romantyczny jego duch - odzyskawszy dzięki wypoczynkowi tę giętkość, którą niepokój, gniew, zawód i splot niemiłych uczuć, pobudzonych ostatnimi przygodami, czasowo przytłumił - teraz przykrzył już sobie bezczynność. Waverley przyglądał się gromadce górali, z których jedni, świeżo przybyli, posilali się z pośpiechem, a drudzy przypasywali broń, kończąc przygotowania do drogi.

Siedząc w zadymionej izbie w pewnej odległości od ogniska, dokoła którego gromadzili się tamci, Waverley poczuł, że ktoś lekko trąca go w ramię. Obejrzawszy się, ujrzał Alicję, córkę Donalda Bean Lean. Pokazała mu paczkę papierów tak, aby tego nikt inny nie dostrzegł, położyła na chwilę palec na ustach i poszła niby to pomóc starej

Joannie zapakować do kuferka ubranie Waverleya. Widoczne było, że pragnie, aby nie zdradził się, że ją poznaje; mimo to, korzystając z chwilowej nieuwagi otoczenia, oglądała się nań kilkakrotnie, a gdy spostrzegła, że obserwuje jej czyny, zawięła paczkę bardzo zręcznie i szybko w jedną z jego koszul, którą włożyła do kuferka.

Pojawił się tedy świeży temat do przypuszczeń. Czyżby to Alicja była nieznaną jego strażniczką, czy to ta dziewczyna z pieczary stała się opiekuńczym duchem, co czuwał nad jego łóżem w czasie choroby? Czy znajdował się może w rękach jej ojca? A jeżeli tak, to w jakim celu? Grabież, będąca zwykłym jego motywem, w tym wypadku nie wchodziła w grę; nie tylko bowiem oddawano Waverleyowi jego własność, ale nawet sakiewki, mogącej skusić tego zawodowego rabusia, przez cały czas wcale mu nie odbierano. Wszystko to, być może, da się wytłumaczyć dzięki owej paczce; widoczne jednak było z zachowania się Alicji, że pragnie ona, by przejrzał zawartość paczki bez świadków. Nie szukała też więcej jego spojrzenia, skoro przekonała się, że manewr jej zauważył i zrozumiał. Przeciwnie, wkrótce potem opuściła chatę i dopiero wtedy - będąc już za drzwiami i korzystając z ciemności - rzuciła w stronę Waverleya uśmiech pożegnalny i znaczące skinienie, po czym zniknęła w mrokach wąwozu.

Towarzysze kilkakrotnie wysyłali młodego górala jak gdyby na zwiady. Na koniec, po trzecim czy czwartym jego powrocie, cała gromadka powstała wzywając znakami naszego bohatera, by im towarzyszył. Przed odejściem Waverley uścisnął rękę starej Joannie, tak o niego troskliwej, dołączając obfity dowód wdzięczności za jej usługi.

- Niech pana Bóg błogosławi! Niech panu Bóg da powodzenie, kapitanie Waverley! - rzekła Joanna w dobrej nizinnej, szkockiej mowie, chociaż dotychczas nigdy nie słyszał, by wyrażała się inaczej niż po gaelicku. Ale niecierpliwość towarzyszy, nie pozwoliła mu zażądać wyjaśnienia.

Rozdział XXXVIII

Noc pełna wrażeń

Gdy wszyscy zatrzymali się na chwilę przy wyjściu z chaty, góral, który objął dowództwo - a jak sobie Waverley zdołał przypomnieć, był owym roslým zastępcą Donalda Bean Lean - szeptem i znakami nakazał najzupełniejsze milczenie. Wręczył on Edwardowi szablę oraz stalowy pistolet i wskazując drogę położył rękę na rękojeści własnej szabli, dając tym do zrozumienia, że może trzeba będzie użyć siły dla uutorowania sobie przejścia. Następnie stanął na czele oddziału, który ruszył gęsiego w górę ścieżki. Waverleya umieszczono najbliżej dowódcy. Ten szedł nader ostrożnie, jak gdyby chciał uniknąć najłżejszego szmeru, i przystanął, skoro tylko doszli do szczytu wzniesienia. Waverley niebawem zrozumiał przyczynę, gdyż w niedalekiej odległości usłyszał głos angielskiej placówki wołający: „Wszystko dobrze!” Nocny wiatr poniósł te słowa w lesisty wąwóz, którego ściany odpowiedziały echem. Drugi, trzeci i czwarty raz powtórzono to samo hasło, za każdym razem słabiej, jak gdyby w coraz dalszej odległości. Widoczne było, że gdzieś w pobliżu przebywał oddział żołnierzy mających się na baczności, choć nie dosyć wprawnych, by odkryć ludzi równie wyćwiczonych w podstępach zbójnickiej wojny, jak ci, z którymi teraz Waverley obserwował ich daremne środki ostrożności.

Gdy odgłosy te zamarły w ciszy nocnej, górale ruszyli w drogę szybko, lecz w najzupełniejszym milczeniu. Waverley nie miał czasu ani ochoty przyglądać się otoczeniu, zauważył tylko, że przechodzili w pewnej odległości od wielkiego budynku, w którego oknach migotało parę światełek. Nieco dalej góral dowodzący pociągnął nosem jak wietrzący wyżeł i znowu znakiem kazał się oddziałowi zatrzymać. Potem opadł na czworaki, zawinięty w pled tak, że prawie nie można go było odróżnić od porośłego wrzosem gruntu, na którym się poruszał - i w tej pozycji wysunął się na zwiady. Po krótkim czasie powrócił i odesłał swych ludzi z wyjątkiem jednego, po czym wskazując Waverleyowi, że ma naśladować jego ruchy, jął wraz z obu towarzyszami czołgać się naprzód na czworakach.

Przesunąwszy się dość daleko w ten niewygodny sposób, Waverley poczuł woń dymu, którą zapewne rozróżniło o wiele wcześniej czułe powonienie jego przewodnika. Płynęła ona z narożnika niskiej i rozpadającej się zagrody dla owiec, której ściany ułożone były z luźnych kamieni, wedle powszechnego w Szkocji zwyczaju. Góral podprowadził Waverleya tuż pod ten murek i czy to dlatego, by mu pokazać niebezpieczeństwo, czy też chcąc mu dać sposobność wykazania zręczności, polecił mu znakiem i przykładem, by

uniósł głowę i zajął do wnętrza zagrody. Uczyniwszy to Waverley ujrzał placówkę złożoną z czterech czy pięciu żołnierzy rozciągniętych dokoła ogniska. Spali wszyscy z wyjątkiem wartownika, który chodził tam i z powrotem z bronią na ramieniu, połyskującą czerwono w świetle ogniska, ilekroć mijał je w krótkich nawrotach; spoglądał przy tym często ku tej stronie nieba, gdzie księżyc, dotąd mgłą zasnuty, miał się najwidoczniej niebawem ukazać. W rzeczy samej, prawie natychmiast, dzięki jednej z tych nagłych zmian atmosferycznych, właściwych okolicom górskim, zerwał się wietrzyk i przepędził chmury zakrywające dotychczas horyzont, wtedy księżyc załał pełnią blasku obszerne i puste wrzosowisko, otoczone co prawda zaroślami i karłowatymi drzewami w stronie, skąd przybyli, ale całkowicie otwarte dla oka placówki w kierunku dalszej ich drogi. Dopóki leżeli, ściana zagrody zakrywała ich, ale najmniejszy krok poza tę osłonę narażał ich na pewne odkrycie.

Góral popatrzył na niebieskie sklepienie, ale zamiast błogosławić dobroczynne światło za przykładem owego zaskoczonego nocą wieśniaka znanego nam z Homera czy raczej z Pope'a³⁷, zaklął po gaelicku na tę zapaloną nie w porę latarnię Mac-Farlane'a³⁸. Rozglądał się niespokojnie dokoła przez parę minut, aż wreszcie powziął postanowienie. Pozostawiwszy towarzysza swego z Waverleyem, któremu na migi polecił zachowanie ciszy, i udzieliwszy szeptem krótkich wskazówek koledze, cofnął się po własnych śladach, wyzyskując nierówności terenu. Edward widział, jak pełzał na czworakach z wprawą Indianina, zużytkowując dla ukrycia się każdy krzaczek czy falistość gruntu i nigdy nie przebywając bardziej odkrytych części swej drogi, gdy żołnierz nie był doń odwrócony plecami. Dotarł na koniec do kęp zarośli, częściowo pokrywających w tej stronie torfowisko i prawdopodobnie sięgających aż po krawędź jaru, w którym Waverley tak długo przebywał. Góral zniknął wtedy, ale tylko na krótko, gdyż nagle wynurzył się z innej części gęstwiny i występując śmiało na odsłonięte wrzosowisko, jak gdyby chciał

³⁷ Pope Alexander - tłumaczył *Iliadę* Homera w 1720 r.

³⁸ Klan Mac-Farlane'a, którego członkowie zajmowali warownie po zachodniej stronie Loch Lomond, straszliwie dawał się we znaki Nizinom. a że wycieczki ich odbywały się zwykle nocną porą, tedy księżyc przezwano potocznie ich latarnią. Stawna piosenka *Hoggi Inam Bo*, która stanowi hasło pobudki bojowej klanu - wspomina o podobnych zwyczajach, jak to tekst poniższy wskazuje:

Pędzim byki, pędzim krowy
Poprzez góry i parowy.
Czy deszcz zimny, czy wiatr parny;
Kiedy księżyc zstąpi nisko
Ponad lodów tafle śliską,
Porzucamy swe ognisko.
Choć zarobek taki marny.

(Z przypisów autora: *Latarnia Mac-Farlane'a*)

rozmyślnie dać się dostrzec, zmierzył się i strzelił do wartownika. Rana otrzymana w przedramię w niemiły sposób przerwała meteorologiczne obserwacje biedaka, jak również gwizdaną przezeń piosenkę o Nancy Dawson. Wystrzelił także, ale bezskutecznie, a towarzysze jego, zerwawszy się na alarm, szybko pobiegli ku miejscu, skąd padł pierwszy strzał. Góral, ukazawszy im się w całej okazałości, zaszył się w gęstwinę, gdyż jego wojenny fortel udał się w zupełności.

Podczas gdy żołnierze szukali z jednej strony, Waverley za wskazówką pozostałego towarzysza popędził jak najszybciej w kierunku, który przewodnik jego obrał pierwotnie, a który teraz wobec odwrócenia uwagi żołnierzy uszedł obserwacji i pilnowania. Gdy już ubiegli z ćwierć mili, szczyt wzniesienia, poza którym się znaleźli, ukrył ich tak, że nie mogli być dostrzeżeni. Słyszeli jeszcze z daleka okrzyki żołnierzy nawołujących się na wrzosowisku, dochodził ich także słaby odgłos bębna wzywającego do broni. Jednakże te nieprzyjacielskie alarmy pozostały już w tyle za nimi i ginęły na wietrze, gdy oni rażno szli naprzód.

Po półgodzinnym może marszu przez wciąż tak samo odsłoniętą przestrzeń doszli do pnia starego dębu, który niegdyś - sądząc po tych szczątkach - musiał być bardzo wielkim drzewem. W przyległej kotlinie zastali kilku górali i konie. Po paru minutach, w czasie których towarzysz Waverleya tłumaczył im widocznie powód opóźnienia, gdyż imię „Duncan Duroch” słyhać było kilkakrotnie - ukazał się sam Duroch, zziębnięty i wyglądający, jak gdyby biegł co sił starczyło, ale roześmiany i zadowolony z udanego fortelu, jakim wywiódł w pole ścigających. Waverley łatwo zrozumiał, że nie sprawiło to zbytnej trudności sprawnemu góralowi, doskonale orientującemu się w terenie i zdążającemu bez wahań znajomą sobie drogą, obcą dla tych, którzy za nim gonili. Alarm wzniecony przezeń trwał widocznie dalej, gdyż raz po raz jeszcze z dużej odległości odzywały się strzały wzmagając tylko wesołość Duncana i jego kompanów.

Góral odebrał teraz broń powierzoną poprzednio naszemu bohaterowi, dając tym do zrozumienia, że niebezpieczeństwa zostały już na ten dzień szczęśliwie pokonane. Ofiarowano mu konia, co Waverley wobec zmęczenia i świeżo przebytej choroby przyjął z wielką ochotą. Bagaż jego umieszczono na drugim kucu, Duncan wsiadł na trzeciego i wyruszyli rażno wraz ze swą eskortą. Żaden inny wypadek nie przerwał tej nocnej podróży, a o świcie doszli nad brzeg rączo płynącej rzeki. Okolica była tu zarazem żyzna i malownicza.

Lasy na stromym wybrzeżu przerywane były łąkami zbóż, które obrodziły w tym roku obficie i zostały już w znacznej mierze zżęte.

Na przeciwległym brzegu rzeki, częściowo okolony jej zakrętem, stał wielki i masywnie zbudowany zamek, którego na pół zrujnowane wieżyczki połyskiwały już w

pierwszych promieniach słońca³⁹. Miał on kształt wydłużonego prostokąta wystarczająco wielkiego, by pomieścić obszerny podwórzec wewnętrzny. W czterech rogach prostokąta stały wieże wznoszące się wyżej niż mury budynku, a dźwigające z kolei wieżyczki różnej wysokości i niejednorodnego kształtu. Na jednej z nich czuwał wartownik, którego czapka i powiewający na wietrze pled świadczyły, że jest górale, tak jak szeroka biała chorągiew zatknięta na innej wieży oznajmiała, że załoga składa się z powstańców, stronników domu Stuartów.

Minąwszy spiesznie małą i nędzną mieścinę, gdzie ukazanie się ich nie obudziło ani zdziwienia, ani ciekawości u kilku wieśniaków, których roboty żniwne zaczynały już wywabiać z pościeli, gromadka przeszła przez starożytny i wąski most o kilku łukach; następnie, skręciwszy na lewo w aleję olbrzymich, starych jaworów, Waverley znalazł się przed frontonem posępnej, lecz malowniczej budowli, którą podziwiał był z odległości. Ogromne drzwi z żelaznej kraty, tworzące zewnętrzną ochronę bramy, otworzono już na ich przyjęcie; drugie ciężkie, dębowe wrota, gęsto nabijane żelaznymi gwoździemi, wpuściły ich następnie na wewnętrzny dziedziniec. Mężczyzna ubrany w strój góralski, z białą kokardą przy czapce, dopomógł Waverleyowi zsiąść z konia i z wielką uprzejmością powitał go na zamku.

Komendant, gdyż tak musimy go nazwać, zaprowadził Waverleya do na pół zniszczonej komnaty, gdzie stało jednak niewielkie łóżko polowe - po czym ofiarowawszy mu wszelki posiłek, jakiego mógł sobie życzyć, zabierał się do odejścia.

- Czy zechciałby pan być tak uprzejmy - rzekł Waverley po zwykłych podziękowaniach - i poinformować mnie łaskawie, gdzie jestem i czy mam się uważać za więźnia?

- Nie wolno mi co do tego wypowiedzieć się tak obszernie, jak bym pragnął. Krótko mówiąc jednak, jest pan w zamku Doune w okręgu Menteith i nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo.

- A cóż mnie o tym zapewnić może?

- Honor Donalda Stewarta, komendanta garnizonu i podpułkownika w służbie jego królewskiej wysokości księcia Karola Edwarda.

³⁹ Te szlachetne ruiny drogie są mej pamięci ze względu na skojarzenia, z dawna już boleśnie przerwane. Zajmują one stanowisko panujące nad brzegami rzeki Teith i były dawniej jednym z największych zamków w Szkocji, Murdock, książę Albany (Albany - dawna nazwa Szkocji - prz. *red.*), założyciel tej wspaniałej budowli, został ścięty na wzgórzu zamkowym w Stirling, z którego mógł patrzeć na wieże Doune, pomnik swej minionej chwały.

W latach 1745-46, jak o tym wspomniano w tekście, załoga złożona z wojsk Kawalera została osadzona w zamku, który nie był jeszcze wówczas tak zniszczony jak obecnie. Zamek ten stał się wtedy widownią romantycznej ucieczki Jana Home'a, autora „Douglassa”, oraz kilku innych więźniów, którzy pojmani w bitwie pod Falkirk zostali tu zamknięci przez powstańców (*Z przypisów autora: „Zamek Doune”*).

To powiedziawszy, spiesznie opuścił komnatę, jak gdyby chcąc uniknąć dalszej rozmowy.

Wyczerpany trudami bohater nasz rzucił się teraz na łóżko i niebawem zasnął snem głębokim.

Rozdział XXXIX

Dalszy ciąg podróży

Dzień posunął się już znacznie, gdy Waverley, obudziwszy się wreszcie, poczuł, że od wielu godzin nie brał do ust pożywienia. Zaradziło temu obfite śniadanie; jednakże pułkownik Stewart, chcąc widać uniknąć pytań swego gościa, nie pokazał się u niego ponownie. Przesłał tylko ukłony przez służącego i ofiarował się dostarczyć w granicach swych możliwości wszystkiego, czego by kapitan Waverley mógł potrzebować w podróży, która miała rozpocząć się jeszcze tegoż wieczora. Wszelkie dalsze pytania Waverleya odbiły się o mur rzeczywistej czy udanej nieświadomości i głupoty służącego. Usunął stół i resztę potraw, pozostawiając znów Waverleya na pastwę własnych rozmyślań.

Zastanawiając się nad dziwnym swoim losem, oddającym go we władanie innych osób, bez możliwości kierowania własnymi krokami, Edward nagle spoczął wzrokiem na kufierku, który podczas snu złożono w jego pokoju. Przyszło mu natychmiast na myśl tajemnicze zjawienie się Alicji w chatce w wąwozie i zabierał się właśnie do wyciągnięcia i zbadania paczki złożonej przez nią wśród jego rzeczy, gdy służący pułkownika Stewarta znów się ukazał i wziął kuferek na ramię.

- Czy nie mógłbym wydobyć bielizny na zmianę, mój przyjacielu?

- Wasza dostojność dostanie od pułkownika własną jego koszulę z żabotem, a to musi iść do wozu z bagażami.

To powiedziawszy, najspokojniej wyniósł kuferek, nie czekając na dalsze sprzeciwy i zostawiając naszego bohatera w rozterce, w której zawód i oburzenie walczyły z sobą o lepsze. Po chwili Waverley usłyszał turkot wozu po bruku podwórca i pomyślał, że teraz już niewątpliwie został pozbawiony - na czas pewien, jeśli nie na zawsze - jedynych dokumentów dających mu nadzieję wyjaśnienia tych zagadkowych wypadków, które w ostatnich czasach kierowały jego losami. Takimi to niewesołymi myślami musiał wypełnić cztery czy pięć godzin samotności.

Po upływie tego czasu na dziedzińcu dał się słyszeć stukot kopyt i niebawem ukazał się pułkownik Stewart prosząc gościa, żeby się jeszcze posilił przed wyjazdem. Waverley przyjął to zaproszenie, gdyż późne śniadanie bynajmniej nie odebrało mu chęci spożycia obiadu, który teraz podano. Rozmowa gospodarza obracała się w granicach zwykłych zainteresowań ziemianina, z pewną przymieszką żołnierskich uczuć i wyrażań. Unikał wszelkiej wzmianki o operacjach wojskowych i zdarzeniach politycznych ostatniej doby, gdy zaś Waverley zapytał wprost o niektóre takie sprawy, odpowiedział, że nie wolno mu o tym mówić.

Po skończonym obiedzie komendant wstał i życząc Edwardowi szczęśliwej drogi dodał, że dowiedziawszy się od służącego Waverleya o wysłaniu jego bagażu, pozwolił sobie dostarczyć mu bielizny, jaka może mu być potrzebna, zanim otrzyma swoją. To powiedziawszy wyszedł. W chwilę potem służący zawiadomił Waverleya, że koń jego gotów.

Zszedłszy na podwórze, zastał tam żołnierza trzymającego osiodłanego konia, dosiadł go więc i wyruszył przed bramy zamku Doune z orszakiem złożonym z jakich dwudziestu ludzi konnych i uzbrojonych. Ludzie ci nie sprawiali wrażenia regularnego wojska; widać było, że chwycili za broń wobec nagłej a pilnej potrzeby. Umundurowanie ich, niebieskie z czerwonym na wzór stroju francuskich strzelców, pod wielu względami było niekompletne i leżało na nich niezgrabnie. Oko Waverleya, przyzwyczajone patrzeć na pułk dobrze wyćwiczony, łatwo odkrywało, że ruchy i postawa jego eskorty nie zdradzały wyszkolenia wojskowego i że choć dosyć doświadczeni we władaniu końmi, posiadali oni raczej zręczność masztalerzy i myśliwych niż żołnierzy. Były to jednakże tęgą i dzielnie wyglądające chłopcy, a każdy z nich z osobna mógł być groźny jako luzem walczący kawalerzysta. Dowódca tego małego oddziału siedział na doskonałym koniu, a chociaż nosił mundur, powierzchowna ta zmiana nie przeszkodziła Waverleyowi poznać w nim starego znajomego, pana Falconera z Balmawhapple.

Aczkolwiek warunki, w jakich się Edward z tym panem pożegnał, nie były zbyt przyjacielskie, byłby chętnie wymazał z pamięci wszelkie ślady tej niemądrej sprzeczki, byle mieć znowu przyjemność towarzyskiej wymiany zdań, czego już od tak dawna był pozbawiony. Widocznie jednak wspomnienie porażki w spotkaniu z baronem Bradwardine, czego Edward był mimowolną przyczyną, wciąż jeszcze tkwiło jak cierń w duszy źle wychowanego a dumnego panka, gdyż unikał starannie wszelkiej oznaki, że poznaje Waverleya, i jechał chmurnie na czele swoich ludzi, którzy, choć liczebnie zaledwie dorównywali plutonowi, nosili szumne miano szwadronu kapitana Falconera, a na czele mieli trębacza, raz po raz wygrywającego hasła, i chorągiew niesioną przez kometa Falconera, młodszego brata dowódcy. Porucznik tego oddziału, człowiek w sile wieku, wyglądał na myśliwego pośledniejszej kondycji i na wesołego kompana; wyraz kostycznego humoru uderzał w jego twarzy, której pospolite rysy świadczyły o chronicznym braku wstrzemięźliwości. Trójgraniasty kapelusz wsadził umyślnie na bakier i pogwizdując *Boba z Dumblain*, pod wpływem wypitej wódki kłusował wesoło w błogiej obojętności na stan kraju, dowództwo oddziału, cel podróży i wszelkie inne sprawy pod słońcem.

Od tego jegomościa, który raz po raz zrównywał się z jego koniem, miał Waverley nadzieję zdobycia jakichś informacji lub przynajmniej chciał z nim pogawędzić dla

zabicia czasu.

- Śliczny mamy wieczór, panie -zaczepił go Edward.

- O tak, panie, wieczór jest piękny - odpowiedział porucznik z wybitnie pospolitym szkockim akcentem.

- I, jak widać, piękne urodzaje - nacierał dalej Waverley.

- Owszem, owies dobrze obrodził; ale podli gospodarze i kupcy zbożowi żądają wciąż starych cen od tych, co muszą konia utrzymać.

- Pan może działa jako kwatermistrz?

- Tak jest, jako kwatermistrz, nauczyciel konnej jazdy i porucznik - odpowiedział ten oficer do wszystkiego - i doprawdy, któż by lepiej się nadawał do ćwiczenia i utrzymywania tych biednych zwierząt niż ja, który kupowałem i sprzedawałem każde z nich po kolei?

- Jeśli to nie jest zbyt wielka śmiałość, czy mogę pana zapytać, dokąd my teraz właściwie jedziemy?

- Głupia to sprawa, zdaje mi się - odrzekł wymowny wojak.

- W takim razie - powiedział Waverley, zdecydowany nie szczędzić uprzejmości - nie sądziłbym, że spotkam na tej drodze kogoś, kto się tak godnie przedstawia jak pan.

- Wielka prawda, wielka prawda - odpowiedział oficer - ale każde dla czego ma swoje dlatego. Musi pan wiedzieć, że ów dziedzic kupił wszystkie te bydłeta ode mnie dla wykwapowania swego szwadronu i zgodził się zapłacić za nie cenę odpowiadającą warunkom rynkowym. Ale potem okazało się, że nie ma gotówki, a powiedziano mi, że należności z rewersu⁴⁰ nie będę mógł dochodzić na jego dobrach; ja znów musiałem załatwić rozrachunki z klientami na świętego Marcina; tak więc skoro mi łaskawie ofiarował tę szarżę, a Stara Piętnastka⁴¹ nigdy by mi nie dopomogła do odebrania pieniędzy za szkapy wystawione przeciw rządowi, cóż miałem robić? Sumiennie panu powiadam; pomyślałem sobie, że jeszcze najlepsze widoki odebrania zapłaty będę miał wtedy, gdy sam się zaciągnę, a zrozumie pan - skoro całe życie miałem do czynienia z postronkami - niewiele sobie z tego robię, że i własny kark narazić mogę na powróż.

- Tak więc pan nie jest żołnierzem z zawodu? - zapytał Waverley.

- Nie, nie, uchowaj Boże! - odpowiedział dzielny partyzant. - Ja nie byłem trzymany tak krótko w cuglach; wychowano mnie do koni i żłobu; ja się, panie, urodziłem kupcem końskim i gdybym mógł dożyć tej chwili, by zobaczyć pana na jarmarku w Zielone Świątki albo w Stagshawbank, albo na zimowym jarmarku w Hawick, a pan by potrzebował pewnego konia, co by każdemu dotrzymał pola, zaręczam, że obsłużyłbym

⁴⁰ rewers - zobowiązanie na piśmie, weksel

⁴¹ Stara Piętnastka - wiejski lud szkocki nazywał tak zgromadzenie sędziów Najw. Sądu Cywilnego

pana rzetelnie; bo Jimmie Jinker nie należy do tych, co naciągają porządnych panów. A po panu zaraz widać, kim pan jest i że zna się pan na zaletach konia; widzi pan to pierwszorzędne stworzenie, na którym siedzi Balmawhapple? Ja mu je sprzedałem.

Ale podczas gdy Jinker pełnym żaglem pływał po genealogii klaczy Balmawhapple'a, docierając już do pradziada i prababki, a Waverley tylko upatrywał chwili sposobnej, by wyciągnąć od niego jakąś bardziej interesującą wiadomość - szlachetny kapitan wstrzymał swego konia, dopóki się z nim nie zrównali, a wtedy, niby to wprost, nie zwracając uwagi na Edwarda, surowo odezwał się do Jinkera:

- Myślę, poruczniku, że rozkaz mój brzmiał wyraźnie, iż nikt nie ma rozmawiać z więźniem?

Przekształcony w żołnierza kupiec koński umilkł natychmiast i przekradł się na tyły, gdzie pocieszył się rozpoczynając gwałtowny spór o ceny siana z farmerem, który niechętnie pociągnął w pole za swym dziedzicem - wolał to jednak niż utratę dzierżawy, której termin właśnie upłynął. Waverley został więc znowu skazany na milczenie, przewidywał bowiem, że jakiegokolwiek próby nawiązania rozmowy z kimś z oddziału dałyby tylko Balmawhapple'owi upragnioną sposobność do okazania arogancji zwierzchnika i mrukliwej złości człowieka z natury zaciętego, a utwierdzonego w swej pysze przez obcowanie z niższym towarzystwem i wysłuchiwanie służalczych pochlebstw.

Mniej więcej po dwóch godzinach oddział znalazł się w pobliżu zamku Stirling, nad którego wieżycą sztandar Unii⁴² powiewał w zachodzącym słońcu. Dla skrócenia drogi, a może chcąc się popisać i obrazić garnizon angielski, Balmawhapple, skręcając na prawo, obrał drogę przez park królewski otaczający skałę, na której stoi forteca. Okrążając ze swym konnym oddziałkiem podnóże zamku, nakazał butnie trębaczowi zagrać pobudkę, a chorążemu rozwinąć sztandar. Ta obraza wywołała widać niemałe wrażenie, gdyż skoro tylko kawalkada oddaliła się na tyle od południowej baterii, że można było wziąć ją na cel, z armaty umieszczonej w jednej z wnęk skały błysnął płomień i zanim się jeszcze dał słyszeć towarzyszący mu huk, pocisk świsnął nad głową Balmawhapple'a, a zarywszy się w grunt, obsypał go wyrzuconą w górę ziemią.

Nie potrzeba było teraz oddziału przynaglać. Choć każdy działał z osobna pod wrażeniem chwili, wnet wszyscy pobudzili rumaki pana Jinkera do wykazania swej wartości i cały oddział uciekając nie tyle w porządku, ile w pośpiechu, ani na chwilę nie przeszedł z cwału w kłus - jak to później zauważył porucznik - dopóki przebyty wzgórek nie zasłonił go przed niepożądanymi podarkami ze strony załogi zamku. Muszę jednakże oddać Balmawhapple'owi sprawiedliwość i przyznać, że nie tylko trzymał się przez cały

⁴² Unia w r. 1707 na mocy Unii Anglia i Szkocja stały się jednym państwem - Zjednoczonym Królestwem Wielkiej Brytanii

czas na tyłach swego szwadronu, ale silił się na utrzymanie jakiegokolwiek porządku, a nawet w przystępie męstwa odpowiedział na ogień z zamku wystrzałem z pistoletu w kierunku fortecy; ponieważ jednak odległość wynosiła prawie pół mili, nie mogłem się nigdy dowiedzieć, czy ten czyn odwetowy odniósł właściwy skutek.

Jadący minęli teraz pamiętne pole bitwy pod Bannockburn⁴³ i dotarli do Torwood, budzącego w szkockich wieśniakach wspomnienia pełne chwały lub grozy. W Falkirk, miście słynnym w dawnych dziejach Szkocji, a które niebawem miało się znowu stać widownią ważnych wypadków, Balmawhapple zaproponował postój i odpoczynek wieczorny. Odkonano się to bez przestrzegania jakiegokolwiek dyscypliny wojskowej, ponieważ godny kwatermistrz troszczył się głównie o to, gdzie można by dostać najlepszej wódki. Wystawianie straży uważano za zbyt ciężkie, a czuwali jedynie ci żołnierze, którzy zdołali wystarać się o trunki. Kilku odważnych ludzi mogło być odciąć cały oddział; jednakże spośród mieszkańców jedni sprzyjali sprawie, inni, liczniejsi, zachowywali się obojętnie, a reszta przejęta była strachem. Toteż nic nadzwyczajnego nie zaszło w ciągu nocy, jeśli nie liczyć tego, że sen Waverleya przerywali dokuczliwie uczestnicy pijatyki, rycząc na całe gardło i bez żadnych skrępowań swoje jakobickie pieśni.

Wczesnym rankiem dosiedli znowu koni i wyruszyli w drogę ku Edynburgowi, chociaż blade twarze niektórych świadczyły, że spędzili noc na bezsennych hulankach.

Zatrzymali się w Linlithgow⁴⁴, słynnym ze starożytnego pałacu, który „sześćdziesiąt lat temu” był jeszcze cały i zamieszkały, a którego czcigodne ruiny niecałe „sześćdziesiąt lat temu” ledwie uniknęły niegodnego losu, by służyć za więzienie dla francuskich jeńców.

Gdy przez kraj żyzny i dobrze zagospodarowany przybliżali się ku stolicy Szkocji, zaczęły ich dochodzić odgłosy wojenne. Daleki, ale wyraźny huk ciężkich dział, odzywający się raz po raz, uwiadomił Waverleya, że dzieło zniszczenia jest w pełnym toku. Nawet Balmawhapple uważał za stosowne przedsięwziąć pewne środki ostrożności, wysyłając awangardę na zwiady, utrzymując główną siłę w jakim takim porządku i posuwając się naprzód bez straty czasu.

Jadąc w ten sposób, dotarli niebawem na wyżynę, skąd mogli ujrzeć Edynburg rozciągający się wzdłuż szczytu wzgórza opuszczającego się na wschód od zamku.

⁴³ Bannockburn - w r. 1314 miejsce zwycięskiej bitwy Roberta Bruce (1274-1329). Robert Bruce, patriota szkocki, koronował się na króla Szkocji. Zwycięstwo jego uczyniło Szkocję niepodległą. Niepodległość ta została uznana przez Anglię w 1328r.

⁴⁴ Linlithgow - miasto w Szkocji na płn. zach. od Edynburga

Warownia ta doznawała oblężenia, a raczej blokady ze strony powstańców nacierających od północy, którzy już od kilku dni zajęli miasto. Coraz to dawano ognia do oddziałów góralskich, które wysuwały się czy to na główną ulicę, czy też gdzie indziej w pobliżu fortecy. Ponieważ ranek był spokojny i piękny, dym towarzyszący tym wystrzałom układał się dokoła zamku w wieńce, których krawędzie rozpląwały się z wolna w powietrzu, podczas gdy główny obłok ciemniał wciąż na nowo od świeżych kłębowców dobywających się z murów fortecznych. Całość sprawiała wrażenie majestatyczne i posepne, tym straszniejsze, gdy Waverley pomyślał, jaka je wywoływała przyczyna, i gdy uprzytomnił sobie, że zapewne każdy wybuch stanowił podzwonne dla jakichś dzielnych ludzi.

Zanim zbliżyli się do miasta, jednostronna ta kanonada ustała zupełnie. Balmawhapple jednak, pamiętny niemiłego powitania, jakim bateria w Stirling przyjęła jego szwadron, nie miał widocznie ochoty wystawiać na próbę cierpliwości artylerii zamkowej. Toteż opuścił prostą drogę i skręcając znacznie ku południowi, tak aby trzymać się poza zasięgiem strzałów armatnich, zbliżył się do starożytnego pałacu Holyrood⁴⁵, nie wszedłszy jednak w obręb murów miejskich. Następnie podjechał ze swymi ludźmi przed front tej czcigodnej budowli i oddał Waverleya pod opiekę straży góralskiej, której oficer wprowadził go do środka.

Długa, niska i nieforemna galeria, zawieszona obrazami - miały to rzekomo być podobizny królów, którzy, jeśli istnieli rzeczywiście, to na kilkaset lat przed odkryciem farb olejnych - służyła za rodzaj izby strażniczej albo przedpokoju do komnat, które awanturniczy Karol Edward zajmował teraz w pałacu swoich przodków. Oficerowie, tak w góralskich, jak i w nizinnych mundurach, przechodzili i wracali w pośpiechu lub też kręcili się po przedsionku, jak gdyby czekając na rozkazy; sekretarze zajęci byli wypisywaniem przepustek, list wojskowych i raportów. Wszyscy zdawali się bardzo zapracowani i pilnie przejęci czymś ważnym; Waverleyowi jednak, który zasiadł nie zauważony przez nikogo w jednej z wnęk okiennych, pozwolono pogrążyć się bez przeszkód w niespokojnych rozmyślaniach nad szybko się teraz zbliżającą przełomową chwilą w jego losach.

⁴⁵ Holyrood - szkocki pałac królewski w Edynburgu Stary i nowy znajomy

Rozdział XL

Stary i nowy znajomy

Gdy tak siedział w głębokiej zadumie, zaszeleściły za nim tartany i przyjacielskie ramię objęło go za szyję, a dobrze znany głos przyjacielski zawołał:

- Czy trafnie przepowiedział prorok góralski? Czy też jasnowiedzenie nic niewarte?

Waverley odwrócił się, a Fergus Mac-Ivor uścisnął go gorąco.

- Witaj mi, witaj w Holyrood, które znów posiadał prawowity jego pan! Czy nie mówiłem, że nam się powiedzie, a że ty wpadniesz w ręce Filistynów, jeżeli nas opuścisz?

- Drogi Fergusie! - zawołał Waverley, serdecznie odwzajemniając jego powitanie. - Tak dawno już nie słyszałem głosu przyjaciela. Gdzie jest Flora?

- Zdrowa i cała, z tryumfem przygląda się naszemu powodzeniu.

- Jest tutaj?

- Tak, w tym mieście przynajmniej - odpowiedział Fergus - i ujrzysz ją; ale najpierw musisz się zobaczyć z przyjacielem, o którym niewiele myślisz, ale który często dopytuje się o ciebie.

Mówiąc to, wyciągnął Waverleya za ramię z izby strażniczej i zanim Edward zdołał się domyślić, dokąd go prowadzą, znalazł się w sali przyjęć, urządzonej z pewnym przepychem z uwagi na ród królewski.

Człowiek młody, jasnowłosy i bez peruki, wyróżniający się godnością postawy i szlachetnym wyrazem kształtnych i regularnych rysów, wystąpił z koła wojskowych panów i naczelników góralskich, którzy go otaczali.

- Niech mi wolno będzie przedstawić waszej królewskiej wysokości... - rzekł Fergus z głębokim ukłonem.

- ... potomka jednego z najstarszych i najlojalniejszych rodów Anglii - powiedział przerywając mu młody Kawaler. - Przepraszam, że ci przeszkodziłem, mój drogi Mac-Ivorze, ale nie potrzeba mistrza ceremonii dla przedstawienia Waverleya Stuartowi.

To mówiąc, jak najuprzejmiej wyciągnął rękę do Edwarda, który, gdyby nawet był chciał, nie mógł uniknąć oddaniu mu hołdu należnego jego stanowisku i rodowi.

- Z przykrością dowiaduję się, panie« Waverley, że wskutek okoliczności, jak dotąd jeszcze dostatecznie nie wyjaśnionych, znosiłeś pewne ograniczenie swobody wśród moich stronników w Perthshire i w czasie ostatniego marszu; znajdujemy się jednak w takim położeniu, że nie zawsze wiemy, kto nasz przyjaciel, i nawet w tej chwili nie jestem jeszcze pewien, czy mam przyjemność zaliczyć pana Waverleya do swoich ludzi.

Zamilkł na chwilę - zanim jednakże Edward zdążył odpowiedzieć, a choćby tylko

zebrać myśli - książkę wydobyl papier i mowil dalej:

- Nie powinien bym wlasciwie miec co do tego watpliwosci, jezeli mam ufac tej proklamacji wydanej przez przyjaciol elektora hanowerskiego, w ktorej zaliczono pana Waverleya do szlachty oskarzonej o zdrade stanu za dochowanie wiernosci prawowitemu monarsze; ale ja nie pragne zyskiwac stronnikow inaczej niz droga przywiazania i szczerego przekonania; gdyby wiece pan Waverley zyczyl sobie ciagnac dalej podroz swoja na poludnie albo polaczyc sie z wojskami elektora, uzyska ode mnie paszport i pozwolenie; zalowac tylko moge, ze obecnie wladza moja nie siega tak daleko, by oslonic go przed prawdopodobnymi nastepstwami takiego kroku. Jezeli jednak - mowil Karol Edward po krótkiej znowu przerwie - pan Waverley postanowilby sluzyc, jak dziad jego, sir Nigel, sprawiedliwej sprawie i pojsc za księciem, który powierza sie sercu swego ludu, by odzyskac tron przodków lub zginac w tej walce - moge tylko tyle powiedziec, ze wsród szlachty i panów znajdzie godnych towarzyszy odważnego przedsiwzięcia, a ten, za którym pojdzie, moze byc wprawdzie nieszczęśliwy, ale - wierze w to - nigdy nie okaże sie niewdzięczny. Wyrobiony politycznie naczelnik pokolenia Ivora dobrze wiedzial, ile zyskuje doprowadzajac do skutku to osobiste spotkanie Waverleya z królewskim Pretendentem. Bohatera naszego, nieprzywyklego do sposobu przemawiania i manier wykwintnego dworu, w czym Karol wybitnie byl zreczny, slowa te i dobrotliwosc chwycily za serce i bez trudu przewazyly nad wszelkimi zastrzezeniami rozsądku. Byc tak osobiście proszonym o pomoc przez księcia, ktorego zewnetrzny wyglad i zachowanie, jak rowniez duch męstwa okazywany w tym szczególnym przedsiwzięciu, odpowiadaly jego pojeciom o rycerzu z baśni - byc celem jego uprzejmych zabiegów w staroswieckich komnatach ojczystego palacu odzyskanego mieczem, który juz znów siegal po dalsze zdobycze - wszystko to przywracalo Edwardowi utraconą wiarę we własną godnosc i znaczenie. Odrzucony, oczerniony, przesladowany grozbami z jednej strony, poczul nieodparty pociąg do sprawy, która nawyki wychowania i polityczne zasady jego rodziny przedstawialy mu zawsze jako najsprawiedliwszą. Myśli te jak rwący potok przebiegly mu przez głowę, zmiatajac wszelkie przeciwnie wzgledy dyktowane przez rozum; ze zaś nie bylo czasu na dluzsze rozważania - Waverley, uklęknawszy przed Karolem Edwardem, oddaj serce swoje i szable na obrone jego praw.

Książkę podniósł Waverleya i uściskal go z wyrazem wdzięczności tak serdecznym, iż nie mógł być nieszczery. Podziękował też kilkakrotnie Fergusowi Mac-Ivor za to, że mu sprowadził takiego stronnika, po czym zapoznal Waverleya z otaczającymi go przedstawicielami szlachty, naczelnikami i oficerami, przedstawiajac Edwarda jako młodzieńca o wielkich nadziejach i widokach na przyszłość, w ktorego śmiałym i pełnym zapału przyznaniu się do jego sprawy widziec mogli dowód usposobienia wybitnych

rodzin angielskich w tej przełomowej chwili⁴⁶.

W istocie o tym właśnie powątpiewali wielce stronnicy domu Stuartów, a ponieważ ta uzasadniona niewiara we współdziałanie angielskich jakobitów powstrzymywała wielu wybitnych szkockich panów od stawania pod jego sztandarem i podcinała otuchę tych, którzy się przy nim opowiedzieli - nie przeto nie mogło bardziej iść na rękę Kawalerowi, jak otwarte oświadczenie się za nim przedstawiciela domu Waverleyów, od tak dawna znanego z przekonań rojalistycznych.

Fergus od samego początku przewidywał taki obrót rzeczy. Lubił on istotnie Waverleya, ponieważ uczucia ich i zamiary nigdy się ze sobą nie kłóciły; miał więc teraz nadzieję, że ujrzy go małżonkiem Flory, i cieszył się wielce z tego, iż połączyła ich wspólna sprawa. Ponadto, jak już o tym wspominaliśmy, radował się też jako polityk, widząc, że partia jego pozyskała tak poważnego stronnika, a bynajmniej też nie był obojętny na to znaczenie, jakie sam osobiście zyskiwał w oczach księcia przez swoją pomoc w tej sprawie. Karol Edward ze swej strony pragnął widocznie pokazać swemu otoczeniu, jak dalece ceni sobie nowego stronnika, gdyż zaczął natychmiast, jak gdyby w zaufaniu, wtajemniczać go w okoliczności swego położenia.

- Tak długo był pan odcięty od wszelkich wiadomości, panie Waverley, dla przyczyn, o których tylko niejasno mnie poinformowano, że przypuszczalnie nie zna pan nawet szczegółów mej obecnej sytuacji. Słyszał pan jednak z pewnością o tym, że wyładowałem w odległym okręgu Moidart z siedmioma tylko towarzyszami i że wierny zapół liczących naczelników klanów postawił mnie od razu na czele walecznej armii. Musiał pan także słyszeć, że naczelnik wódz elektora hanowerskiego, sir John Cope, pomaszerował w góry na czele licznego i dobrze zaopatrzonego wojska z zamiarem wydania nam bitwy; zabrakło mu jednak odwagi, gdy byliśmy zaledwie o trzy godziny marszu od siebie odlegli - wobec czego wymknął nam się i pomaszerował na północ w stronę Aberdeen⁴⁷, pozostawiając kraj nizinny otwarty i niebroniony.

Nie chcąc stracić tak pomyślnej sposobności, ruszyłem na stolicę, pędząc przed sobą dwa pułki konnicy, Gardinera i Hamiltona, które groziły, że porąbią w sztuki każdego górala, który by się odważył przejść poza Stirling; kiedy zaś magistrat i obywatele

⁴⁶ Sympatie dla jakobitów były powszechne w hrabstwach (angielskich – *obj. red.*) zachodnich i w Walii. Ale jakkolwiek wielkie rody Wynne'ów, Wyndhamów i inne zobowiązały się stanąć u boku księcia Karola po jego wyładowaniu, uczyniły to jednak z wyraźnym zastrzeżeniem, że przybędzie on z pomocniczą armią francuską, bez której udziału przedsięwzięcie uważano za stracone. Życząc tedy księciu jak najlepiej i czekając na sposobność połączenia się z nim, nie czuli się jednak zobowiązani do działania wobec tego, iż całą jego armię stanowił jedynie oddział dzikich górali, mówiących prostackim dialektem i dziwacznie ubranych. Marsz na Derby przejął ich raczej strachem niż podziwem. (*Z przypisów autora: „Angielscy jakobici”*).

⁴⁷ Aberdeen - miasto portowe w Szkocji

Edynburga naradzali się, czy mają się bronić, czy poddać, dobry mój przyjaciel Lochiel⁴⁸ (tu położył rękę na ramieniu tego dzielnego i światłego naczelnika) oszczędził im kłopotu dalszych namysłów, wkraczając w bramy miasta z pięcioma setkami kameronczyków. Jak dotąd przeto wiodło nam się dobrze; tymczasem jednak nerwy tego dzielnego generała okrzepły widocznie w ostrzu powietrza Aberdeen, gdyż wsiadłszy na okręt udał się do Dunbar⁴⁹ i właśnie otrzymałem pewną wiadomość, że wylądował tam wczoraj. Zamiarem jego niewątpliwie jest wyruszyć przeciwko nam, by odzyskać stolicę.

Otóż w mojej radzie wojennej ścierają się dwa poglądy: jedni twierdzą, że będąc prawdopodobnie słabsi liczebnie, a na pewno ustępując przeciwnikowi wyćwiczeniem i zaopatrzeniem wojskowym - nie mówiąc już o zupełnym braku artylerii i słabości naszej jazdy - uczynilibyśmy najrozsądniej, cofając się ku górą i tam przeciągając wojnę, aż przybędą z Francji świeże posiłki, a wszystkie klany góralskie chwycą za broń w naszej sprawie. Przeciwnie stronnictwo utrzymuje, że cofanie się w obecnych naszych warunkach podkopałoby zupełnie zaufanie do naszej siły i naszego przedsięwzięcia i nie tylko nie zjednałoby nam nowych stronników, ale odebrałoby otuchę tym, którzy stanęli przy naszym sztandarze. Zwolennicy tego poglądu, a wśród nich przyjaciel pański, Fergus Mac-Ivor, dowodzą, że choć górale nie znają dyscypliny wojskowej na modłę europejską, to z drugiej strony, żołnierze, z którymi mają się spotkać, nie są obznajmieni ze swoistym, a straszliwym sposobem atakowania górali; podkreślają oni poza tym, że o przywiązaniu i odwadze naczelników i szlachty wątpić nie można, a skoro ci przywódcy zderzą się z nieprzyjacielem, członkowie ich klanów dotrzymają im kroku.

Czy pan Waverley zechce nam wyłuszczyć swe zdanie w tej trudnej sprawie?

Waverley zarumienił się silnie, jednocześnie ucieszony i zakłopotany wyróżnieniem, jakie mu przez to pytanie okazano; odpowiedział więc szybko i śmiało, że wprawdzie nie może wyrażać zdania opartego na doświadczeniu bojowym, ale że ta decyzja będzie dla niego najmielsza, która najprędzej da mu sposobność udowodnienia swej gorliwości w służbie jego królewskiej wysokości.

- Odpowiedź godna Waverleya! - odrzekł Karol Edward. - A chcąc, by pan miał stanowisko odpowiadające w pewnej mierze jego imieniu, ofiaruję panu - w miejsce utraconej szarży kapitana - rangę majora w mojej służbie, z tym że będzie pan działał jako jeden z moich adiutantów, dopóki nie zostanie pan przydzielony do jednego z pułków, których kilka niewątpliwie wkrótce się uformuje.

- Wasza królewska wysokość niechaj mi wybaczy - odpowiedział Waverley (gdyż przypomniał sobie Balmawhapple i nieliczny jego szwadronik) - jeżeli odmówię przyjęcia

⁴⁸ Lochiel - naczelnik klanu góralskiego

⁴⁹ Dunbar - port szkocki nad Morzem Północnym

wszelkiej rangi aż do czasu i miejsca, kiedy zdołam wystawić dostateczny oddział, by dowództwo moje uczynić pożytecznym waszej królewskiej wysokości. Tymczasem mam nadzieję, że mi wasza królewska wysokość pozwoli służyć jako ochotnikowi pod komendą przyjaciela mego, Fergus Mac-Ivor.

- A więc przynajmniej - rzekł książę, któremu widocznie podobała się ta propozycja - niech mi pan pozwoli, że go uzbroję, jak nakazuje zwyczaj góralski.

Z tymi słowy odpiął od boku szablę, której pas przetykany był srebrem, a stalowa rękojeść nosiła bogate i misterne inkrustacje.

- Klinga ta - powiedział książę - jest prawdziwą *Andrea Ferrara*⁵⁰ i stanowi rodzaj dziedzictwa w mojej rodzinie; przekonany jestem wszakże, że oddaję ją w godniejsze ręce niż moje własne, a dodam jeszcze pistolety tej samej roboty. Pułkownikowi Mac-Ivor, nie będę was dłużej zatrzymywał, gdyż z pewnością macie z sobą do pogadania na osobności; ale pamiętajcie, że oczekuję was obu na wieczornym przyjęciu. Będzie to może ostatni wieczór, jaki spędzimy w tych komnatach, a ponieważ ruszamy w pole z czystym sumieniem, wigilia bitwy powinna nam upłynąć wesoło.

Zwolnieni w ten sposób naczelnik i Waverley opuścili salę przyjęć.

⁵⁰ Nazwisko Andrea de Ferrara widnieje na wszystkich szkockich szablach odznaczających się niezwykle doskonałością. Kim był ten artysta, jakie były jego losy i kiedy mianowicie żył, tego nie zdołali dotychczas stwierdzić badacze dawnych czasów. Utrzymuje się jednak domniemanie, że Andrea de Ferrara był rzemieślnikiem hiszpańskim lub włoskim, sprowadzonym przez Jakuba IV czy też V celem nauczania Szkotów wyrobu kling. (Z przypisów autora: „*Andrea de Ferrara*”).

Rozdział XLI

Tajemnica zaczyna się wyjaśniać

Jakże on ci się podoba? - brzmiało pierwsze pytanie Fergususa, gdy zeszli z szerokich kamiennych schodów.

- Książę, dla którego warto żyć i umierać - odpowiedział Waverley z zapalem.

- Wiedziałem, że tak pomyślisz, skoro go tylko zobaczysz, toteż chciałem, byś go poznał pierwiej, ale twoja zwichnięta noga stanęła na przeszkodzie. A jednak ma on swoje słabe strony albo raczej trudne ma karty do rozegrania, a ci irlandzcy oficerowie⁵¹, którzy mocno się koło niego kręcą, nie są tęgimi doradcami - nie potrafią rozróżnić, które z wysuwanych pretensji są słuszne. Czy uwierzysz, że byłem zmuszony na razie zataić mój patent hrabiowski, udzielony mi za zasługi oddane przed dziesięciu laty, żeby nic obudzić zazdrości w C. i w M.! Ale ty bardzo słusznie zrobiłeś. Edwardzie, odrzucając stanowisko adiutanta. Dwa wakują, to prawda, ale Clanronald i Lochiel a z nimi my wszyscy prosiliśmy o jedno dla młodego Aberchalladera, a ci z Nizin i irlandzka partia również pragną otrzymać drugie dla F. Otóż, gdyby który z tych kandydatów został pominięty na twoją korzyść, miałbyś nieprzyjaciół. A potem - dziwi mię, że książę, ofiarował ci rangę majora, skoro wie bardzo dobrze, że godność podpułkownika ledwie zadowala takich, co nawet stu pięćdziesięciu ludzi nie mogą wystawić. „Ale bądź cierpliwy, kuzynie, i zmieszaj dobrze karty!” Wszystko jak dotąd idzie doskonale, tylko musimy cię właściwie ustroić na ten wieczór, gdyż, prawdę powiedziawszy, zewnętrzny twój wygląd nie nadaje się do dworu.

- Cóż robić - odpowiedział Waverley przypatrując się swemu zbrukanemu ubraniu. - Moja myśliwska kurtka miała za swoje od czasu naszego rozstania, ale o tym mój przyjacielu, wiesz chyba tyle co i ja, jeśli nie więcej.

- Zbyt wiele zaszczytu czynisz memu jasnowidztwu - odrzekł Fergus. - Byliśmy tak zajęci, najpierw planem wydania bitwy generałowi Cope, a potem naszymi operacjami na

⁵¹ Do drobnej armii Kawalera wkradła się rychło niezgoda, i to nie tylko między poszczególnymi przywódcami, zbyt dumnymi, by jeden miał ulegać drugiemu, lecz także między Szkotami a nauczycielem księcia Karola - O'Sullivanem, Irlandczykiem z pochodzenia, który należąc wraz z kilkoma swymi ziomkami do irlandzkiej brygady, pozostającej w służbie króla francuskiego (Ludwika XV - *obj. red.*), miał pewien wpływ na Pretendenta i znenawidzony był wskutek tego przez górali, świadomych, że ich klany tworzyły główną, a raczej jedyną siłę całego przedsięwzięcia.

Istniał też spór między lordem Jerzym Murray (generałem w armii Kawalera, pochodzącym z bocznej linii Stuartów - *obj. red.*) a Jakubem Murray z Broughton, sekretarzem księcia, które to niesnaski mocno szkodziły sprawie Stuartów. W ogóle tysiące drobnych uraz rozsadzały tę szczupłą armię i przyczyniły się też w znacznej mierze do jej pokonania (*Przypis autora*: „Armia Kawalera”).

Nizinach, że mogłem dać tylko ogólnikowe wskazówki ludziom naszym pozostałym w Perthshire, ażeby cię oszczędzili i chronili, gdybyś się znalazł na ich drodze. Ale opowiedz mi całą historię twoich przygód, gdyż doszło to do nas w sposób bardzo nieścisty i ułamkowy.

Waverley opowiedział tedy szczegółowo wypadki znane już czytelnikowi, a Fergus wysłuchał go uważnie. Tymczasem doszli do drzwi jego kwatery wychodzącej na małe, brukowane, boczne podwórze przy ulicy zwanej Canongate⁵²; dom należał do pulchnej, czterdziestoletniej wdowy, uśmiechającej się bardzo mile do przystojnego, młodego naczelnika, gdyż była to osoba, którą ujmowała uroda i dobry humor, a mniej obchodziły polityczne przekonania lokatora. Tutaj przyjął ich Callum Beg z uśmiechem świadczącym, że poznaje Waverleya.

- Callum - rzekł naczelnik - zawołaj *Shemusa on Snachad* (Jakuba od igły). - Był to dziedziczny krawiec Vich Ian Vohra. - Shemusie, pan Waverley ma nosić *cath-dath* (tartan barwy polowej); jego strój musi być gotów za cztery godziny. Przyniesź pled z tartanu Mac-Ivorów i szarfę - mówił dalej naczelnik - a także czapkę niebieską wedle wzoru księcia. Moja krótka, zielona kurtka ze srebrnymi naszykami i guzikami będzie na nim doskonale leżała, a nie nosiłem jej jeszcze ani razu. Powiedz chorążemu Maccombich, niech wybierze ładną tarczę spomiędzy moich. Książę dał panu Waverleyowi szablę i pistolety, ja go zaopatrzę w puginał i sakiewkę; gdy dodamy do tego parę trzewików na niskich obcasach, staniesz się, mój drogi Edwardzie (tu zwrócił się do niego), skończonym synem Ivora.

Wydawszy te konieczne rozporządzenia naczelnik powrócił do tematu przygód Waverleya.

- To jasne - powiedział - że byłeś pod strażą Donalda Bean Lean. Musisz wiedzieć, że gdy wyprowadziłem mój klan, by połączyć się z księciem, zaleciłem temu godnemu członkowi społeczeństwa spełnienie pewnej usługi, po czym miał się u mnie stawić z taką siłą, jaką zdoła zebrać. Tymczasem - zamiast to uczynić - obywatel ów, widząc wolne pole, pomyślał, że lepiej wojować na własny rachunek, i przetrząsał okolicę, rabując zarówno przyjaciół, jak i nieprzyjaciół pod pozorem brania okupu, niekiedy jakoby z mego upoważnienia, a czasami (licho bierz jego bezwstydną zuchwalstwo) w swoim własnym wielkim imieniu. Na honor, jeżeli dożyję tej chwili, że ujrzę jeszcze kopce graniczne Benmore, z trudem oprę się pokusie powieszenia tego gałgana! Poznają jego rękę zwłaszcza w sposobie odbicia cię z rąk tego namaszczonego durnia Gilfillana i prawie pewien jestem, że to sam Donald odegrał w tym wypadku rolę kramarza; ale jak

⁵² Canongate - ulica Kanoniczna, w historycznym Edynburgu jedna z głównych ulic

on mógł nie obrabować ciebie, nie kazać ci zapłacić okupu ani w inny jakiś sposób nie wyzyskać na swoją korzyść pojmania twej osoby, to już przechodzi moje pojęcie.

- Kiedy i jak dowiedziałeś się o moim uwięzieniu? - zapytał Waverley.

Sam książę mi to powiedział - odrzekł Fergus - i bardzo szczegółowo dopytywał się o twoją historię. A potem powiedział, że jesteś w danej chwili w mocy jednego z naszych północnych oddziałów - pojmujesz, że nie mogłem go pytać o szczegóły - i zapytał, co według mego zdania należy z tobą zrobić. Poradziłem, żeby cię tu sprowadzono jako więźnia, gdyż nie chciałem kompromitować cię bardziej wobec angielskiego rządu, na wypadek gdybyś trwał w zamiarze udania się na południe. Nie zapominaj o tym, że ja nie wiedziałem o czynionym ci zarzucie zdrady głównej, co, jak przypuszczam, przyczyniło się do zmiany twego pierwotnego planu. Tego ponurego nicponia i chama Balmawhapple'a wysłano, by cię eskortował z Doune ze swym, jak on go nazywa, szwadronem konnicy. Co do jego zachowania się, to poza wrodzoną mu antypatią do wszystkiego, co przypomina dobre obyczaje, przypuszczam, że w pamięci jego pokutuje wciąż awantura z baronem Bradwardine, a kto wie, czy to nie jego sposób opowiadania tej historii przyczynił się do rozpowszechnienia owych ujemnych wieści o tobie, jakie doszły do twego dawnego pułku.

- Bardzo to prawdopodobne - odpowiedział Waverley. - Ale teraz z pewnością, mój drogi Fergusie, znajdziesz czas, żeby mi cokolwiek powiedzieć o Florze.

- Cóż - odparł Fergus - mogę ci tyle tylko powiedzieć, że miewa się dobrze i że przebywa na razie u krewnej w tym mieście. Uważałem, że powinna tutaj się znajdować, ponieważ od czasu gdy nam się powiodło, wiele wytwornych pań bywa na naszym wojennym dworze; mogę cię też zapewnić, że to coś znaczy być bliskim krewnym takiej osoby jak Flora Mac-Ivor, a gdzie tyle osób ubiega się o łaski, człowiek musi wykorzystać każdy godziwy sposób, by zwiększyć swoje znaczenie.

Coś w tym ostatnim zdaniu uraziło uczucia Waverleya. Nie mógł znieść myśli, że Florę uważać można za środek pomocny do zdobycia kariery dzięki temu podziwowi, który niewątpliwie musiała wywoływać, a choć odpowiadało to najzupełniej pewnym rysom charakteru Fergususa raziło Edwarda jako podejście egoistyczne, niegodne ani wielkoduszności jego siostry, ani też własnej jego niezależnej dumy, Fergus, będąc wychowany na dworze francuskim, uważał tego rodzaju manewry za rzecz zwykłą, toteż nie zauważył niekorzystnego wrażenia, wywartego nieopatrznie na przyjacielu i zakończył w te słowa - Nie zobaczymy pewnie Flory przed wieczorem, kiedy obecna będzie na koncercie i balu, który książę wyprawia dla swoich gości. Posprzeczałem się z nią wówczas, gdy nie chciała wyjść, by się z tobą pożegnać. Nic chciałbym wznawiać sprzeczki prosząc ją, by cię przyjęła dziś rano, a zresztą, gdybym tak uczynił, mogłoby to

nie tylko okazać się bezskuteczne, ale nawet pozbawić cię sposobności ujrzenia jej wieczorem.

Gdy tak rozmawiali, Waverley usłyszał na podwórzu pod oknami ich pokoju dobrze znajomy głos.

- Twierdzę, mój zacny przyjacielu - dowodził mówiący - że to stanowi zupełne pogwałcenie, wojennych przepisów i gdyby nie to, że jesteś poniekąd *tyro*⁵³, zamiar twój zasługiwałby na surową nagane, gdyż jeńca wojennego nie wolno pod żadnym pozorem krępować kajdanami ani więzić *in ergastulo*⁵⁴, co byłoby się stało, gdybyś tego pana zamknął w lochu w Balmawhapple. Przyznaję owszem, że takiego jeńca można dla bezpieczeństwa zamknąć *in carcere* - to jest w więzieniu publicznym.

Z mrukliwej odpowiedzi Balmawhapple'a, żegnającego się z dąsem, jedno tylko słowo „włóczykij” można było zrozumieć wyraźnie. Ulotnił się, zanim Waverley zdążył powitać zacnego barona Bradwardine. Mundur barona, składający się z granatowej, złotem szamerowanej kurtki, czerwonej kamizeli i spodni do konnej jazdy oraz olbrzymich butów z cholewami, podkreślał jeszcze bardziej sztywność wysokiej i prostej jak kij jego postaci; poczucie zaś władzy i nawyk wojskowej komendy wzmogły odpowiednio powagę, z jaką się nosił, oraz dogmatyczność jego powiedzeń.

Baron powitał Waverleya ze zwykłą swoją dobrotliwością i zaraz zapragnął usłyszeć wyjaśnienie okoliczności towarzyszących utarcie jego szarży w dragonach Gardinera.

Fergus Mac-Ivor, który też przyłączył się do nich, szybko opowiedział przygody Waverleya i zakończył opisem pochlebnego przyjęcia, jakiego Waverley doznał ze strony młodego Kawalera. Baron słuchał w milczeniu, a przy końcu uściśnął serdecznie rękę Waverleya i powinszował mu wstąpienia w służbę prawowitego pana.

- Ja bym jednak myślał, panie Waverley - mówił dalej - że przed obraniem jakiejś specjalnej służby w armii księcia mogłeś się być zapytać o to, jaką rangę zajmuje w niej stary Bradwardine i czy nie byłby on rad widzieć cię w pułku kawalerii, który właśnie teraz formuje.

Edward obronił się przed tą wymówką dowodząc, że musiał udzielić księciu natychmiastowej odpowiedzi, a nie był w danej chwili pewny, czyjego przyjaciel baron bawi z wojskiem, czy zajęty jest służbowo gdzie indziej.

Załatwiwszy się z tym punktem honoru, Waverley zaczął dopytywać się o pannę Bradwardine i dowiedział się, że przybyła ona do Edynburga wraz z Florą Mac-Ivor, pod strażą oddziału złożonego z ludzi naczelnika. Okazało się to konieczne, gdyż Tully-Veolan stało się bardzo niemiłym, a nawet niebezpiecznym dla młodej osoby miejscem pobytu, a

⁵³ *tyro* (szkoc.) - rekrut

⁵⁴ *in ergastulo* (tac.) - w więzach

to ze względu na poblizę gór oraz paru wielkich wsi, które zarówno ze wstrętu przed rabusiami, jak z gorliwości prezbiteriańskiej opowiedziały się po stronie rządu; utworzyły się tam luźne oddziały partyzantów, które często miały utarczki z góralami, a niekiedy napadały też na dwory jakobickiej szlachty na pograniczu pomiędzy pasmem gór a równiną.

- Chętnie bym wam zaproponował - ciągnął baron - żebyście towarzyszyli mi na moją kwaterę w Luckenbooth, podziwiając po drodze High-Street, która jest bez cienia wątpliwości piękniejsza od jakiegokolwiek ulicy czy to w Londynie, czy w Paryżu; ale Róża, biedactwo, bardzo źle się czuje wskutek tej strzelaniny z zamku, chociaż dowiodłem jej wedle Blondela i Coehorna, że niemożliwe jest, by kula dosięgła tych budynków; zresztą mam sobie polecone przez jego królewską wysokość udać się do obozu naszej armii celem dopilnowania, by ludzie nie omieszkali *conclamare vasa* - to jest spakować rzeczy przed jutrzejszym marszem. Ale ja tu stoję i gawędzę z wami, dwoma młodzikami, kiedy powinienem już być w Parku Królewskim.

- Ale zje pan obiad z Waverleyem i ze mną po powrocie?- zagadnął Fergus. - Zapewniam pana, baronie, że chociaż potrafię żyć jak góral, gdy tego potrzeba - pamiętam jednak moją paryską edukację i doskonale umiem *faire la meilleure chere*⁵⁵.

- A jakież by diabeł wątpił o tym - roześmiał się baron - skoro pan troszczy się tylko o przyprawę, a zacne miasto musi dostarczać wszelkich prowiantów?... No dobrze, i ja też mam pewne interesy w mieście; ale przyjdę do was dopiero o trzeciej, jeżeli strawa zechce tak długo poczekać..

To mówiąc pożegnał się z przyjaciółmi i poszedł spełnić poruczony sobie obowiązek.

⁵⁵ *faire la meilleure chere* (franc.) - tu: znać się na lepszej kuchni

Rozdział XLII

Obiad żołnierski

Jakub od Igły był człowiekiem słownym, jeżeli *whisky* w tym nie przeszkadzała. Ubranie przeto zostało prędko przygotowane, gdyż kurtka leżała dobrze, a reszta stroju potrzebowała nieznacznego tylko dopasowania.

Gdy nasz bohater przywdział nareszcie „szatę starego Gaula”, dodającą pozoru siły postaci - wprawdzie wysokiej i kształtnej, ale raczej wytwornej niż krzepkiej - łaskawi czytelnicy zapewne darują mu, że niejedną raz spoglądał w zwierciadło w przekonaniu, że odbija ono obraz bardzo przystojnego młodzieńca. Istotnie, trudno było tego nie uznać. Do kasztanowatych włosów -gdyż nie nosił peruki, wbrew ówczesnej ogólnej modzie - dobrze nadawała się zdobiąca je czapka. Postać jego znamionowała sprężystość i zwinność, a obfite fałdy tartanu dodawały jej godności. Niebieskie jego oczy były z tych, co to „topnieją w miłości, a zapalają się w boju”, pewien zaś wyraz nieśmiałości, będący w istocie wynikiem braku obycia ze światem, dodawał powabu twarzy, nie ujmując jej wdzięku ani inteligencji.

- To ładny chłop... bardzo ładny chłop - rzekł Evan Dhu (obecnie chorąży Maccombich) do pulchnej gospodyni Fergususa.

- Bardzo przystojny - odpowiedziała wdowa Flockhart - chociaż ani umywa się do pułkownika, panie chorąży.

- Ja ich nie porównywałem - odparł Evan - ani nie mówiłem o tym, który z nich może więcej się podobać; tylko że pan Waverley wygląda zgrabnie i dzielnie, jak chłopak na swoim miejscu, co nie będzie wołał o cukierki, kiedy mu przyjdzie sińce zbierać.

- Będziecie się bili z generałem Cope jutro rano, panie chorąży Maccombich? - zapytała pani Flockhart swego gościa.

- Tak, ja go zaproszę, a on będzie musiał nas poznać, pani Flockhart - odpowiedział Gaelczyk.

- I wy się odważycie pójść na tych morowych chłopów, dragonów, panie chorąży Maccombich? - pytała znowu.

- Pazur, na pazur, jak powiedział Conan do szatana, pani Flockhart, a szatan miał krótsze pazury⁵⁶.

⁵⁶ W balladach irlandzkich, odnoszących się do Fiona (Fingal - w poemacie Mac-Phersona) występuje, podobnie jak w pierwotnej poezji większości narodów, szereg bohaterów, z których każdy odznacza się jakąś specjalną właściwością: na tle tych przygód oraz cech bohaterom właściwych' powstały liczne przysłowia, dotychczas jeszcze mające zastosowanie u górali szkockich. Wśród innych postaci Conan wyróżnia się pewnym podobieństwem do Tersytesa (postać z „Iliady” Homera, aroganckiego tchórze - *obj. red.*), lecz w przeciwieństwie do niego jest dzielny

- A czy pułkownik sam odważy się pójść na bagnety?

- Na to mogłaby pani przysiąc, pani Flockhart; na świętego Fedara, on wyprzedzi wszystkich!

- Boże litościwy! A jeżeli go czerwone kurtki zabiją! - zawołała wdowa o miękkim sercu.

- Gdyby tak miało wypaść, pani Flockhart, znam takiego, który by z pewnością nie pozostał żywy, aby go opłakiwać. Ale możemy wszyscy przeżyć ten dzień, a tymczasem spokojnie zjeść obiad; oto Vich Ian Vohr już się spakował i pan Waverley dość już ma przegładania się w tym wielkim zwierciadle; a tam znów idzie koło płotu siwy stary bocian, baron Bradwardine, co zastrzelił młodego Ronalda Ballenkeirocha, a za nim ten kiwający się jegomość intendent, którego nazywają Macwheeble; ja zaś jestem głodny jak wilk, moja mościa pani, niechże więc Kasia podaje, a pani niech wkłada swój czepek, gdyż pani wie, że Vich Ian Vohr nie usiądzie, dopóki pani nie zajmie pierwszego miejsca przy stole. A proszę nie zapomnieć o kwartowej butelce wódki, moja kobietko.

Podano tedy obiad. Pani Flockhart, uśmiechnięta w swojej żalobie jak słońce przezierające zza mgły, zasiadła u czoła stołu, myśląc może w głębi duszy, że nic nie ma przeciwko trwaniu powstania, które wprowadziło ją do towarzystwa o tyle wyższego ponad zwykłe jej otoczenie. Po prawej i lewej jej ręce zasiedli Waverley i baron, a naczelnika miała przyjemność widzieć na wprost siebie. Mężowie pokoju i wojny, to jest intendent Macwheeble i chorąży Maccombich, po wielu głębokich ukłonach złożonych zwierzchnikom i sobie nawzajem, zajęli miejsca po obu stronach naczelnika. Jedzenie było doskonale, zważywszy czas, miejsce i warunki, a Fergus był w świetnym humorze. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, podniecony temperamentem, młodością i ambicją, widział w wyobraźni spełnienie wszystkich swych marzeń, a zupełnie był obojętny na prawdopodobną alternatywę⁵⁷ żołnierskiego grobu. Baron przeproszał, że przyprowadził Macwheeble'a. Załatwiali właśnie, jak powiadał, sprawę kosztów kampanii.

- Jak to! Wystawił pan nasz jedyny sprawny oddział kawalerii i nic pan nie otrzymał z tych luidorów z „Doutelle”⁵⁸?

- Nic. Glennaquoich; mędrsi mnie tam wyprzedzili.

- To skandal - oświadczył młody góral. - Ale podzielę się z panem tym, co zostało z mojego zasiłku: oszczędzi to panu kłopotliwych myśli dziś wieczór, a na jedno wyjdzie

i odważny do szaleństwa. Ślubował on, że na każdy cios odpowie ciosem, a kiedy za przykładem wielu innych bohaterów starożytnych, zstąpił do piekieł, otrzymał tam pchnięcie od księcia szatanów, za które natychmiast odpłacił tą samą monetą, używając wyrażenia przytoczonego w tekście. (*z. przypisów aulom; „Conan Trefniś”*).

⁵⁷ Alternatywa - tu: możliwość

⁵⁸ Doutelle - wojenny statek francuski, który przywiózł niewielki zapas broni i pieniędzy dla powstańców szkockich

jutro, gdyż, tak czy inaczej, wszyscy będziemy zaopatrzeni, zanim słońce zajdzie.

Waverley, silnie zarumieniony, wniósł tę samą prośbę.

- Dziękuję wam obu, moi drodzy chłopcy - odpowiedział baron. - Aleja nie chcę sięgać do waszego *pecitium*⁵⁹.

Pan intendent Macwheeble dostarczy potrzebnej kwoty.

Tu intendent zaczął się wiercić na krześle wielce zafrasowany. Na koniec - po kilku wstępnych chrząknięciach i wielu powtarzanych zapewnieniach, że gotów jest służyć jego dostojności w dzień i w nocy, żywy czy umarły - zaczął napomykać, „że banki złożyły wszelką wolną gotówkę w zamku; że mało jest czasu na załatwianie formalności i niewątpliwie, gdyby jego dostojność pan Glennaquoich albo pan Waverley mogli dostarczyć...”

- Proszę mi takich głupstw nie gadać, mój panie - powiedział baron takim tonem: że Macwheeble zaniemował -i niech waćpan tak robi, jak to omówiliśmy przed obiadem, jeżeli życzy sobie pozostać nadal w mej służbie.

Na ten stanowczy rozkaz intendent, choć czuł się tak, jakby skazano go na przelanie własnej krwi do żył barona, nie odważył się dać odpowiedzi. Pokręciwszy się jednak przez chwilę, zwrócił się do Glennaquoicha z oświadczeniem, że jeżeli jego dostojność ma więcej gotowizny, niż jej potrzebuje na wydatki w polu, to on mógłby ją umieścić dlań w pewnych rękach, i to na dobry procent, stosownie do przeżywanych czasów.

Słyszając tę propozycję, Fergus roześmiał się serdecznie, a gdy zdołał dech złapać, odpowiedział:

- Bardzo dziękuję, panie intencencie; ale musi pan wiedzieć, że ogólnym zwyczajem pomiędzy nami, żołnierzami, jest uważać naszą gospodynię za bankiera. Proszę, pani Flockhart - rzekł wyjmując kilka sztuk złota z dobrze wypełnionej sakiewki, a samą sakiewkę z resztą zawartości rzucając jej do fartucha - to tutaj mi wystarczy, niech pani weźmie resztę, mianuję panią moim bankierem, jeżeli żyć będę, a egzekutorem na wypadek mej śmierci: ale niech pani pamięta dać coś tym góralskim *cailliachs*⁶⁰. które najgłośniej będą zawodziły *coronach*⁶¹ po ostatnim Vich Ian Vohrze.

- Jest to *testamentum mililare*⁶² - oświadczył baron - które u Rzymian miało moc prawną mimo swej ustnej formy.

Ale miękkie serce pani Flockhart stopniało w niej na takie słowa naczelnika; zaczęła żałośnie płakać i stanowczo nie chciała tknąć pieniędzy, które wobec, tego Fergus musiał

⁵⁹ *peculium* (łac.) - trzos, sakiewka

⁶⁰ *cailliachs* (szkoc.) - płaczki przy ceremoniach pogrzebowych

⁶¹ *coronach* (szkoc.) - lament pogrzebowy

⁶² *testamentum militare* (łac.) - testament żołnierski

odebrać.

Intendenta Macwheeble znowu pokusiło wtrącić swoje trzy grosze, bo tam gdzie chodziło o pieniądze, nie lubił milczeć.

- Może by lepiej było, gdybym zaniósł to złoto pannie Mac-Ivor na wypadek zgonu albo przygody wojennej? Mogłoby to przybrać formę darowizny *mortis causa*⁶³ na rzecz młodej damy i nie pociągnęłoby innych kosztów, jak tylko skrobnięcie piórem.

- Młoda dama - odpowiedział Fergus - miałyby w razie takiego wypadku do myślenia o czym innym niż o tych marnych luidorach.

- Prawda... niezaprzeczenie... nie można o tym wątpić: ale wasza dostojność wie, że smutek syty...

- ...dla wielu osób łatwiejszy jest do zniesienia niż głodny... Ale jest też i smutek, który nie zna ani głodu, ani pragnienia, a biedna Flora... - tu przerwał, a wszyscy obecni ze współczuciem odnieśli się do jego wzruszenia.

W myśli barona zupełnie naturalnie stanął los córki, pozostawionej bez opieki, i wielka łza zalśniła w oku weterana.

- Gdybym padł, Macwheeble, ty masz wszystkie moje papiery i znasz stan mych interesów; bądź sprawiedliwy dla Róży.

Intendent był mimo wszystko ulepiony z ludzkiej gliny; choć tkwiło w nim niewątpliwie sporo brudu i śmiecia, nie był pozbawiony jednak również dobrych i sprawiedliwych uczuć, zwłaszcza gdy chodziło o barona i młodą jego panią. Toteż uderzył w głośny lament:

- Gdyby miał nadejść taki dzień żałosny, ostatnia kromka chleba Duncana Macwheeble należałaby do panny Róży. Przepisywałbym po groszu za arkusz, byleby ona nie zaznała, co to bieda; jeżeli naprawdę ta piękna baronia Bradwardine i Tully-Veolan z przynależną fortalicją i pałacem (nie przestawał szlochać i jęczeć przy każdej pauzie) z ogrodami, gajami, bagnami, łąkami, z rolę, z budynkami, z sadami, z gołębnikami, z prawem połowu ryb siecią i łodzią na wodach i jeziorze Veolan, z plebanią i wikarówką *annexis i connexis*⁶⁴, prawem wypasu, z opałem, z czynszami, wierzytelnościami i wszelkimi przynależnościami (tu uciekł się do końca długiego swego krawata, by obetrzeć oczy, które mu się mimo woli zalewały łzami na wspomnienie tego wszystkiego, co mu ten prawniczy żargon na myśl przywodził) - wszystko to zgodnie z szczegółowym opisem we właściwych ewidencjach i tytułach - a położone w gminie Bradwardine w hrabstwie Perth - jeżeliby, jak się rzekło, wszystko to miało przejść z dziecka mojego pana na Inchgrabbit, tego wiga i hanowerczyka, i dostać się pod zarząd jego faktora, Jamie

⁶³ *mortis causa* (łac.) - na wypadek śmierci

⁶⁴ *annexis i connexis* (łac.) - tu: z wszystkimi przyległościami

Howie, który nie nadaje się nawet na ekonoma, a cóż dopiero na intendenta...

Początek tego zawodzenia miał w sobie istotnie coś wzruszającego, ale koniec nie mógł nie pobudzić do śmiechu.

- Nie kłopotz się, panie intendencie - rzekł chorąży Maccombich - gdyż dawne dobre czasy skubania i darcia wróciły, a *Sneckus Mac-Snackus* (miał na myśli zapewne *annexis, connexis*) i cała reszta twoich przyjaciół będą musieli ustąpić przed tym, który ma najdłuższą szablę.

- A tą szablą będzie nasza, panie intendencie - dodał naczelnik widząc, że Macwheeble osłupiał na tę zapowiedź.

Ten kruszec im damy, co w górach się rodzi⁶⁵.

Lilibulero, bullen a la;

Miast złotych dukatów, nasz miecz im wygodzi.

Lero, lero, bullen a la;

Wierzycciele, długi, to wszystko się znosi.

Lilibulero, bullen a la -

Bo kto tak zapłacon, pretensji nie głosi,

Lero, lero, bullen a la.

- Ale, panie intendencie, nie popadajże w smutki, tylko wypij wino z sercem wesołym; baron powróci zdrów i zwycięski do Tully-Veolan. Ja zaś - ciągnął dalej naczelnik - będę się także chronił; gdyż musicie, państwo, wiedzieć, że mam tu do spełnienia dobry uczynek; chodzi, mianowicie o sprowadzenie pani Flockhart na łono katolickiego Kościoła lub przynajmniej na pół drogi, do waszego zboru episkopalnego.

- Boże, zmiłuj się! Pułkowniku, co też pan nie wygaduje! Aleja myślę, że wasze dostojności napiją się herbaty przed pójściem do pałacu, więc zaraz przygotuję ją dla panów.

To rzekłszy pani Flockhart wyszła, a rozmowa mężczyzn potoczyła się, jak można było przypuszczać, głównie dokoła zbliżających się wypadków wojennych.

⁶⁵ *ten kruszec im damy...* itd. - piosenka ta nazywana *Lilibulero* stała się niezmiernie popularna w okresie rewolucji 1688 r. Śpiewano ją na ulicach nadając jej sens wrogi w stosunku do króla Jakuba II sprzyjającego katolikom

Rozdział XLIII

Bal

Chorąży Maccombich poszedł do obozu góralskiego pełnić swą służbę, intendent Macwheeble usunął się w zacisze jakiegoś tajnego kantoru wymiany, by tam przetrwać obiad i zapowiedź Evana Dhu dotyczącą prawa wojennego, Waverley zaś z baronem i naczelnikiem udał się do pałacu Holyood. Obaj jego towarzysze byli w jak najlepszych humorach, a baron podżartowywał z urodziwej postaci naszego bohatera, tak korzystnie wyglądającej w nowym ubraniu.

Niebawem doszli do pałacu, gdzie ich przy wejściu do sal zaanonsowano.

Aż nazbyt dobrze wiadomo, jak wielu panów wybitnego stanowiska, wykształcenia i fortuny uczestniczyło w tym ryzykownym a niefortunnym przedsięwzięciu w roku 1745. I panie szkockie również na ogół wzięły do serca sprawę odważnego i przystojnego młodego księcia, który zdał się na łaskę swoich rodaków, jak bohater romansu raczej niż jak wyrachowany polityk. Nic więc dziwnego, że Edwarda, który spędził większą część życia w uroczym zaciszu Waverley-Honour olśniła żywość i elegancja scenerii roztaczającej się teraz w dawno opuszczonych salach szkockiego pałacu. Szczegóły urządzenia, noszące piętno zamieszania i pośpiechu owych czasów, nie były co prawda wspaniałe, zawszeć jednak ogólne wrażenie było uderzające; zważywszy zaś na arystokratyczne pochodzenie towarzystwa, można je było nazwać świetnym.

Oko zakochanego odkryło niebawem przedmiot jego uczuć! Flora Mac-Ivor wracała właśnie na swoje miejsce obok Róży Bradwardine. Pośród tylu wytwornych dam i piękności obie one zwracały ogólną uwagę, jako niewątpliwie zaliczające się do najurodzawszych kobiet obecnych. Książę wiele im obu poświęcał uwagi, zwłaszcza Florze, z którą tańczył; to wyróżnienie zawdzięczała zapewne zagranicznemu swemu wykształceniu oraz znajomości języka francuskiego i włoskiego.

Skoro tylko ruch na sali spowodowany zakończeniem tańca pozwolił na to, Edward prawie odruchowo poszedł za Fergussem do miejsca, gdzie siedziała panna Mac-Ivor. To uczucie nadziei, którym karmił swoje przywiązanie z dala od ukochanej, zdawało się gasnąć w jej obecności; jak ktoś starający się uporządkować w pamięci szczegóły zapomnianego snu, byłby Waverley w tej chwili oddał świat cały, byleby uprzytomnić sobie, na jakich podstawach opierał rachuby, których zwodniczość widział teraz wyraźnie. Szedł za Fergussem spuściwszy oczy, z szumem w uszach i uczuciem zbrodniarza, który w chwili gdy złowieszczy wóz posuwa się z wolna wśród tłumów zgromadzonych, by każn jego oglądać, nie zdaje sobie jasno sprawy ani z hałasu, co słuch

mu zapełnia, ani z zamętu ogarniającego jego błędny wzrok.

Flora wydała się trochę - troszeczkę - wzruszoną i zmieszaną, gdy do niej się przybliżył.

- Przyrowadzam, ci przybranego syna Ivora - rzekł Fergus.

- A ja go witam jak drugiego brata - odpowiedziała Flora.

Ostatnie słowo wymówiła z lekkim naciskiem, którego nie pochwyciłoby zapewne ucho nie wyostrzone tak gorączkowym lękiem. Dosyć jednak wyraźnie był on zaznaczony, by w połączeniu z tonem jej i zachowaniem dać do zrozumienia: „Nigdy nie pomyślę o panu Waverleyu z innym, gorętszym uczuciem”.

Edward stanął, uklonił się i spojrział na Fergusa: ten zagryzł wargi: był to odruch gniewny, dowodzący, że i on podobnie wytłumaczył sobie sposób, w jaki siostra przyjęła jego przyjaciela. „Tak się więc kończy mój sen na jawie!” Pierwsza ta myśl Waverleya była tak niezmiernie bolesna, że krew uciekła mu z twarzy, czyniąc ją bladą śmiertelnie.

- Boże! - rzekła Róża Bradwardine. - On jeszcze chory.

Słowa te, wymówione z wielkim wzruszeniem, usłyszał sam Kawaler, który podszedł szybko i ujmując rękę Waverleya zapytał go dobrotliwie o zdrowie, po czym dodał, że chciałby z nim pomówić. Silnym i nagłym wysiłkiem, koniecznym w tych warunkach, Waverley opanował się na tyle, by móc w milczeniu pójść za Kawalerem do ustronnego zakątka sali.

Tutaj książkę zatrzymał go czas jakiś, wypytując o wielkie, torysowskie i katolickie rody Anglii, o ich stosunki, wpływy i uczucia względem domu Stuartów. Na te pytania Edward we wszelkich okolicznościach byłby mógł odpowiedzieć tylko ogólnikowo, a można sobie wyobrazić, że w obecnym stanie ducha wyjaśnienia jego musiały brzmieć niewyraźnie, a nawet mętnie. Kawaler uśmiechnął się parę razy, ale mimo to ciągnął dalej ten rodzaj rozmowy, której trud - sam głównie ponosił, aż do chwili gdy dostrzegł, że Waverley odzyskał przytomność umysłu. Być może, iż pierwotnym celem przydługiej tej audiencji było wywarcie na otoczeniu pożądanego dla księcia wrażenia, że Waverley jest osobistością politycznie wpływową. Okazało się jednak z końcowych jego słów, że przedłużał rozmowę z innego motywu, płynącego z dobrego serca, a dotyczącego naszego bohatera osobiście.

- Nie mogę się oprzeć pokusie - rzekł - by się pochwalić, iż umiem być dyskretny jako powiernik dam. Widzi pan, panie Waverley, że ja wiem wszystko i mogę pana zapewnić, że mnie ta sprawa głęboko interesuje. Ale, mój drogi, młody przyjacielu, musi pan lepiej hamować swoje uczucia. Wielu jest tu obecnych, których oczy widzą nie mniej wyraźnie od moich, ale których językom nie można przypisywać tej samej ostrożności.

To rzekłszy odszedł swobodnie i przyłączył się do grona oficerów stojących o kilka

kroków dalej, pozostawiając Waverleya rozmyślającego nad końcową jego wypowiedzią; chociaż nie rozumiał w pełni jej znaczenia, dosyć wszakże jasno przedstawiała ona potrzebę ostrożności. Toteż, zdobywając się na wysiłek, by okazać się godnym zainteresowania nowego swego pana przez natychmiastowe posłuszeństwo jego wskazówkom, Edward podszedł do miejsca, gdzie Flora i panna Bradwardine wciąż jeszcze siedziały, i przywitawszy się z Różą, z powodzeniem, jakiego się sam nie spodziewał, zaczął rozmowę na tematy ogólne.

Czyn jako cnota sam w sobie mieści nagrodę, a nasz bohater miał ponadto inne bodźce pobudzające go do wytrwania w udanym spokoju i obojętności wobec widocznego braku uprzejmości ze strony Flory. Duma, która tak skutecznie, choć nie bez bólu, wypala rany uczuciowe, szybko przyszła mu z pomocą. Wyróżniony łaską księcia, przeznaczony, jak mógł się tego spodziewać, do odegrania wydatnej roli w rewolucji grożącej potężnemu królestwu, przewyższający zapewne umysłowym wykształceniem większość wybitnych osób szlacheckiego rodu, z którymi się teraz spotykał, a co najmniej im dorównujący osobistą ogładą - przy tym młody, bogaty i dobrze urodzony - czyż mógł, czyż powinien załamywać się pod wpływem dąsów kapryśnej piękności?

O nimfo, zimna i nielitościwa⁶⁶.

Wszak i mej piersi na dumie nie zbywa!

Z uczuciem wyrażonym w tych pięknych wierszach (wtedy jednak jeszcze nie napisanych), Waverley postanowił przekonać Florę, że nie da się pognębić odmową, którą, jak mu szeptała próżność, czyniła krzywdę nie tylko jemu, lecz i samej sobie. Do takiego zwrotu w uczuciach przyczyniła się także tajona przed sobą nawet nadzieja, że może ona oceni lepiej jego przywiązanie, gdy przestanie sobie wyobrażać, że tylko od niej zależy przyciągać je albo odrzucać. Edward odczuwał też jakiś ukryty ton zachęty w słowach Kawalera, chociaż przypuszczał, że odnoszą się one raczej do życzeń Fergususa pragnącego związku jego ze swą siostrą. Ostatecznie wszystkie warunki - czas, miejsce i okoliczności - złożyły się na to, by obudzić jego wyobraźnię i skłonić go do męskiego i zdecydowanego postępowania z pozostawieniem wyniku losowi. Gdyby on jeden w przeddzień bitwy okazał się smutny i przygnębiony, jakież żer stanowiłoby to dla obmowy, już i tak szkalującej jego dobre imię! „Nigdy, przenigdy - postanowił w duszy - nie dam nieprzyjaciołom moim takiej broni do ręki”.

Pod wpływem tych mieszanych pobudek, zachęcony chwilami pełnym

⁶⁶ *O nimfo, zimna i nielitościwa...* itd.- cytowane słowa z wiersza Anny Seward (1747-1809), autorki *Szkoły sentymentalnej*

porozumieniem i uznania uśmiechem księcia, Waverley rozwinął wszystkie swe zasoby wyobraźni, temperamentu i wymowy, ściągając ogólny podziw towarzystwa. Rozmowa stopniowo przybrała ton najodpowiedniejszy do okazania posiadanych talentów i wiadomości. Wesołość tego wieczoru podniecały raczej, niżby ją miały hamować, zbliżające się niebezpieczeństwa dnia jutrzejszego. Nerwy wszystkich obecnych, napięte w oczekiwaniu bliskiej przyszłości, sprzyjały najlepszemu wykorzystaniu bieżącej chwili. Taki nastrój ducha wielce pomaga rozwinięciu władz wyobraźni, poetyczności i tej wymowie, która graniczy z poezją. Waverley, jak to już gdzie indziej zauważyliśmy, okazywał w pewnych chwilach zadziwiająco płynność mowy, w tym wypadku zaś potraçał nieraz o wyższe struny uczucia, po czym znów puszczał się w swobodny wir fantazji i wesołości. Wiele pań odmówiło tańca, który wciąż jeszcze trwał, i pod rozmaitymi pozorami przyłączyło się do towarzystwa, w którym rej wodził „przystojny młody Anglik”. Przedstawiono go kilku damom zajmującym najwybitniejsze stanowiska, a zachowanie jego, obecnie zupełnie wolne od nieśmiałego zakłopotania, które krępowало go zwykle w momentach mniejszego podniecenia, podobało się ogólnie.

Flora Mac-Ivor była chyba jedyną kobietą wśród obecnych, która patrzyła na niego z pewnym chłodem i rezerwą; nawet ona jednakże nie mogła opanować lekkiego zdziwienia wobec talentów, które w ciągu ich znajomości nigdy nie objawiły się z taką błyskotliwością, nigdy takiego nie wywierały wrażenia. Nie wiem, czy nie pożałowała przez chwilę stanowczej swej decyzji, odrzucającej starania konkurenta, który wydawał się tak zdolnym do odegrania wybitnej roli na najwyższych szczeblach życia towarzyskiego. To pewne, że dotychczas poczytywała za nieuleczalną wadę charakteru Edwarda *cette honte* - fałszywy z wstyd, który był, w jej mniemaniu, zbyt blisko spokrewniony z potulną nieśmiałością i niezdarnością usposobienia, ponieważ sama była wychowana w najwyższych kołach zagranicznych i nie znała nieśmiałości właściwej manierom angielskim. Jeżeli jednak uległa jakiemuś przelotnemu żalowi, iż Waverley nie zawsze potrafił być tak miłym i pociągającym, trwało to tylko chwilę, bo w czasie gdy się nie widzieli, zaszły okoliczności, które postanowienie przez nią powzięte czyniły w jej oczach ostatecznym i nieodwołalnym.

Zupełnie inaczej nastrojona Róża Bradwardine słuchała go całą duszą. Odczuwała tajemny tryumf wobec publicznego hołdu składanego temu, którego wartość nauczyła się cenić zbyt wcześnie i zbyt serdecznie. Bez jednej myśli zazdrosnej, bez uczucia obawy, przykrości czy powątpienia, nie zaniepokojona żadnym samolubnym względem, oddawała się przyjemności obserwacji ogólnego szmeru uznania. Gdy Waverley mówił, ucho jej poilo się wyłącznie jego głosem; gdy inni odzywali się, śledziła wzrokiem twarz i czekała na jego odpowiedź. Szczęście, którego doznawała w ciągu tego wieczoru, choć

przemijające i przesłonięte w następstwie nadmiarem trosk, było może w swej istocie najczystsza i najbardziej bezinteresowną z rozkoszy, jakie dusza ludzka zdolna jest odczuć.

- Baronie - powiedział Kawaler - nie zaufałbym mojej kochance w towarzystwie pańskiego młodego przyjaciela. Jest to istotnie, mimo pewnej dozy romantyzmu, jeden z najbardziej uroczych młodzieńców, jakich znałem.

Na honor, wasza królewska wysokość - odpowiedział baron - chłopak ten potrafi być czasami nie mniej osowiały niż taki jak ja, sześćdziesięcioletni starzec. Kto by go widział, jak snuł się niekiedy zadumany i śniący po ogrodach Tully-Veolan, niczym osoba hipochondryczna albo, wedle określenia „Anatomii” Burtona⁶⁷ pacjent frenetyczny, czyli letargiczny - ten dziwiłby się, skąd mu się nagle bierze taki wspaniały, bystry humor i tyle żartobliwości.

- Doprawdy - rzekł Fergus Mac-Ivor - ja myślę, że to tartany go natchnęły, gdyż jakkolwiek Waverley był zawsze młodzieńcem rozumnym i zacnym, to jednak dotychczas nieraz wydawał mi się niezwykle roztargnionym i nieuważnym towarzyszem.

- Tym więcej jesteśmy mu wdzięczni - rzekł książę - że zachował na ten wieczór zalety, których nawet tacy bliscy przyjaciele nie znali. Ale pójdźcie, panowie, noc się posuwa, a o robocie dnia jutrzejszego trzeba zawczasu pomyśleć. Niech każdy zaopiekuje się swoją piękną partnerką i wraz z nią zaszczyci swym towarzystwem skromny posiłek.

To rzekłszy powiódł gości do innych komnat i zajął miejsce pod baldachimem na czele długiego rzędu stołów, z wyrazem uprzejmym a pełnym godności, jak to odpowiadało wysokiemu jego urodzeniu i górnym roszczeniom. Po upływie niespełna godziny muzykanci zagrali sygnał pożegnalny, tak dobrze znany w Szkocji⁶⁸.

⁶⁷ „Anatomia” Burtona - Burton Robert, autor napisanego w 1621 r. dzieła pt. *Anatomia melancholii*

⁶⁸ sygnał pożegnalny - tak dobrze znany w Szkocji - stara pieśń szkocka śpiewana przy rozchodzeniu się gości lub na „dobranoc”

Rozdział XLIV

Pochód

Wyczerpany napięciem uczuć i ścieraniem się ich sprzeczności, Waverley zapadł w późny, ale mocny sen. Śnił, że jest w Glennaquoich i do komnat *Iana nan Chaistel* przeniósł uroczystość, która tak niedawno zdobyła sale pałacu Holyrood. Słysząc też było wyraźnie góralski marsz wojenny i to przynajmniej nie było złudzeniem, gdyż „dumny krok naczelnego kobziarza” klanu Mac-Ivor przemierzał istotnie podwórze przed drzwiami kwatery naczelnika - i jak to raczyła zauważyć pani Flockhart, nie będąca widocznie zwolenniczką tej muzyki - „zdierał tynk ze ścian swoim skrzeczeniem”. Oczywiście, było to zbyt głośne, by nie przerwało w końcu snu Waverleya, chociaż z początku harmonizowało z tym snem w zupełności, odgłos butów Calluma w pokoju (gdyż Mac-Ivor znowu go wyznaczył do służby Waverleyowi) był następnym znakiem, że pora już wyruszać.

- Czy wasza dostojność nie zechce wstać? Vich Ian Vohr i księżę udali się już do zielonej doliny, którą nazywają Parkiem Królewskim - a niejeden chodzi jeszcze dziś na własnych nogach, którego przed nocą inni poniosą.

Waverley wyskoczył z łóżka i pod kierownictwem Calluma ułożył należycie na sobie tartany. Callum powiedział mu także, że jego „skórzany kuferek z zamkiem przyszedł z Doune i znów pojechał dalej na wozie z walizą Vich Ian Vohra”.

Waverley pomyślał o tajemniczej paczce dziewczęcia z gór, zawsze umykającej mu spod ręki, gdy właśnie miał już ją schwytać. Nie była to jednak pora na zaspokajanie ciekawości, toteż odrzuciwszy propozycję pani Flockhart wypicia strzemiennego - a był chyba jedynym człowiekiem w armii Kawalera odmawiającym takiego poczęstunku - pożegnał się i wyruszył z Callumem.

- Callum - rzekł, gdy szli brudnym zaułkiem ku południowej części ulicy Canongate - gdzie ja tu będę mógł dostać konia?

- Że też wasza dostojność o tym myśli - odpowiedział Callum. - Vich Ian Vohr maszeruje pieszo na czele swoich ludzi (nie mówiąc już, że i księżę czyni to samo) z tarczą na ramieniu, więc i pan mógłby go naśladować.

- Tak też i zrobię, Callum - podaj mi tarczę; tak, teraz jest umocowana. Jakże ja wyglądam?

- Jak ten dzielny góral wymalowany na desce przed wielkim kantorem wymiany Łukasza Middlemass - odpowiedział Callum. Muszę tu zauważyć, że chciał przez to wyrazić wielki komplement, gdyż jego zdaniem - szyld Łukasza Middlemass był

świetnym dziełem sztuki. Waverley jednakże, nie odczuwając pełnego znaczenia tego grzecznego porównania, nie stawiał dalszych pytań.

Wydostawszy się z nędznych i brudnych przedmieść stołecznych na otwarte, świeże powietrze, Waverley poczuł nowy przypływ zdrowia i dobrego humoru, toteż ze spokojem skierował swe myśli na wypadki poprzedniego wieczoru, z nadzieją zaś i stanowczością ku temu, co nadchodzący dzień miał przynieść.

Po przebyciu małego, skalistego wzniesienia, zwanego Wzgórkiem Św. Leonarda, ujrzał u swoich stóp Park Królewski, czyli zagłębienie pomiędzy górą zwaną Tronem Artura a płaskowzgórzem, na którym teraz zbudowana jest południowa część Edynburga; widok, jaki się przed nim roztoczył, był ciekawy i pełen życia. Kotlinę tę zajmowała armia góralska przygotowująca się właśnie do wymarszu. Waverley widział już coś podobnego na zjeździe łowieckim, w którym uczestniczył z Fergusiem Mac-Ivor; ale to, co teraz zobaczył, robiło o wiele potężniejsze wrażenie i było nieporównanie ciekawsze. Całe niebo i skały - tworzące tylne tło sceny - rozbrzmiewały dźwiękiem kobz wzywających do boju, każda po swojemu, poszczególnych naczelników i ich klany. Górale zrywając się z legowisk pod gołym niebem z brzęczeniem i gwarem charakterystycznym dla bujnego tłumu, niczym pszczoły zaalarmowane i szykujące się do obrony swych uli, zdawali się wykazywać całą giętkość ruchów potrzebną do wykonywania manewrów wojskowych. Czynności ich wydawały się dowolne i niesforne, ale w wyniku dawały jednolity ład, tak iż generał musiałby pochwalić rezultaty, choć mniejszy ptaszek mógłby wyśmiać metodę, która do nich prowadziła. Ten rodzaj skomplikowanego zamętu, jaki towarzyszył spiesznemu ustawieniu się w szyku rozmaitych klanów pod własnymi chorągwiami, przedstawiał sam przez się widowisko wesołe i pełne życia. Nie mieli oni namiotów do zwijania, ponieważ powszechnie i dobrowolnie sypiali pod gołym niebem, pomimo że jesień już była późna i noce zaczynały być mroźne. Przez pewien czas, doprowadzając się do porządku, przedstawiali zmienny, falujący i pełen zamieszania obraz powiewających tartanów i chwiejących się piór oraz sztandarów roztaczających dumne hasła: *Ganion Coheriga* (Niech się sprzeciwi, kto śmie) u Clanronaldów; *Loch Sloy* - Mac-Farlane'ów; *Naprzód, Fortuno, i gotuj więzy* - hasło markiza Tullibardine; *Bydand* - okrzyk bojowy lorda Lewisa Gordona - oraz liczne podobne zawołania wielu innych naczelników.

Wreszcie różnorodna i rozfalowana rzesza ustawiła się w wąski ciemny szereg wielkiej długości, ciągnący się poprzez całą dolinę. Na czele drużyny rozwinięto sztandar Kawalera - czerwony krzyż na białym tle z dewizą: *Tandem triumphans*⁶⁹. Nieliczna

⁶⁹ *Tandem triumphans* (łac.) - jednak tryumfujący

kawaleria, złożona głównie ze szlachty nizinnej z domownikami i dzierżawcami, tworzyła wysuniętą przednią straż armii, a ich sztandary, których mieli bodaj zbyt wiele w stosunku do swej liczby, powiewały na najdalszym krańcu widnokregu. Wielu jeźdźców tego oddziału, wśród których Waverley przypadkiem zauważył Balmawhapple'a i jego porucznika Jinkera, dodawało obrazowi ożywienia, choć nie przyczyniało się do porządku, gdyż cwałowali tak prędko, jak tylko na to ścisk pozwalał, chcąc dostać się na właściwe swoje miejsce na przodzie kolumny.

Podczas gdy Waverley przyglądał się temu nadzwyczajnemu widowisku - którego wrażenie jeszcze potęgowały rozlegające się raz po raz wystrzały armatnie, dawane z zamku do straży górskich, wycofujących się z jego pobliża dla połączenia się z głównymi siłami - Callum z właściwym sobie swobodnym natręctwem przypomniał mu, że ludzie Vich Ian Vohra znajdują się blisko przodu kolumny marszowej, dokąd wciąż jeszcze było daleko, i że „pójdą bardzo prędko, jak tylko armata wypali”. Po takim upomnieniu Waverley ruszył żwawo naprzód, często jednak rzucając ciekawe spojrzenia na ciemną chmurę wojowników zebraną przed nim i za nim.

Bliższy widok umniejszał raczej wrażenie, jakie armia z daleka czyniła. Ludzie, stanowiący czoło każdego klanu, dobrze byli uzbrojeni w szable, tarcze i samopały, przy czym wszyscy mieli w dodatku pugiwały, a większość skałkowe pistolety. Ale ci składali się ze szlachty, to jest odległych choćby krewnych naczelnika, mających bezpośrednie prawo do jego poparcia i opieki. Piękniejszych i dzielniejszych ludzi nie znalazłoby się chyba w żadnej armii świata; wolne ich i niezależne obyczaje, które tak dobrze umieli poddawać rozkazom wodza i tej szczególnej karności, właściwej góralskiemu trybowi prowadzenia wojny, czyniły ich równie groźnymi przez osobistą odwagę i wysokie męstwo, jak i przez rozumne uznanie konieczności działania spółem i dawania ich narodowej taktyce bojowej najpełniejszej sposobności powodzenia.

Jednakże na niższych od nich szczeblach znajdowały się jednostki o wiele marniejszego rodzaju, zwykle pospólstwo góralskie, które - choć tak się nazywać nie pozwalało i często, a prawdopodobnie słusznie dowodziło, że starszego jest rodu niż ich obecni panowie - nosiło jednak piętno ostatecznej nędzy: marnie odziani, gorzej uzbrojeni, półnaczy i niewyrośnięci, sprawiali godne politowania wrażenie. Każdy ważniejszy klan ciągnął za sobą nieco takich helotów⁷⁰, i tak Mac-Coulowie, chociaż pochodzeniem swym sięgali Comhala, ojca Finna, czyli Fingala, byli rodzajem Gibeonitów⁷¹, czyli dziedzicznych sług Stuartów z Appiny; Macbethowie, potomkowie nieszczęsnego króla tegoż imienia, byli poddanymi Morayów i klanu Donnochy, czyli

⁷⁰ heloci - mieszkańcy Lakonii w staroż. Grecji; zwyciężeni przez Spartę, traktowani byli jako niewolnicy

⁷¹ Gibeonici - plemię aramejskie, podbite przez Izraelitów

Robertsonów z Athole; wiele jeszcze innych przykładów podać by tu można, gdyby nie obawa urażenia resztek klanowej dumy i ściągnięcia przez to góralskiej burzy do sklepu mojego wydawcy.

Otóż ci właśnie heloci, choć nieograniczona władza naczelników, pod którymi rąbali drzewo i nosili wodę, zmusiła ich do wyruszenia w pole, byli na ogół niedokarmieni, źle ubrani i gorzej jeszcze uzbrojeni. Ta ostatnia okoliczność wywołana była głównie przez ogólną ustawę o rozbrojeniu przeprowadzoną pozornie w całej góralskiej krainie, chociaż większość naczelników - potrafiła obejść prawo, zatrzymując broń swoich bezpośrednich towarzyszy, a wydając mniej wartościową, zabraną owym pośrednim satelitom. Wynikło stąd samo przez się, że biedacy ci szli na wojnę w stanie oplakany.

Zdarzało więc się, że w oddziałach, których front na swój sposób znakomicie bywał uzbrojony, tyły podobne były do zbiorowiska prawdziwych bandytów. Tu widziało się siekiere na drągu, tam szablę bez pochwy, tu strzelbę bez zamka, ówdzie kosę umocowaną na sztorc, a niektórzy mieli tylko puginały albo koły wyciągnięte z płotów. Ponury i dziki wygląd tych rozczochranych ludzi, których większość z całym podziwem nieświadomości przyglądała się najzwyklejszym sprzętom domowego wyrobu, budził zdumienie na Nizinach, ale rodził również i lęk. Tak mało w owym późnym okresie znano warunki i stosunki panujące w krainie góralskiej, że charakter i wygląd jej ludności, występującej w ten sposób w roli wojowników, sprawiał na nizinnej ludności okolic południowych wrażenie nie mniej niespodziewane, niż gdyby najazd Murzynów afrykańskich, Eskimosów lub Indian runął z północnych gór własnego jej, rodzinnego kraju. Nie można się przeto dziwić, że Waverley, oceniający dotąd ogół górali wedle próbek, jakie mu Fergus, sprytny polityk, od czasu do czasu pokazywał, poczuł przygnębienie na widok zuchwalstwa korpusu, który licząc zaledwie cztery tysiące ludzi, z czego co najwyżej połowa była uzbrojona, zamierzał zmieniać losy i dynastię brytyjskich królestw.

Podczas gdy postępował wzdłuż kolumny wciąż jeszcze nieruchomej, jedyne żelazne działo, posiadane przez armię wszczynającą tak doniosłą rewolucję, wypaliło na znak, że pochód ma się rozpocząć. Kawaler wyraził życzenie, by tej niepotrzebnej sztuki ciężkiej artylerii nie zabierać w drogę, ku jego zdziwieniu jednak naczelnicy góralscy jęli go prosić, by mogła ona towarzyszyć im w marszu; twierdzili przy tym, że ludzie ich, nie przyzwyczajeni do artylerii, przywiązywali nedorzecznie wielką wagę do tego polowego działa, spodziewając się, że przyczyni się ono walnie do zwycięstwa, które w rzeczy samej tylko swoim muszkietom i szablom zawdzięczać mogli. Przeznaczono przeto dwóch czy trzech Francuzów do obsługi tej wojennej maszyny, którą ciągnął zaprzęg góralskich

kuców, a której ostatecznie używano tylko do dawania sygnałów⁷².

Zaledwie głos jej dał się słyszeć, pochód cały ruszył z miejsca. Dziki okrzyk radości przednich batalionów zagrział w powietrzu, ginąc następnie w ostrym dźwięku kobz, które z kolei przygłuszał odgłos ciężkich kroków mnóstwa ludzi równocześnie maszerujących: zamigotały i zachwiały się ruszające naprzód sztandary, a konni z pośpiechem zajmowali swe stanowiska jako straż przednia i rozsyłali oddziały zwiadowcze mające badać ruchy nieprzyjaciela i donosić o nich dowództwu. Zniknęli oni sprzed oczu Waverleya, okrążając podstawę Tronu Artura u podnóża wspaniałej ściany bazaltowych skał wznoszącej się nad małym jeziorkiem Duddingston.

Piechota udała się w tym samym kierunku, stosując swe kroki do postępów innego oddziału, który obrał drogę leżącą bardziej ku południowi. Dotarcie do miejsca, zajmowanego w pochodzie przez ludzi Fergususa wymagało ze strony Edwarda niemałego wysiłku.

⁷² Górale dawniejszej epoki bali się armat, z których hukiem i działaniem byli zupełnie nie obeznani. Hrabowie Huntley i Errol za czasów Jakuba VI (Jakub VI szkocki, syn Marii Stuart, jako Jakub I - król Anglii i Szkocji – obj. *red.*) odnieśli pod Glenlivet za pomoc;) trzech czy czterech małych dział polowych wielkie zwycięstwo nad liczną armią góralską, dowodzoną przez hrabiego Argyle'a. W bitwie przy moście nad rzeką Dee - generał Middleton (przeciw stronnictwu Karola II Stuarta – obj. *red.*) również zwyciężył dzięki użyciu artylerii, gdyż górale nie potrafili wytrzymać ognia „matki muszkietów”, które to przezwisko nadawali armatom. W starej balladzie, zawierającej opis bitwy przy moście nad rzeką Dee znajdują się następujące zwrotki:

Górale to tęgie zuchy
Do miecza oraz do tarczy.
Ale im braknie otuchy.
Gdy tylko pocisk zawarczy.

Już od kołyski bez mała
Góral się garnie do szabli,
Lecz. gdy usłyszy huk działa,
Tchórzy, bo straszą go diabli.

Kiedy w noc letnią armata
Piorunów błyskiem się pali
Choć dusza tkwi w nich rogala.
Nie wytrwa żaden z górali.
(z przypisów autora: „Armata w armii góralskiej”).

Rozdział XLV

Wypadek, który budzi próżne rozmyślenia

Gdy Waverley dotarł do tej części kolumny, którą wypełniał klan Mac-Ivora, ten przystanął, uformował się i przyjął go tryumfalnym wiwatem na kobzach oraz głośnym okrzykiem ludzi, spomiędzy których wielu znało go osobiście i uradowało się widząc go w stroju narodowym ich pokolenia.

- Wydajecie okrzyki - odezwał się góral z sąsiedniego klanu do Evana Dhu - jak gdyby to sam naczelnik stanął przed wami.

- *Mare e Bran is e brathair* - jeżeli to nie Bran⁷³, to Brana brat - odpowiedział przysłowiem Maccombich.

- O, jeśli tak, to będzie to zapewne ten ładny angielski *Duinhe-wassel*, co się ma żenić z lady Florą?

- Może tak, a może nie; nie jest to twoja sprawa ani też moja, Grzegorzu.

Fergus zbliżył się, by uściskać ochotnika i serdecznie go powitać, uważał jednak za potrzebne wytłumaczyć zmniejszoną liczbę swego batalionu - nie wynoszącą więcej niż trzystu ludzi - mówiąc, że wielu powysyłał w luźnych oddziałach.

Prawdą jednak było, że odpadnięcie Donalda Bean Lean pozbawiło go co najmniej trzydziestu dzielnych chłopów, na których usługi liczył z pewnością, i że wielu z jego przypadkowych podwładnych odwołał rozmaici naczelnicy pod właściwe ich sztandary. Rywal Fergus, naczelnik wielkiej północnej gałęzi jego własnego szczepu, zebrał także swych ludzi, a chociaż się jeszcze dotąd nie zadeklarował ani za rządem, ani za Kawalerem, intrygami swoimi w pewnym stopniu zmniejszył siłę, z którą Fergus wyruszył w pole. Wynagradzało ten zawód ogólne przekonanie, że ludzie Vich Ian Vohra pod względem wyglądu, wyekwipowania, uzbrojenia i sprawności bojowej dorównywali najlepszym wojskom spod sztandaru króla Edwarda. Stary Ballenkeiroch był jego majorem; ten wraz z innymi oficerami, którzy poznali Waverleya w Glennaquoich, przyjął serdecznie naszego bohatera, jako uczestnika wspólnych przyszłych niebezpieczeństw i spodziewanych zaszczytów.

Droga, którą posuwała się armia góralska po opuszczeniu wsi Duddingston, biegła przez pewien czas zwykłym pocztowym gościńcem wiodącym z Edynburga do Haddington; po przejściu jednak rzeczki Esk pod Musselburgiem - górale porzucili

⁷³ Bran - pies króla Fingala (III w.) Finn - był bohaterem starożytnej irlandzkiej pieśni ludowej przeniesionej przez osadników irlandzkich do Szkocji. Wg legendy Fingal był ojcem Osjana, celtyckiego barda. Pies Bran był częstym tematem szkockich pieśni i przysłów góralskich

nizinny kraj ciągnący się ku morzu, zawrócili bardziej w głąb lądu i zajęli skłon wyżyny zwanej Carberry Hill, miejsce pamiętne już w historii Szkocji, tam bowiem piękna Maria⁷⁴ oddała się w ręce zbuntowanych swoich poddanych. Kierunek ten obrano, ponieważ Kawaler otrzymał wiadomość, że armia rządowa sprowadzona morzem z Aberdeen wylądowała w Dunbar i założyła poprzedniej nocy kwaterę na zachód od Haddington, z zamiarem spuszczenia się ku wybrzeżu i zbliżenia do Edynburga niższą drogą nadmorską. Utrzymując się na wyżynie, panującej w wielu miejscach nad drogą, spodziewano się, że górale będą stąd mogli skutecznie atakować.

Toteż, armia zatrzymała się na krawędzi Carberry Hill, raz, by dać wypoczynek żołnierzom, a po wtóre, że było to położenie centralne, skąd można było skierować siły w dowolną stronę, odpowiednio do ruchów nieprzyjaciela. Gdy zatrzymali się na tej pozycji, nadbiegł pośpiesznie posłaniec, wzywając Mac-Ivora do księcia; - doniósł on też, że ich przednie straże zetknęły się w potyczce z garścią nieprzyjacielskiej konnicy i że baron Bradwardine przysłał nieco jeńców.

Waverley przez ciekawość wysunął się naprzód poza linię i wkrótce zauważył kilku żołnierzy, którzy okryci kurzem przygalopowali z wiadomością, że nieprzyjaciel szybkim marszem posuwa się na zachód wzdłuż wybrzeża. Gdy udał się jeszcze trochę dalej, doszedł go jęk dobywający się z jakiejś szopy. Zbliżywszy się do tego miejsca, usłyszał głos usiłujący w angielskim narzeczu jego stron rodzinnych - mimo częstych przerw powodowanych bólem - powtarzać słowa Modlitwy Pańskiej. Męka ludzka zawsze znajdowała oddźwięk w sercu naszego bohatera. Wszedł więc do szopy i w ciemnościach zdołał na razie rozróżnić tylko jakiś czerwony toból; ci bowiem, którzy rannemu zabrali broń wraz z częścią ubrania, zostawili mu płaszcz dragoński, w który był zawinięty.

- Na miłość boską - przemówił ranny słysząc kroki Waverleya - dajcie mi choć kropelkę wody!

- Zaraz dostaniesz - odpowiedział Waverley, równocześnie biorąc go na ramiona, przenosząc do drzwi szopy i dając mu pić ze swej manierki.

- Wydaje mi się, jak gdybym znał ten głos - przemówił człowiek; lecz popatrzysz na ubiór Waverleya błędnym wzrokiem, dokończył słowami: - Nie, to nie może być młody dziedzic!

Tym mianem nazywano Edwarda w dobrach Waverley-Honour a dźwięk ten zadrgał mu w sercu tysiącem wspomnień, które wzbudził już dobrze znany akcent jego stron rodzinnych.

- Houghton! - zawołał patrząc na widmową twarz, na której śmierć kładła już swoje

⁷⁴ piękna Maria - królowa Szkocji, Maria Stuart (1542-1587), długo więziona i stracona za panowania w Anglii królowej Elżbiety Tudor (1553-1603)

piętno. - Czy być może, żebyś to był ty?

- Nigdy się nie spodziewałem, że jeszcze posłyszę głos angielski - przemówił ranny. - Pozostawili mnie tutaj na łasce losu, gdy się przekonali, że nic nie powiem o sile naszego pułku. Ale panie dziedzicu! Jak pan mógł odjechać na tak długo i pozwolić kusić nas temu diabłu z piekła rodem, Ruffinowi... my byśmy przecież za panem poszli w ogień i w wodę, to pewne.

- Ruffin! Zapewniam cię Houghtonie, że was podle okłamano.

- Nieraz i ja tak myślałem - rzekł Houghton. - Chociaż pokazywali nam własną pańską pieczęć: i tak Timsa rozstrzelano, a mnie zdegradowano na prostego szeregowca.

- Nie wysilaj się mówieniem - powiedział Edward. - Zaraz ci sprowadzę chirurga.

Ujrzał zbliżającego się Mac-Ivora, który wracając z głównej kwatery, gdzie brał udział w radzie wojennej, pośpieszył teraz na jego spotkanie.

- Dobre wiadomości! - wołał naczelnik. - Za niecałe dwie godziny będziemy przy robocie: Książę sam stanął na czele przedniej straży, a wyciągając szablę, zawołał: „Przyjaciele, odrzucam pochwę!” Pójdź, Waverleyu, ruszamy natychmiast!

- Tylko chwilę... jedną małą chwilę: ten biedny jeniec umiera; gdzie bym mógł znaleźć chirurga.

- Gdzie byś go znalazł? Wiesz przecież, że ich nic mamy, prócz dwóch czy trzech Francuzów, którzy chyba niewiele więcej umieją od pomocników aptekarskich.

- Ależ z tego człowieka krew ujdzie!

- Biedak! - rzekł Fergus w chwilowym przypiływie litości, natychmiast jednak dodał: - Ale taki będzie los tysiąca ludzi, zanim noc zapadnie; chodź więc!

- Nie mogę, słucha j- to syn jednego z dzierżawców mojego stryja.

- O, jeżeli to twój człowiek, trzeba się nim zająć, przyślę ci Calluma, ale *diaoul!... ceade millia molligheart!* - ciągnął dalej niecierpliwy naczelnik - po co taki stary żołnierz, jak Bradwardine, przysyła nam tu umierających ludzi, żeby nas nimi obciążać?

Callum nadbiegł, zwinny jak zawsze, i w istocie Waverley raczej zyskał, niż stracił w opinii górali przez swoją dbałość o rannego. W niespełna kwadrans biedny Humphrey wyzionął ducha, prosząc młodego swego pana, żeby po powrocie do Waverley-Honour nie zapomniał o starym Jobie Houghton i jego żonie, a także zaklinając go, by nie walczył po stronie tych dzikusów w spódniczkach przeciwko Starej Anglii.

Skoro nieborak skonał, Waverley, który ze szczerym żalem i niemąłą przymieszką wyrzutów sumienia pierwszy raz w życiu był świadkiem czyjejś śmierci, kazał Callumowi usunąć ciało do szopy. Młody góralczyk uczynił to, nie omieszkawszy zbadać kieszeni zmarłego, które jednak, jak zauważył, inni przed nim należycie przetrząsnęli. Zabrał

jednakże płaszcz i naśladować przezorność psa, zakopującego kość, schował go w zaroślach, starannie oznaczając miejsce, jak bowiem zauważył, gdyby mu się udało powracać tędy, miałby z tego doskonałą zapaskę dla starej swej matki Elżbiety.

Z wielkim nakładem sił dotarli do swego miejsca w maszerującej kolumnie, która teraz posuwała się szybko, aby zająć wyżyny ponad wsią Tranent: pomiędzy ową wsią a morzem leżała droga spodziewanego pochodu armii nieprzyjacielskiej.

Smutne spotkanie z byłym jego sierżantem nasunęło Edwardowi na myśl wiele bolesnych, choć zupełnie już daremnych rozważań. Spowiedź tego człowieka wyjaśniła stanowczo, że postępowanie” pułkownika Gardinera było nie tylko uzasadnione, ale nawet konieczne wobec kroków, jakie w imieniu Edwarda przedsięwzięto, by żołnierzy jego oddziału przywieść do buntu. Przypomniawszy sobie teraz po raz pierwszy sprawę pieczętowanej paczki, którą zgubił w pieczarze rozbójnika Bean Leana. Stawało się jasne, że chytry łotr zabrał ją i użył do przeprowadzenia intrygi w pułku dla własnych celów, a Edward nie wątpił także, że zawartość paczki, którą córka Donalda umieściła w jego kuferku, rzuci dalsze światło na postępowanie jej ojca. Tymczasem kilkakrotnie powtórzony wyrzut Houghtona: „Ach, panie dziedzicu, dlaczego nas pan opuścił?” brzmiał mu w uszach jak jęk dzwonu pogrzebowego.

„Tak - mówił w myśli - postąpiłem doprawdy względem was z bezmyślnym okrucieństwem. Sprowadziłem was z waszych ojczystych pól, spod opieki szlachetnego i dobrego pana, a poddawszy całej surowości wojskowego rygoru, sam nie zechciałem dźwigać przypadającej na mnie części tego ciężaru; nie dopełniłem podjętych zobowiązań, lecz pozostawiłem zarówno tych, których powinienem był osłaniać, jak własne moje dobre imię na pastwę podstępного łotrostwa. O beczynności i chwiejności duszy! Choć same nie jesteście zbrodnią, iluż dotkliwym nieszczęściom i złośliwościami torujecie nieraz drogę!”

Rozdział XLVI

Wigilia bitwy

Chociaż górale maszerowali bardzo prędko, słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy dotarli na grzbiet wzniesienia panującego nad rozległą płaszczyzną, ciągnącą się ku północy aż do morza; na równinie tej leżały, w znacznej odległości od siebie, dwie małe wioski Seaton i Cockenzie oraz większa osada Preston. Jedna z dróg wiodących brzegiem morza do Edynburga przecina tę równinę, wychodząc na nią z ogrodzeń Seaton-House, a pod wsią czy miasteczkiem Preston wchodząc znowu między opłotki osiedla. Tą drogą komendant wojsk angielskich postanowił iść na stolicę, dlatego że była ona najdogodniejsza dla jego kawalerii, a poza tym, ponieważ spodziewał się tam czołowego spotkania z góralami idącymi od Edynburga w przeciwnym kierunku. Co do tego jednakże pomylił się, gdyż zdrowy sąd Kawalera czy też jego dowódców pozostawił właściwą drogę wolną, każąc wojskom zająć silną pozycję ponad nią.

Skoro tylko górale dotarli do wyżyny nad wspomnianą płaszczyzną, ustawili się od razu w szyku bojowym wzdłuż krawędzi wzgórza. Prawie równocześnie ukazała się awangarda Anglików, wysuwając się spomiędzy drzew i ogrodzeń Seaton z zamiarem zajęcia równiny pomiędzy wzniesieniem a morzem; odległość dzieląca obie armie, nie wynosiła więcej niż pół mili. Waverley widział wyraźnie szwadrony dragonów, wysuwające się jeden za drugim spomiędzy opłotków, ze zwiadowcami na przedzie, i ustawiające się na równinie frontem do armii księcia. Za nimi sunął oddział armat polowych, które po dotarciu do flanki dragonów ustawiły się również w szereg wycelowany ku wzgórzom. Dalej ciągnęły w zwartym szyku trzy czy cztery pułki piechoty, z nasadzonymi bagnietami wyglądającymi jak kolejne rzędy płotów stalowych, a broń załśniła niczym błyskawica, gdy pułki na dany znak czyniły zwrot, ustawiając się czołem do górali. Drugi oddział artylerii i jeszcze jeden pułk jazdy zamykały długi pochód, formując się na lewej flance piechoty, przy czym cała linia zwrócona była ku południowi.

Podczas gdy armia angielska dokonywała tych obrotów, górale wykazywali nie mniejszy pośpiech i ochotę bojową. Gdy tylko klany doszły grzbietem górskim na wprost nieprzyjaciela, ustawiono je w linię, tak że obie armie osiągnęły równocześnie pełne pogotowie bojowe. Po zakończeniu ruchów górale wzniesli donośny okrzyk, który odbił się echem o wzgórza leżące poza nimi. Wojsko regularne, będące w doskonałym usposobieniu, odpowiedziało również głośnym wyzwaniem i dało parę strzałów armatnich na wysunięty posterunek górali. Ci ostatni okazywali wielką ochotę przejścia natychmiast do ataku: Evan Dhu dowodził Fergusowi, że „*Sidier Roy* chwieją się jak

jajko na patyku, a im przypadnie cała korzyść rozpoczęcia walki, gdyż nawet stara wiedźma (Bóg z nią!) potrafi atakować z góry”.

Jednakże teren, po którym górale musieliby schodzić, choć niezbyt rozległy, stanowił przeszkodę nie do przebycia, gdyż był nie tylko bagnisty, ale poprzecinany kamiennymi murami i przerżnięty w całej swej długości bardzo szerokim i głębokim rowem; te okoliczności dałyby muszkietierom regularnym olbrzymią przewagę, zanimby górale mogli użyć swych szabel, na których nauczani byli polegać. Toteż powaga dowódców pohamowała zapalczywość górali i tylko niewielu strzelców posłano na dół w celu nawiązania walki z wysuniętymi posterunkami nieprzyjaciela i rozpoznania terenu.

Była to więc sytuacja wojenna niezwykle interesująca i nie zdarzająca się często.

Te dwie armie, tak różne wyglądem i wyćwiczeniem, ale obie znakomicie wyszkolone we właściwym sobie sposobie walki, a mające oto rozstrzygnąć przynajmniej o chwilowym losie Szkocji - stały teraz naprzeciw siebie jak dwóch gladiatorów na arenie, z których każdy rozmyśla o tym, jak najskuteczniej zaatakować wroga. Przed liniami można było rozróżnić głównych dowódców i sztabowców obu armii, śledzących wzajemnie przez lornety ruchy wojsk oraz zajętych wysyłaniem rozkazów i odbieraniem raportów; rozwożący je adiutanci i ordynansi dodawali życia całej scenie, galopując w różnych kierunkach tak rączo, jak gdyby los dnia zależał od pędu ich koni. Na przedpolu pomiędzy armiami odbywały się drobne, nieregularne utarczki strzelców, przy czym raz po raz widać było, jak spada kapelusz lub czapka, a rannego unoszą z pobojuwiska jego towarzysze.

Były to jednak tylko potyczki bez większego znaczenia, gdyż żadna ze stron nie miała zamiaru posunąć się dalej w tym kierunku. Z pobliskich siól chłopstwo wychylało się ostrożnie, chcąc śledzić wynik spodziewanej bitwy, a w niedalekiej odległości w zatoce stały dwa okręty pod angielską flagą, zapełnione mniej trwożliwymi widzami.

Gdy to pełne grozy zawieszenie trwało już czas jakiś, Fergus z drugim naczelnikiem otrzymali rozkaz przesunięcia swoich klanów ku wsi Preston, by zagrozić prawemu skrzydłu armii Cope'a i zmusić go tym samym do zmiany pozycji. Dla wykonania tego rozkazu naczelnik z Glennaquoich zajął cmentarz w Tranent, panujący nad polem walki i stanowiący, jak to Evan Dhu zauważył, miejsce dogodne „dla każdego, kto by miał nieszczęście być zabitym, a troszczył się o chrześcijański pochówek”. Celem wstrzymania albo wyparcia tego oddziału angielski generał wyznaczył dwie armaty pod eskortą silnej partii konnicy. Podsunęli się oni tak blisko, że Waverley mógł wyraźnie rozróżnić sztandar szwadronu, którym sam poprzednio dowodził, oraz słyszeć tak dobrze sobie znane głosy trąbek i bębnow dających hasło do natarcia, słyszał też angielskie słowa komendy, wypowiedane równie znajomym głosem swego dawnego dowódcy, dla którego

niegdyś tyle czuł szacunku. W tej to chwili gdy, rozejrzawszy się dokoła, dostrzegł dziki strój i wygląd swych góralskich towarzyszy, gdy usłyszał ich szept w surowym i nieznanym języku, gdy popatrzył na własny ubiór tak niepodobny do tego, jaki nosił od dzieciństwa - zapragnął nagle zbudzić się z tego, co wydało mu się teraz snem - dziwnym, okropnym i nieprawdopodobnym snem.

- Wielki Boże - szepnął - czyżbym ja doprawdy był zdrajcą ojczyzny, odstępca spod sztandaru i - jak się wyraził ten umierający biedak - wrogiem mej umiłowanej Anglii?!

Zanim zdołał przetrwać lub załagodzić to wspomnienie, ukazała się w całej pełni wysoka wojskowa postać jego byłego komendanta, który widocznie chciał osobiście rozeznac się w terenie.

- Teraz mogę go trafić - rzekł Callum, ostrożnie podnosząc samopał ponad mur, za którym leżał w odległości zaledwie sześćdziesięciu jardów⁷⁵ od przeciwnika.

Waverley uczył, jak gdyby przed jego oczami spełnić się miało ojcostwo - gdyż czcigodny, siwy włos i pełna charakteru twarz weterana przywiodły mu na pamięć synowską niemal cześć, z jaką wszyscy oficerowie odnosili się do niego. Zanim jednak zdołał krzyknąć: „Stój!”, leżący obok Calluma Beg stary góral zatrzymał jego ramię.

- Oszczędź sobie strzału - rzekł jasnowidz - nie nadeszła jeszcze jego godzina. Ale jutro biada mu!... Widzę na jego piersiach całun⁷⁶.

Callum, nieczuły na inne względy, wrażliwy był na zabobon. Zbladł przy słowach *taishatra*⁷⁷ i opuścił broń. Pułkownik Gardiner, nieświadomy niebezpieczeństwa, jakiego uniknął, zawrócił konia i z wolna podjechał ku frontowi swego pułku.

Przez ten czas armia regularna utworzyła nową linię, jednym skrzydłem zwróciwszy się ku morzu, a drugie opierając o wieś Preston; że zaś podobne jak i poprzednio trudności udaremniały atak na tę ich nową pozycję, Fergus wraz z resztą oddziałów odwołano z powrotem na dawne stanowisko. Ta zmiana wywołała konieczność odpowiedniego przesunięcia w armii generała Cope'a, która stanęła znów równolegle do linii górali. Na tych obustronnych manewrach zszedł dzień i wieczór już się zbliżał, wobec czego obie armie poczęły gotować się do spoczynku nocnego pod bronią, na zajętych przez siebie stanowiskach.

- Nie będzie już nic do roboty dziś wieczór - powiedział Fergus do przyjaciela swego, Waverleya. - Zanim się zawiniemy w nasze plety, pójdźmy zobaczyć, co baron porabia na tyłach linii.

⁷⁵ jard - ang., miara długości, równa 91 cm

⁷⁶ widzę na jego piersiach całun - wg zabobonu szkockiego przepowiednia śmierci, tym bliższej, im bliżej twarzy znajdował się całun

⁷⁷ *taishatr* (szkoc.) - jasnowidz

- Zbliżywszy się do jego posterunku, przekonali się, że zacny stary oficer, po rozesłaniu nocnych patroli i ustawieniu straży, zajęty był gorliwie czytaniem wieczornego nabożeństwa Kościoła episkopalnego przed pozostałą częścią swego wojska. Zaczekali więc, aż baron ukończy nabożeństwo. A teraz, chłopcy - przemówił zamykając książkę - zabierzcie się do nich rano z ciężką ręką, a lekkim sumieniem! - Następnie uprzejmie przywitał Mac-Ivora i Waverleya, ci zaś zapytali, co sądzi o sytuacji.

- No cóż, znacie powiedzenie Tacyta: *In rebus bellicis maxime dominatur Fortuna*”, co odpowiada naszemu rodzinnemu przysłowiu: „Szczęście najwięcej ma do powiedzenia w bitwie”. Ale wiercie mi, panowie, tamten człowiek nie jest mistrzem w swoim fachu. Gasi ducha w, tych biednych chłopakach, którymi dowodzi, trzymając ich w defensywie, co samo przez się oznacza słabość albo lęk. Teraz będą oni tam leżeli z bronią u boku, tak wystraszeni i nieswojo się czujący jak kret pod broną, podczas gdy nasi ludzie będą rano rześcy, wypoczęci i gotowi do działania. No tak, dobranoc!... Jedna tylko rzecz mnie niepokoi, więc jeżeli dzień jutrzejszy minie szczęśliwie, zasięgnę twej rady, Glennaquoich.

- Mógłbym nieledwie zastosować do pana Bradwardine charakterystykę, jaką Henryk określa Fluellena⁷⁸ - rzekł Waverley, gdy z przyjacielem wracali do swego biwaku:

Chociaż wydaje się trochę niemodny.

Wiele jest łądu i męstwa w tym "Szkocie".

- Niejedną on potrzebę wojenną odbył - odpowiedział Fergus - i nieraz aż dziwi człowieka, skąd tyle nonsensów i rozumu pomieścić się może jednocześnie w jego umyśle.

Ciekaw jestem, co go może niepokoić... prawdopodobnie coś dotyczącego Róży... Posłuchaj! To Anglicy ustawiają swe straże.

Odgłos bębna z jaskrawym akompaniamentem piszczałek popłynął ku wzgórzom - zgasł - raz jeszcze odezwał się i wreszcie ucichł na dobre. Trąbki i kotły kawalerii wykonały następnie piękną i dziko brzmiącą przygrywkę bojową, dostosowaną jako hasło do wieczornych czynności służbowych, po czym i ta melodia rozwiła się na wietrze w ostrych i ponurych akordach końcowych.

Przyjaciele, doszedłszy teraz do swego posterunku, stanęli i rozejrzeli się jeszcze dokoła przed spoczynkiem. Na zachodnim niebie migotały gwiazdy, ale mroźna mgła,

⁷⁸ Fluellen - postać z dramatu Szekspira *Henryk V*

wstająca znad oceanu, zakryła wschodni horyzont i białymi smugami snuła się po równinie, gdzie armia nieprzyjacielska spoczywała pod bronią. Najdalsze jej posterunki, wysunięte aż po brzeg wielkiego rowu leżącego u stóp wzgórza, porozpalały w nierównych odstępach wielkie ogniska migocące stłumionym blaskiem poprzez gęsty tuman mgły, otaczający je kręgami mętnego światła.

Górale leżeli „gęsto jak liście w Vallombrosa”⁷⁹ na skłonie pagórka, pogrążeni (z wyjątkiem placówek) w głębokim śnie.

- Ileż z tych dzielnych ludzi zaśnie snem głębszym jeszcze przed jutrzejszą nocą, Fergusie! - rzekł Waverley z mimowolnym westchnieniem.

- - Nie myśl o tym - odpowiedział Fergus, którego zajmowały wyłącznie sprawy wojskowe. - Myśl tylko o swej szabli i o tym, kto ci ją dał. Na wszelkie inne rozmyślenia teraz już ZA PÓZNO.

Nasennym środkiem, tkwiącym w tej nieodparcie trafnej uwadze, starał się Edward uciszyć zamęt miotających nim sprzecznych uczuć. Złożywszy razem swe pledy, usłali sobie z naczelnikiem wygodne i ciepłe posłanie. Callum, siadłszy u ich głów (gdyż do - jego obowiązków należało czuwanie nad osobą naczelnika), zanucił, długą i posepną pieśń gaelicką, której nuta niska a jednostajna ukołysała ich niebawem do snu, niby szum wiatru płynącego gdzieś z oddali.

⁷⁹ *Vallombrosa* (włosk.) - nazwa oznacza „Cienista dolina” - dolina w pobliżu Florencji. Słowa: „gęsto jak liście w Vallombrosa” pochodzą z poematu poety ang. Milтона *Raj utracony*

Rozdział XLVII

Starcie

Zaledwie Fergus Mac-Ivor jego przyjaciel przespał parę godzin, zbudzono ich i wezwano do księcia. Zegar wiejski wydzwonił trzecią., gdy dotarli do miejsca, gdzie książę kwaterował. Był już otoczony oficerami swego sztabu i naczelnikami klanów. Garść grochowin, która służyła mu za posłanie, teraz zastępowała ławkę. Właśnie gdy Fergus przyłączył się do koła, narada dobiegła końca.

- Bądźcie dobrej myśli, moi dzielni przyjaciele! - mówił Kawaler. - Niech każdy stanie natychmiast na czele swojego oddziału; wierny druh⁸⁰ ofiarował się przeprowadzić nas możliwą do przebycia, „choć wąską i okólną drogą, która, skręcając na prawo, przechodzi przez bagnisty teren i pozwoli nam wydostać się na twardą i otwartą równinę, na której leży nieprzyjaciel. Gdy się tę trudność przezwycięży, niebo i wasze szable muszą dokonać reszty.

Ta propozycja wywołała ogólną radość, a każdy z dowódców starał się możliwie jak najciszej i najprędzej ustawić swych ludzi w porządku. Armia, zaczynając od prawego skrzydła, wyruszyła z miejsca, na którym spoczywała, a wszedłszy niebawem na ścieżkę, prowadzącą przez bagnisko, maszerowała nią w zadziwiającej ciszy i pośpiechu. Mgła nie podniosła się wyżej, tak że przez czas pewien korzystali jedynie ze światła gwiazd. Znikło, ono jednak wkrótce, gdy gwiazdy zaszły wobec zbliżającego się świtu, a przednia część maszerującej kolumny, schodząc coraz niżej, zanurzyła się niejako w ciężki ocean mgły toczącej białe swe fale po całej równinie i morzu stanowiącym jej granicę.

Pojawiły się teraz trudności związane nieodłącznie z ciemnością, ciasnotą ścieżki, prowadzącej przez rozpadliny i trzęsawiska, oraz z koniecznością utrzymywania łączności w marszu. Te trudności jednak mniej dawały się we znaki góralom przyzwyczajonym do miejscowej przyrody niż każdemu innemu wojsku będącemu w podobnej sytuacji, toteż posuwali się naprzód wytrwale i szybko.

Gdy klan Ivora zbliżał się śladem poprzedników do twardego gruntu, dało się słyszeć

⁸⁰ Tym wiernym przyjacielem, który wskazał góralom sposób przedostania się z Tranent do Seaton, był Robert Anderson junior z Whitburgha, właściciel dóbr we Wschodnim Lothian. Zapytany przez lorda Jerzego Murraya, czy byłoby możliwe przebyć bezdrożną, bagnistą przestrzeń dzielącą obie armie, odpowiedział, że uważa to za niewykonalne. Po odejściu przypomniał sobie jednak, że istnieje ścieżka okrężna wiodąca na wschód przez bagno ku dolinie i że ścieżką tą górale mogliby obejść stanowiska sir Johna Cope nie narażając się na ogień ze strony wroga... Książę z radością przyjął wiadomość, że istnieje możliwość doprowadzenia do rozstrzygającej walki między doskonale zaopatrzoną armią nieprzyjacielską a jego własnymi nieregularnymi siłami. (*Z przypisów autora: „Anderson z Whitburgha”*).

zapytanie patrolu, choć samego dragona nie widać było wskutek mgły:

- Kto idzie?

- Cicho - szepnął Fergus - cicho! Niech nikt nie odpowiada jeśli wam życie miłe...

Naprzód!

I ciągnęli dalej marsz swój w milczeniu i z pośpiechem. Patrol wypalił z karabinu na oślep, a po wystrzale usłyszano natychmiast tętent kopyt konia oddalającego się galopem.

- *Hylax in limine latrat*⁸¹ - powiedział Bradwardine usłyszawszy strzał. - Ten szelma podniesie alarm.

Klan Fergususa doszedł tymczasem do twardej równiny, stanowiącej do niedawna szeroki łąk żyta. Zboże jednakże było już zebrane, a rozległej płaszczyny nie przerywał nawet żaden krzak ani drzewo. Reszta armii podążała szybko za nimi, gdy po stronie nieprzyjaciela rozległ się warkot bębnow bijących na ogólny alarm. Ponieważ jednak zaskoczenie wroga nie leżało w ich planach, świadomość więc, że nieprzyjaciel czuwa i gotów jest ich przyjąć, nie odebrała im wcale otuchy, przyspieszając tylko przygotowania do walki, bardzo zresztą proste.

Armia góralska, zajmująca teraz wschodnią część rozległej równiny lub raczej ścierniska, gdyż tak gęsto pokrywały ją żółte pola, ustawiła się w dwie linie, począwszy od bagniska ku morzu. Pierwsza przeznaczona była do ataku, druga miała działać jako rezerwa. Nieliczna kawaleria, której dowództwo objął osobiście sam książę, pozostała pośrodku między obu liniami. Książę oświadczył, że zamierza sam prowadzić szarżę na czele swej pierwszej linii, wszyscy jednak otaczający go zganili ten zamiar i z trudem go odeń odwiedli.

Obie linie posuwały się teraz naprzód, przednia w zupełnej gotowości do rozpoczęcia walki. Klany, z których się ona składała, tworzyły każdy z osobna rodzaj falangi⁸² wąskiej z przodu, a sięgającej w głąb na dziesięć, dwanaście lub piętnaście szeregów, stosownie do swej liczebności. Najlepiej uzbrojeni i najlepiej urodzeni, co wychodziło tu na jedno, zajmowali front każdego z tych nieregularnych oddziałów. Inni szli tuż za nimi, naciskiem swoim dodając zarówno fizycznego bodźca, jak zapалу i ufności tym, którzy pierwsi mieli się zetknąć z nieprzyjacielem.

- Zrzuć pled, Waverleyu! - zawołał Fergus, sam dając mu przykład. - Zdobędziemy jedwabie w zamian za nasze tartany, zanim słońce wzniesie się nad morzem.

Członkowie klanów ze wszystkich stron zwinęli pledy, przygotowali broń i w czasie trzyminutowej może, a pełnej grozy pauzy” która teraz nastąpiła, ściągawszy czapki,

⁸¹ *Hylax in limine latrat* (łac.) - Hylax szczeka od progu (Wergiliusz: *Eklogi*)

⁸² falanga - oddziały żołnierskie w staroż. Grecji i Rzymie

podnieśli twarze ku niebu i odmówili krótką modlitwę; następnie zsunęli czapki na czoło i ruszyli naprzód, idąc powoli. Waverley poczuł w tej chwili, że serce bije w nim gwałtownie, jak gdyby chciało pierś mu rozsadzić. Nie był to strach ani zapal - była to mieszanina obojga, nowy i potężny impuls, który najpierw chłodem i zdumieniem przejął mu duszę, ale wnet potem rozpałił ją i wprowadził w istny szał. Dźwięki, rozlegające się dookoła, potęgowały jego uniesienie; kobzy zagrały, a klany rzuciły się naprzód, każdy z nich w odrębnej zwartej masie. W miarę posuwania się przyspieszały one kroku, a urywane szeptu porozumiewających się między sobą ludzi urastały w dziki krzyk.

W tej chwili słońce, które zdążyło już wzbić się ponad horyzont, rozproszyło mgłę. Opary podniosły się jak kurtyna i ukazały obie armie w momencie spotkania.

- Naprzód, synowie Ivora - zawołał ich naczelnik - jeśli nie chcecie, by kameronczycy dobyli pierwszej krwi!

Na to wezwanie klan rzucił się do boju z gromkim okrzykiem.

Dalszy ciąg jest powszechnie znany. Konnica, mająca „rozkaz szarżować biegnących górą z flanki, została rażona nieregularnym ogniem ich samopałów, po czym zdjęta haniebną paniką zachwiała się, stanęła, wyszła z szyku i galopem uszła w pole. Opuszczeni przez kawalerię artylerzyści uciekli po wypaleniu z dział, górale zaś, porzuciwszy puste strzelby, ujęli szable i z zapamiętałą furią runęli na piechotę.

W tym to momencie zamieszania i grozy Waverley zauważył angielskiego oficera wysokiej szarży, który - stojąc sam przy armacie polowej, porzuconej przez jej obsługę - bez niczyjej pomocy wycelował i wystrzelił z niej do najbliższej odcinki będącego klanu Mac-Ivora. Uderzony jego wysoką, marsową postacią, a pragnąc go ocalić od nieuchronnej zguby, Waverley wyprzedził na chwilę nawet najszybszych wojaków i pierwszy przybiegając na miejsce, wezwał go do poddania się. Oficer odpowiedział na to ciosem szabli, który Waverley odparował swą tarczą; przy odrzuceniu jej w bok szabla Anglika pękła. W tej samej chwili wojenna siekiera Dugalda Mahony miała już spaść na głowę oficera, lecz Waverley przejął i uchylił ten cios, oficer zaś, widząc daremność dalszego oporu, a uderzony szlachetną troską Edwarda o jego bezpieczeństwo, oddał mu szczyłek swej szabli. Waverley powierzył go straży Dugalda, surowo nakazując, by się dobrze obchodził z jeńcem i osoby jego nie złupił, a równocześnie przyrzekając pełne odszkodowanie za utraconą zdobycz.

Po prawej ręce Edwarda szalał przez kilka minut zacięty, stłoczony bój. Piechota angielska, wyćwiczona w wojnach we Flandrii, trzymała się bardzo odważnie: jednakże wyciągnięte jej szeregi zostały w wielu miejscach poprzerywane przez nacierające w zwartym szyku klany, w walce zaś wręcz jakoś broni górą i nadzwyczajna ich zażartość i zwinność zapewniały im stanowczą przewagę nad przeciwnikami, którzy, ufni zazwyczaj

w broń swą i karność, tutaj nagle poczuli, że jedna z nich już nie istnieje, a druga na niewiele im się przydaje.

Patrząc na ten obraz dymu i rzezi, Waverley zauważył pułkownika Gardinera, który opuszczony został przez własnych żołnierzy mimo wszelkich wysiłków zgromadzenia ich z powrotem; sadził on teraz konno przez pole, by objąć komendę nad małym oddziałkiem piechoty, który, wsparty się plecami o mur jego własnego parku (gdyż dom jego stał tuż w pobliżu pola bitwy), nie zaprzestawał rozpaczliwego i daremnego oporu. Waverley łatwo dostrzegł, że odniósł on już wiele ran, gdyż ubiór jego i siodło splamione były krwią. Ocalenie tego dobrego i dzielnego człowieka stało się natychmiast dla Edwarda celem najgorętszych usiłowań. Zamiast tego musiał jednak być świadkiem jego zguby. Zanim Edward zdołał przecisnąć się między góralami, którzy wściekli i chciwi łupu tłoczyli się teraz jeden przez drugiego, ujrzał, jak dawny jego komendant spada z konia uderzony kosą, a leżącemu już na ziemi zadawano więcej ran, niżby potrzeba było dla zabicia dwudziestu ludzi. W chwili gdy Waverley dotarł wreszcie do niego, nie opuściła go jeszcze przytomność. Umierający zdawał się poznawać Edwarda, gdyż utkwiał w nim oczy pełne wyrzutu i smutku zarazem, przy czym zdawało się, że usiłuje przemówić. Czując jednak, że śmierć nadchodzi, zrezygnował z zamiaru, złożył ręce jak do modlitwy i oddał duszę Bogu. Wzrok, jakim obrzucił Waverleya w chwili zgonu, prześliznął się po nim bez głębszego wrażenia w tym momencie zgiełku i zamieszania, a dopiero po upływie pewnego czasu, powracając we wspomnieniach, nabrał pełnej swej wyrazistości.

Głośnie okrzyki tryumfu rozbrzmiewały teraz po całym polu. Bitwa była stoczona i wygrana, a cały tabor, artyleria i amunicja regularnej armii wpadły w ręce powstańców. Trudno sobie wyobrazić zupełniejsze zwycięstwo. Nikt prawie nie uszedł z pobojuwiska, z wyjątkiem kawalerii, która opuściła pole na samym wstępie, ale i ona została rozbita i rozproszona po całej okolicy.

Co się tyczy naszego opowiadania, pozostaje nam jeszcze tylko wspomnieć o losie Balmawhapple'a. Siedząc na koniu równie upartym i twardym w karku, jak sam jeździec, ścigał uciekających dragonów jeszcze cztery mile poza plac boju; wtedy to ze dwunastu zbiegów nabrało odwagi i zawróciwszy rozplatało mu czaszkę szablami, przekonywając świat, że nieszczęsny szlachcic miał jednak w głowie mózg, a nie siano. Tak to kres jego życia stwierdził fakt, o którym poprzednio raczej powątpiewano. Niewielu też było takich, co by śmierć jego oplakiwali⁸³.

⁸³ Zbyteczne byłoby chyba podkreślać, że postać brutalnego młodego dziedzica jest całkowicie zmyślona. Jednakże pewien szlachcic, podobny do Balmawhapple'a wyłącznie ze swej odwagi, padł istotnie pod Preston w opisanych tu okolicznościach. Ow obywatel rodem z Perthshire, człowiek ze wszech miar godny szacunku, zaliczający się do garstki kawalerzystów, którzy pozostali wierni Karolowi Edwardowi, niemal sam jeden ścigał uciekających dragonów aż do Saint Clements Wells, gdzie wysiłki paru oficerów zdołały na krótko powstrzymać ich od ucieczki.

Spostrzegłszy wtedy, że goni ich jeden tylko szlachcic w otoczeniu kilku sług, rzucili się na niego i zarabali go szablami. Przypominam sobie, że w dzieciństwie siadywałem na jego grobie, odcinającym się od reszty pola porastającą go bujnie zieloną trawą. Pewna niewiasta z rodziny zamieszkującej wówczas w Saint Clements Wells opowiadała mi szczegóły tej tragedii, której była naocznym świadkiem, pokazując mi na dowód tego jedną ze srebrnych klamer od munduru nieszczęsnego szlachcica. (*Przypis autora: „Dziedzic z Balmawhapple”*).

Rozdział XLVIII

Niespodziewany kłopot

Po bitwie, gdy już wszystko wróciło do porządku, baron Bradwardine, ukończywszy na ten dzień obowiązki i ustawiwszy swoich podkomendnych na właściwych im stanowiskach, odszukał naczelnika z Glennaquoich i przyjaciela jego, Edwarda Waverleya. Zastał Mac-Ivora zajętego rozstrzygnięciem sporów pomiędzy członkami swego klanu o pierwszeństwo w czynach waleczności - obok wielu ważnych a wątpliwych kwestii dotyczących łupu. Najważniejsza z tych spraw odnosiła się do własności złotego zegarka, który przedtem należał do jakiegoś nieszczęsnego angielskiego oficera. Ten, przeciw któremu wypadło rozstrzygnięcie, pocieszył się uwagą, że „ona” (to znaczy zegarek, który wziął za żyjącą istotę) umarła tego samego wieczora, kiedy Vich Ian Vohr oddał ją Murdochowi; w rzeczy samej mechanizm stanął z braku nakręcenia.

Właśnie gdy tę sprawę rozstrzygano, nadjechał baron Bradwardine przejęty, lecz pełen godności. Zsiadłszy ze zgrzanego wierzchowca, oddał go w opiekę jednemu z pacholków.

- Ja rzadko biję - przemówił do niego - ale gdybyś mi tu splątał którą z twoich łajdackich sztuczek i opuścił biednego Berwicka, nim ochłonie, aby pogonić za łupem, niech mnie diabli porwą, jeśli ci nie natrę uszu.

To powiedziawszy, z wielką czułością poklepał wierzchowca, który go dźwigał przez wszystkie trudy dnia, i pożegnał się z nim serdecznie.

- A więc, moi młodzi przyjaciele - rzekł - odnieśliśmy świetnie i stanowcze zwycięstwo; ale te niedołęgi z konnicy uciekły zbyt prędko. Byłbym chciał wam pokazać, na czym polega prawdziwe *proelium equestre* - czyli walka kawaleryjska, do której ich tchórzostwo nie dopuściło, a którą uważam za szczyt sztuki i grozy wojennej. Ale, Glennaquoich i ty, panie Waverley, zechciejcie mi udzielić rady w - sprawie wielkiej wagi, która głęboko dotyka honoru domu Bradwardine. Muszę więc przeprosić pana, panie chorąży Maccombich, i was, Inveraughlin, i was, Edderalshendrach, i was, panie.

Ostatnią osobą, do której się zwrócił, był Ballenkeiroch, który pamiętny śmierci syna, popatrzył nań wzrokiem nienawistnym i wyzywającym. Baron, wielce skłonny do obrazy, już zdążył zmarszczyć czoło, lecz Glennaquoich odciągnął z miejsca swego majora, perswadując mu zwierchniczym tonem naczelnika, że szaleństwem byłoby odnawiać spór w takiej chwili.

- Ziemia zasłana jest trupami - rzekł stary góral odwracając się chmurnie. - Jednego więcej nie byłoby znać na niej; a gdyby nie wy, Vich Ian Vohrze, tym jednym byłby trup

Bradwardine'a albo mój własny.

Naczelnik ułagodził go i odprawił, po czym powrócił do barona.

- To Ballenkeiroch - rzekł głosem cichym i poufnym. - Ojciec tego młodzieńca, który poległ przed ośmiu laty w owej nieszczęsnej potyczce na Pastwisku.

- Ach! - odpowiedział baron, a surowo napięte jego rysy wygładziły się natychmiast. - Mogę wiele znieść od człowieka, któremu niestety tak wielki ból zadałem... Dobrześ zrobił, żeś mi to powiedział, Glennaquoich; może sobie wyglądać tak ponuro, jak noc na święty Marcin, a Cosmo Comyne Bradwardine nie powie, że mu to ubliża. Sam nie mam męskiego potomka i powinienem okazać się wyrozumiałym względem tego, któremu uczynił bezdzietnym, chociaż wiesz dobrze, że krwawy ten zatarg został ugodowo zażegnany ku twemu własnemu zadowoleniu. Choć tedy, jak powiedziałem, nie mam męskiego potomka, wypada mi teraz podtrzymać honor mego domu i w tej to właśnie sprawie proszę was o szczególną uwagę.

Obaj młodzi ludzie, wielce zaciekawieni, czekali na dalsze jego słowa.

- Nie wątpię, moi chłopcy - ciągnął dalej - że wasza edukacja na tyle była staranna, iż rozumiecie istotę znaczenia feudalnych nadań własności.

Fergus, w obawie przed nieskończeniem długą rozprawą, odpowiedział:

- Najdokładniej, baronie! - i trącił Waverleya na znak, by ten czasami nie wyjawiał swej nieświadomości.

- Zrozumiecie zatem, że posiadanie baronii Bradwardine jest natury zarówno zaszczytnej, jak szczególniejszej, gdyż nadane jest *pro servitio detrahendi, seu axuendi, caligas regis post bataliam*⁸⁴.

Tu Fergus zwrócił sokołe swoje oko na Edwarda, nieznacznie unosząc brwi i równie lekko dźwigając w górę ramiona.

- Otóż nasuwają mi się wątpliwości co do dwóch punktów w tej sprawie. Pierwszy, czy ta usługa, czyli hołd feudalny, należy się w ogóle osobie księcia, słowa bowiem brzmią *per expressum*⁸⁵ „*caligas REGIS*”, dotyczą więc butów samego króla; otóż proszę was, zanim pójdziemy dalej, powiedzcie mi, jakie jest wasze zdanie co do tego szczegółu.

- No jakże, przecież on jest księciem regentem - odpowiedział Mac-Ivor z chwalebą powagą na twarzy - a na dworze francuskim oddaje się regentowi wszystkie te honory, jakie należą się osobie króla.

- Niewątpliwie więc - ciągnął dalej baron - książę, jako *alter ego*⁸⁶, ma prawo

⁸⁴ *pro servitio detrahendi, seu axuendi, caligas regis post bataliam* (łac.) - za dopełnienie posługi ściągnięcia lub zdjęcia butów króla po bitwie

⁸⁵ *per expressum* (łac.) - wyraźnie, dosłownie

⁸⁶ *alter ego* (łac.) - drugie ja; upragniony zastępca

wymagać *homagium*⁸⁷ od wielkich wasali korony, skoro, ogłaszając regencję, rozkazuje się wszystkim wiernym poddanym, by mu oddawali cześć równą królewskiej. Obcą mi jest przeto myśl ujęcia chwały jego władzy przez wstrzymanie się od tego hołdowniczego aktu, tak specjalnie obliczonego na dodanie jej świetności; pytam bowiem, czy cesarzowi niemieckiemu ściąga buty wolny baron jego cesarstwa? Ale na tym właśnie polega trudność druga... Książę nie nosi wcale butów, tylko po prostu kierpce i długie pończochy.

To ostatnie zagadnienie o mało nie zburzyło powagi Fergusa.

- Ale przecież zna pan, baronie - rzekł - nasze przysłowie: „Źle jest ściągać kierpce góralowi”... a tutaj buty mają to samo znaczenie.

- Wyraz *caligae* jednakże - dowodził baron - choć przyznaję, że w myśl rodzinnej tradycji, a nawet w naszych starożytnych dokumentach tłumaczy się jako lekkie buty, oznaczał w swoim pierwotnym sensie raczej sandały. Słowa nadania zawierają też alternatywę: *exuere, seu detrahere*, to znaczy rozwiązać jak w wypadku sandałów i kierpców, lub też ściągnąć, gdy chodzi o właściwe buty. Jednakże ja bym chciał, żebyśmy mogli znaleźć gruntowniejsze objaśnienie, choć myślę, że niestety nie znajdziemy tutaj głębszego rzeczoznawcy *de re vestiaria*⁸⁸.

- I ja bardzo wątpię - powiedział naczelnik rozglądając się dokoła i widząc kręcących się górali obiadowych łupem po zabitych. - Jakkolwiek sama *res yestiararia* zdaje się mieć niezły popyt w tej chwili.

Ponieważ ta uwaga trafiła w zmysł humoru barona, zaszczycił ją więc uśmiechem, ale natychmiast powrócił do swej sprawy, w jego mniemaniu wielce doniosłej.

- Mój intendent Macwheeble jest wprawdzie zdania, że ta honorowa posługa ze swej natury należy się tylko *si petatur tantum* - a więc jeśli jego królewska wysokość poprosi wielkiego wasala korony o jej spełnienie; w istocie też przytoczył wypadek, wspomniany w „Wątpliwościach i pytaniach” Dirletona, a mianowicie sprawę Grippit *versus*⁸⁹ Spicer o odebranie pewnych dóbr *ob non solutum canonem* - to jest za niepłacenie lennego czynszu trzech ziaren pieprzu rocznie, co oceniono na siedem ósmych szkockiego pensa - i co broniącemu się darowano. Ale ja sądzę, że właściwiej będzie, jeżeli z waszą łaskawą pomocą przygotuję się do oddania księciu tej posługi i jeżeli ofiaruję się z jej spełnieniem; intendentowi zaś polecę, żeby był obecny z aktem protestu, który już przygotował (tu wyciągnął papier), a który głosi, że gdyby się jego królewskiej wysokości podobało przyjąć pomoc przy zdejmowaniu jego *caligae* (czyby to były buty, czy kierpce)

⁸⁷ *homagium* (łac.) - hołd składany przez lennika

⁸⁸ wiedza „*de re vestiaria* „(łac.) - wiedza o ubiorach

⁸⁹ *versus* (łac.) - przeciw, przeciwko

od kogo innego niż rzeczony baron Bradwardine, tu obecny, gotów i chętny spełnić tę posługę - to w żadnym sposobie nie zmniejszy to ani nie przesądzi praw tegoż Cosmo Comyne Bradwardine do wykonywania wiadomej posługi w przyszłości ani też nie da to żadnemu szlachcicowi, pokojowcowi, giermkowi ani paziowi, których pomocy podobałoby się jego królewskiej wysokości użyć, żadnego prawa, tytułu ani powodu do odebrania temuż Cosmo Comyne Bradwardine dóbr i baronii Bradwardine i innych trzymanyh, jak wyżej się rzekło, z mocy należytego i wiernego pełnienia tej posługi.

Fergus wielce przychwalił takie załatwienie sprawy, a baron przyjacielsko pożegnał się z nimi, z uśmiechem zadowolonej godności na twarzy.

- Niech nam żyje jak najdłużej nasz drogi przyjaciel, baron! - zawołał naczelnik, gdy starzec dosłyszeć go już nie mógł. - Przecież to największy ze wszystkich dziwaków, jacy istnieją na północ od Tweed! Żałuję, że mu nie poradziłem, by na dzisiejszym wieczornym *cercle*⁹⁰ stawił się z przyborem do ściągania butów pod pachą. Sądzę, że przyjąłby tę propozycję, gdybym mu ją z odpowiednią powagą uczynił.

- Ale jakże możesz znajdować przyjemność w ośmieszaniu człowieka takiej jak on wartości?

- Za przeproszeniem, mój drogi Waverleyu, ty jesteś równie śmieszny, jak i on sam. Jak to, czyż nie widzisz, że cała dusza tego człowieka pochłonięta jest tą ceremonią? Słyszał i myślał o tym do dzieciństwa jako o najdosłojniejszym przywileju i obrzędku w świecie, a ja nie wątpię, że oczekiwana przyjemność dopełnienia go była dla niego główną pobudką do chwycenia za broń. Wierzaj mi, gdybym - go był chciał wstrzymać od narażenia się na śmieszność, byłby mnie potraktował jako ignoranta, zarozumialca, a może przysłałaby mu fantazja podciąć mi gardło; przecież taką przyjemność chciał sobie sprawić już kiedyś, z powodu jakiegoś punktu etykiety, bez porównania mniej ważnego w jego oczach niż ta sprawa butów czy kierpców, czy jak tam jeszcze przetłumaczą owe *caligae* uczeni. Muszę pójść teraz do głównej kwatery, by przygotować księcia na tę nadzwyczajną scenę. Moja wiadomość będzie dobrze przyjęta, gdyż pozwoli mu uśmieć się serdecznie teraz, a ustrzec się przed śmiechem wtedy, gdy byłoby to bardzo nie na czasie. A więc *au revoir*⁹¹. mój drogi Edwardzie!

⁹⁰ *cercle* (franc.) - zebranie towarzyskie

⁹¹ *au revoir* (franc.) - do widzenia!

Rozdział XLIX

Angielski jeńiec

Po rozstaniu z naczelnikiem Waverley poszedł najpierw odszukać jeńca, któremu ocalił życie. Był on strzeżony wraz z licznymi towarzyszami niedoli w jednym z dworów blisko pola bitwy.

Wszedłszy do pokoju, gdzie jeńcy stali w zbitym tłumie, Waverley z łatwością poznał tego, którego przyszedł odwiedzić, nie tylko po szczególnej godności jego postawy, ale także po nieodstępnym Dugaldzie Mahony, który wraz ze swą siekierą bojową przyłgnął do niego od chwili wzięcia w niewolę, jak gdyby go kto przyśrubował do jego boku. Ta ścisła straż miała może na celu pozyskanie obiecanej przez Edwarda nagrody, ale przyczyniła się też do uchronienia angielskiego oficera przed obrabowaniem go w ogólnym zamieszaniu.

Waverley przyrzekł Dugaldowi sowitą nagrodę, a zbliżywszy się do angielskiego oficera, wyraził gotowość uczynienia, co tylko można, by ulżyć losowi jego w tych przykrych warunkach.

- Nie jestem tak niedoświadczonym żołnierzem, panie - odpowiedział Anglik - by uskarżać się na los wojny. Boli mnie tylko, że na naszej własnej wyspie widzę rozgrywające się sceny, których stosunkowo obojętnym świadkiem bywałem nieraz gdzie indziej.

- Jeszcze jeden dzień taki jak dzisiejszy - rzekł Waverley - a ufam, że zniknie powód pańskiego żalu i wszystko powróci do dawnego porządku.

Oficer uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie wolno mi zapominać, w jakim położeniu się znajduję, i formalnie zaprzeczać temu zdaniu, a jednakże pomimo waszego powodzenia i waleczności, jakiej je zawdzięczacie - sędzę, iż podjęte przez was zadanie przekracza stanowczo wasze siły.

W tej chwili Fergus przecisnął się przez tłum.

- Pójdź, Edwardzie, pójdź ze mną; ksiązę udał się do Pinkie-House na noc, a my musimy kierować się tam za nim, jeśli nie chcemy stracić całej ceremonii z owymi *caligae*. Twój przyjaciel baron popełnił wielki akt okrucieństwa, gdyż uparł się ściągnąć intendenta Macwheeble na pole bitwy. Otóż musisz wiedzieć, że dla intendenta najokropniejszym straszakiem jest uzbrojony góral albo nabita strzelba, a oto teraz stoi tam, słuchając instrukcyj barona co do protestu - i wtulając głowę jak mewa, ilekroć w polu huknie strzał z karabinu czy z pistoletu, oddany dla zabawy przez naszych chłopców; ale za każdy objaw strachu musi znieść surowe napomnienie od barona, któremu nawet

salwa całej baterii dział, bijących w bezpośrednim sąsiedztwie, nie przeszkodziłaby wygłosić dyskursu w obronie honoru jego rodu.

- Ale jakimże sposobem udało się panu Bradwardine nakłonić go, by się zapuścił aż tak daleko? - zapytał Edward.

- No cóż, dotarł on do Musselburg, prawdopodobnie w nadziei spisania kilku naszych testamentów, a arbitralne rozkazy barona pociągnęły go aż do Preston, gdy już było po bitwie. Chodźmy stąd, Waverleyu!

- Waverley! - zawołał angielski oficer z wielkim wzruszeniem. - Czy nie bratanek sir Everarda Waverleya z Waverley-Honour?

- Jestem nim panie - odpowiedział nasz bohater, trochę zdziwiony tonem zapytania.

- Czy stryj pański nigdy nie wspominał o przyjacielu nazwiskiem Talbot?

- Słyszałem, jak mówił z wielkim szacunkiem o osobie tego nazwiska - odpowiedział Edward. - Był to zdaje się pułkownik i mąż lady Emilii Blandeville; sądziłem jednak, że pułkownik Talbot przebywa za granicą.

- Właśnie powróciłem stamtąd - odpowiedział oficer - a znalazłszy się w Szkocji, uważałem za swój obowiązek działać tam, gdzie usługi moje mogą być pożyteczne. Tak, panie Waverley, to ja właśnie jestem pułkownikiem Talbot, mężem tej pani, o której pan wspominał, i z dumą przyznaję, że zawdzięczam zarówno moje zawodowe stanowisko, jak i szczęście domowe, pańskiemu szlachtetnemu i wielkodusznemu krewnemu. Wielki Boże! Że też ja odnajduję bratanka jego w takim stroju i zaangażowanego w takiej sprawie!

- Panie - przerwał Fergus wyniośle - jest to strój i sprawa ludzi dobrego rodu i honoru!

- Moje położenie nie pozwala mi zaprzeczyć pańskiemu twierdzeniu - odparł pułkownik Talbot. - W przeciwnym razie nie byłoby trudno wykazać, że ani odwaga, ani duma rodowa nie mogą ozłocić złej sprawy. Teraz jednak - za pozwoleniem pana Waverleya i waszym, panie, jeśli i ono jest tu potrzebne - rad bym z nim pomówić słów parę o sprawach dotyczących jego własnej rodziny.

- Pan Waverley sam sobą rozporządza. Udasz się ze mną, mam nadzieję, do Pinkie - zwrócił się Fergus do Edwarda - skoro skończysz rozmowę z tym nowym znajomym!

To mówiąc naczelnik Glennaquoich poprawił na sobie pled i z miną bardziej jeszcze niż zazwyczaj wyniosłą wyszedł z pokoju.

Na prośbę Waverleya pozwolono pułkownikowi Talbotowi przejść do obszernego ogrodu należącego do domu, w którym był uwięziony. W milczeniu przeszli kilka kroków, gdyż pułkownik Talbot widocznie namyślał się, jak zacząć rozmowę, wreszcie odezwał się do Edwarda w te słowa:

- Panie Waverley, dziś mi pan ocalił życie, wolałbym jednak, by mi je Bóg raczej zabrał, zanim odnalazłem pana w tym mundurze i z taką kokardą.

- Wybaczam panu tę wymówkę, pułkownik, płynie ona z dobrej intencji, a wobec pańskiego wychowania i uprzedzeń jest całkowicie zrozumiała. Ale nie ma w tym nic nadzwyczajnego, jeśli człowiek, którego honor publicznie i niesprawiedliwie skrzywdzono, obierze drogę dającą mu najlepszą sposobność odwetu na oszczercach.

- Chyba raczej mogącą najlepiej potwierdzić krążące o nim pogłoski - odpowiedział pułkownik Talbot - gdyż poszedł pan właśnie po tej linii postępowania, jaką panu przypisywano. Czy pan zdaje sobie sprawę, panie Waverley, w jakie nieskończone zmartwienie, a nawet niebezpieczeństwo, obecne pańskie postępowanie wtrąciło jego najbliższych krewnych?

- Niebezpieczeństwo?

- Tak jest, niebezpieczeństwo. Gdy opuszczałem Anglię, stryj pański i ojciec musieli szukać poręczycieli wobec stawianego im zarzutu zdrady głównej i tylko dzięki poruszeniu najpotężniejszych wpływów udało się sprawę zażegnać. Przybyłem do Szkocji z tym jedynym zamiarem, by wyciągnąć pana z otchłani, w którą się pan rzucił; nie umiem też ocenić, jakie rodzinie pańskiej grozić mogą i następstwa dziś, kiedy pan otwarcie przystąpił do buntu - skoro już samo podejrzenie o taki zamiar odbiło się tak silnie na ich losie. Jak najgłębiej żałuję, że nie spotkałem pana przed tym ostatnim fatalnym błędem.

- Nie rozumiem doprawdy - odpowiedział Waverley trochę sztywnym tonem - czemu pan pułkownik Talbot miałby tak dalece trudzić się w mojej sprawie.

- Panie Waverley - odpowiedział Talbot - nie znam się na ironii, toteż odpowiem na słowa pańskie jak najprościej. Zaciągnąłem względem stryja pańskiego za wyświadczone mi dobrodziejstwa dług większy niż syn wobec ojca. Uważam, że mam w stosunku do niego obowiązki synowskie, a ponieważ wiem, że niczym lepiej nie odwdzięczę mu się za jego dobroć niż troską o pana, będę więc panu służył, jak tylko zdołam, za zgodą pańską czy bez niej.

- Powróciwszy do Anglii po długiej nieobecności - mówił dalej pułkownik Talbot - zastałem stryja pańskiego sir Everarda Waverleya, pod strażą wysłańca królewskiego - a to na skutek podejrzenia ciężącego na nim z winy pańskiego postępowania. Jest to mój najstarszy przyjaciel- jakże często mam to jeszcze powtarzać? - i najlepszy dobroczyńca! Poświęcił dla mnie własne szczęście - każde jego słowo, każda myśl tchnęły dobrocią samą. Zastałem człowieka tego pod aresztem, co było dlań tym cięższe do zniesienia wobec jego przyzwyczajień życiowych, wrodzonej mu godności i uczuć i - niech mi pan daruje, panie Waverley - wobec przyczyny, która tę klęskę na niego ściągnęła. Nie mogę

taić przed panem uczuć, jakich doznałem przy tej sposobności; były one w najwyższym stopniu niekorzystne dla pana. Skoro mi się tylko udało, dzięki rodzinnym stosunkom, które - jak to może panu wiadomo, są dość znaczne - uwolnić sir Everarda, natychmiast wyruszyłem do Szkocji. Widziałem się z pułkownikiem Gardinerem, którego los sam jeden wystarczyłby, by to powstanie oznaczyć na wieki piętnem ohydy. W trakcie rozmowy z nim przekonałem się, że w wyniku powtórnego badania osób wmieszanych do buntu, a także za sprawą pierwotnej dobrej o panu opinii, złagodniał on wielce w stosunku do pana; toteż nie wątpiłem, że jeżeli będę miał szczęście odnaleźć pana, rzecz cała zakończy się pomyślnie. Ale to zbrodnicze powstanie zepsuło wszystko. Teraz oto odnajduję spadkobiercę mojego najdroższego przyjaciela - syna, że się tak wyrażę, jego serca - dzielającego tryumf, który by powinien jego pierwszego okryć rumieńcem wstydu. Czemuż to ja oplakuję Gardinera? Spotkał go los szczęśliwy w porównaniu z moim!

Tyle było godności w zachowaniu się pułkownika Talbota, tak silnie kojarzyła się w nim duma wojskowa z męskim żalem, a przy tym wiadomość o uwięzieniu sir Everarda wyrażona była tonem tak głębokiego uczucia, że Edward stał zgryziony, zdruzgotany i zawstydzony w obliczu jeńca, któremu przed niewielu godzinami ocalił życie.

Nie zmartwił się też, gdy Fergus przerwał ich rozmowę po raz drugi:, - Jego królewska wysokość wzywa pana Waverleya.

Pułkownik Talbot spojrział na Edwarda z wyrzutem, co nie uszło bystrego oka góralskiego naczelnika.

- Wzywa go natychmiast - powtórzył z silnym naciskiem.

Waverley zwrócił się do pułkownika.

- Zobaczmy się jeszcze - rzekł. - Tymczasem wszelkie możliwe udogodnienia...

- Nie pragnę żadnych - odpowiedział pułkownik. - Chcę dzielić los najskromniejszego z tych dzielnych ludzi, którzy w dniu klęski woleli wybrać rany i niewolę niż ucieczkę: zamieniłbym się nieledwie na miejsce z jednym z tych, którzy polegli, bylebym mógł być pewien, że słowa moje wywarły na panu odpowiednie wrażenie.

- Proszę pilnować pułkownika Talbota z największą starannością - zwrócił się Fergus do góralskiego oficera dowodzącego strażą nad jeńcami. - Tak brzmi wyraźny rozkaz, księcia, gdyż jest to jeniec wyjątkowej wagi.

- Ale proszę, niech mu nie brakuje żadnych udogodnień, odpowiednich jego randze - dodał Waverley.

- Zawsze o tyle tylko, o ile się to zgadza z wymaganiami bezpieczeństwa - powtórzył Fergus.

Oficer skłonił się na znak, że wypełni oba rozkazy, Edward zaś poszedł za Fergusem

do bramy ogrodowej, gdzie czekał na nich Callum Beg z trzema osiodłanymi końmi.

- Koni - rzekł Fergus wsiadając - jest teraz tyle, co jagód w lesie; każdy mieć ich może, ile tylko zechce, byle zdołał je schwytać. Pójdź, niech ci Callum dociągnie strzemiona i dalejże w drogę do Pinkie-House tak żwawo, jak tylko nas te - *ci-devant*⁹² dragońskie rumaki ponieść zechcą.

⁹² *ci-devant (franc.)* - były, niegdyś będący,

Mówiący o sprawach błahych

- Zawrócił mnie z drogi - mówił Fergus do Edwarda, podczas gdy galopowali z Preston do Pinkie-House - posłaniec z listem od księcia. Ale przypuszczam, że ty sam wiesz, jaką wartość ma dla nas jako jeniec ten wielce szanowny pułkownik Talbot. Uważany jest za jednego z najlepszych oficerów pomiędzy czerwonymi kurtkami, a cieszy się szczególnymi łaskami samego elektora i tego straszliwego bohatera, księcia Cumberland⁹³, którego odwołano z pola chwały pod Fontenoy, by przybył tu i pożarł nas, biednych górali, żywcem. Pewnie opowiadał ci, jak dzwonią dzwony u św. Jakuba. Czy czasem nie: „Wracaj, wracaj „Whittingtonie”⁹⁴, jak one dzwony z Bow w zamierzchłej przeszłości?

- Fergusie! - rzekł Waverley spojrzawszy nań z wyrzutem.

- Doprawdy nie wiem, co mam o tobie sądzić - odpowiedział naczelnik Mac-Ivor. - Chwiejesz się w prawo i w lewo za każdym powiewem myśli. Oto odnieśliśmy zwycięstwo nie mające równego sobie w dziejach - waleczność twoją, kto żyje, wynosi pod niebiosa, książę osobiście składa ci dzięki - wszystkie piękności Białej Róży chylą się przed tobą - a tymczasem ty, rycerskie bożyszcze tego dnia, kiwasz się na koniu niby baba jadąca z masłem na jarmark i wyglądasz jak półtora nieszczęścia.

- Martwi mnie śmierć biednego pułkownika Gardinera, który kiedyś był dla mnie bardzo dobry.

- To i cóż, pomartw się przez pięć minut, a potem bądź znów wesół; los jego dzisiejszy może jutro nam przypaść w udziale i cóż stąd? Najlepszą rzeczą po zwycięstwie jest zaszczytna śmierć, ale bądź co bądź stanowi ona gorsze z dwojga, więc też człowiek życzy jej raczej nieprzyjacielowi niż samemu sobie.

- A poza tym pułkownik Talbot uwiadomił mnie, że mego ojca i stryja, obu z mojej przyczyny, rząd kazał uwięzić.

- Złożymy kaucję, mój chłopcze, stary Andrzej Ferrara⁹⁵ poręczy za nich, a chciałbym ja widzieć, jak go pociągną do płatności przed Westminster-Hall!

- Oni już są na wolności, dzięki zabiegom łagodniejszej natury.

- Więc czegoś się smęci twój duch szlachetny, Edwardzie? Czy ty uważasz ministrów elektora za tak naiwnych, by w tej krytycznej chwili puścili na wolność nieprzyjaciół,

⁹³ ks. Cumberland - młodszy syn króla Jerzego II, dowódca wojsk ang. we Flandrii. Odwołany celem stłumienia powstania; zasłynął z bezwzględności w karaniu za udział w powstaniu jakobickim

⁹⁴ Whittington Richard - trzykrotny lord - major Londynu w XIII w. Z jego postacią wiąże się podanie: gdy opuszczał jako młodzieniec Londyn - w biciu dzwonów kościoła nad rzeką Tamizą usłyszał wezwanie do powrotu

⁹⁵ stary Ferrara Andrzej - tu przenośnia: szabla, miecz

których mieliby prawo uwięzić i skazać? Bądź przekonany, że albo nie mają twoim krewnym nic poważnego do zarzucenia, albo też boją się naszych przyjaciół, dzielnych kawalerów ze Starej Anglii. W każdym razie nie potrzebujesz się lękać o ich los, a my też znajdziemy sposób przesłania im wiadomości, żeś zdrow i cały.

Edward umilkł, ale rozumowanie to nie zadowoliło go. Niejednokrotnie już dotknęła go nieczułość, jaką zdradzał Fergus wobec tych nawet, których kochał, jeżeli troski ich nie odpowiadały jego chwilowemu nastrojowi, a zwłaszcza gdy nie szły one w parze z jego zamierzeniami.

Kawaler przyjął Waverleya ze zwykłą łaskawością i nie szczędził mu pochwał z racji okazanego męstwa. Następnie wziął go na stronę, rozpytując o pułkownika Talbota, a gdy dowiedział się już wszystkiego, co mu Edward mógł powtórzyć o jego osobie i stosunkach, tak mówił dalej:

- Muszę przyjąć, panie Waverley, że skoro tego pana łączą tak zażyłe stosunki z naszym godnym i zacnym przyjacielem, sir Everardem, i skoro jego małżonka pochodzi z domu Blandeville'ów, których przywiązanie do prawdziwych i lojalnych zasad Kościoła anglikańskiego jest ogólnie znane, tedy i jego własne uczucia nie mogą nam być nieprzychylne, jakkolwiek by przybrał maskę, stosując się do ducha czasu.

- Jeżeli mam sądzić po jego dzisiejszych słowach, pogląd mój na tę sprawę odbiega wielce od przypuszczeń waszej królewskiej wysokości.

- To nic, warto zawsze spróbować. Dlatego powierzam panu opiekę nad pułkownikiem Talbotem, z prawem postępowania z nim, jak pan uzna za najstosowniejsze, i mam nadzieję, że znajdzie pan sposób upewnienia się, jak on się w rzeczywistości odnosi do sprawy powrotu na tron naszego królewskiego ojca.

- Jestem przekonany - odpowiedział Waverley z ukłonem - że jeśli pułkownik Talbot zechce dać parol⁹⁶, można na nim bezpiecznie polegać; gdyby jednakże odmówił, ufam, że wasza królewska wysokość powierzy zadanie obciążenia go koniecznymi rygorami komu innemu niż bratankowi jego przyjaciela.

- Nie chcę nikomu prócz pana zlecać opieki nad nim - rzekł książę z uśmiechem, ponawiając stanowczo swój rozkaz - ważne jest dla mnie zachowanie pozorów, że pomiędzy wami istnieje porozumienie, nawet gdyby pan nie potrafił pozyskać jego pełnego zaufania. Dlatego przyjmie go pan na swoją kwaterę, a jeżeli nie zechce związać się słowem, musi się pan postarać o odpowiednią straż. Proszę, niech się pan tym zajmie niezwłocznie. Jutro wracamy do Edynburga.

Odesłany w ten sposób w okolice Preston, Waverley nie mógł być obecny przy

⁹⁶ parol (z franc.) - słowo

uroczystym akcie hołdu barona Bradwardine. Tak mało jednak w danej chwili obchodziły go wszelkie próżności, że zupełnie zapomniał o ceremonii, którą Fergus tak się go starał zaciekać. Następnego dnia wszelako podawano sobie z rąk do rąk gazetę, zawierającą szczegółowe sprawozdanie z bitwy pod Gladsmuir, jak górale nazywali swoje zwycięstwo. Kończyło się ono opisem dworskiego przyjęcia, wydanego przez Kawalera w Pinkie-House, a wśród innych kwiecistych szczegółów zawierało, co następuje:

„Od czasu owego nieszczęsnego traktatu, który zniszczył Szkocję jako państwo niezależne, nie mieliśmy szczęścia widzieć jej monarchów przyjmujących ani szlachty składającej akty feudalnego hołdu, które w oparciu o wspaniałe czyny szkockiej waleczności odnawiają pamięć jej zamierzonych dziejów wraz z męską i rycerską prostotą węzłów, wiążących z Koroną tych wojowników, co ją tylokrotnie podtrzymywali i chronili. Jednakże wieczór dnia dwudziestego odświeżył wspomnienia nasze obrazem jednej z tych ceremonii, które należą do starodawnych dni świetności Szkocji. Gdy utworzono *cercie*, Cosmo Comyne Bradwardine z dóbr tegoż miana, pułkownik na służbie itd., itd., stanął przed księciem w towarzystwie pana D. Macwheeble, intendenta jego starożytnej baronii Bradwardine (który, jak nam wiadomo, został ostatnio mianowany komisarzem), i w formie prawem przepisanej prosił o pozwolenie oddania osobie Jego Królewskiej Wysokości - działającej tu w zastępstwie Ojca - zwyczajowej posługi, mocą której przez nadanie Roberta Bruce przedstawione w oryginale do wglądu członkom Kancelarii Jego Królewskiej Wysokości petent dzierżył baronię Bradwardine i włości Tully-Veolan.

Skoro prośba ta została przyjęta i wniesiona do rejestru. Jego Królewska Wysokość oparł nogę na poduszce, baron Bradwardine zaś, przyklękawszy na prawe kolano, zabrał się do rozwiązywania rzemienia u kierpca, czyli góralskiego trzewika o niskim obcasie, jaki nasz waleczny młody bohater nosi przez sympatię dla swoich dzielnych stronników. Gdy to zostało dokonane. Jego Królewska Wysokość oświadczył, że zwyczajowi stało się zadość, a uściskawszy dzielnego weterana, zapewnił go, że jedynie uległość względem zarządzenia Roberta Bruce mogła go skłonić do przyjęcia, choćby tylko w charakterze symbolicznym, pomocy służebnej z rąk, które tak dzielnie walczyły o przywrócenie korony jego Ojcu. Baron Bradwardine wziął wtedy z rąk pana komisarza Macwheeble dokument prawny, głoszący że wszystkie punkty i okoliczności aktu hołdu zostały *rite et solenniter acta et peracta*⁹⁷ po czym odpowiedni zapis został wniesiony do protokołu Lorda Podkomorzego i do dziennika Kancelarii. Rozumiemy, że jest zamiarem Jego Królewskiej Wysokości - po upewnieniu się, że zgodne jest to z wolą Jego

⁹⁷ *rite et solenniter acta et peracta* (łac.) - według uroczystego porządku wykonane

Królewskiej Mości - podnieść pułkownika Bradwardine do godności pana z tytułem Wicehrabiego Bradwardine z Bradwardine i Tully-Veolan; tymczasem zaś Jego Królewska Wysokość raczył w imieniu Ojca swego udzielić mu zaszczytnego dodatku do rodowego herbu, w postaci pachołka do butów skrzyżowanego z gołą szablą, który to emblemat ma być umieszczony na prawej połowie tarczy, wraz z dewizą u spodu, zawierającą słowa: »Cięgnij, aż ściągniesz«.

„Gdybym nie pamiętał szyderstw Fergusa - pomyślał Waverley przeczytawszy ten długi i poważny dokument - jakże inaczej brzmiałoby to wszystko! Nawet by mi może nie przyszło na myśl wiązać tego z pojęciem śmieszności! Bo też, co prawda, każda rzecz ma swoją jasną i ciemną stronę; toteż nie widzę powodu, dlaczego by pachołek do butów barona nie miał zająć w heraldyce równie poczesnego miejsca, jak przeróżne wiadra, wozy, kola, lemiesz, czółenka tkackie, świeczniki i inne przybory, nie mające nic wspólnego z rycerskim rzemiosłem, a pojawiające się przecież w herbach najstarszej naszej szlachty”.

Ale to stanowi tylko epizod głównego naszego opowiadania.

Gdy Waverley za powrotem do Preston odszukał pułkownika Talbota, zastał go już uspokojonego po silnym i widocznym wzruszeniu, w jakie wprowadził go zbieg niemiłych wydarzeń.

Gdy go Waverley powiadomił o decyzji Kawalera, pułkownik tak mu odpowiedział:

- Nie przypuszczałem, że będę miał tyle do zawdzięczenia temu młodemu człowiekowi. Będę przynajmniej mógł szczerze modlić się wraz owym zacnym prezbiteriańskim duchownym⁹⁸, aby „Skoro przyszedł pomiędzy nas, szukając ziemskiej korony, mógł być co rychlej wynagrodzony za trudy swe koroną niebieską”. Chętnie daję słowo, że nie będę się starał uciec bez pańskiej wiadomości, skoro przecież dla odnalezienia pana przybyłem do Szkocji - rad też jestem, że mi się to udało, choćby w takich okolicznościach. Coś mi się wydaje, że ten dzielny Kawaler życzy sobie, bym się nawrócił na twoją wiarę; że zaś ja podobne żywię pragnienia wobec ciebie - nic tedy właściwszego, jak danie nam sposobności do wspólnych gawęd. Jednakże zważywszy, że mówiłem dzisiaj pod wpływem uczuć, jakim rzadko daję się ponieść, daruje mi pan, jeśli nie pierwej powrócę do omawiania spraw spornych, aż się lepiej trochę zdołamy poznać.

⁹⁸ zacny prezbiteriański duchowny - mowa o duchownym nazwiskiem Mac-Vicar, który będąc przeciwnikiem Stuartów, modlił się w ten sposób (przytoczony w tekście) w Edynburgu w obecności stuartystów, którzy zajęli miasto

Rozdział LI

Intrygi polityczne

Nie będziemy tu opisywali tryumfalnego wjazdu Kawalera do Edynburga po decydującej bitwie pod Preston.

Waverley, zmuszony towarzyszyć pułkownikowi Talbotowi, z konieczności opóźnił przybycie swoje do stolicy.

Podróż odbywali razem konno i przez czas pewien, jak gdyby dla wybadania wzajemnych uczuć i myśli, rozmawiali o rzeczach ogólnych i potocznych.

Gdy Waverley poruszył znowu temat, który „mu najbardziej leżał na sercu, a mianowicie sprawę ojca swego i stryja, pułkownik Talbot teraz raczej pragnął ulżyć mu niż zwiększać jego niepokój. Okazało się to szczególnie, gdy usłyszał historię Waverleya, z którą mu się tenże bez wahania zwierzył.

- A zatem - rzekł pułkownik - nie było w tym pana nieopatrzonym kroku „złośliwego zamiaru”, jakby się prawnik wyraził; zostałeś pan wciągnięty w służbę tego włoskiego błędnego rycerza kilku grzecznymi frazesami, usłyszczanymi od niego samego i od paru jego góralskich popleczników. Wygląda to z pewnością smutno i niemądrze, ale bez porównania mniej groźnie, niż mogłem się tego obawiać. Mimo wszystko, dezercji nie może pan popełnić nawet wobec Pretendenta. Przynajmniej w obecnej chwili jest to niemożliwe. Nie wątpię jednak, że wśród nieporozumień i sporów, jakie z pewnością wybuchną w tym niejednolitym zbiorowisku dzikich i awanturniczych ludzi, nadarzy się zapewne sposobność, przy której będziesz mógł wywikłać się honorowo z tego nierozważnego zobowiązania, zanim bańka mydlana pęknie. Gdyby się to udało przeprowadzić, chciałbym, aby pan udał się do bezpiecznej miejscowości we Flandrii, którą panu wskażę. Albo sądzę też, że potrafiłbym uzyskać od rządu amnestię dla pana po kilkumiesięcznym pobycie za granicą.

- Nie mogę zgodzić się na to, pułkowniku - odpowiedział Waverley - by pan roztaczał tu jakieś plany oparte na opuszczeniu przeze mnie przedsięwzięcia, w które, być może, wdałem się nierozważnie, ale bądź co bądź dobrowolnie i z zamiarem dotrwania do końca.

- Skoro krępuje mnie pan w mowie - rzekł pułkownik Talbot z uśmiechem - to niech mi pan przynajmniej pozostawi swobodę myśli i nadziei. Ale czy pan dotąd nie zajrzał jeszcze do tej swojej tajemniczej paczki?

- Jest ona w moim bagażu - odpowiedział Edward - odnajdziemy ją więc w Edynburgu.

Do Edynburga przybyli niebawem. Na wyraźny rozkaz księcia wyznaczono Waverleyowi kwatery w ładnym mieszkaniu, gdzie znalazło się też pomieszczenie dla pułkownika Talbota. Edward przystąpił natychmiast do zbadania kuferka, z którego po niedługich poszukiwaniach wypadła spodziewana paczka. Otworzył ją co prędzej. W białej kopercie, zaadresowanej krótko: „Do Pana E. Waverleya”, znalazł szereg otwartych listów. Na wierzchu leżały dwa pisma pułkownika Gardinera skierowane do niego. List noszący wcześniejszą datę zawierał dobrotliwe i łagodne upomnienia za zaniedbanie rady pułkownika dotyczącej rozporządzenia czasem w okresie urlopu, którego raz już odroczony termin, jak o tym przypominał kapitanowi Waverleyowi, niebawem miał upłynąć. „Gdyby było inaczej - pisał - wiadomości nadchodzące z zagranicy, jako też instrukcje otrzymane z ministerstwa wojny byłyby mnie zmusiły do odwołania tego urlopu, ponieważ od czasu klęski we Flandrii zachodzi wielkie niebezpieczeństwo zarówno obcej inwazji, jak i powstania wśród niezadowolonych w kraju. Toteż usilnie proszę, by Pan wracał co prędzej do siedziby pułku; z przykrością muszę dodać, że jest to tym niezbędnniejsze, że w Pańskim oddziale pojawiły się pewne oznaki niezadowolenia, których szczegółowe zbadanie odkładałam do czasu, gdy będę mógł skorzystać z Pańskiej pomocy”. I Drugi list, o tydzień późniejszy, pisany był w takim tonie, jakiego można się było spodziewać wobec tego, że pułkownik nie otrzymał odpowiedzi na swój pierwszy list. Przypominał on Waverleyowi jego obowiązki jako człowieka honoru, oficera i Anglika; podkreślał rosnące niezadowolenie wśród jego ludzi i stwierdzał, iż - jak słyszano - niektórzy z nich wspominali, że sam kapitan podnieca i pochwała ich buntownicze zapędy; na koniec piszący wyrażał najwyższy żal i zdziwienie, że Waverley nie usłuchał rozkazu powrócenia do głównej kwatery, a przypominając o odwołaniu urlopu, zaklinał go w stylu łączącym ojcowską troskę z naganą zwierzchnika, by naprawił błąd swój, wracając do pułku natychmiast...Chcąc mieć pewność - kończył - że list ten istotnie Pana dojdzie, wysyłam go przez kaprala Timsa z Pańskiego szwadronu z rozkazem oddania go do własnych rąk Pańskich”.

Czytając te listy, Waverley zmuszony był ukorzyć się z uczuciem wielkiej goryczy w duszy przed pamięcią zacnego ich autora; z pewnością bowiem, skoro pułkownik Gardiner miał wszelkie powody przypuszczać, że listy te do rąk jego doszły, a nie odniosły skutku, nie mógł on postąpić inaczej, niż wysyłając owo trzecie wezwanie, które Waverley istotnie w Glennaquoich otrzymał, jakkolwiek zbyt już późno; by móc się doń zastosować. To zaś, że został pozbawiony szarży w następstwie rzekomej niesubordynacji, nie było bynajmniej zarządzeniem ostrym i surowym, ale po prostu nieuniknionym.

Następny list, który otworzył, pochodził z pułku od majora, który uwiadamił go, że

po okolicy rozeszła się wieść ubliżająca jego dobrej sławie. Opowiadano mianowicie, że niejaki pan Falconer z Balihopple, czy coś w tym rodzaju, wznosił w obecności Edwarda toast uwłaczający monarsze, który on, Waverley, przyjął milczeniem, chociaż afront dla rodziny królewskiej był tak wielki, że ktoś z towarzystwa, nie odznaczający się bynajmniej zbyt dużą gorącością uczuć względem rządu, uznał za konieczne podjąć tę sprawę; jeśli więc dać wiarę temu opowiadaniu, kapitan Waverley ścierpiał, by człowiek postronny i stosunkowo mało zainteresowany uczuł się dotknięty obrazą skierowaną bezpośrednio przeciw niemu, jako oficerowi, i aby z obrażającym go stoczył pojedynek. Major kończył zapewnieniem, że żaden z kolegów kapitana Waverleya nie może uwierzyć w tę skandaliczną historię, lecz wedle ich, jednomyślnego zdania zarówno oczyszczenie jego własnej czci, jak i honoru całego pułku wymaga złożenia przezeń niezwłocznie osobistego zaprzeczenia - i tak dalej, i tak dalej.

- I cóż pan o tym wszystkim myśli? - zapytał pułkownik Talbot, któremu Waverley podał listy po przeczytaniu ich.

- Co myślę? Tu niepodobna myśleć. Tu można oszaleć!

- Uspokój się, mój miły przyjacielu! Zobaczmy jeszcze, co zawierają tamte dalsze brudne świstki.

Na pierwszym widniał adres: „Dla Pana W. Ruffina to pismo. Kochany Panie, niektórzy z naszych smyków nie chcą na to iść, chociażem im mówił, żeś mi Pan pokazywał własną pieczętkę dziedzica. Ale Tims odda Panu listy, tak jak Pan sobie życzył, i powie staremu Ejdamowi, że oddał je dziedzicowi do własnych rąk, jako że to przecież na jedno wychodzi; wszystko będzie gotowe na dany znak, a teraz niech żyje Wysoki Kościół Sachefrel⁹⁹, jak to ojciec śpiewają na dożynkach.

Z uszanowaniem

sługa H. H.

Dopisek. Niech Pan powie dziedzicowi, że bardzo tęsknimy za jakim słowem od niego i żeśmy markotni, że sam nie pisze, a porucznik Butler jest jakiś niewyraźny”.

- Ten Ruffin to z pewnością sam pański Donald z Pieczary, który przejmował te listy i korespondował z tym biedakiem Houghtonem, rzekomo w pańskim imieniu.

- Wydaje się to aż nadto prawdopodobne. Lecz któż to może być Ejdam?

- Bardzo być może, że oznacza to biednego Adama Gardinera, którego imię przekręcono dla żartów.

Reszta listów była podobnej treści, niebawem też otrzymali dokładniejsze

⁹⁹ Wysoki Kościół Sachefrel - sierżant pisał list błędną ortografią. Sachefrel - powinno być Sacheverell - torysowski kaznodzieja w Kościele anglikańskim, którego wigowie w 1715 roku oskarżyli o podburzanie ludności. Nazwisko kaznodziei stało się hasłem bojowym dla jakobitów

wyjaśnienie machinacji Donalda Bean.

Jan Hodges, jeden ze służących Waverleya, który pozostał w pułku i został wzięty do niewoli pod Preston, stanął teraz przed nim. Odszukał on swego pana z zamiarem powrotu do jego służby. Od niego to dowiedziano się, że w jakiś czas po opuszczeniu przez Waverleya kwatery pułku pewien kramarz wędrowny, nazwiskiem Ruthven, Ruffin czy Rivane, żołnierzom zaś znany jako „Chytry Will”. często odwiedzał miasto Dundee. Posiadał on, jak się zdaje, dużo pieniędzy, towary swoje sprzedawał bardzo tanio, zawsze był gotów częstować znajomych w piwiarniach i łatwo wszedł w dobre stosunki z wieloma podkomendnymi Waverleya, zwłaszcza z sierżantem Houghtonem i niejakim Timsem, także podoficerem. Przed nimi to wyjawiał w imieniu Waverleya plan porzucenia pułku i połączenia się ze swym komendantem w górach, gdzie - jak wieść niesła - klany w znacznej sile chwyciły już za broń. Ludzie ci, wychowani w duchu jakobickim, jeśli w ogóle mieli jakieś przekonania polityczne, a wiedzący o tym, że pan ich, sir Everard, zawsze uchodził za wyznawcę tych zasad, łatwo dali się wciągnąć w pułapkę. To, że Waverley był gdzieś daleko w górach, starczyło za wymówkę, by listy doń kierować za pośrednictwem kramarza, a widok jego dobrze znanej pieczętki nadawał cechę wiarygodności prowadzonym w jego imieniu ustnym pertraktacjom, gdyż pisanie mogło być w tych warunkach niebezpieczne. Intryga jednakże zaczęła wychodzić na jaw skutkiem przedwczesnych buntowniczych odezwań się zamieszanych w nią żołnierzy. „Chytry Will” dowiódł, że słusznie nosi to przezwisko, bo skoro tylko zrodziły się podejrzenia, znikł bez śladu.

Gdy ogłoszono rozkaz o zwolnieniu Waverleya, znaczna część jego żołnierzy zbuntowała się rzeczywiście, lecz otoczyła ich i rozbroiła reszta pułku. Wyrokiem sądu wojennego Houghton i Tims skazani zostali na rozstrzelanie, lecz później pozwolono im ciągnąć losy o życie. Pozostały przy życiu Houghton okazał wielką skruchę, przekonany wymówkami i wyjaśnieniami pułkownika Gardinera, że istotnie dał się wciągnąć w brzydką sprawę. Rzecz ciekawa, że gdy tylko biedaczysko w to uwierzył, nabrał też od razu przekonania, że podburzający działał bez upoważnienia Edwarda; dał temu wyraz mówiąc: „...leżeli to była sprawa nieczysta i szkodząca Starej Anglii, dziedzic nic o tym nic mógł wiedzieć, bo nigdy nie postąpił ani nie zamierzał postąpić nieuczciwie - ani on, ani sir Everard, ani nikt przed nimi; toteż żyć będę i umrę w przeświadczeniu, że Ruffin wszystko to zrobił na własną rękę”.

Siła przekonania, z jaką wyrażał się o tej sprawie, jako też zapewnienia, że listy do Waverleya oddane zostały Ruthvenowi, sprowadziły ten przewrót w opinii pułkownika Gardinera, z jakim się nie taił przed Talbotem.

Czytelnik dawno zrozumiał, że Donald Bean Lean odegrał w tej sprawie rolę

kusiciela. Pobudki jego tak by można w krótkości określić: jako człowiek ruchliwego i intryganckiego usposobienia, od dawna bywał on używany w charakterze podrzędnego agenta i szpiega przez zaufanych Kawalera - a to w stopniu, jakiego nawet nie podejrzewał Fergus Mac-Ivor, którego Donald Bean, chociaż zobowiązany mu za osłonę, bał się i nie lubił, żeby mieć powodzenie w tej politycznej działalności, szukał on, rzecz jasna, sposobności do wybicia się jakimś śmiałym posunięciem ponad obecny hazardowy i niepewny zawód rabusia. Używano go zwłaszcza do badania siły pułków w Szkocji, oceny charakteru oficerów oraz do innych podobnych spraw, od dawna miał też na oku szwadron Waverleya. Donald wierzył nawet, że sam Waverley zaangażowany był w gruncie rzeczy w sprawę Stuartów, co na pozór potwierdzał długi jego pobyt u jakobity, barona Bradwardine.

Kiedy więc Edward przybył do jego pieczary w towarzystwie bliskiego Glennaquoichowi człowieka, rozbójnik - niezdolny ocenić istotnej jego pobudki, jaką była prosta ciekawość - wyobraził sobie, że jego własne talenty mają być wyzyskane do jakiejś ważnej intrygi pod przewodnictwem tego bogatego, młodego Anglika. Nie rozczarowało go to nawet, że Waverley pominął milczeniem wszelkie jego napomknienia i próby doprowadzenia do wyjaśnień. Takie postępowanie wydało się Donaldowi Bean przezorną rezerwą i trochę go uraziło, przypuszczał bowiem, że nie dopuszcza się go do spisku zapowiadającego może wtajemniczonym znaczne korzyści; toteż postanowił wziąć udział w rozgrywce bez względu na to, czy przeznaczono mu w niej czynną rolę, czy też nie.

Z tym zamiarem przywłaszczył sobie podczas snu Waverleya jego pieczętę, a żeby mieć w rękę znak do użycia wobec tych żołnierzy, o których mógłby sądzić, że cieszą się zaufaniem swego kapitana. Pierwsza jego podróż do Dundee, gdzie pułk miał swoją kwaterę, przekonała go, że łudził się w swym pierwotnym przypuszczeniu, niemniej jednak otworzyła mu nowe pole działania. Wiedział, że dla przyjaciół Kawalera najwyższą wartość stanowi przeciągnięcie części regularnej armii pod jego sztandary. W tym też celu rozpoczął machinacje znane już czytelnikowi, a będące kluczem do zrozumienia wszelkich zawłości i niejasności związanych z okresem poprzedzającym opuszczenie Glennaquoich przez Waverleya.

Za radą pułkownika Talbota Waverley odmówił zatrzymania w swej służbie chłopca, którego świadectwo rzuciło dodatkowe światło na te intrygi. Pułkownik przedstawił mu, że zrobiłby krzywdę temu człowiekowi wciągając go w takie desperackie przedsięwzięcie, z drugiej zaś strony, świadectwo jego mogło przyczynić się w pewnej mierze do wyjaśnienia okoliczności, w jakich sam Waverley do niego przystąpił. Toteż Waverley napisał do stryja i do ojca krótkie sprawozdanie o tym, co zaszło, przestrzegając ich jednakże, by w obecnych warunkach nie próbowali na ten list odpowiadać. Następnie

Talbot dał młodemu człowiekowi list do komendanta jednego z wojennych okrętów angielskich krążących po zatoce, w którym prosił go o wysadzenie oddawcy na ląd w Berwick i o udzielenie mu przepustki do rodzinnego hrabstwa. Zaopatrzonego chłopca w pieniądze potrzebne do odbycia spiesznej podróży i polecono mu dostać się na pokład okrętu z pomocą przekupionej łodzi rybackiej - co też, jak się później dowiedziano, przyszło mu z łatwością.

Mając już dosyć usług Calluma Beg, który, jak przypuszczał, otrzymał polecenie szpiegowania jego postępów, Waverley wynajął w charakterze służącego prostego edynburskiego chłopaka, który przypiął sobie białą kokardę w przystępie melancholii i zazdrości, ponieważ Jessie Jop tańczyła przez całą noc z kapralem Bullock z pułku fizyliarów¹⁰⁰.

¹⁰⁰ fizylier - żołnierz pieszy, uzbrojony w broń palną; nazwa pochodząca z XVI w. stosowana była do lekkiej piechoty Intrygi towarzyskie i miłosne

Rozdział LII

Intrygi towarzyskie i miłosne

Pułkownik Talbot zachowywał się wobec Waverleya serdeczniej od czasu wysłuchania jego zwierzeń, a że z konieczności wiele przebywali razem, Waverley coraz wyżej zaczynał cenić zalety pułkownika. Raziła go w nim z początku pewna szorstkość w zdecydowanym wyrażaniu antypatii lub krytyki, chociaż w ogólnych kwestiach łatwo się dawał przekonywać. Przyzwyczajenie do sprawowania władzy nadało też jego obejściu pewną surową stanowczość, pomimo gładkości nabytej przez obcowanie z wyższymi sferami. Poza tym posiadał on rozległą wiedzę i wytworny smak, choć nie był też bynajmniej wolny - jak już wspominaliśmy - od tych uprzedzeń, do których tak są skłonni Anglicy.

Edward poznawał stopniowo charakter pułkownika Talbota; na skutek bowiem bezowocnego oblężenia zamku edynburskiego powstała zwłoka w działaniach górali trwająca kilka tygodni, podczas których Waverley mało miał do roboty i mógł się oddawać rozrywkom towarzyskim. Namawiał też nowego przyjaciela, by zapoznał się bliżej z gronem jego zażyłych znajomych. Pułkownik jednak po paru wizytach potrząsnął głową i odmówił dalszych eksperymentów. Co prawda poszedł nawet dalej i scharakteryzował barona jako najnieznośniejszego formalistę i pedanta, jakiego miał nieprzyjemność poznać, naczelnika zaś z Glennaquoich - jako sfrancuziałego Szkota, łączącego całą chytrą i układność narodu, wśród którego się chował z dumnym, mściwym i niespokojnym usposobieniem cechującym kraj jego rodzinny...Gdyby sam diabeł - mówił - szukał sobie pomocnika celem zwichrzenia tego nieszczęsnego kraju, myślę, że nie mógłby znaleźć nikogo odpowiedniejszego niż ten awanturnik równie czynny i giętki, jak złośliwy, za którym w ślepych posłuszeństwie idzie banda tych drapichrustów, których się panu spodobało tak bardzo podziwiać”.

I damy z tego towarzystwa również nie usłyszy jego krytyki. Przyznawał, że Flora Mac-Ivor jest piękną kobietą, a Róża Bradwardine ładną dziewczyną. Zarzucał jednak Florze, że wrażenie swej piękności psuje przez nadużywanie górnych tonów, którymi się prawdopodobnie zaraziła na owym rzekomym dworze w St. Germain¹⁰¹. Co się tyczy Róży Bradwardine, uważał, że żaden śmiertelnik nie potrafiłby podziwiać takiego niewyrobionego stworzenia, w którym odrobina wiedzy tak samo nie była przystosowana do jej płci i wieku, jak to, że ukazałaby się mając na sobie jako całe ubranie - stary ojcowski mundur wojskowy. Otóż do tak srogich sądów przyczyniały się wielce

¹⁰¹ dwór w St. Germain - jedna z francuskich rezydencji królewskich w pobliżu Paryża

zniechęcenie i uprzedzenie zacnego pułkownika, w oczach którego biała kokarda na piersiach, biała róża we włosach i Mac na początku nazwiska zdolne byłyby anioła nawet zmienić w diabła; i rzeczywiście, przyznawał nawet żartobliwie, że nie mógłby znieść widoku samej Wenus, gdyby ją zaprezentowano w salonie jako „Pannę Mac-Jowiszównę”.

Waverley, rzecz prosta, na młode te osoby innymi patrzył oczyma. W okresie oblężenia prawie codziennie składał im wizyty, chociaż z żalem widział, że starania jego o względy Flory równie małe robiły postępy, jak wojska Kawalera oblegające fortecę. Flora surowo przestrzegała nałożonej sobie reguły traktowania go z obojętności;!, choć nie starała się wywoływać wrażenia, że go unika lub lęka się z nim przestawać. Każde jej słowo i każde spojrzenie było ściśle dostosowane do tego systemu; tak więc ani przygnębienie Waverleya, ani też ledwie hamowany gniew Fergusa nie mogły sprawić, by poświęciła Edwardowi więcej uwagi niż tego wymagała najprostsza uprzejmość. Z drugiej strony Róża Bradwardine stopniowo rosła w pojęciu Waverleya. Miał on nieraz sposobność zauważyć, że w miarę jak niezwykła nieśmiałość jej zanikała, zachowanie jej nabierało szlachetniejszego piętna; podniecające warunki życia w tych burzliwych czasach zdawały się wywoływać pewną godność uczuć i wyrażań, której przedtem nie zauważył; nie zaniedbywała przy tym żadnej możliwości rozszerzenia swej wiedzy i wykształcenia smaku.

Flora Mac-Ivor nazywała Różę swoją uczennicą i starannie dopomagała jej w nauce oraz w wyrabianiu zarówno smaku, jak i umysłu. Każdy baczny obserwator byłby zauważył, że w obecności Waverleya o wiele gorliwiej starała się wykazać balety przyjaciółki niż swoje własne. Obie te kobiety, niby dwie wytrawne artystki, wybornie wykonywały swe role, odgrywając je ku zachwytowi widowni; toteż prawie niemożliwe było dostrzec, iż Starsza stale odstępowała przyjaciółce te zadania, które może lepiej odpowiadały jej własnym talentom.

Dla Waverleya jednakże Róża Bradwardine posiadała urok, jakiemu niewielu tylko mężczyzn oprzeć się potrafi, a mianowicie zainteresowanie tym wszystkim, co jego dotyczyło. Za młoda była i zbyt niedoświadczona, by ocenić pełną siłę tej stałej uwagi, jaką go darzyła. Ojciec jej nadto abstrakcyjnie pogrążał się w uczone i militarne dyskusje, by móc jej zajęcie się Edwardem zauważyć, a Flora Mac-Ivor nie płoszyła jej uwagami, ponieważ rozumiała, że w ten tylko sposób przyjaciółka jej może zyskać w końcu nadzieję zdobycia wzajemności.

Prawdą bowiem jest, że w pierwszej zaraz rozmowie po ich spotkaniu Róża bezwiednie zdradziła się ze stanem swoich uczuć przed swą przenikliwą i inteligentną przyjaciółką.

Od tej chwili Flora nie tylko postanowiła odrzucić ostatecznie starania Waverleya, ale poczęła zabiegać o to, by jeśli to możliwe, przeniósł je na przyjaciółkę. Nie wpłynęło też na zmianę jej projektów, że brat raz po raz, pół żartem, pół serio, wspominał o zamiarze starania się o pannę Bradwardine. Wiedziała ona, że Fergus ma prawdziwie kontynentalne poglądy na instytucję małżeństwa i że nie oddałby nawet aniołowi ręki swej inaczej niż dla umocnienia stosunków oraz wzmożenia wpływów i bogactwa.

Chociaż Flora szczerze przywiązana była do brata, którego wielka energia mogła budzić jej podziw, nawet niezależnie od węzłów, jakie ich łączyły, nie ulegała jednak zaślepieniu co do jego wad, które uważała za niebezpieczne dla kobiety upatrującej szczęście małżeńskie w spokojnym zażywaniu wzajemnego towarzystwa i wymianie obopólnego głębokiego uczucia. Prawdziwe zaś usposobienie Waverleya, pomimo jego rojeń o życiu w polowych namiotach i o wojskowym honorze, wykazywało w gruncie rzeczy zamiłowaniu domatora. Nie pociągał go udział w ruchliwych scenach, toczących się stale dokoła niego, a dyskusje o spornych pretensjach, prawach i interesach, które często odbywały się w jego obecności, raczej nudziły go, niż zajmowały. Wszystko to dowodziło, że jest on człowiekiem zdolnym uszczęśliwić osobę taką jak Róża, odpowiadającą mu upodobaniami.

Flora zwróciła kiedyś uwagę na tę cechę charakteru Waverleya w rozmowie z panną Bradwardine:

- Życie przedsiębiorcze i pełne niebezpieczeństw nie jest stworzone dla Waverleya. Nigdy nie mógłby stać się podobnym do sławnego swego dziada, sir Nigela, a nadaje się tylko do opiewania go w poezji. Ja ci powiem, moja droga, gdzie on będzie czuł się dobrze i na swoim miejscu - oto w cichym kółku domowego szczęścia, wygodnej uczoneści i wytwornych rozrywek w Waverley-Honour. Odnowi w najwyszukańszym gotyckim stylu starą bibliotekę, której półki zapełni najrzadszymi i najcenniejszymi tomami, i będzie tam rysował plany i krajobrazy, pisując też wiersze, wznosząc świątynie i kopiąc groty; w jasną noc letnią stanie na ganku pod kolumnadą i przyglądać się będzie jeleniom błądzącym w noc księżycową albo leżącym w cieniu gałęzi wielkich, starych, fantastycznych dębów. Wygłaszając tam wiersze swojej pięknej żonie, przytulonej do jego ramienia, czuć się będzie człowiekiem szczęśliwym.

„A ona będzie szczęśliwą kobietą” - pomyślała biedna Róża. Ale westchnęła tylko i nie ciągnęła dalej rozmowy.

Rozdział LIII

Fergus w roli starającego się

Wejrząwszy bliżej w stan rzeczy na dworze Kawalera, Waverley nie miał powodu do zadowolenia. Podobnie jak w żołądździ tkwią już w zarodku wszystkie rozgałęzienia przyszłego dębu, tak i mały ten dwór mieścił w sobie posiew wszelakich niesnasek i intryg, których starczyłoby dla dworu wielkiego imperium. Każda wybitniejsza osoba - miała tam swój cel własny, zmierzając do niego z namiętnością, którą Waverley uważał za zupełnie niewspółmierną z ważnością samego celu.

Prawie wszyscy mieli jakieś powody do niezadowolenia, chociaż najbardziej uzasadnione było rozgoryczenie czcigodnego starego barona, który martwił się wyłącznie przebiegiem spraw ogólnych.

- Nigdy chyba - powiedział pewnego ranka do Waverleya, gdy razem przyglądali się zamkowi - nie zdobędziemy już tego oblężniczego wieńca, który, jak panu o tym wiadomo, uwity był z pędów rośliny tkwiącej korzeniami swymi w obleganej warowni, a będącej może różą jerychońską, zwaną też *parietaria*; nie zdobędziemy wieńca, powiadam, przez samą tylko blokadę, czyli zbrojne otoczenie edynburskiego zamku. - Na poparcie tego poglądu przytoczył szereg' uczonych i wyczerpujących wywodów, na których powtórzeniu czytelnikowi pewnie wcale nie zależy.

Wyrwawszy się staremu panu. Waverley udał się na umówioną godzinę do mieszkania Fergususa, by tam oczekiwać jego powrotu z pałacu Holyrood.

- Mam na jutro wyznaczoną specjalną audiencję - powiedział Waverleyowi Fergus dnia poprzedniego - a ty musisz przyjść do mnie i powinszować mi powodzenia, na które liczę z całą pewnością.

Nazajutrz tedy Waverley zastał w mieszkaniu naczelnika chorążego Maccombich, który pragnął zdać raport ze służbowych oględzin rowu przeprowadzonego pod wzgórzem zamkowym, a nazwanego podkopem. Niebawem doleciał ich ze schodów głos naczelnika, wezbrany niecierpliwością i gniewem:

- Callum... cóż to! Callum Beg... Do diabła!

Wszedł do pokoju z wszelkimi oznakami człowieka miotanego najgwałtowniejszą pasją, a na niewielu tylko twarzach wściekłość mogła zaznaczać się wyraziściej. Gdy był tak wzburzony, żyły na czole nabrzmiewały mu, nozdrza rozdymały się, policzki i oczy nabiegały krwią, a wzrok przypominał opętańca. Te objawy na pół stłumionej wściekłości były tym straszniejsze, że widocznie wynikały z potężnego wysiłku, jakim starał się opanować niepohamowany prawie paroksyzm furii, a świadczyły o najokropniejszej

wewnętrznej walce, wstrząsającej całym jego organizmem.

Wchodząc do mieszkania, odpiął szablę i cisnął ją z taką gwałtownością, że broń potoczyła się na drugi koniec pokoju.

- Nie wiem, co mnie wstrzymuje - zawołał - od najuroczystszej przysięgi, że nigdy już tej szabli nie dobędę w jego sprawie... Nabij moje pistolety, Callum, i przynieś je tu natychmiast! Natychmiast!

Callum, którego nic nigdy nie mogło przestraszyć, zdziwić ani wytrącić z równowagi, posłuchał rozkazu z całym spokojem. Evan Dhu, na którego twarzy podejrzenie doznanej przez naczelnika obrazy wywołało odpowiednią burzę, dyszał w chmurnym milczeniu, czekając na wiadomość, gdzie i na kim wywarta zostanie zemsta.

- Tak więc, Waverleyu, jesteś tutaj - przemówił naczelnik po chwilowym namyśle. - Przypominam sobie istotnie, że cię prosiłem, byś przyszedł podzielić mój tryumf, a teraz oto jesteś świadkiem... mojego zawodu, jeśli wolno tak to nazwać.

Gdy Evan przedstawił mu trzymany w ręku, piśmienny raport, Fergus odrzucił go od siebie z wściekłością.

- Dałby Bóg - rzekł - żeby ta stara buda zawałała się na głowy tych głupców, co ją atakują, i tych łotrów, co jej bronią!... Jak widzę, Waverleyu, sądzisz, że zwariowałem... zostaw nas, Evanie, ale bądź w pobliżu.

- Pułkownik jest trochę nieswój - zwróciła się pani Flockhart do Evana, gdy ten zszedł na dół. - Chciałabym, żeby przyszedł do siebie... a toż żyły na czole wystąpiły mu jak powrozy; czy nie chciałby napić się czego?

- On zwykle krew sobie puszcza, gdy przyjdzie taki atak - odpowiedział mędrzec góralski z wielkim spokojem.

Po wyjściu Evana z pokoju naczelnik stopniowo opanował się w pewnej mierze.

- Wiem, Waverleyu - rzekł - że pułkownik Talbot nauczył cię przeklinać po dziesięć razy na dzień godzinę, w której związałeś się z nami; nie zaprzeczaj mi, bo w tej chwili ja sam gotów bym przeklinać, żem się w to wdał. Czy uwierzysz, że dziś rano zaniósłem dwie prośby do księcia, a on odrzucił je obie? I cóż ty na to?

- Cóż ja mogę myśleć - odpowiedział Waverley - skoro jeszcze nie wiem, o co prosiłeś?

- Ale zrozumże, człowieku, nie ma tu znaczenia, o co prosiłem! Powiadam przecież, że to ja prosiłem, ja, któremu on więcej zawdzięcza niż którymkolwiek trzem innym spośród tych, co stanęli pod jego sztandarem; wszak to ja zorganizowałem całą sprawę i wciągnąłem wszystkich tych ludzi z Perthshire, którzy inaczej nie byłiby palcem kiwnęli. Zdaje mi się, że nie zaliczam się do tych, co potrafią stawiać nierozsądne żądania - a gdyby nawet tak było, dla mnie można by zrobić wyjątek... No tak, dowiesz się teraz o

wszystkim, skoro mogę już wreszcie nabrać tchu... Pamiętasz sprawę mojego patentu hrabiowskiego? Nosi on datę sprzed kilku lat, a nadany był za wyświadczone wówczas usługi; dalsze moje zachowanie chyba co najmniej nie umniejszyło moich zasług! Otóż ja sobie tę śmieszną koronę hrabiowską nie więcej cenię niż jakikolwiek filozof na mym miejscu, uważam bowiem, że naczelnik takiego klanu, jak *Sliochd nan Ivor*, wyższy jest rangą od każdego szkockiego hrabiego. Miałem jednak szczególny powód, by chcieć ten przeklęty tytuł przybrać właśnie teraz. Gdy się o tym dowiedziałem przypadkowo, książe nalegał na tego starego, niemądrego barona Bradwardine, by wydziedziczył męskiego swego sukcesora - jakiegoś tam kuzyna w dziewiętnastym czy dwudziestym stopniu, który przyjął dowództwo w milicji elektora hanowerskiego - i dobra swoje przeniósł na twoją ładną przyjaciółeczkę. Różę; a na to, ponieważ to jest rozkaz króla i zwierzchnika jego pana, mogącego dowolnie zmieniać lennicze nadania, stary pan zdaje się chętnie godzić.

- A co by się wtedy stało z aktem hołdowniczym?

- Pał sześć ten hołd!... Zdaje mi się, że Róża miałaby ściągać pantofelek królowej w dniu koronacji czy coś podobnego. Otóż widzisz, Róża Bradwardine byłaby dla mnie i dawniej partią ze wszech miar odpowiednią, gdyby nie ta idiotyczna predylekcja¹⁰² jej ojca do sukcesora męskiego; przyszło mi więc na myśl, że teraz nie byłoby już żadnej przeszkody, chyba że baron zażądałby przybrania przez zięcia nazwiska Bradwardine (co, jak wiesz, byłoby dla mnie nie do przyjęcia); otóż tego szkopułu uniknęłoby się, gdybym przyjął tytuł, do którego mam przecież pełne prawo, usunęłoby to wszelkie trudności.

- Ależ, Fergusie - rzekł Waverley - nie miałem pojęcia, że żywisz głębsze uczucia względem panny Bradwardine, gdyż z jej ojca zawsze się wyśmiewasz.

- Mam tyle uczucia dla panny Bradwardine, mój zacny chłopcze, ile uważam, że potrzeba go mieć dla przyszłej pani mojego domu i matki moich dzieci. To bardzo ładna, inteligentna dziewczyna i niewątpliwie pochodzi z jednej z najpierwszych rodzin na Nizinach, a gdy ją Flora trochę wyuczy i ułoży, będzie się bardzo dobrze prezentowała.

- A czy prosileś barona lub samą Różę o wyrażenie na to zgody?

- Po co miałbym to czynić? Gdybym mówił z baronem przed objęciem mojego tytułu, wywołałbym tylko przedwczesną drażniącą dyskusję na temat zmiany nazwiska, podczas gdy jako hrabia Glennaquoich mógłbym mu po prostu zaproponować, by swego przeklętego niedźwiedzia z pachołkiem do butów umieścił na równorzędnym polu herbowym albo też dołączył jako godło dodatkowe czy nawet na oddzielnej tarczy - jak bądź, byle nie przynieść ujmy mojemu własnemu herbowi. A co do Róży, nie rozumiem,

¹⁰² predylekcja - tu: upodobanie

co by ona mogła mieć przeciw temu, gdyby jej ojciec był zadowolony.

- Może to samo, co twoja siostra ma przeciw mnie, chociaż ty jesteś zadowolony.

Fergus szeroko otworzył oczy słysząc to porównanie, wstrzymał się jednak od cisnącej mu się na usta odpowiedzi.

- Ach, bylibyśmy to wszystko bez trudu załatwili! Tak więc wystarałem się o prywatną audiencję, którą naznaczono mi na dziś rano, ciebie zaś zaprosiłem tutaj, licząc na to w mej głupocie, że wystąpisz jako mój druhba. A teraz słuchaj: wymieniam moją pretensję - on mi jej nie zaprzecza - obietnice tylokrotnie powtarzane, patent udzielony - on to uznaje. Teraz ja proponuję, w logicznym następstwie, że zacznę używać tytułu przyznanego mi patentem - on zaś śmie mi odrzec, do oczu mi to powiada, że mój patent chwilowo jeszcze nie może być ogłoszony, boby to dotknęło tego łotra, tchórza i nicponia (tu nazwał rywalizującego z nim naczelnika swego własnego klanu), który nie ma większego prawa do stanowiska naczelnika niż ja do godności cesarza chińskiego, a który raczy osłaniać swe podle zwlekanie ze zbrojnym wystąpieniem, ze dwadzieścia razy już przyrzekany, pozorem zazdrości o szczególną okazywaną mi przez księcia łaskę. I żeby ten nędznik, błazen nie miał czym pozorować swojego tchórzostwa, książe odwołuje się do mojej osobistej względności i prosi mnie, zaiste, żebym go w obecnej chwili nie przynaglił do spełnienia tego słusznego i sprawiedliwego żądania. I ufaj tu książętom w takich warunkach!

- Czy na tym skończyła się twoja audycja?

- Czy się skończyła? O, nie! Z całym spokojem, na jaki mogłem się zdobyć - bo, wierzaj mi, drżałem z pasji - przedstawiłem specjalne powody, dla których pragnąłbym, by jego królewska wysokość zażądał ode mnie innego dowodu posłuszeństwa i wierności, gdyż ten właśnie, choć skądinąd mało ważny, w mojej obecnej sytuacji życiowej stawał się ciężką ofiarą; wtedy też wytłumaczyłem mu cały mój plan.

- I cóż książe na to odpowiedział?

- Co odpowiedział? Ano - całe szczęście, że gdzieś napisano: „Nie przeklinaj króla nawet w myśli” - odpowiedział, że rad jest prawdziwie, iż mu się zwierzyłem, gdyż może dzięki temu uchronić mnie od poważniejszego zawodu, zapewniając mnie pod książęcym słowem, że panna Bradwardine rozporządziła już swymi uczuciami, a on specjalnie przyrzekł jej dopomóc. „Tak więc, mój drogi Fergusie, powiedział z najmiłszym swoim uśmiechem, skoro małżeństwo to jest zupełnie wykluczone, nie potrzebujemy też spieszyć się z hrabiowskim tytułem”. Tym sposobem wyśliznął się, zostawiając mnie z niczym.

- I cóżżeś zrobił?

- Powiem ci, co potrafiłbym zrobić w owej chwili - potrafiłbym zaprzedać się diabłu

albo elektorowi, a mianowicie temu, który by zapewnił mi sroższą zemstę. Ale teraz już ochłonąłem. Wiem, że on zamierza wydać ją za któregoś z tych swoich łotrzyków Francuzów albo irlandzkich oficerów, ale ja ich będę dobrze pilnował i niech się strzeże ten, który by mi ją chciał odbić! *Bisogna coprirsi, signore*¹⁰³.

Rozmawiali jeszcze przez czas jakiś o bardziej obojętnych sprawach, po czym Waverley pożegnał naczelnika, którego furia przedzierzgnęła się teraz w głębokie i silne pragnienie zemsty. Waverley wracał do domu, zaledwie zdolny zdać sobie sprawę z zamętu, jaki opowiadanie Fergususa obudziło we własnej jego duszy.

¹⁰³ *Bisogna coprirsi signore* (włosk.) - trzeba udawać, panie

Rozdział LIV

„Niezdolny do wytrwania w jednym stałym dążeniu”

- Jestem prawdziwie kapryśnym dzieckiem - powiedział sobie Waverley, gdy zaryglowawszy drzwi swego pokoju zaczął przemierzać go szybkimi krokami. - Co mi do tego, że Fergus Mac-Ivor pragnie ożenić się z Różą Bradwardine? Ja jej przecież nie kocham - mogłem może zostać przez nią pokochany, ale odrzuciłem jej proste, serdeczne przywiązanie, zamiast rozdmuchać jej w płomień żywszego uczucia - i oddałem się tej, która nigdy żadnego śmiertelnika nie pokocha, chyba że zmartwychwstanie stary Warwick¹⁰⁴, twórca królów. Co do barona - to ja nie byłbym dbał o jego dobra, więc też nazwisko nie stanęłoby na przeszkodzie. Niechby sobie sam diabeł brał te puste torfowiska i ściągał królewskie *caligae*, cóż by mnie to mogło obchodzić? Ale taką, jaka ona jest, stworzona do tkliwości rodzinnej w domowym kółku, do okazywania i przyjmowania tych czułych, delikatnych starań, które osładzają życie tym, co je razem spędzają, chce teraz wziąć za żonę Fergus Mac-Ivor. Nie będzie się z nią źle obchodził, to pewna - do tego nie jest zdolny - ale zaniedba ją po pierwszym miesiącu; za bardzo będzie przejęty rywalizacją z innym naczelnikiem albo kopaniem dołków pod jakimś dworskim faworytem, zdobywaniem pagórkowatego wrzosowiska i jeziora czy wreszcie powiększaniem swojej bandy o jakiś nowy oddział rabusiów, by dbać o to, GO ona robi albo jak się czuje.

A wtedy smutku rak w jej kwiat się wgrzyzie¹⁰⁵.

Urodę spędzi z jej pobladłej twarzy

Aż zamieniona w jakieś widmo blade

I wytrawiona gorączką, przygaśnie

I umrze...

A takiej katastrofy najmilsze w świecie stworzenie mogłoby uniknąć, gdyby pan Edward Waverley miał oczy... Słowo daję, nie rozumiem, jak mogłem uważać, że Flora jest piękniejsza - o tyle piękniejsza od Róży. Jest wyższa, to prawda, i ułożenie jej jest wykwintniejsze, ale wiele ludzi uważa, że panna Bradwardine jest naturalniejsza, a już z

¹⁰⁴ Warwick Richard (1428-1471)- potężny magnat, zwany „twórcą królów”, działający za czasów wojny Białej i Czerwonej Róży na rzecz dynastii York (Biała Róża), z którą był spowinowacony. Osadził na tronie ang. Edwarda IV swego siostrzeńca.

¹⁰⁵ A wtedy smutku rak... itd. - słowa z dramatu Szekspira *Król Jan III*

pewnością jest o wiele młodsza. Sądziłbym, że Flora musi być ze dwa lata starsza ode mnie - przypatrzę im się dokładnie dziś wieczór.

Z takim postanowieniem Waverley poszedł na herbatę (jak to „sześćdziesiąt lat temu” było w zwyczaju) do domu pewnej dystyngowanej damy, sprzyjającej sprawie Kawalera, gdzie zastał, jak się spodziewał, obie panie. Wszyscy wstali, gdy wchodził, jednak Flora natychmiast wróciła na swoje miejsce i do przerwanej rozmowy. Róża przeciwnie, prawie niedostrzegalnie posunęła się w ściśnionym kole, tak ażeby mógł przysunąć swe krzesło.

„Jej sposób bycia, wszystko razem biorąc, jest niezwykle miły” - powiedział sobie Waverley.

Powstał spór o to, który język, gaelicki czy włoski, jest płynniejszy i lepiej nadaje się do poezji; za gaelickim, który prawdopodobnie gdzie indziej nie byłby znalazł obrońców, przemawiała zapalczywie aż siedem dam z gór, wykrzykując do upadłego i ogłuszając towarzystwo przykładami dźwięczności celtyckiej mowy. Flora, widząc, że panie z Nizin uśmiechają się złośliwie na to porównanie, podała pewne uzasadnienie, dowodząc, iż nie jest to wcale tak niedorzeczne; gdy jednak spytano Różę o zdanie, ta żywo zaczęła wychwalać włoski, którego uczyła się z pomocą Waverleya.

„Ma ona lepsze ucho od Flory, chociaż mniej jest muzycznie wykształcona - pomyślał Waverley. - Przypuszczam, że panna Mac-Ivor zacznie wkrótce przyrównywać Mac-Murougha nan Fonn do Ariosta”.

Złożyło się tak wreszcie, że w towarzystwie powstała różnica zdań co do tego, czy prosić Fergusą, by zagrał na flecie (znał bowiem ten instrument), czy też Waverleya, by odczytał jaką sztukę Szekspira; pani domu uprzejmie podjęła się zbierania głosów za muzyką i za poezją, pod warunkiem, że ten z panów, z którego talentów towarzystwo nie skorzysta tego wieczora, nie omieszka ożywić nimi następnego. Zdarzyło się, że Różę przypadł głos decydujący. Flora, która wzięła sobie za zasadę nigdy nie popierać żadnej propozycji mogącej zachęcić Waverleya, głosowała przedtem za muzyką, z tym, że baron zechce akompaniować Fergusowi na skrzypcach.

„Winszuję pani gustu, panno Mac-Ivor - pomyślał Edward, gdy szukano książki. - Miałem o nim lepsze wyobrażenie, gdy byliśmy w Glennaquoich; bo też baron z pewnością nie jest wielkim wirtuozem, a Szekspira warto posłuchać”.

Wybrano „Romea i Julię”, a Edward odczytał kilka scen tej sztuki ze zrozumieniem, uczuciem i przejęciem. Całe towarzystwo wyraziło uznanie oklaskami, a niektórzy mieli łzy w oczach. Flora, która dramat ten dobrze знаła, należała do pierwszych; Róża, dla której był nowością, znalazła się wśród ostatnich.

„I uczucia ma ona więcej” - pomyślał Waverley w głębi duszy.

Gdy w rozmowie zaczęto rozważać wydarzenia sztuki i charaktery występujących w

niej osób, Fergus oświadczył, że jedyną postacią wybitną jest tu Mercutio¹⁰⁶ jako człowiek światowy i odważny.

Panie, rzecz prosta, oświadczyły się głośno za Romeem, chociaż nie brakło też głosów przeciwnych. Pani domu, poparta przez kilka innych dam, surowo ganiła łatwość, z jaką bohater przenosi uczucia swoje z Rozalindy na Julię. Flora milczała, dopóki jej kilkakrotnie nie poproszono o zdanie.

- Romeo jest przedstawiony - rzekła - jako młodzieniec szczególnie uczuciowo wrażliwy; miłość swoją z początku niesie w dani kobiecie, która jej odwzajemnić nie może, o czym on sam kilkakrotnie mówi:

Dziecięcy słaby łuk, miłości w niej nie budzi;

i znowu dalej:

Wyrzekła się miłości...

Skoro tedy było niemożliwe, ażeby miłość Romea, jako istoty rozumnej, miała trwać wiecznie bez nadziei, poeta z wielkim artyzmem uchwycił chwilę, gdy Romeo bliski jest rozpacz, i rzucił mu przed oczy przedmiot doskonalszy niż ta, która go odrzuciła, a nadto gotowy odwzajemnić jego uczucie.

- Czy mamy więc rozumieć, panno Mac-Ivor - przemówiła jedna z obecnych pań - że pani chciałaby nam odebrać nasz przywilej? Usiłuje nas pani przekonać, że miłość nie może istnieć bez nadziei, a zakochany musi się stać niewiernym, gdy pani jego serca jest okrutna? O, nie! Nie spodziewałam się tak mało sentymentalnego wniosku.

Zakochany, droga lady Betty - odpowiedziała Flora - może, nie przeczę temu, wytrwać w swoich staraniach nawet wśród bardzo zniechęcających okoliczności. Miłość potrafi niekiedy oprzeć się najsurowszym burzom, ale nie ostoja wobec długotrwałego chłodu niezmiennego obojętności. Nawet z pani powabami nie radziłabym próbować tego doświadczenia z kimś, na kim pani zależy. Miłość może żywić się najmniejszą odrobiną nadziei, ale całkowicie bez niej istnieć nie zdoła.

- Byłoby to zupełnie tak, jak z kobyłą Duncana Mac-Girdie, za pozwoleniem waszych dostojności - odezwał się Evan. - Chciał on ją stopniowo przyzwyczaić do obywatelstwa bez paszy, a właśnie gdy doszedł do tego, że dawał jej już tylko jedną słomkę na dzień, biedactwo zdechło.

Obrazowy przykład Evana pobudził wszystkich do śmiechu i rozmowa wzięła inny obrót. Wkrótce potem towarzystwo rozeszło się, a Edward wrócił do domu, dumając nad tym, co powiedziała Flora.

„Nie będę już dłużej kochał mojej Rozalindy - powiedział sobie. - Dała mi w tej

¹⁰⁶ Mercutio - postać ze sztuki Szekspira *Romeo i Julia*

mierze dosyć wyraźną wskazówkę: pomówię z jej bratem i zrezygnuję ze starań. Ale co do Julii - czy byłoby ładnie przeszkadzać zamiarom Fergususa?... Chociaż to niepodobna, żeby mu się miały powieść. A gdyby się nie powiodły, to co wtedy?... Ano cóż, wtedy zobaczymy”. I z postanowieniem, że postąpi wedle okoliczności, bohater nasz udał się na spoczynek.

Rozdział LV

Dzielny człowiek w strapieniu

Jeżeli nadobne czytelniczki uważają, że lekkomyślność mojego bohatera w miłości jest wprost nie do darowania, muszę im przypomnieć, że nie wszystkie zmartwienia jego i trudności płynęły z tego uczuciowego źródła. Nawet ów liryczny poeta, który z takim uczuciem żalił się na cierpienia miłosne, nie mógł zapomnieć o tym, że jednocześnie był „zadłużony i pijany”, co niewątpliwie zwiększało jego niedolę. Bywały więc dni całe, w ciągu których Waverley nawet nie pomyślał o Florze ani o Róży Bradwardine, spędzając je na smętnych przypuszczeniach co do stanu rzeczy w Waverley-Honour i co do wątpliwego wyniku wojny domowej, w którą się wmieszał. Pułkownik Talbot często wciągał go w dyskusję nad słusznością sprawy, przy której się opowiedział.

- Nie iżby było możliwe dla pana - mówił - porzucić ją w obecnej chwili, gdyż cokolwiek przyjdzie, „musisz wytrwać przy swym zbyt pochopnym zobowiązaniu. Ale pragnąłbym, by pan zrozumiał, iż słuszności nie masz za sobą, że walczysz przeciw prawdziwemu interesowi twej ojczyzny i że powinienesz, jako Anglik i patriota, skorzystać z pierwszej sposobności, by porzucić tę nieszczęsną wyprawę zanim bałwan śnieżny roztaje.

Waverley miał na to jedną tylko odpowiedź: że jeśli sprawa, którą przedsięwziął, jest niebezpieczna, tym większym wstydem byłoby ją porzucić. Tym zamykał zwykle usta pułkownikowi i udawało mu się zmienić przedmiot rozmowy.

Pewnej nocy, gdy przyjaciele rozeszli się po długiej tego rodzaju dyspacie, a nasz bohater położył się już do łóżka, zbudził go około północy powstrzymywany jęk. Zerwał się i nasłuchiwał: jęk ten płynął z pokoju pułkownika Talbota oddzielonego od jego pokoju jedynie przepierzeniem, w którym przebite były drzwi. Waverley zbliżył się do nich i wyraźnie usłyszał parę głębokich westchnień. Co to mogło znaczyć? Pułkownik pożegnał się z nim na pozór, ze zwykłym spokojem. Musiał chyba nagle zachorować. Pod tym wrażeniem otworzył drzwi bardzo cicho i ujrzał pułkownika siedzącego w szlafroku przy stole, na którym leżał list i obrazek. Podniósł szybko głowę, podczas gdy Edward stał niepewny, czy ma wejść, czy cofnąć się: Waverley spostrzegł, że policzki miał zwilżone Izami.

Jak gdyby zawstydzony, że okazał się tak podatnym do wzruszeń, pułkownik Talbot wstał, wyraźnie niezadowolony, i powiedział dość ostro:

- Sądzę, panie Waverley, że mój własny pokój i godzina mogłyby uchronić nawet jeńca od...

- Niech pan nie mówi od wtargnięcia, pułkownika Talbot: słyszałem jak pan ciężko oddychał, i przeląknęłam się, że pan może chory: jedynie to mogło mnie skłonić do wejścia tutaj...

- Jestem zdrow - odpowiedział pułkownik. - zdrow najzupełniej.

- Ale pan ma strapienia - rzekł Edward. - Czy można by coś na to poradzić?

- Nic, panie Waverley, myślałem tylko o domu i o pewnych przykrych sprawach, jakie tam zaszły.

- Wielki Boże! Czyżby mój stryj?! - zawołał Waverley.

- Nie, zmartwienie to jest moją osobistą sprawą. Wstyd mi, że pan widział, jak mnie to rozebrało, ale w pewnych chwilach trzeba sobie na to pozwolić, by móc w innych znosić to brzemień z godnością. Byłbym rzecz całą przed panem zataił, gdyż sądzę, że to pana zasmuci, a pociechy żadnej dać mi pan nie może. Ale zaskoczył mnie pan niespodziewanie i widzę, że sam jesteś zaskoczony, a w dodatku nie znoszę tajemnic. Przeczytaj pan ten list.

List był od siostry pułkownika Talbota i brzmiał jak następuje:

„Otrzymałam Twój list, najdroższy bracie, za pośrednictwem Hodgesa. Sir E. W. i pan R. są wciąż jeszcze na wolności, ale nie wolno im opuszczać Londynu. Jakżebym pragnęła móc Ci przesłać równie dobre nowiny o sprawach domowych. Jednakże wieść o tej nieszczęsnej przeprawie pod Preston doszła do nas z tym okropnym dodatkiem, że Ty sam poległeś. Wiesz, jaki był stan zdrowia Emilii, gdy przyjaźń dla sir E. skłoniła Cię do opuszczenia jej. Bardzo ją niepokoiły smutne wiadomości o wybuchu powstania, nadchodzące ze Szkocji, ale trzymała się dzielnie, mówiąc, że tak przystoi Twojej żonie - zwłaszcza przez wzgląd na przyszłego dziedzica, tak długo na próżno oczekiwanego. Niestety, mój drogi bracie, teraz rozwiały się te nadzieje! Pomimo całej mojej czujnej opieki nieszczęsna ta pogłoska zastała ją nie przygotowaną. Zasłała natychmiast i biedne dziecię zaledwie przeżyło swoje przyjście na świat. Dałby, Bóg, żeby się na tym skończyło! Choć jednak zaprzeczenie tej okropnej wiadomości, przez własny Twój list znacznie podniosło ją na duchu, lekarz obawia się, jak z przykrością muszę Ci wyznać, poważnych, a nawet niebezpiecznych następstw dla jej zdrowia, szczególnie w związku z niepewnością, w jakiej pozostać musi przez czas pewien, a którą pogarsza jeszcze pojęcie, jakie wytworzyła sobie o dzikości tych, u których przebywasz w niewoli.

Postaraj się więc, mój drogi bracie, jak tylko pismo to Cię dojdzie, uzyskać zwolnienie, czy to na słowo honoru, czy za kaucją, czy jakimkolwiek innym sposobem. Nie chcę przerażać Cię zbyt stanem zdrowia Emilii, ale nie mogę, nie śmiem ukrywać prawdy.

Zawsze, mój drogi Filipie, kochająca Cię szczerze siostra

Edward stał bez ruchu po przeczytaniu tego listu; wniosek bowiem był jasny, że to podróż pułkownika w jego poszukiwaniu wywołała tę dotkliwą klęskę. Była ona dostatecznie ciężka już przez to, co się nieodwołalnie stało, gdyż pułkownik Talbot i jego żona, długo bezdziejni, radowali się serdecznie nadzieją, teraz rozwianą. Zawód ten był jednak niczym w porównaniu z grożącym w przyszłości nieszczęściem, toteż Edward ze zgrozą myślał o tym, że sam stał się powodem wszystkiego.

Zanim zdążył opanować się na tyle, by móc przemówić, pułkownik Talbot odzyskał zwykły swój spokój, chociaż zamglony wzrok zdradzał jego wewnętrzzną mękę.

- Jest to kobieta, mój młody przyjacielu, która może usprawiedliwić nawet łyż żołnierza. - Tu podał mu miniaturę ukazującą twarz w istocie godną tej pochwały. - A jednak. Bóg mi świadkiem, podobizna ta słabe tylko daje pojęcie o wdzięku, jaki ona posiada... a może raczej posiadała... wszelako niech się dzieje wola Nieba...

- Pan musi uciekać - natychmiast uciekać stąd, by ją ratować. Nie jest jeszcze... nie może być za późno.

- Uciekać? Jak to możliwe? Jestem przecież jeńcem - za słowem honoru.

- Więc, jako strażnik pański, zwracam panu słowo; ja jestem odpowiedzialny za pana.

- Nie może pan tak postąpić w zgodzie ze swym obowiązkiem ani też ja nie mogę przyjąć od pana zwolnienia przez wzgląd na własny mój honor - wszak pociągnięto by pana do odpowiedzialności.

- Głową odpowiem za to, jeśli będzie trzeba - uniósł się Waverley. - Stałem się nieszczęsną przyczyną straty pańskiego dziecka, nie chciej mnie czynić mordercą twej żony.

- Nie, drogi Edwardzie! - rzekł Talbot ujmując go łagodnie za rękę. - Pod żadnym względem winić tu ciebie nie można; jeżeli ukrywałem od dwóch dni to rodzinne zmartwienie, robiłem to właśnie w obawie, byś przy swojej uczuciowej wrażliwości nie spojrzął na to w tym świetle. Nie mogłeś przecież myśleć o mnie, boś zaledwie wiedział o moim istnieniu, gdy opuszczałem Anglię, by cię szukać.

- Ale że też pan mógł opuścić lady Emilię - powiedział Waverley ze wzruszeniem - w położeniu tak nade wszystko dla męża ważnym, ażeby poszukiwać takiego...

- Spełniłem tylko obowiązek - odpowiedział pułkownik Talbot spokojnie - i nie żałuję, nic mam prawa tego żałować. Gdyby ścieżka wdzięczności i honoru zawsze była gładka i łatwa, mała byłaby zasługa, - tego który się jej trzyma; jakże zaś często bywa ona sprzeczna z naszym interesem i namiętnościami, niekiedy nawet wiodąc wbrew naszym najlepszym uczuciom! Są to ciężkie dopusty życiowe, a ten oto choć wyjątkowo gorzki (tu

łzy mimo woli napłynęły mu do oczu), nie jest pierwszym, jaki mi los przeznaczył;.. Ale pomówimy o tym jutro - rzekł ściskając ręce Waverleya. - Dobranoc staraj się zapomnieć o tym na parę godzin! Świta, zdaje mi się, o szóstej, a już druga minęła. Dobranoc!

Edward usunął się bez słowa odpowiedzi, gdyż nie ufał własnemu głosowi.

Rozdział LVI

Wysiętek

Pułkownik Talbot, wszedłszy nazajutrz rano do jadalni, dowiedział się od służącego Waverleya, że pan jego wyjechał bardzo wcześnie i dotychczas nie powrócił. Ukazał się dopiero w znacznie późniejszej porze. Wbiegł zadyszany ale z miną tak rozradowaną, że zadziwiło to pułkownika Talbota.

- Oto jest plon mojej porannej pracy - rzekł rzucając jakiś papier na stół. - Alick, pakuj rzeczy pułkownika.

Śpiesz się, śpiesz się!

Pułkownik przejrzał papiery w zdumieniu. Była to przepustka wystawiona przez Kawalera pułkownikowi Talbotowi do Leith albo innego portu będącego w posiadaniu wojsk jego królewskiej wysokości, celem udania się okrętem do Anglii lub dokąd tylko zechce, pod warunkiem zaręczenia słowem honoru, że nie będzie walczył przeciw domowi Stuartów przez okres jednego roku.

- Na Boga, jakże zdołałeś to otrzymać?! - zawołał pułkownik z błyszczącymi radośnie oczyma.

- Stawiłem się na *levee* Kawalera¹⁰⁷ ściśle o tej godzinie, kiedy on zwykle wstaje. Nie zastałem go, gdyż udał się do obozu w Duddingston. Pogoniłem tam za nim; poprosiłem o audiencję i otrzymałem ją - ale nie powiem ani słowa więcej, dopóki nie zobaczę, że pan zaczyna się pakować.

- Nie wiedząc nawet, czy mogę korzystać z tego paszportu i za jaką cenę został on udzielony?

- Ach, będzie pan przecież zawsze mógł na powrót rozpakować rzeczy. Teraz, kiedy już widzę, że się pan krząta, mogę mówić dalej. Gdy po raz pierwszy wspomniałem pańskie nazwisko, oczy zabłysły mu równie jasno, jak pańskie przed chwilą. Potem zapytał mnie z przejęciem, czy okazałeś jakie uczucia przychylnie jego sprawie. Odrzekłem, że nic podobnego i nie ma żadnej nadziei, żeby tak się stało. Wtedy posmutniał. Poprosiłem o wypuszczenie pana na wolność. „To niemożliwe” - odpowiedział; wobec znaczenia, które ci przypisuje jako zaufanemu przyjacielowi takich to a takich osobistości, prośba moja jest wprost szalona. Opowiedziałem mu historię własną i pańską i prosiłem, by uczuciem osądził, co ja przeżywać muszę. On ma serce, i to dobre serce, pułkownikowi Talbot, cokolwiek by pan o tym myślał. Wziął arkusz papieru

¹⁰⁷ *levee* Kawalera - (*leve* albo *lever*) - obyczaj przyjęty na dworze francuskim, polegający na obecności dworzan i przedstawicieli wysokich urzędów przy rannej toalecie monarchy

i napisał ten paszport własnoręcznie. „Nie będę zasięgał opinii mych doradców - rzekł - odwiedliby mnie od tego, co jest słuszne. Nie mogę ścierpieć, żeby przyjaciel ceniony tak, jak ja pana cenię, miał dźwigać ciężar przykrych wyrzutów, jakie musiałyby pana dręczyć w razie dalszych nieszczęść w rodzinie pułkownika Talbota; ani też nie chcę w takich warunkach trzymać w niewoli dzielnego nieprzyjaciela. A zresztą - dodał - sądzę, że się usprawiedliwię przed moimi przezornymi doradcami, mówiąc im o dobrym wrażeniu, jakie taka względność wywrze na umysłach wielkich angielskich rodów spokrewnionych z pułkownikiem Talbotem”

- Tu wreszcie ujawnił się polityk - zauważył pułkownik.

- Dobrze, ale w każdym razie zakończył w sposób godny królewskiego syna: „Weź pan ten paszport; dodałem warunek dla formy; ale jeżeli pułkownik się sprzeciwi, niech jedzie bez jakiegokolwiek poręki. Przybyłem tutaj walczyć z mężczyznami, a nie unieszczęśliwiać i przyprawiać o niebezpieczeństwo kobiety”.

- No, no, nigdy nie przypuszczałem, że będę miał tyle do zawdzięczenia Pretend...

- Księżciu - poprawił Waverley z uśmiechem.

- Kawalerowi - dokończył pułkownik. - To dobry pseudonim podróżny, którym obaj możemy z równą swobodą się posługiwać. Czy powiedział coś więcej jeszcze?

- Zapytał tylko, czy nie ma czegoś, czym by mnie mógł zobowiązać, gdy zaś zaprzeczyłem, uścisnął mi rękę mówiąc, że pragnąłby, by wszyscy jego stronnicy byli równie umiarkowani, niektórzy bowiem z moich przyjaciół proszą nie tylko o wszystko, co on dać może, ale także o wiele rzeczy leżących najzupełniej poza obrębem jego władzy, a nawet władzy największych monarchów świata. Istotnie, jak się wyraził, stał się on widocznie w oczach swoich stronników czymś w rodzaju bóstwa, jeśli sądzić po nadzwyczajnych prośbach, jakie codziennie do niego zanoszą.

- Biedny młodzieniec - rzekł pułkownik - przypuszczam, że zaczyna już odczuwać trudności swego położenia. No więc, drogi Waverleyu, to coś uczynił, jest więcej niż zacne i nie będzie ci zapomniane, dopóki Filip Talbot nie postrada pamięci. Moje życie... co tam! Niech ci Emilia za to podziękuje, a to jest dobrodziejstwo pięćdziesiąt razy więcej warte niż życie. W tych warunkach nie mogę się dłużej wahać i daję moje słowo: oto jest (tu wypisał formalne zobowiązanie)... A teraz, jak ja się stąd wydostanę?

- To wszystko już załatwione: bagaż spakowany, moje konie czekają, a nawet zamówiono za pozwoleniem księcia Łódź, która ma pana dowieźć na pokład fregaty *Lis*. Wysłałem po to umyślnie posłańca do Leith.

- Doskonale się składa. Kapitan Beaver to mój osobisty przyjaciel: wysadzi mnie na

ład w Berwick albo w Shieids¹⁰⁸. skąd mogę udać się pocztowymi końmi do Londynu; ty zaś musisz mi powierzyć tę paczkę papierów, które odzyskałeś z pomocą panny Bean Lean. Może będę miał sposobność użycia ich z korzyścią dla ciebie. Ale oto widzę twego góralskiego przyjaciela, Glen... - jakże brzmi to barbarzyńskie nazwisko? - a wraz z nim jego adiutanta, którego nie wypada mi już pewnie nazywać rzezimieszkiem. Co? Patrz, jak to on kroczy, jakby świat cały do niego należał, z czapką na bakier i z pledem wzdętym na piersi! Jakżebym chętnie spotkał się z tym młodzieńcem, gdybym nie miał rąk związanych; poskromiłbym jego pychę albo on by poskromił moją.

- Wstyd, wstyd, pułkowniku Talbot! Srożysz się na widok tartanu jak byk przed czerwoną płachtą. Pan i Mac-Ivor jesteście pod pewnymi względami coś niecoś do siebie podobni, zwłaszcza gdy chodzi o uprzedzenia narodowe.

Ostatnia część tej rozmowy prowadzona już była na ulicy. Minęli naczelnika; pułkownik i on wymienili oschły i ceremonialny ukłon, jak dwóch przeciwników w pojedynku, zanim staną na pozycji. Nie ulegało wątpliwości, że niechęć ich była wzajemna.

- Ile razy zobaczę tego chmurnego draba, co jak pies za nim chodzi - rzekł pułkownik siedząc już na koniu - przywodzi mi on wspomnienie pewnych wierszy, nie wiem gdzie zasłyszanych - chyba na scenie:

... a tuż za nim kroczy,
Posepny Bertram, jak za czarownikiem
Diabeł, naglący, by go wnet użyto.

- Zapewniam cię, pułkowniku - odpowiedział Waverley - że nazbyt surowo sądzisz górali.

- Ani trochę, ani trochę. Nie mogę nic z tego opuścić, nie mogę im nic darować. Niech sobie siedzą w tych swoich pustych górach, niech się nadymają, niech się puszą, niech nawet czapki swoje wieszają na rogach księżycy, jeśli im się tego zachce, ale co oni tu mają do roboty, po co schodzą pomiędzy ludzi, którzy noszą spodnie i mówią zrozumiałym językiem. Nazywano go zrozumiałym w zestawieniu z ich własnym szwargotem, bo i ci mieszkańcy Nizin niewiele lepiej władają angielskim od Murzynów z Jamajki¹⁰⁹. Odczuwam litość w sercu dla samego Pr... to jest Kawalera, który musi otaczać się takimi straceńcami.

- Ładnie pan opisze Szkocję za powrotem do domu, pułkowniku!

- Sędzia Shallow¹¹⁰ oszczędzi mi tego trudu. „Pustka, pustka, sami żebracy, sami

¹⁰⁸ Berwick albo Shields - najbliższej Szkocji położone angielskie porty

¹⁰⁹ Jamajka - wyspa (kolonia ang.) na Oceanie Atlantyckim

¹¹⁰ sędzia Shallow - przekupny sędzia ze sztuki Szekspira *Henryk IV*

żebracy. No tak, dobre powietrze” - a i to tylko wtedy, gdy wyjdzie się dosyć daleko poza Edynburg, a nie dotrze jeszcze do Leith, tak jak my.

Niebawem przybyli do portu morskiego.

Łódź się kołysze u brzegu,
Wiatr silnie ku morzu wieje;
Statek spod Berwick przepływa...¹¹¹

- Bywaj zdrów, pułkowniku, obyś zastał wszystko w takim stanie, jak sam tego pragniesz! Może spotkamy się wcześniej, niż się spodziewasz: przebakują o wyprawie do Anglii w najbliższym czasie.

- Nie mów mi nic o tym - rzekł Talbot - nie chce zawozić żadnych wiadomości o waszych ruchach.

- A więc po prostu, żegnaj! Zawieź ode mnie, pułkowniku, tysięczne najserdeczniejsze pozdrowienia sir Everardowi i ciotce Racheli, wyraż im moje najszczersze przywiązanie! Myśl o mnie tak życzliwie, jak tylko możesz, mów o mnie z taką pobłażliwością, na jaką ci sumienie twoje pozwoli - i raz jeszcze bywaj zdrów!

- A zatem żegnaj, drogi Waverleyu; dzięki ci, dzięki stokrotne za twoją dobroć! Ściągnij z siebie pled przy pierwszej sposobności! Zawsze myśleć będę o tobie z wdzięcznością, a najsurowszą moją krytyką będą te słowa: *Que diable allait-il faire dans cette galere?*¹¹²

Na tym rozstali się. Pułkownik Talbot wsiadł do łodzi, a Waverley powrócił do Edynburga.

¹¹¹ Statek spod Berwick przepływa itd. - wiersz szkockiego poety Roberta Burnsa (1759-1796). Walter Scott kilkakrotnie w tekście powieści cytuje wiersze powstałe później, niż się toczy akcja powieści

¹¹² *Que diable allait-il faire dans cette galere?* (franc.) - co u licha miał do roboty na tej galerze? - słowa z komedii Moliera *Szelmostwa Seapina*

Rozdział LVII

Marsz

Nie jest naszym zamiarem wkraczać w dziedzinę historii. Przypomnimy więc tylko czytelnikom, że mniej więcej z początkiem listopada młody Kawaler, na czele co najwyżej sześciu tysięcy ludzi, postanowił zaryzykować przedostanie się w głąb Anglii, chociaż wiedział o potężnych przygotowaniach czynionych na jego przyjęcie. Wyruszyli na tę krucjatę przy takim stanie pogody, który udaremniłby pochód wszelkich innych wojsk, ale który w rzeczywistości zapewniał dzielnym góralom wyższość nad mniej hartowanym nieprzyjacielem. Nie lękając się znacznie silniejszej armii, stojącej nad granicą pod marszałkiem Wade, obiegli oni i zdobyli Carlisle¹¹³, a wkrótce potem ruszyli dalej śmiałym wypadem ku południowi.

Ponieważ pułk Mac-Ivora maszerował na czele klanów, zarówno sam pułkownik, jak i Waverley, który teraz dorównywał góralom w wytrzymałości na trudy i już się trochę obznajmił z ich językiem, znajdowali się stale na przodzie. Każdy z nich jednak innym okiem oceniał postęp armii. Fergus, jak zawsze zapalony i bezgranicznie ufny we własne siły, nie liczył niczego poza tym, że każdy krok naprzód przybliży ich do Londynu. Nie żądał, nie oczekiwał ani nie pragnął żadnej pomocy chcąc, by osadzenie Stuartów na tronie było wyłącznie zasługą klanów; ilekroć zaś zdarzało się, że nowi stronnicy wstępowali pod ich sztandary, upatrywał w nich zawsze współzawodników do łask przyszłego monarchy, który, jak rozumował, będzie musiał uszczuplić na ich korzyść te obfite łupy, jakie powinny przypaść w udziale jego góralskim zwolennikom.

Sposób widzenia Edwarda był zupełnie odmienny. Nie mógł on nie zauważyć, że w miastach, gdzie proklamowali Jakuba III, „nikt nie zawołał: Szczęść mu Boże”¹¹⁴. Tłum gapił się i słuchał, bezduszny, ogłupiały i tępy, nie zdradzając nawet tego hałaśliwego ożywienia, które przy lada sposobności objawia okrzykami dla samej przyjemności ćwiczenia swych słodkich głosów. Jakobici wierzyli od dawna, że północno-zachodnie hrabstwa obfitują w bogatych właścicieli ziemskich i dzielnych kmieci oddanych sprawie Białej Róży. Jednakże tych bogatszych torysów nie było jakoś widać. Jedni uciekli z domów, niektórzy udawali chorych, inni widząc, że są podejrzani, zaniechali sporu. Z tych, którzy pozostali, mniej uświadomieni patrzyli ze zdziwieniem zmieszonym ze zgrozą i wstrętem na dziką powierzchowność szkockich klanów, mówiących niezrozumiałym językiem i dziwacznie przybranych. W oczach zaś ludzi bardziej

¹¹³ Carlisle-miasto angielskie w hrabstwie Cumberland

¹¹⁴ nikt nie zawołał: Szczęść mu Boże - słowa ze sztuki Szekspira *Ryszard II*

przewidujących szczupłą liczbą, wyraźny brak dyscypliny i ubogie wyekwipowanie powstańców stawały się pewną zapowiedzią niefortunnego zakończenia ich zuchwałego przedsięwzięcia. Ci więc nieliczni, którzy do nich przystępowali, powodowali się zaślepieniem politycznym lub rozpaczliwym stanem majątkowym, skłaniającym ich do postawienia wszystkiego na kartę sprawy tak bardzo niepewnej.

Gdy zapytano barona Bradwardine, co sądzi o tych nowych nabytkach, ten najpierw zażył potężny niuch tabaki, a potem odpowiedział oschle, że „może mieć o nich tylko jak najlepsze zdanie, ponieważ są dokładnie podobni do owych stronników, którzy przyłączyli się niegdyś do dobrego króla Dawida w jaskini Adullama¹¹⁵; *videlicet*¹¹⁶, sami ludzie strapieni, zadłużeni lub niezadowoleni, co Wulgata¹¹⁷ określa słowami »zgorzkniali na duchu«; niewątpliwie też - dodał - okażą się oni mocni w rękę, co wielce się przyda, gdyż widziałem niejedno rzucane na nas kwaśne spojrzenie”.

Rozważania takie wcale jednak nie wzruszyły Fergususa. Podziwiał bogate piękno kraju i położenie wielu siedzib pańskich, jakie mijali.

- Czy Waverley-Honour podobne jest do tego pałacu, Edwardzie?

- Jest o połowę większe.

- Czy park twego stryja jest równie piękny, jak ten oto?

- Przewyższa go trzykrotnie rozległością i raczej przypomina las niż zwykły park.

- A więc Flora będzie szczęśliwą kobietą.

- Nie wątpię, że panna Mac-Ivor mieć będzie wiele powodów do szczęścia, niezależnie od Waverley-Honour.

I ja mam nadzieję; ale okoliczność, że stanie się panią takiej siedziby, stanowić może w ogólnym rachunku wcale miły dodatek.

- Dodatek, którego brak, jak się tego spodziewam, będzie obficie wynagrodzony w jakiś inny sposób.

- Jak to? - przystając zwrócił się Fergus do Waverleya - Jak mam to rozumieć, panie Waverley? Czy miałem przyjemność dobrze cię usłyszeć?

- Zupełnie dobrze, Fergusie.

- Czy mam uważać, że pan nie pragniesz już związku ze mną i ręką mojej siostry?

- Twoja siostra odrzuciła moją rękę - odpowiedział Waverley - zarówno wprost, jak i wszelkimi sposobami, którymi kobiety zwykły odstręczać niemiłe sobie starania.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedział naczelnik - ażeby panna mogła

¹¹⁵ Adullam - twierdza skalista w Kanaan (dawna nazwa Palestyny)

¹¹⁶ *videlicet* (łac.) - a mianowicie

¹¹⁷ Wulgata - łaciński przekład Biblii na użytek Kościoła katolickiego, w znacznej części dokonany przez Św. Hieronima (ok. 331-420)

odepchnąć starającego się, a mężczyzna cofnąć swe oświadczyzny, jeżeli zostały one przyjęte przez jej prawnego opiekuna, któremu nie dano nawet możliwości omówienia sprawy z panną. Nie przypuszczałeś przecież chyba, że moja siostra wpadnie ci w usta niby dojrzała śliwka, z chwilą kiedy raczysz je otworzyć?

- Co do tego, czy ma prawo odprawić konkurenta, pułkowniku - odpowiedział Edward - musisz to omówić z nią samą, ponieważ ja nie znam zwyczajów góralskich w tym względzie. Ale co się tyczy mojego prawa do uznania jej odmowy bez uciekania się do twej interwencji - powiem wyraźnie, nic nie ujmując uznanej piękności ani zaletom panny Mac-Ivor, że nie przyjąłbym ręki anioła z dodatkiem królestwa w posagu, gdyby jej zgoda wymuszona była natrętnym naciskiem przyjaciół i opiekunów, a nie płynęła z jej własnej swobodnej skłonności.

- Anioła z królestwem w posagu - powtórzył Fergus tonem gorzkiej ironii - nikt by chyba nie narzucał angielskiemu szlachcicowi... Ale, mój panie - tu zmienił ton - chociaż Flora Mac-Ivor nie ma królestwa w posagu, jest jednakże moją siostrą, a to chyba zabezpiecza ją dostatecznie przed tym, by ktokolwiek odważył się traktować ją z lekkością.

- Jest Florą Mac-Ivor, panie - odpowiedział Waverley stanowczo - co dla mnie, gdybym nawet był zdolny jakąkolwiek kobietę traktować lekko, stanowiłoby o wiele skuteczniejszą obronę.

Czoło naczelnika zaległa ciężka chmura, ale Edward tak był oburzony niedorzecznym tonem, jaki Fergus przybrał, że nie starał się żadnym pojednawczym słowem zażegnać burzy. Stali obaj w miejscu podczas tej krótkiej rozmowy, a Fergus wydawał się bliski gwałtowniejszego jeszcze wybuchu, lecz wielkim wysiłkiem opanował wściekłość i, zwracając się twarzą w stronę drogi, ruszył chmurnie przed siebie. Ponieważ dotychczas chodzili razem i prawie nigdy się nie rozstawali, Waverley szedł przeto milcząc u jego boku, postanowiwszy pozostawić czasowi odzyskanie przez naczelnika spokoju, z którego tak nierozważnie go wytrącił, i nie ustąpić mu w swej godności ani na cal.

Gdy w ten sposób przeszli dobrą milę, Fergus podjął rozmowę w innym już tonie:

- Zdaje mi się, że się trochę uniosłem, mój drogi Edwardzie, ale ty mnie podrażniłeś brakiem znajomości świata. Uraziłeś się pewną wstrzemięźliwością Flory czyjej wygórowanymi pojęciami o lojalności, a teraz jak dziecko dąsas się na zabawkę, za którą płakałeś, a mnie, twego wiernego stróża, bijesz, ponieważ nie mogę sięgnąć aż do Edynburga, by ci ją podać. Doprawdy, jeśli się uniosłem, sprawiła to przykrość utraty rodzinnego związku z takim przyjacielem - wszak mówiono już o tym głośno tak w górach, jak na Nizinach - i to utraty bez zrozumienia właściwych przyczyn; mogłoby to najspokojniejszego człowieka rozdrażnić. Napiszę do Edynburga i naprawię wszystko -

oczywiście jeśli sobie życzysz, żebym to uczynił; a doprawdy nie mogę przypuszczać, żeby to dobre pojęcie o Florze, jakie przede mną tylokrotnie wyrażałeś, miało się tak nagle rozwiązać.

- Pułkownikowi Mac-Ivor - odpowiedział Waverley nie mając ochoty, by zapędzono go ponownie wbrew jego woli w sprawę, którą już uważał za skończoną - odczuwam w pełni wartość pańskiej życzliwej pomocy i z pewnością gotowość poparcia mnie w takiej sprawie czyni mi wielki zaszczyt. Skoro jednak panna Mac-Ivor z pełną swobodą dokonała wyboru i skoro wszystkie moje starania w Edynburgu przyjmowała więcej niż chłodno, nie mogę, chcąc być sprawiedliwym, tak względem niej, jak i samego siebie, zgodzić się, by ją znowu dręczono tą kwestią. Byłbym panu wspomniał o tym już dawniej, ale znając stosunki, jakie nas łączyły, musi pan to zrozumieć. Gdybym myślał, że jest inaczej, byłbym się wcześniej odezwał, niełatwo mi jednak było poruszać przedmiot tak dla nas obu przykry.

- Nie ma o czym mówić, panie Waverley - rzekł Fergus wyniośle. - Sprawa jest skończona. Nie widzę powodu narzucać siostry mej nikomu.

- Ani też ja nie pragnę ubiegać się o powtórny odmowę z ust tej samej panny - odpowiedział podobnym tonem Edward.

- Ja jednak mimo wszystko przeprowadzę odpowiednie badania - mówił dalej naczelnik nie zwracając uwagi na jego słowa - a gdy dowiem się, co moja siostra o tym myśli, zobaczymy, czy tak się to skończy.

- Co do tych badań postąpi pan oczywiście, jak sam uzna za stosowne - odpowiedział Waverley. - W moim rozumieniu nie wydaje się możliwe, by panna Mac-Ivor miała zmienić zdanie; a gdyby nawet zaszedł taki nieprawdopodobny przypadek, to pewne, że ja swojego nie zmienię.

Wspominam o tym tylko dla uniknięcia w przyszłości wszelkich nieporozumień.

Mac-Ivor byłby w tej chwili chętnie postawił ich spór na ostrzu szabli, oko zabłysło mu ogniem i zmierzył Edwarda takim wzrokiem, jak gdyby szukał, gdzie mu najlepiej zadać śmiertelny cios. Ale choć nie prowadzimy dzisiaj spraw honorowych według reguł i punktacji Carranzy czy Saviola¹¹⁸, jednak nikt lepiej od Fergususa nie wiedział o tym, że musi istnieć przyzwoity pretekst do śmiertelnego pojedynku. I tak wolno ci wyzwać człowieka, który nadepnął ci w tłumie na odcisk, popchnął cię ku ścianie lub zabrał ci miejsce w teatrze, ale współczesny kodeks honorowy nie przewiduje oparcia pretensji na prawie do zmuszenia człowieka, by dalej starał się o rękę twej krewnej, jeżeli piękna dama już raz odmówiła. Toteż Fergus musiał przełknąć domniemaną obrazę w nadziei,

¹¹⁸ Carranza i Saviola - pisarze: hiszpański i włoski. autorzy niezmiernie szczegółowych opisów o przebiegu technicznym pojedynków i spraw będących ich powodem

że kołowrót czasu, którego obroty postanowił pilnie śledzić, nie omieszka dać mu sposobnej okazji do zemsty.

Służący Waverleya prowadził zawsze dla niego na tyłach batalionu osiodłanego konia, chociaż pan jego rzadko z niego korzystał. Teraz jednak, oburzony na arbitralne¹¹⁹ i nierozsądne postępowanie byłego swego przyjaciela, Edward puścił przed siebie kolumnę, dosiadł konia i postanowił, odszukawszy barona Bradwardine, prosić go o przyjęcie na ochotnika do jego oddziału.

„Słodkie miałbym życie - pomyślał siedząc już w siodle - gdybym tak blisko był spowinowacony z tym wspaniałym okazem pychy, zarozumiałości i pasji. Pułkownik! Czemu nie generalissimus? Mały naczelnik trzystu czy czterystu ludzi! Ależ jego dumy starczyłoby dla chana tatarskiego - dla sułtana tureckiego - dla Wielkiego Mogoła¹²⁰! Jak to dobrze, że się uwolnił od niego! Choćby Flora była aniołem, zyskałbym w szwagrze istnego Lucypera ambicji i wściekłości”.

Baron, którego uczoność (podobnie jak dowcipy Sansza¹²¹ za pobytu w Sierra Morena¹²²) zaczynała rdzewieć w beczynności, z radością przyjął zgłoszenie się Waverleya, a z nim możliwość puszczenia w ruch swej erudycji. Poczciwy stary pan silił się jednak pogodzić niedawnych przyjaciół. Fergus chłodno przyjmował jego perswazje, choć wysłuchiwał ich z szacunkiem; Waverley zaś nie widział powodu, by robić pierwszy krok w celu wznowienia zażyłości, którą naczelnik tak nietaktownie zamącił. Wtedy baron wspomniał o całej sprawie księciu, który, lękając się waśni w swej małej armii, oświadczył, że sam wytknie Mac-Ivorowi niewłaściwość jego postępowania. Wobec jednak pospiesznego marszu zeszło dni parę, zanim znalazł sposobność wywarcia zamierzonego wpływu.

Waverley tymczasem zużytkował wiedzę nabytą w czasie służby w dragonach Gardinera i pomagał baronowi w dowództwie w roli adiutanta. „Pomiędzy ślepyimi jednooki król” - mówi przysłowie, toteż kawaleria, składająca się głównie z panów z Nizin oraz ich dzierżawców i służby, powzięła wysokie wyobrażenie o umiejętnościach Waverleya, obdarzając go jednocześnie wielkim przywiązaniem. Pochodziło to po części z zadowolenia, że dystyngowany ochotnik z Anglii porzucił górali i przeszedł do nich; istniała bowiem ukryta, lecz trwała uraza konnicy do piechoty, nie tylko z powodu różnicy w służbie, ale też dlatego, że większość panów mieszkających w pobliżu gór

¹¹⁹ arbitralne - orzekające bez apelacji

¹²⁰ Wielki Mogoł - tytuł nadawany pierwotnie przez Portugalczyków mahometańskim władcom państwa Delhi (Indie Wschodnie)

¹²¹ Sanszo - z Panszy, sługa Don Kichota towarzyszący mu w jego podróżach (Cervantes: *Don Kichot*)

¹²² Sierra Morena - łańcuch górski w Hiszpanii, miejsce, w którym Don Kichot przygotowywał się do zawodu rycerskiego

miewała raz po raz zatargi z sąsiadującymi klanami, wobec czego patrzyli oni zazdrosnym okiem na nie tajone pretensje górali do pierwszeństwa w służbie księcia.

Rozdział LVIII

Zamieszanie w obozie króla Agramanta¹²³

Waverley miał zwyczaj oddalać się niekiedy od głównej siły, by przyjrzeć się ciekawszym miejscom mijanym w drodze. Teraz więc, przejeżdżając przez hrabstwo Lancaster, opuścił na pół godziny szereg, zwabiony widokiem starej warownej budowli, którą postanowił naszkicować. Wracając stamtąd aleją, spotkał chorążego Maccombich. Człowiek ten powziął rodzaj szacunku dla Edwarda od pierwszej chwili, gdy go zobaczył w Tully-Veolan i zapoznał z górą. Wydawało się, jak gdyby kręcił się tam umyślnie, chcąc spotkać naszego bohatera. Skoro go jednak Edward mijał, przysunął się do jego strzemięcia i rzekł tylko: „Strzeż się pan!”, po czym szybko odszedł unikając dalszej rozmowy.

Edward, zaskoczony nieco tą przestrogą, powiódł zdziwionym wzrokiem za Evanem, który spieszenie zniknął za drzewami. Towarzyszący mu sługa, Alick Polwarth, popatrzył także za górą, po czym, podjechawszy bliżej do swego pana, powiedział:

- Mac-Ivory wbiły sobie do głowy, że pan obraził ich młodą dziedziczkę, pannę Flore, i słyszałem nawet, jak niejeden z nich mówił że rad by waszą dostojność zakatrupić niczym głuszca, a pan przecież dobrze wie, że u nich nie brak takich, co by jak nic posłali kulę samemu księciu, gdyby tylko naczelnik mrugnął albo nawet i bez tego, jeżeliby im się zdawało, że sprawią mu tym przyjemność.

Waverley, choć głęboko przekonany, że Fergus Mac-Ivor nie byłby zdolny do tak zdradzieckiego postępu, bynajmniej nie był tego pewny, co do jego popleczników. Wiedział, że gdy honor naczelnika albo jego rodziny zdawał się narażony na szwank, najszcześniejszym czułby się ten, kto by pierwszy zdołał pomścić krzywdę. Zanim jednak dojechał do końca alei, kula świsnęła mu koło ucha i rozległ się huk pistoletu.

- To ten diabli syn, Callum Beg - rzekł Alick. - Widziałem, jak czmychał przez zarośla.

Edward, słusznie oburzony tym zdradziecznym czynem, wyjechał galopem z alei i zauważył, że batalion Mac-Ivorów ciągnie niedaleko stamtąd łąką, do której aleja ta prowadziła. Ujrzał także jakiegoś człowieka pędzącego co sił dla dogonienia oddziału; przypuszczalnie był to ów niedoszły morderca, który, przeskoczywszy płot, mógł łatwo

¹²³ Zamieszanie w obozie króla Agramanta - przysłowiowe wielkie zamieszanie. Przysłowie to pochodzi z poematu Ariosta pt. *Orland Szalony* zawierającego opis oblężenia Paryża przez saraceńskiego króla Agramanta. Paryż broniony jest przez króla Franków Karola Wielkiego (742-814). W poemacie tym na skutek modłów Karola archanioł wznieca niezgodę i zamieszanie w obozie saraceńskim

dotrzeć do celu krótszą drogą niż konno. Nie mogąc się opanować Edward kazał Alickowi podjechać do barona Bradwardine jadącego na czele swego pułku o jakie pół mili przed nimi, by donieść mu o tym, co zaszło. Sam natychmiast pojechał do pułku Fergusa. Naczelnik zbliżał się doń właśnie, wracając konno ze służby u księcia. Ujrawszy nadjeżdżającego Edwarda, niezwłocznie skierował się ku niemu.

- Pułkownik Mac-Ivor - powiedział Waverley bez dalszych powitań - muszę pana uwiadomić, że jeden z pańskich ludzi strzelił do mnie z zasadzki.

- Ponieważ - odpowiedział Mac-Ivor - pomijając okoliczność wykorzystania zasadzki, jest to przyjemność, którą w tej chwili zachowuję dla siebie, byłbym rad wiedzieć, który z ludzi mego klanu ośmielił się mnie uprzedzić.

- Niewątpliwie służyć sobą będę, kiedy się panu spodoba. Człowiekiem, który przywłaszczał sobie to zadanie, jest służący pański, Callum Beg.

- Wystąp z szeregu, Callum! Czyś to ty strzelał do pana Waverleya?

- Nie - powiedział Callum, który nigdy się nie rumienił.

Fergus swym zwykłym, stanowczym tonem zażądał od Calluma, by pokazał mu pistolet; kurek jego był spuszczone, a gniazdko i wylot świeżo okopcone sadzą; nie ulegało wątpliwości, że strzał oddany był przed chwilą.

- Masz tutaj! - rzekł Fergus uderzając chłopca z całej siły ciężką rękojeścią pistoletu po głowie. - Masz za to, żeś działał bez rozkazu i starał się to przede mną zataić.

Callum bez mrugnięcia powieką otrzymał cios i padł, nie dając znaku życia.

- Stójcie spokojnie, jeśli wam życie miłe! - zwrócił się Fergus do reszty klanu. - Kula w łeb temu, kto wmiesza się do sprawy, jaką mam z panem Waverleyem.

Stali bez ruchu; jeden tylko Evan Dhu zdradzał oznaki rozdrażnienia i niepokoju. Callum leżał na ziemi, brocząc obficie krwią, ale nikt nie ważył się przyjść mu z pomocą. Zdawało się, że odniósł śmiertelną ranę.

- A teraz wróćmy do naszej sprawy panie Waverley zechciej pan obrócić konia i odjechać ze mną ze dwadzieścia jardów na łękę.

Waverley usłuchał; gdy zaś oddalili się trochę od linii marszu, Fergus zatrzymał się na wprost niego i z wielkim udanym spokojem przemówił:

- Zadziwiła mnie wielce niestałość upodobań, jaką pan był łaskaw objawić parę dni temu. Bo nawet anioł, jak pan słusznie zauważył, nie miałby dlań powabu, chyba gdyby wniósł królestwo w posagu. Mam teraz doskonały komentarz do tego niejasnego tekstu.

- Nie pojmuję, a nawet odgadnąć nie mogę, pułkownik Mac-Ivor, co pan ma na myśli; chyba szuka pan rozmyślnie zaczepki ze mną.

- Pańska udana nieświadomość na nic się tu nie przyda. Książę - sam książę poinformował mnie o pańskich manewrach. Nie domyślałem się, że to pańskie zaręczyny

z panną Bradwardine były powodem zerwania zamierzonego małżeństwa z moją siostrą. Jak przypuszczam, wiadomość, że baron zmienił zapis swoich dóbr, stała się wystarczającym powodem, byś pan wzgardził siostrą przyjaciela i zabrał mu jego wybraną.

- Czy księżę panu powiedział, że jestem zaręczony z panną Bradwardine? - zapytał Waverley. - To niepodobieństwo!

- Powiedział to, mój panie. Więc albo wyciągaj szablę i broń się, albo rezygnuj z praw do panny.

- Ależ to proste szaleństwo! - zawołał Waverley. - Albo jakaś niezrozumiała pomyłka!

- Wyrzeknij się tedy raz na zawsze wszelkich pretensji do ręki panny Bradwardine.

- Jakie prawo masz pan albo ktokolwiek inny do dyktowania mi takich warunków?! - krzyknął Waverley tracąc już zupełnie panowanie nad sobą. Po czym dobył szabli.

W tej chwili podjechał spiesznie baron Bradwardine z kilkoma ze swoich ludzi. Klan widząc, że się zbliżają, ruszył na pomoc swojemu naczelnikowi, powstało więc zamieszanie mogące łatwo zakończyć się rozlewem krwi. Sto języków pracowało naraz. Baron perorował, naczelnik grzmiał, górale krzyczeli po gaelicku, konni wymyślali i klęli w nizinym szkockim dialekcie. Wreszcie doszło do tego, że baron zagroził szarżą na Mac-Ivorów, jeśli nie wrócą do szeregów, a wielu z nich w odwet za to poczęło celować do niego i jego podkomendnych. Zamieszanie podniecał potajemnie Ballenkeiroch, który nie wątpił, że oto nadszedł dzień jego zemsty - gdy podniosło się wołanie:

- Na bok! Z drogi! *Place a Monseigneur*¹²⁴! *Place a Monseigneur*!

Zawiadomiono w ten sposób, że zbliża się księżę, który nadjechał też niebawem z oddziałem cudzoziemskich dragonów Fitz-Jamesa, służących mu za straż przyboczną. Jego przybycie przywróciło w pewnej mierze porządek. Górale wrócili do szeregów, kawaleria uformowała się w szwadron, a baron i naczelnik umilkli.

Księżę wezwał ich wraz z Waverleyem przed swe oblicze. Usłyszawszy o pierwotnej przyczynie sporu, wywołanego łotrstwem Calluma Beg, kazał go oddać pod straż oboźnego celem natychmiastowej egzekucji, na wypadek gdyby przeżył karę wymierzoną mu przez naczelnika. Fergus jednak tonem, w którym brzmiały jednocześnie obrona własnych prerogatyw i prośba o łaskę, wniósł o pozostawienie chłopca do jego dyspozycji, obiecując ukarać go przykładnie. Odmowa wyglądałaby na wdzieranie się w patriarchalne prawa naczelników, o co oni wielce byli zazdrośni, a nie byli to ludzie, których można by bezkarnie do siebie zrażać. Sprawę Calluma oddano przeto pod sąd

¹²⁴ *Place a Monseigneur* (franc.) - miejsce dla J. Ks. Mości

własnego jego klanu.

Książę z kolei zapytał o nowy powód waśni pomiędzy pułkownikiem Mac-Ivor a Waverleyem. Odpowiedziało mu milczenie. Obaj czuli, że obecność barona Bradwardine (gdyż tymczasem wszyscy trzej na rozkaz księcia zbliżyli się do niego) stanowi przeszkodę uniemożliwiającą poruszenie tematu, przy którym imię jego córki musiałoby być wspomniane. Spuścili zatem oczy, a na ich twarzach odmalowały się wstyd i zakłopotanie, zmieszane z niezadowoleniem. Książę, wychowany pośród niezadowolonych i buntowniczych duchów w St. Germain, gdzie właśnie wszelkiego rodzaju były codziennym przedmiotem troski zdetronizowanego króla, miał już za sobą, jakby się Fryderyk Pruski wyraził, terminatorские lata monarszego rzemiosła. Zalecanie i przywracanie zgody pomiędzy skłóconymi stronnikami było dlań rzeczą nieodzowną. Bez zwłoki zabrał się więc do dzieła.

- *Monsieur*¹²⁵ de Beaujeu!

- *Monseigneur* - odpowiedział bardzo przystojny francuski oficer kawalerii, pełniący przy nim służbę.

- Bądź łaskaw ustawić w szyku tych górali, jako też kawalerię, *s'il vous plait*¹²⁶ i poprowadzić ich dalej. Pan tak dobrze mówi po angielsku, że nie sprawi mu to wielkiej trudności.

Wezwany ruszył z kopyta, radosny i pełen ufności w siebie, na czoło pułku Fergusa, chociaż nie rozumiał ani słowa po gaelicku, a i angielskim władał bardzo słabo.

- *Messieurs les sauvages Ecosais...* to jest... dzicy panowie, zechciejcie stanąć w ordynku!

Klan, zrozumiawszy rozkaz raczej dzięki gestykulacji niż treści wyrazów, a widząc przed sobą samego księcia, pośpiesznie jął się formować.

- Ach *very well! Tak, tres bien!*¹²⁷- mówił hrabia Beaujeu.

Panowie dzikusy... *mais, tres hien...* Panowie, proszę obrócić twarz wprawo, rzędem... Marsz!... *Mais, tresbien...* jeszcze panowie; trzeba zacząć maszerować... Maszerujcie wreszcie, na Boga, bo ja zapomniałem, jak się to mówi po angielsku... ale wy jesteście przecież dzielni ludzie i rozumiecie mnie doskonale. Z kolei hrabia pośpieszył wprawić w ruch kawalerię.

- Panowie kawaleria, musicie się uformować w rząd... Ja się boję, że ten mały, tłusty pan coś mocno potłuczony. *Ah! Mon Dieu*¹²⁸ to komisarz, który nam pierwszy doniósł o

¹²⁵ *monsieur* (franc.) - pan. Tu: panie!

¹²⁶ *s'il vous plait* (franc.) - proszę

¹²⁷ *very well* (ang.) - *tres bien* (franc.) - bardzo dobrze

¹²⁸ *Mon Dieu* (franc.) - mój Boże!

tym *maudit fracas*¹²⁹. Bardzo mi przykro, *monsieur!*

Biedny Macwheeble, który z szablą zatkniętą za pas i z białą kokardą wielkości palca odgrywał teraz rolę komisarza, zleciał z siodła w rozgardiaszu spowodowanym przez spieszne ustawienie się żołnierzy w szyku w obecności księcia; zanim jednak zdążył schwytać swego podjezdka, dostał się na tyły wśród niepohamowanego śmiechu widzów.

- *Eh bien, messieurs*¹³⁰ na prawo się zwróćcie... Ach, tak tak!... *Eh, monsieur de Bradwardine*, bądź pan łaskaw stanąć na czele swojego pułku, gdyż *par Dieu!*¹³¹ ja już nie mogę!

Baron Bradwardine musiał tedy przyjść z pomocą panu de Beaujeu, gdy ten wyczerpał już skromny swój zasób angielskich wojskowych zwrotów. Jeden z celów Kawalera został tym sposobem osiągnięty. Drugie zadanie, jakie sobie zamierzył, polegało na tym, aby zmuszając żołnierzy obu broni do wykonania w jego obecności tak mało zrozumiałej komendy, skierować ich myśli w innym kierunku, odrywając je tym samym od przyczyny ich niedawnego gniewnego zaciętrzewienia.

Zaledwie Karol Edward został sam z naczelnikiem i z Waverleyem (reszta orszaku księcia znajdowała się w pewnej od nich odległości), zwrócił się do nich ze słowami:

- Gdybym mniej zawdzięczał waszej bezinteresownej przyjaźni, mógłbym bardzo poważnie rozgniewać się na was o tę niezwykłą a bezpodstawną zwadę wszczętą w chwili, kiedy służba mojego ojca wymaga najdoskonalszej jedności i zgody. Za najgorsze jednak w tej sytuacji uważam to, że moi najlepsi przyjaciele sądzą, iż mają prawo gubić siebie i sprawę, do której się zaangażowali, dla lada kaprysu.

- Obaj młodzi ludzie zapewnili, że gotowi są każdy spór poddać jego sądowi. Naprawdę - rzekł Edward - nie rozumiem, o co jestem oskarżony. Odszukałem pułkownika Mac-Ivor jedynie w tym celu, by mu powiedzieć, że ledwie uniknąłem zamordowania z ręki jego osobistego sługi, której to podleż zemsty wiem, że nie byłby on zdolny nakazać. Co zaś jest przyczyną, że pułkownik szuka ze mną zwady, tego nie wiem, bo zarzucanie mi, iż zdobyłem uczucia panny, o której rękę on sam się stara, pozbawione jest wszelkich podstaw.

- Jeżeli zachodzi tu pomyłka - powiedział naczelnik - to powstała ona na skutek rozmowy, jaką odbyłem dziś rano z waszą królewską wysokością.

- Ze mną? - rzekł Kawaler. - Jak mógł pułkownik Mac-Ivor tak dalece źle mnie zrozumieć?

Tu odprowadził Fergusa na bok i po pięciu minutach poważnej rozmowy zawrócił

¹²⁹ *maudit fracas* (franc.) - przeklęty hałas

¹³⁰ *Eh bien, messieurs* (franc) - a więc panowie

¹³¹ *par Dieu!* (franc) - na Boga!

konia ku Edwardowi.

- Czy to podobna... nie, proszę, podejdz, pułkowniku, gdyż nie pragnę tu sekretów... Czy to podobna, panie Waverleyu, żebym się mylił, przypuszczając, że jesteś pan przyjętym konkurentem panny Bradwardine?

- Wasza królewska wysokość! - odpowiedział Waverley. - Zdaję sobie sprawę, jakim zaszczytem jest dla mnie to przypuszczenie, ale nie mam do niego prawa. Zresztą zaufanie moje do własnej wartości jest aż nadto słusznie zbyt skromne, ażeby pozwoliło mi na nadzieję powodzenia gdziekolwiek, po stanowczej odmowie, jaka mnie spotkała.

Kawaler milczał przez chwilę, przyglądając się pilnie im obu, po czym powiedział:

- Słowo daję, panie Waverley, nie jesteś tak szczęśliwym człowiekiem, za którego cię uważałem. Ale teraz, panowie, pozwólcie mi zostać rozjemcą w waszym sporze nie jako księciu regentowi, lecz jako Karolowi Stuartowi, będącemu waszym kolegą w służbie szlacheckiej sprawy. Zważcie tylko na własny honor i zadajcie sobie pytanie, czy to się godzi, czy wypada wywoływać radość naszych wrogów, a zgorzenie przyjaciół widowiskiem dowodzącym, iż choć nas tak jest niewielu, nie ma między nami zgody. Wybaczcie mi też, gdy dodam, że imiona dam, które zostały tu wspomniane, zasługują z naszej strony na więcej szacunku, niżby stać się miały źródłem niesnasek.

Odciągnąwszy Fergusa na stronę, prowadził z nim przez chwilę ożywioną rozmowę, po czym, wracając do Waverleya, rzekł:

- Przekonałem, jak sądzę, pułkownika Mac-Ivor, że ta uraza oparta była na nieporozumieniu, do którego istotnie ja sam się przyczyniłem; ufam też, że pan Waverley zbyt jest szlachetny, by zachować pamięć tego, co należy już do przeszłości, skoro ja sam zapewniam go, że tak jest istotnie. Musisz tę sprawę dokładnie przedstawić swemu klanowi, Vich Ian Vohrze, by zapobiec powtórzeniu się tak karygodnych, popędliwych wybryków z ich strony. - Fergus skłonił się. - A teraz, panowie, sprawcie mi tę przyjemność, bym ujrzał, jak sobie uściśnicie dłonie.

Zbliżyli się do siebie chłodno, odmierzonym krokiem, gdyż widocznie żaden z nich nie chciał wydać się pochopniejszym do ustępstw. Podali sobie jednak ręce, po czym rozstali się, pożegnawszy z uszanowaniem księcia.

Karol Edward¹³² podjechał wtedy przed front Mac-Ivorów i zeskoczywszy z konia,

¹³² Zarzucano autorowi „Waverleya”, że młodego Pretendenta odmalował w barwach piękniejszych, niż na to zasługiwał. Znając jednak wiele ludzi, którzy pozostawali w pobliżu jego osoby, autor starał się opisać go zgodnie z tym, co owi naoczni świadkowie mówili o jego usposobieniu i charakterze. Niewątpliwie część owych sądów należałoby złożyć na karb pewnej przesady, dość zrozumiałej u tych, którzy pamiętali go w roli śmiałego księcia stojącego na czele ich awanturniczej wyprawy.

..Wspomniałem już o opinii kawalera Johnstone’a. rzucającej cień na odwagę księcia. Jednakże co najmniej część opowiadań tego pana jest wytworem czystej fantazji.

...Równocześnie jednak należy przyznać, że księżę podobnie jak inni przedstawiciele jego rodu. nie doceniał

zażądał napoju z kantyny starego Ballenkeirocha: następnie przeszedł z pół mili wraz z nimi, rozpytując się o dzieje i koligacje szczepu *Sliochd nan Ivor*, zręcznie wtrącając nieliczne znane sobie słowa gaelickie oraz utrzymując, że gorąco pragnie nauczyć się gruntowniej tego języka. Potem wsiadł znowu na konia, pogalopował do jadących na przedzie kawalerzystów barona, zatrzymał ich i zbadał stan ich umundurowania oraz dyscyplinę; poświęcił chwilę uwagi czołowym przedstawicielom szlachty, a nawet i pomniejszych towarzyszom; dopytywał o ich żony, chwalił konie; z godzinę jechał obok barona Bradwardine i cierpliwie wysłuchiwał trzech długich opowieści o marszałku księciu Berwick.

- Ah, Beaujeu, *mon cher ami*¹³³ - powiedział powróciwszy w końcu na zwykłe swoje miejsce w pochodzie - jakże mój zawód wędrownego księcia¹³⁴ bywa niekiedy męczący! Ale nie traćmy otuchy! Na tym przecież polega istota wielkiej gry.

należycie usług swych stronników. Wychowany w wysokich pojęciach o swym prawie przyrodzonym, zdawał się uważać wszelki trud i poświęcenie dla jego sprawy niejako za obowiązek, nie wymagający szczególniejszej z jego strony wdzięczności. (z przypisów autora: „Księżę Karol Edward”).

¹³³ *Ah, Beaujeu, mon cher ami...* (franc.) - O, Beaujeu, mój drogi przyjacielu...

¹³⁴ wędrowny książę - postać, rycerskiego poszukiwacza przygód, opiewana przez średniowieczne pieśni i romanse

Rozdział LIX

Utarczka

Nie potrzebujemy czytelnikowi przypominać, że po radzie wojennej odbytej w Derby¹³⁵ dnia 5 grudnia, górale porzucili rozpaczliwą próbę przedostania się dalej w głąb Anglii i ku wielkiemu niezadowoleniu swego młodego i odważnego przywódcy stanowczo uchwalili wracać na północ. Odpowiednio do tego rozpoczęli odwrót i niezwykle szybkością marszu uprzedzili ruchy księcia Cumberland, który teraz ścigał ich z silnym korpusem kawalerii.

Odwrót ten oznaczał w istocie porzucenie ich górnych nadziei. Nikt nie był tak zapalony jak Fergus Mac-Ivor; nikt też, rzecz prosta, nie zgryzł się tak okrutnie zmianą w zamierzeniach. Z najwyższą gwałtownością bronił swego zdania na radzie wojennej, a gdy je odrzucono, wylewał łzy żalu i oburzenia. Od tej chwili tak się zmienił, że nikt nie poznałby w nim zuchwałego i żarliwego człowieka, dla którego zaledwie przed tygodniem świat cały zdawał się za ciasny. Odwrót trwał już od kilku dni, gdy nieoczekiwanie Waverley rankiem 12 grudnia ujrzał naczelnika w swojej kwaterze, w wiosce leżącej mniej więcej na pół drogi między Shap¹³⁶ a Penrith¹³⁷.

Nie mając żadnej styczności z naczelnikiem od czasu ich zerwania, Edward z pewnym zaniepokojeniem oczekiwał wyjaśnienia przyczyny tych niespodziewanych odwiedzin: nie tylko go też zdziwiła, ale nieomal zastraszyła zmiana w powierzchowności Fergusa. Wzrok jego stracił wiele z dawnej swej żywości; policzki zapadły, głos przygasł, a nawet chód zdawał się mniej pewny i giętki niż dawniej; ubiór zaś, o który zawsze szczególne miał staranie, wisiał teraz na nim niedbale. Poprosił Edwarda, by przeszedł się z nim nad rzeczkę płynącą w pobliżu, a widząc, że gospodarz zdejmuje ze ściany i przypasuje szablę, uśmiechnął się smutno.

Skoro tylko znaleźli się na dzikiej i ustronnej ścieżce nad potokiem, naczelnik wybuchnął:

- Tak więc nasze piękne przedsięwzięcie rozpada się całkowicie, Waverleyu, wobec czego pragnąłbym wiedzieć, co ty teraz zamýślasz uczynić. Nie, nie patrz tak na mnie, człowieku! Powiem ci, że otrzymałem wczoraj list od mojej siostry, a gdyby mnie wiadomość w nim zawarta doszła wcześniej, byłaby zapobiegła tej sprzeczce, o której zawsze z przykrością wspominam. W liście, pisanym po naszej kłótni, powiadomiłem

¹³⁵ Derby-miasto w Anglii w hrabstwie Derbyshire

¹³⁶ Shap - miasteczko w hrabstwie Cumberland

¹³⁷ Penrith - miasteczko na południe od Cumberland

Florę o przyczynie sporu, a ona odpowiada mi teraz, że nigdy nie miała ani nie mogła mieć zamiaru dawania ci zachęty; tak więc wygląda na to, że postąpiłem jak szaleniec... Biedna Flora! List jej pełen jest dobrych myśli; jakąż zmianę w jej stanie ducha sprawi wiadomość o tym nieszczęsnym odwrócie!

Waverley, którego wielce wzruszył głęboki smutek bijący ze słów Fergus'a, prosił go gorąco, by wymazał z pamięci to wszystko, co między nimi zaszło niemiłego; tak więc raz jeszcze uścisnęli sobie ręce, ale tym razem już szczerze i serdecznie. Fergus ponownie zapytał Waverley'a, co zamierza uczynić.

- Czybyś nie zrobił lepiej opuszczając tę nieszczęsną armię, przedostając się przed nami do Szkocji i udając się na kontynent przez jeden ze wschodnich portów będących jeszcze w naszym posiadaniu? Gdy znajdziesz się poza krajem, przyjaciele z łatwością wyrobią ci przebaczenie, a jeśli mam być szczerzy, pragnąłby, byś zabrał ze sobą Różę Bradwardine jako twoją żonę, a i Florę także pod wspólną waszą opieką.

- Edward spojrział zdziwiony. Ona ciebie kocha, a sędzę, że i tyją także, choć może nie zdajesz sobie sam z tego sprawy, nie odznaczasz się bowiem zbyt dokładną znajomością samego siebie. - Powiedział to z czymś w rodzaju uśmiechu.

- Jakże możesz mi radzić - odpowiedział Edward - bym porzucił statek, na którym wszyscy razem płyniemy?

- Płyniemy! - powtórzył Fergus - Okręt rozpada się i czas najwyższy, by każdy, kto może, wsiadł na łódź ratunkową i opuścił go.

- A cóż poczną nasi towarzysze? - zapytał Waverley. - I dlaczego naczelnicy góralscy zgodzili się na odwrót, tak w skutkach swoich zgubny?

Ach! - odpowiedział Mac-Ivor. - Oni spodziewają się, że podobnie, jak bywało poprzednio, miecz, szubienica i konfiskaty dotkną głównie szlachtę nizinną; a że im pozwolą dalej żyć w nędzy w ich górskich twierdzach i - jak powiada przysłowie - „słuchać wiatru na wzgórzach, dopóki nie opadną wody”. Ale zawiodą się; za często dawali się we znaki, by im to miało stale uchodzić płazem, a tym razem John Bull¹³⁸ tyle zaznał strachu, że nie odzyska tak prędko dobrego humoru. Hanowerscy ministrowie zawsze godni byli stryczka, bo są łotry; ale teraz, gdy zdobędą władzę - co prędzej czy później stać się musi, bo nie ma ani powstania w Anglii, ani pomocy ze strony Francji - zasłużyliby ponadto na szubienicę jako głupcy, gdyby zostawili choć jeden klan w górach w położeniu mogącym przyczynić rządowi dalsze kłopoty w przyszłości. Nie pozostanie tam kamienna kamieniu, mogę ręczyć za to.

- A skoro ty mi radzisz ucieczkę - odparł Edward - choć wolałbym umrzeć niż

¹³⁸ John Bull (ang.) - nazwa nadawana Anglikom. Pochodzi z satyrycznej powiastki pt. *Historia Johna Bulla (bull-byk)* napisanej w z 1712 r. przez Johna Arbuthnota

posłuchać tej rady, jakież masz zamiary co do siebie?

- Ach! - odpowiedział Mac-Ivor smutno - Mój los jest rozstrzygnięty. Zanim jutrzejszy dzień wstanie, będę trupem lub jeńcem.

- Co przez to rozumiesz, Fergusie? - spytał Edward. - Nieprzyjaciel jest przecież o dzień marszu za nami, a gdyby nawet się ukazał, jesteśmy jeszcze dość silni, by mu stawić czoło. Przypomnij sobie Gladsmuir.

- Mimo to powiedziałem ci prawdę, jeżeli chodzi o mnie osobiście.

- Na czym opierasz tak niewesołą przepowiednię? - badał dalej Waverley.

- Na pewności, która nigdy nikogo z mego rodu nie zwiodła. Widziałem - tu zniżył głos - widziałem Bodach Glasa.

- Bodach Glasa?

- Tak jest - czyżbyś, przebywając tak długo w Glennaquoich, nigdy nie słyszał o Szarym Widmie? Co prawda, my niechętnie o nim wspominamy.

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

- Ach! Jest to historia, którą powinna ci była opowiedzieć biedna Flora. Trzeba ci wiedzieć zatem, że gdy mój przodek, *Ian nan Chaistel*, pustoszył Northumberland, w wyprawie tej towarzyszył mu pewien naczelnik z południa, wódz bandy zebranej na Nizinach, imieniem Halbert Hall. W powrotnej drodze przez góry Cheviot¹³⁹ pokłócili się o podział wielkich zdobycznych łupów i od słów przeszli do czynów. Ludzi z Nizin wycięto do nogi, a wódz ich padł ostatni pod ciosami szabli mego przodka. Od tego czasu duch jego ukazuje się każdemu z kolejnych Van Ian Vohrów, ilekroć zagraża im wielkie niebezpieczeństwo, a zwłaszcza przed śmiercią. Mój ojciec widział go dwukrotnie: po raz pierwszy przed dostaniem się do niewoli pod Sheriff-Muir, a powtórnie, z rana w dniu zgonu.

- Jak możesz, drogi Fergusie, opowiadać poważnie takie brednie?

- Nie żądam byś mi wierzył, ale mówię stwierdzoną doświadczeniem trzech z górą wieków prawdę, o której zeszłej nocy przekonałem się na własne oczy.

- Mówże jaśniej, na Boga! - zawołał Waverley z przejęciem.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że nie zechcesz z tego żartować. Od czasu gdy rozpoczął się ów nieszczęsny odwrót, prawie nie mogłem sypiać, rozmyślając o moim klanie, o tym biednym księciu, który chcąc nie chcąc musi wracać jak pies na smyczy, oraz o upadku mojej rodziny.

Ostatniej nocy czułem się tak rozgorączkowany, że wyszedłem z kwatery w nadziei, iż

¹³⁹ góry Cheviot - pasmo górskie dzielące Szkocję od Anglii

mroźne powietrze przywróci mi spokój... Zapewniam cię, że z największą niechęcią mówię dalej, rozumiem bowiem, że trudno ci będzie dać mi wiarę. A jednak... Przeszedłszy mały mostek, chodziłem tam i z powrotem, gdy wtem zauważyłem ze zdziwieniem przy świetle księżyca wysoką postać w szarym pledzie, takim, jakie pasterze owiec noszą w południowej Szkocji; bez względu na to, czy szedłem prędko, czy wolno, kroczyła ona stale o jakie cztery jardy przede mną.

- Prawdopodobnie zobaczyłeś miejscowego chłopca w jego zwykłym odzieniu.

- Nie, i ja tak sądziłem z początku, dziwiąc się zuchwalstwu człowieka, który śmiał tak mi się narzucać. Zawołałem na niego, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Poczulem w sercu trwogę, a chcąc się upewnić, czy groźne przeczucia mnie nie mylą, stanąłem w miejscu i obróciłem się kolejno na cztery strony świata... Na Boga, Edwardzie, w którymkolwiek kierunku spojrzałem postać była zawsze przede mną, i to dokładnie w tej samej odległości! Wtedy nabrałem przekonania, że to Bodach Glas. Włos mi się zjeżył, a kolana zdrząły. Opanowałem się jednak i postanowiłem wrócić do siebie. Mój widmowy gość sunął przede mną (gdyż nie mogę powiedzieć, że szedł) aż dotarł do mostka, tam stanął i obrócił się wkoło. Miałem do wyboru albo przejść rzekę w bród, albo też minąć widmo tak z bliska, jak ty teraz stoisz ode mnie. Rozpaczliwa odwaga, płynąca z przeświadczenia, że śmierć moja się zbliża, kazała mi ruszyć wprost na zjawę. Przeżegnałem się, dobyłem szabli i krzyknąłem: „W imię Boga, ustąp, Zły Duchu!” - „Vich Ian Vohrze - odpowiedział głosem, który ściał mi krew w żyłach - strzeż się jutrzejszego dnia”. Zdawał się być w tej chwili nie dalej niż na pół jarda od końca mojej szabli; ale zaledwie przemówił, zniknął i nic już więcej nie stało mi na drodze. Wróciłem do siebie, rzuciłem się na łóżko i przeżyłem parę ciężkich godzin; dziś rano zaś, skoro nie zapowiedziano bliskości nieprzyjaciela, dosiadłem konia i wyruszyłem tu, aby się z tobą pogodzić. Nie chciałem zginąć bez pojednania z przyjacielem, którego skrzywdziłem.

Edward nie wątpił, że widmo to było przywidzeniem zrodzonym z wyczerpania organizmu i przygnębienia duchowego na tle wspólnej wszystkim góralom wiary w tego rodzaju zabobony. Niemniej litował się nad Fergussem, czując że w obecnej niedoli dawna ich przyjaźń odżyła. Chcąc oderwać jego myśli od tych posępnych widziadeł, zaproponował, że za zgodą barona, w której uzyskanie nie wątpił, pozostanie w swojej kwaterze aż do chwili nadejścia pułku Fergususa, a następnie pomaszeruje wraz z nimi, jak dawniej. Zamiar ten widocznie uradował naczelnika, który jednak zawahał się przed wyrażeniem nań zgody.

- Wiesz, że idziemy na tyłach wojska, a jest to stanowisko niebezpieczne w czasie odwrotu.

- I przez to właśnie zaszczytne.

- A więc dobrze - odpowiedział naczelnik. - Niech Alick trzyma twego konia w pogotowiu na wypadek, gdyby nas doścignęto, a ja rad będę prawdziwie z odzyskania twego towarzystwa.

Tylna straż ukazała się z opóźnieniem spowodowanym przez różne wypadki i zły stan dróg. Wreszcie jednak wkroczyli do wioski. Gdy Waverley przyłączył się do klanu Mac-Ivora, ramię przy ramieniu z ich naczelnikiem, wszelka niechęć ku niemu prysnęła od razu. Evan Dhu przyjął go uśmiechem powitalnym, a nawet Callum, który mimo bladości i wielkiego plastra na głowie, biegł równie żwawo jak zazwyczaj, zdawał się uszczęśliwiony z jego widoku.

- Ten hukaj musi mieć czaszkę twardszą od marmuru - rzekł Fergus. - Zamek pistoletu pękł na niej.

Byli teraz w pełnym marszu i przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności by się nie dać zaskoczyć. Oddział Fergususa stanowił tylną straż wraz z pięknym pułkiem klanowym z Badenoch, dowodzonym przez Cluny Mac-Phersona. Przebyli właśnie rozległe, otwarte torfowisko i wchodzili między opłotki otaczające małą wioskę zwaną Clifton. Zimowe słońce już zaszło, więc Edward począł żartować z Fergususa i fałszywych prorocत्व Szarego Widma.

- Jeszcze Idy Marcowe¹⁴⁰ nie minęły - odpowiedział Mac-Ivor z uśmiechem i w tejże chwili obejrzawszy się nagle na torfowisku, niewyraźnie ujrzeli spory oddział konnicy snujący się po jego ciemnej powierzchni.

W mgnieniu oka obstawiono ogrodzenie od strony otwartej przestrzeni oraz gościniec, którym nieprzyjaciel musiał ciągnąć na wioskę. Podczas gdy trwały te manewry, zapadła ciemna i ponura noc, choć księżyc był właśnie w pełni. Chwilami jednak wyływał on z chmur oblewając pole działań mętnym blaskiem.

Niedługo pozostawiono górali w spokoju na obronnej pozycji, którą zajęli. Pod osłoną nocy jeden znaczny oddział pieszych dragonów starał się sforsować opłotki, podczas gdy drugi, niemniej liczny, usiłował opanować główną drogę. Obydwa spotkały się z tak silnym ogniem, że pomieszało to ich szyki i wstrzymało dalszy pochód. Nie zadowoliliwszy się osiągniętym w ten sposób powodzeniem Fergus, którego zapalczywemu duchowi zbliżające się niebezpieczeństwo przywróciło całą wrodzoną giętkość, dobył szabli i krzyknąwszy: „Na białą broń!” - jął zachęcać swych ludzi głosem i przykładem, by przekroczyli dzielące ich ogrodzenie i rzucili się na nieprzyjaciela.

Starłszy się ze spieszonymi dragonami, górale zmusili ich ostrzem szabel do ucieczki na otwarte torfowisko, gdzie znaczną ilość w pień wycięli. Jednakże księżyc, zajaśniawszy

¹⁴⁰ Idy Marcowe - nazwa „Idy” w kalendarzu rzymskim oznaczała piętnasty dzień każdego miesiąca. Tu: aluzja do zamordowania w czasie Idów Marcowych Juliusza Cezara

nagle, ukazał Anglikom szczupłość sił napastników, którym w dodatku własne powodzenie pomieszało szyki. Widząc, iż dwa szwadrony konnicy ruszyły na pomoc swoim towarzyszom, górale chcieli cofnąć się poza opłotki. Niektórzy jednak, a pomiędzy nimi waleczny ich naczelnik, zostali odcięci i otoczeni, zanim zdążyli zamiar swój przeprowadzić. Waverley, pilnie wypatrując Fergusa wraz z jego cofającym się oddziałem, od którego w ciemności i zamieszaniu został oddzielony, ujrzał go w chwili, gdy z Evanem Dhu i Callumem bronili się rozpaczliwie przeciwko tuzinowi konnych nacierających na nich długimi szablami. Księżyc ponownie skrył się za chmury, toteż Edward nie mógł w zapadłych ciemnościach ani przyjść z pomocą przyjaciółom, ani też samemu odnaleźć drogi odwrotu tylnych straży.

Z trudem uniknąwszy parokrotnie śmierci lub ujęcia przez napotykanego w mroku oddziałki kawalerii, dotarł na koniec do jakiegoś ogrodzenia, a przekroczywszy je, poczuł się bezpieczny i podążył w stronę wojsk góralskich, których kobzy słyszał w niewielkiej od siebie odległości. Dla Fergusa nie było żadnej nadziei ratunku, jeżeli nie dostał się do niewoli. Myśląc z żalem i trwogą o losie przyjaciela, Edward przypomniał sobie zabobonną jego wiarę w Bodach Glasa i z wewnętrznym zdziwieniem zadawał sobie pytanie: „Czy to możliwe, by diabeł mówił prawdę?”¹⁴¹

¹⁴¹ Czy to możliwe, by diabeł mówił prawdę? - słowa z dramatu Szekspira *Makbet*

Rozdział LX

Nieprzewidziany zbieg wypadków

Edward znalazł się w bardzo niemiłym i niebezpiecznym położeniu. Przestał wkrótce słyszeć głosy kobz, a co gorsza, gdy po długim szukaniu i przeskakiwaniu różnych ogrodzeń wydostał się wreszcie na gościniec, poznał po niepożądanym zgiełku bębnow i trąbek, że zajęła go teraz angielska kawaleria, odgradzając go tym sposobem od górali. Nie mogąc przeto iść w prostym kierunku, postanowił ominąć angielskie wojska i starać się dogonić swoich okrężną drogą na lewo, ku czemu zdawała się nadawać udeptana ścieżką zbacząca z głównego gościńca w tym właśnie kierunku. Ścieżka była błotnista, noc zaś ciemna i zimna; niewygód tych zresztą prawie nie odczuwał, miotany silną obawą, że wpadnie w ręce wojsk królewskich.

Przeszedłszy tak ze trzy mile, dotarł w końcu do jakiejś wioski. Zdawał sobie sprawę z tego, że prosty lud na ogół nieprzychylny był sprawie, której służył; pragnął jednak wystarać się o konia i o przewodnika do Penrith, gdzie spodziewał się dogonić jeżeli nie główną armię Kawalera, to przynajmniej jej ariergardę¹⁴²; w tej więc myśli zbliżył się do miejscowej piwiarni. Wobec tego, że z jej wnętrza dochodził wielki hałas, Edward przystanął i nadśluchiwał. Dosadne angielskie przekleństwo i urywek wojskowej piosenki przekonały go, że i ta wioska również zajęta była przez żołnierzy księcia Cumberland. Usiłując oddalić się stamtąd jak najciszej i błogosławiąc ciemności, którym dotychczas zlorzeczył, Waverley po omacku torował sobie przejście wzdłuż jakiegoś płotka, który zdawał się otaczać ogródek przydomowy. Gdy doszedł do bramy owej zagrody, wyciągniętą jego rękę pochwyliła dłoń kobiety, której głos równocześnie zapytał:

- Czy to ty, Edwardzie?

„Znów jakaś nieszczęsna pomyłka” - pomyślał Edward starając się możliwie łagodnie wyswobodzić rękę.

- Nie rób głupstw, człowieku, bo cię czerwone kurtki usłyszą; zaczepiali dziś wieczór każdego, kto przechodził koło piwiarni, bo potrzeba im ludzi do podwód. Chodź do nas, bo ci jeszcze co złego zrobią.

„Dobrze, że wiem” - pomyślał Waverley idąc za dziewczyną przez ogródek do wyłożonej cegłą kuchni, gdzie przewodniczka jego poczęła rozżarzać zapałkę u dogasającego ogniska, by zapalić z jej pomocą świecę. Zaledwie jednak spojrziała na Edwarda, upuściła świecę z głośnym okrzykiem:

¹⁴² ariergarda (z franc.) - straż tylna wojska

- Ojcie! Ojcie!

Wezwany ukazał się niebawem, a był to tęgi stary chłop w skórzanych spodniach i butach wciągniętych na boscie nogi, jako że właśnie wyskoczyła łóżka; stroju dopełniał szlafrok obywatela Westmoreland¹⁴³ - to znaczy koszula. Postać jego była dobrze widoczna w blasku trzymanej w lewej ręce świecy, podczas gdy w prawej dzierzył pogrzebacz.

- Co się stało, dziewczyno?

- Ach! - krzyknęła biedaczka zanosząc się prawie od płaczu. - Myślałam, że to Ned Williams, a to jeden z tych żołnierzy w pledach!

- A coś ty miała za interes do Neda Williamsa o tej porze w nocy?

Na to pytanie, zaliczające się widać do tych, które łatwiej postawić niż dostać na nie odpowiedź, rumiane dziewczę nie odrzekło, szlochając tylko dalej i załamując ręce.

- A cóż ty, chłopcze, nie wiesz, że dragoni są we wsi? Naprawdę nic ci o tym nie wiadomo, człowieku? Ani też, że mogą cię pokrajać jak rzepę?

- Wiem, że życiu memu zagraża wielkie niebezpieczeństwo - odpowiedział Waverley - ale jeśli możecie mi pomóc, wynagrodzę was sowicie. Nie jestem Szkotem, tylko angielskim szlachcicem, który znalazł się w opałach.

- Czyś Szkot, czy nie - odpowiedział zacny gospodarz - wolałbym, byś został poza moją zagrodą. Ale skoroś już tu wszedł, Jakub Jopson nie wyda nikogo na śmierć; a ci w pledach to weseli chłopcy i nie narobili zbyt wiele szkody, gdy byli tu wczoraj.

Rzekłszy to, zabrał się gorliwie do przygotowania noclegu dla naszego bohatera i do ugoszczenia go przed spaniem. Rozpalono spiesznie ogień bacząc, by światło nie zostało dostrzeżone z zewnątrz. Dzielny chłop ukroił płat wędzonki, którą Cecylka wnet usmażyła, po czym ojciec podał jeszcze szumiący kufel najlepszego swego piwa. Postanowiono, że Edward pozostanie tu aż do chwili, kiedy wojska z rana opuszczą wieś, potem zaś wynajmie albo kupi konia od gospodarza i wedle najlepszych wskazówek, jakie uda się zebrać, będzie usiłował dogonić swych towarzyszy. Schludne, choć proste łóżko udzieliło mu spoczynku po trudach tego nieszczęsnego dnia.

Ze świtem doszła ich wiadomość, że górale opuścili Penrith i maszerują dalej ku Carlisle, księżę Cumberland zaś zajął Penrith, a oddziały jego wojsk snują się po wszystkich okolicznych drogach. Wszelka próba przedostania się bez zwrócenia czyjejs uwagi byłaby czynem szaleńczej zuchwałości. Cecylka i jej ojciec przyzwali teraz na naradę Neda Williamsa (właściwego Edwarda). Ned, który wolał może, by ten przystojny imiennik nie zostawał zbyt długo w domu jego ukochanej - bo któż wie, czy nie

¹⁴³ Westmoreland - hrabstwo na południe od Cumberland Podróż do Londynu

powstałyby nowe pomyłki? - zaproponował, by Waverley, zmieniwszy mundur i pled na ubiór wieśniaka, udał się z nim do gospodarstwa jego ojca nad Ulswater i w tym zaciszu przeczekał, aż ruchy wojsk w kraju ustaną, co pozwoli ruszyć w dalszą drogę bez zbytniego narażania się. Ustalono też cenę, za jaką gość, jeśli uzna to za stosowne, będzie mógł stołować się u Williamsa w ciągu swego tam pobytu. Warunki owe były skromne, gdyż ci uczciwi i prości ludzie nie uważali, by niefortunne jego położenie dawało powód do wygórowanych żądań.

Postarano się więc o potrzebne części ubrania w nadziei, że trzymając się bocznych dróg, znanych młodemu chłopakowi, zdołają uniknąć wszelkich niemiłych spotkań. Stary Jopson i rumiana jak wiśnia jego córka stanowczo odmówili zapłaty za gościnę; Cecylka zadowolili się pocałunkiem, ojciec jej zaś - serdecznym uściskiem dłoni. Oboje niepokoiłi się o całość swego gościa i żegnali go życzeniami powodzenia.

Po drodze Edward z przewodnikiem swoim mijał te same pola, na których poprzedniej nocy odbywała się potyczka. Słaby blask grudniowego słońca oświecał smutno szerokie wrzosowisko, które w miejscu gdzie wielki północno-zachodni gościec wkraczał w ogrodzoną posiadłość lorda Lonsdale, ukazywało liczne trupy ludzi i koni, nad którymi unosiły się całe stada wron, jastrzębi i kruków, tych pospolitych towarzyszy wojen.

„Tu więc znalazłeś swój kres - rzekł w duchu Waverley, a łzy nabiegły mu do oczu na wspomnienie wielu wspaniałych rysów w charakterze Fergusa oraz dawnej ich zażyłości, zacierając pamięć jego gwałtowności i wad rozlicznych - tu, na tym bezimiennym wrzosowisku, padł ostatni Vich Ian Vohr; w marnej nocnej potyczce zgasł ten duch gorejący, dla którego utorowanie swemu panu drogi do tronu wydawało się drobnostką! Ambicja, polityka, męstwo - wszystkie te cechy, przekraczające w tobie przeciętną miarę, tu oto zapoznały się z losem śmiertelnych. A w dodatku byłeś jedyną podporą siostry, której duch, równie dumny jak nieugięty, może żarliwszym był jeszcze od twojego; tutaj skończyły się wszystkie nadzieje, jakie żywiłeś względem Flory i tego starego wybitnego rodu, który pragnąłeś swą awanturniczą walecznością wznieść na wyższe jeszcze szczeble!”

Przejęty tymi myślami, Waverley postanowił udać się na wrzosowisko i spróbować odnaleźć między zabitymi ciało przyjaciela, ażeby móc je pochować. Lękliwy młodzieniec, który mu towarzyszył, przedstawiał mu niebezpieczeństwo tego kroku, lecz nie zmieniło to postanowienia Edwarda. Ciury obozowe zdążyły już obrać poległych ze wszystkiego, co dało się unieść, ale lud wiejski, nieprzywykły do takich krwawych widoków, jeszcze nie przybliżył się do pobojowiska, chociaż niektórzy spoglądali na nie trwożnie z pewnej odległości. Około sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu zabitych dragonów leżało w

obrębnie pierwszych zagród na gościńcu i na samym torfowisku. Spośród górali padło nie więcej jak dwunastu, głównie ci, którzy, zapędziwszy się zbyt daleko naprzód, nie zdążyli wycofać się na teren chroniony.

Waverley nie mógł odnaleźć ciała Fergusa między zabitymi. Na małym wzgórk, z dala od innych, leżały trupy trzech angielskich dragonów, dwóch koniu i Calluma Beg, którego twarde czaszkę szabla żołnierska zdołała w końcu rozłupać. Było rzeczą prawdopodobną, że klan uniósł ciało swego wodza; równie dobrze jednak mógł on uciec, tym bardziej że i Evan Dhu, który nigdy by swojego naczelnika nie opuścił, nie znajdował się wśród poległych; pozostawała jeszcze możliwość dostania się do niewoli, w którym to wypadku ziściłaby się, mniej groźna z dwóch, zapowiedź Bodach Glasa. Zbliżający się oddział wojska, który został umyślnie wysłany w celu zmuszenia wieśniaków do pochowania zmarłych i w tej myśli zdołał już spędzić gromadkę chłopów, skłonił teraz Edwarda do odszukania przewodnika, który w wielkiej trwodze niecierpliwie oczekiwał nań pod osłoną przydrożnego lasu.

Opuściwszy pobojowisko, przebyli oni pozostałą część drogi bez żadnych dalszych przystanków. W domu Williamsa Edward uchodził za młodego krewnego, kształcącego się na księdza, który przybył doń, by przeczekać niepokoje wojny domowej. Zapobiegło to wszelkim podejrzeniom ze strony poczciwej i prostej ludności Cumberland, dostatecznie też tłumacząc poważne usposobienie i samotnicze obyczaje, przybysza. Ostrożność ta okazała się potrzebniejszą, niż Edward przewidywał, gdyż rozmaite wypadki przedłużyły pobyt jego w Fashwaite, tak bowiem zwała się siedziba gospodarzy.

Przede wszystkim ogromne opady śnieżne uniemożliwiły jego wyjazd w ciągu przeszło dziesięciu dni. Gdy drogi zaczęły się nieco poprawiać, nadchodziły kolejne wiadomości: najpierw o przekroczeniu przez Kawalera granic Szkocji; następnie o dalszym jego odwrocie w stronę Glasgow; a wreszcie o rozpoczęciu przez księcia Cumberland oblężenia Carlisle. Armia jego odcięła zatem Waverleyowi wszelką możliwość ucieczki do Szkocji w tym kierunku. Od wschodu marszałek Wade z dużymi siłami szedł na Edynburg, a wzdłuż całej granicy zbrojne oddziały milicji, ochotników i partyzantów tłumili powstanie i chwytali niedobitków armii góralskiej, pozostałych w Anglii. Poddanie się Carlisle i surowość, z jaką potraktowano buntowniczą załogę, stanowiły dalszy argument przeciwko podejmowaniu samotnej i beznadziejnej podróży przez pełen wojak kraj nieprzyjacielski, zwłaszcza iż pomoc jednej szabli nie na wiele mogła się już przydać sprawie, która zdawała się ostatecznie pogrzebana.

Przebywając w tym ustroniu, gdzie nie mógł korzystać z towarzystwa i rozmowy ludzi wykształconych, bohater nasz nieraz przetrawiał w duchu słowa pułkownika Talbota. Jeszcze boleśniesz wspomnienie stało się zmorą jego snów a mianowicie; wzrok i gest

umierającego Gardinera. Z całej duszy pragnął, ilekroć rzadko nadchodząca poczta przynosiła wieści o odbywanych ze zmiennym szczęściem potyczkach, ażeby już nigdy więcej nie potrzebował dobywać szabli w wojnie domowej. Potem rozważał znów w myślach przypuszczalną śmierć Fergusa, nieszczęsne położenie osamotnionej Flory, a z tkliwszym jeszcze wspomnieniem los Róży Bradwardine, której brak było tego gorącego zapału lojalności, jaki w sercu jej przyjaciółki zdolny był uświęcić i uszlachetnić największą niedolę. Marzeniom tym mógł oddawać się z całą swobodą, gdyż nie było nikogo, kto by mu w nich przeszkadzał pytaniami lub przerywaniem; toteż w ciągu wielu zimowych przechadzek nad brzegami Ulswater zdołał teraz w silniejszym stopniu opanować ducha gnębionego przez przeciwności, niż mu się to kiedykolwiek w poprzednich okresach życia udać mogło; uświadomił też sobie stanowczo, choć może z pewnym żalem, że romans jego życia dobiegł końca, a rozpoczyna się okres rzeczywistości. Niedaleka przyszłość miała mu dać sposobność potwierdzenia tych poglądów zrodzonych w filozoficznych rozważaniach.

Rozdział LXI

Podróż do Londynu

Rodzina gospodarzy z Fasthwaite wkrótce przywiązała się do Edwarda. Miał on w sobie tę łagodność i uprzejmość, która prawie zawsze znajduje życzliwy oddźwięk; w ich zaś prostym pojęciu uczoność jego dodawała mu znaczenia, a smutek budził współczucie. Smutek ten tłumaczył on wymijająco stratą brata pod Clifton; w tej zaś pierwotnej warstwie społecznej, gdzie węzły przywiązania wysoko są cenione, stałe jego przygnębienie wywoływało sympatię, nie dziwiąc nikogo.

Przy końcu stycznia towarzyskie talenty Waverleya miały sposobność zabłysnąć z okazji ślubu Edwarda Williama, syna jego gospodarza, z Cecylią Jopson. Bohater nasz nie chciał smutkiem swym zachmurzyć uroczystego wesela dwojga osób, którym tak wiele zawdzięczał. Toteż był wielce ożywiony, tańczył, śpiewał, brał udział w rozmaitych zabawach i okazał się najweselszym z całej kompanii. Już następnego ranka jednak wypadło mu pomyśleć o poważniejszych sprawach.

Księdzu, który dawał ślub młodej parze, tak bardzo spodobał się rzekomy student teologii, że przybył nazajutrz z Penrith umyślnie, by złożyć mu wizytę. Mogło to spowodować pewne niebezpieczeństwo, gdyby zaczął rozpytywać naszego bohatera o szczegóły jego teologicznych studiów; na szczęście wołał on słuchać i udzielać nowinek dnia. Przywiózł ze sobą kilka starych gazet; w jednej z nich Edward znalazł wiadomość, która niebawem uczyniła go głuchym na wszystko, co mówił wielebny ks. Twigtythe o wiadomościach z północy i o prawdopodobieństwie, że książę wprędce dogoni i zgniecie powstańców'. Był to artykuł brzmiący mniej więcej w ten sposób:

„W domu własnym na Hill-street, Berkley-Square¹⁴⁴ zgasł w dniu 10 bm. Ryszard Waverley, drugi syn sir Gilesa Waverley z Waverley-Honour itd., itd. Zmarł on po dłuższym cierpieniu, pogorszonym przez kłopotliwy stan podejrzania, w jakim pozostawał wobec grożącego mu oskarżenia o zdradę główną. Podobny zarzut wisi również nad starszym jego bratem, sir Everardem Waverley, czołowym przedstawicielem tego starożytnego rodu; dowiadujemy się, że proces jego ma być wyznaczony na początek przyszłego miesiąca, jeżeli Edward Waverley, syn śp. Ryszarda, a spadkobierca baroneta, nie odda się w ręce sprawiedliwości. W tym wypadku zapewniają nas, że Jego Królewska Mość skłonny będzie poniechać łaskawie dalszego procesu przeciw sir Everardowi. Stwierdzone zostało, że ten nieszczęsny młodzieniec walczył w służbie Pretendenta i że

¹⁴⁴ Berkeley Square - ulica w arystokratycznej dzielnicy Londynu

wkroczył wraz z wojskami góralskimi do Anglii. Jednakże nie słyszano więcej o nim od czasu potyczki pod Clifton w dniu 18 grudnia roku zeszłego”.

Tak brzmiała owa przykra wzmianka.

„Wielki Boże! - zawołał Edward w duchu. - Czyżbym ja był ojcobójcą? To niepodobna! Mój ojciec, który mi nigdy za życia nie okazywał serdeczniejszego przywiązania, nie byłby przecież odczuł tak silnie mojej przypuszczalnej śmierci, żeby to miało przyspieszyć własny jego zgon; nie, nie mogę w to uwierzyć - oszalałbym, gdyby tak okropne podejrzenie zawładnęło mną przez chwilę. Ale gorsze chyba jeszcze od ojcobójstwa byłoby dopuszczenie do tego, aby niebezpieczeństwo zawisło nad moim szlachetnym i zacnym stryjem, który zawsze był mi więcej niż ojcem, gdyby było w mej możliwości, choćby przez największe poświęcenie z mej strony, odwrócić to nieszczęście”.

Gdy te myśli niby ukąszenie skorpiona ranily duszę Waverleya, zacny duchowny, rozprawiający szeroko o bitwie pod Falkirk, przestraszył się nagłą upiorną zmianą w jego wyglądzie i zapytał go, czy nie czuje się chory. Na szczęście młoda pani, cała w uśmiechach i rumieńcach, weszła właśnie do pokoju. Pani Williams nie należała wprawdzie do najbystrzejszych kobiet, miała jednak czułe serce; zmiarkowawszy więc łatwo, że Edwarda dotknąć musiała jakaś niemiła wiadomość wyczytana w gazecie, wmieszała się tak zręcznie do rozmowy, że nie budząc podejrzeń odciągnęła uwagę pana Twigtythe aż do chwili rychłego odjazdu duchownego. Wtedy Waverley oświadczył swoim przyjaciółom, że musi udać się do Londynu, i to jak tylko się da najprędzej.

Znalazł się jednak pewien powód zwłoki, do którego Waverley nie był przyzwyczajony. Sakiewka jego, dobrze nabita, gdy pierwszy raz jechał do Tully-Veolan, nie została od tego czasu zasilona, a chociaż tryb jego życia od tej chwili nie pociągał za sobą poważniejszych wydatków, gdyż przebywał głównie u przyjaciół albo w wojsku, niemniej jednak okazało się, że po spłaceniu zacnego gospodarza nie starczy mu pieniędzy na podróż pocztowymi końmi. Najlepiej przeto było dostać się do wielkiego północnego gościńca koło mostu Borough i tam zająć miejsce w północnym dylizansie, wielkiej staroświeckiej budzie zaprzęzonej w trzy konie, która na drogę z Edynburga do Londynu zużywała - przy bożej pomocy, jak mówiło ogłoszenie - trzy tygodnie. Bohater nasz więc pożegnał się serdecznie ze swoimi przyjaciółmi, których dobroć przyrzekł zachować na zawsze w pamięci, obiecując sobie w duchu odwdziżyć im się w przyszłości sowicie. Po przezwycięzeniu kilku jeszcze drobnych przeszkód i opóźnień oraz przywróceniu garderoby swojej do stanu wielce co prawda skromnego, lecz odpowiedniejszego dla jego sfery, Waverley przybył tedy szczęśliwie do obranej miejscowości, zajął wreszcie miejsce w upatrzonym wehikule naprzeciwko pani Nosebag, żony porucznika, adiutanta i mistrza konnej jazdy w jednym z pułków dragonów,

dziarskiej niewiasty lat około pięćdziesięciu, odzianej w granatową suknię z czerwonymi wypustkami, a dzierzążcej w ręce szpicrutę o srebrnej gałce.

Dama ta zaliczała się do owych ruchliwych towarzyskich istot, które lubią brać na siebie podtrzymywanie rozmowy. Wracała właśnie z północy i opowiadała Edwardowi, jak mało brakło, by jej pułk posiekał w kawałki tych spódniczkowych ludzi pod Falkirk; przeszkodziło temu jedno z tych niegodziwych bagnisk, jakich podobno nie brak nigdzie w Szkocji.

- Toteż nasz biedny pułczek ucierpiał cośkolwiek, jak powiada Nosebag, w tej niezbyt szczęśliwej przeprawie.

A pan może także służył w dragonach? Pytanie to tak nagle i niespodziewanie zaskoczyło Waverleya, że je potwierdził.

- O, jak to od razu dostrzegłam; poznałam natychmiast z wyglądu, że pan wojskowy, i byłam pewna, że nie może pan być jednym z tych ciężkich piechurów, jak ich mój Nosebag nazywa. A z którego pułku, proszę?

Oto było rozkoszne pytanie! Waverley jednakże, słusznie, się domyślając, że ta zacna osoba musi znać na pamięć całą listę armii, wołał, by uniknąć przyłapania na nieściskości, powiedzieć raczej prawdę, odpowiedział zatem:

- Z dragonów Gardinera, proszę pani; ale już od pewnego czasu wystąpiłem z wojska.

- Ach, to z tych, którzy wygrali wyścig w bitwie pod Preston, jak powiada mój Nosebag. A pan był tam, proszę?

- Niestety, pani - odpowiedział - byłem świadkiem bitwy.

- W tym właśnie nieszczęście, że tak niewielu z pułku Gardinera wytrzymało w roli świadków, jak mi się zdaje. Cha! Cha! Cha! Bardzo pana przepraszam, ale żona żołnierza lubi zażartować.

„Diabli cię nadali! - pomyślał Waverley. - A cóż za piekielne szczęście przypięło mnie do tej natrętnej baby!”

Na szczęście zacna niewiasta nie trzymała się długo jednego przedmiotu.

- Dojeżdżamy teraz do Ferrybridge - rzekła - gdzie zostawiono garść naszych do pomocy urzędnikom, policjantom, sędziom i innym tego rodzaju osobom, co to badają papiery, zatrzymują buntowników i tak dalej.

Zaledwie weszli do oberży, pociągnęła Waverleya do okna, wołając:

- Otóż i kapral Bridoon z naszego biednego, kochanego pułku; idzie z policjantem. Bridoon - to jeden z moich baranków jak ich nazywa Nosebag. Pójdź pan, panie... przepraszam, a jak pańskie nazwisko?

- Butler, pani - odpowiedział Waverley wołąc raczej użyć imienia dawnego swego kolegi niż skompromitować się przez wymienienie nazwiska, którego w pułku nie znano.

- Ach, to pan dostał niedawno szwadron po tym nędznym Waverleyu, który przeszedł do powstańców? Boże, jak ja bym chciała, żeby i ten stary zrzęda, kapitan Grump, przeszedł do powstańców, bo wtedy Nosebag mógłby także dostać dowództwo!... Ale co to - czego ten Bridoon stoi i kiwa się na moście? Głowę bym dała, że się urzynał, jak powiada Nosebag. Chodźmy, panie! Ponieważ oboje należymy do służby, przypomnijmy łotrowi o jego obowiązkach.

Łatwiej się domyślić niż opisać, z jakim uczuciem Waverley musiał podążyć za tym odważnym komendantem w spódnicy. Dziarski żołnierz tyle właśnie przypominał baranka, ile można się było tego spodziewać po pijanym kapralu od dragonów, mierzącym około sześciu stóp wzrostu, barczystym w ramionach, o cienkich nogach, nie mówiąc o wielkiej bliźnie zdobiącej mu nos. Pani Nosebag przywitała go czymś niezwykle podobnym do przekleństwa, po czym rozkazała mu lepiej pilnować obowiązków.

- A bodaj cię, ty przekłeta... - zaczął uprzejmy kawaler; podniósłszy jednak oczy, by dostosować czyny do słów i jednocześnie dobrać najodpowiedniejszy epitet, poznał mówiącą, zasalutował i zmienił ton:

- Niechże Bóg ma w opiece tę śliczną twarzyczkę, czyżby to mogła być patii Nosebag? No cóż, jeśli się nawet biednemu człowiekowi przydarzy, że łyknie sobie trochę na czczo, to przecież jeszcze nie powód, żeby go doprowadzać do biedy.

No, już idź, ty łotrze jeden, i pilnuj tego, co do ciebie należy. Ten pan i ja należymy do służby; ale pamiętaj, żebyś się zajął tym mrukiem w spuszczonej na oczy kapeluszu, który siedzi w kątku dylizansu. Cóż wygląda mi na powstańca w przebraniu.

- Żeby jej perukę diabli wzięli!- rzekł kapral, gdy go już usłyszeć nie mogła. - Ta baba ze świdrującymi oczami, ten adiutant w spódnicy, jak ją nazywamy, to przecież gorsze skaranię dla naszego pułku niż obożny sierżant sztabowy i stary kuternoga pułkownik razem wzięci. Pójdź pan, panie policjancie, przekonajmy się, czy ten mruk, jak ona go nazywa (a nawiasem mówiąc był to kwakier z Leeds, z którym pani Nosebag miała ostrą sprzeczkę o legalność używania broni), zechce nam postawić miarkę wódki, gdyż wasze tutejsze piwo oziębiło mi żołądek.

Temperament tej zacnej damy, który w opisanym wypadku dopomógł Edwardowi do wybrnięcia z oparów, później kilkakrotnie o mało go nie pogrążył. W każdym mieście, w którym się zatrzymywali, chciała dokonać przeglądu miejscowej straży, a raz o mały włos nie zetknęła Waverleya oko w oko z rekrutującym sierżantem jego własnego pułku. Potem bez końca tytułowała go kapitanem i Butlerem, aż od zmysłów odchodził z irytacji i strachu; nigdy też w życiu tak się nie ucieszył z zakończenia podróży, jak wówczas gdy przybycie dylizansu do Londynu uwolniło go wreszcie od opieki pani Nosebag.

Rozdział LXII

Co teraz uczynić?

Zmrok zapadał, gdy przybyli do stolicy; Edward, porzuciwszy towarzyszy podróży i przeszedłszy wiele ulic, by zgubić za sobą ślady, wsiadł do dorożki i pojechał do pułkownika Talbota, którego dom leżał przy jednym z głównych placów zachodniej dzielnicy miasta. Pułkownik już po swym ślubie odziedziczył po krewnych wielki majątek, posiadał wybitne polityczne stosunki i prowadził dom, jak to mówią, w wielkim stylu.

Gdy Waverley zapukał do jego drzwi, okazało się na razie, że trudno uzyskać wstęp, w końcu jednak wprowadzono go do pokoju, gdzie pułkownik spożywał właśnie obiad. Lady Emilia, której piękną twarz powlekała jeszcze bladość po przebytej chorobie, siedziała naprzeciwko niego. Skoro tylko usłyszał głos Waverleya, pułkownik zerwał się i chwycił go w objęcia.

- Franku Stanley, mój drogi chłopcze, jak się miewasz...? Emilio, kochanie, oto jest młody pan Stanley.

Krew napłynęła do twarzy pani, gdy witała Waverleya z uprzejmością i dobrocią, podczas gdy drżąca jej ręka i załamujący się głos zdradzały, jak bardzo jest wystraszona i wzburzona. Wniesiono znów dania obiadowe, a gdy Waverley się posilał, pułkownik mówił dalej:

- Dziwię się, żeś tutaj przyjechał, Franku; doktorzy mi mówią, że powietrze londyńskie bardzo jest szkodliwe na twoje cierpienia. Nie powinieneś być ryzykować. Ale ja uszczęśliwiony jestem, że cię widzę, i Emilia również, chociaż niestety nie będziemy pewnie mogli liczyć na twój dłuższy pobyt.

- Ważny interes mnie sprowadził - bąknął Waverley.

- Domyślałem się tego, ale nie pozwolę ci pozostawać tu długo. Spontoonie - zwrócił się do starszego służącego o wojskowym wyglądzie, nie odzianego w liberię - zabierz to wszystko, a gdybym zadzwonił, zgłoś się osobiście. Nie pozwól nikomu ze służby przeszkadzać nam... Mój siostrzeniec i ja mamy do pogadania o interesach.

Gdy służba się oddaliła, zawołał:

- Na Boga, Waverleyu, co ciebie tu sprowadziło? Możesz to przyplacić życiem.

- Drogi panie Waverleyu - przemówiła lady Emilia - więcej panu zawdzięczam, niż kiedykolwiek wyrazić zdołam; jakże pan mógł być tak nieostrożny!

- Ojciec... stryj mój... ta wiadomość - tu podał gazetę pułkownikowi.

Z duszy bym pragnął, by tych łotrów skazano na śmiertelne zgniecenie w ich

własnych prasach - rzekł Talbot. - Podobno nie mniej niż dwanaście gazet wydają dziś w mieście, nic więc dziwnego, że muszą wymyślać kłamstwa, by znajdować nabywców na swoje dzienniki. To zresztą prawda, mój drogi Edwardzie, że straciłeś ojca, ale co się tyczy zwrotu, że niemiłe położenie, w jakim się znalazł, gnębiło w nim ducha i podkopało jego zdrowie, to rzecz się miała zgoła inaczej; trudno mi wprawdzie teraz o tym mówić, ale to uwolni cię od poczucia ciężkiej odpowiedzialności; prawdą więc jest, że pan Ryszard Waverley w całej tej sprawie okazywał wielki brak uczucia tak wobec twojej sytuacji, jak i położenia twego stryja; ostatnim zaś razem, gdym go widział, powiedział mi z wielką radością, że skoro ja podjąłem się prowadzenia twoich spraw, to i on również uznał za najwłaściwsze poczynić podobne kroki w stosunku do siebie samego i pogodzić się z rządem w drodze wykorzystania dawniejszych swych stosunków.

- A mój stryj? Mój drogi stryj?

- Żadne niebezpieczeństwo mu nie grozi. To prawda - tu spojrział na datę gazety - że przed pewnym czasem krążyła jakaś niemądra plotka tego rodzaju, ale pozbawiona ona była wszelkich podstaw. Sir Everard pojechał do Waverley-Honour wolny od wszelkich trosk z wyjątkiem niepokoju o ciebie. Ale ty sam jesteś w niebezpieczeństwie - nazwisko twoje wymieniane jest w każdej proklamacji, rozesłano też listy gończe, by ciebie uwięzić. Jak i kiedy tu przybyłeś?

Edward opowiedział swoje dzieje szczegółowo, przemilczając tylko sprzeczkę z Fergussem - sam bowiem, przychylny będąc góralom, nie chciał podsycać narodowych uprzedzeń, jakie pułkownik przeciw nim żywił.

- Co do ciebie, Edwardzie, pragnąłbym, byś powrócił do Cumberland, albo raczej żałuję, żeś się w ogóle stamtąd ruszył, gdyż wszystkie porty morskie są strzeżone i ściśle przetrzāsane w poszukiwaniu stronników Pretendenta; a ta przekłeta baba poty będzie mełła językiem, aż tak czy inaczej wykryje, że kapitan Butler był osobistością zmyśloną.

- Czy wiesz cokolwiek, pułkowniku, o tej mojej towarzyszcze podróży?

- Jej mąż był moim sierżantem sztabowym przez sześć lat, ona była wesołą wdówką, mającą trochę gotówki - ożenił się więc z nią, a że był człowiekiem statecznym i dobrze znał musztrę, awansował potem. Każę Spontoonowi dowiedzieć się, co ona porabia; odnajdzie ją wśród starych znajomych z pułku. Jutro musisz być niezdrów i skutkiem zmęczenia nie wychodzić z „pokoju. Emilia będzie twoją pielęgniarką, a ja i Spontoon będziemy cię doglądać. Nosisz nazwisko bliskiego mojego krewnego, którego prócz Spontoona nikt z mojej obecnej służby nigdy nie widział, toteż żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo ci nie zagraża. A więc proszę, niech cię głowa rozboli i powieki niech ci zaciążą jak najprędzej, iżby można cię było uznać za chorego; a ty, Emilio, każ przygotować pokój dla Franka Stanleya z wszelkimi wygodami, jakich chory potrzebować

może.

Nazajutrz rano pułkownik odwiedził swojego gościa.

- Tym razem - rzekł - mam dla ciebie dobre wiadomości. Twoja opinia, jako człowieka honoru i oficera, została skutecznie oczyszczona od zarzutu zaniedbania obowiązków i przystąpienia do buntu w pułku Gardinera. Przeprowadziłem w tej sprawie korespondencję z wielce ci oddanym przyjacielem, szkockim duchownym Mortonem; jego pierwszy list adresowany był do sir Everarda, ale oszczędziłem dobremu baronetowi trudu odpisywania nań. Trzeba ci wiedzieć, że ten twój znajomy rabuś, Donald z Pieczary, wpadł wreszcie w ręce Filistynów. Uprawdzał właśnie bydło pewnego właściciela, nazwiskiem Kilian... i coś tam jeszcze...

- Killancureit?

- Ten sam... Otóż ów jegomość był podobno bardzo tęgim gospodarzem, a że szczególnie sobie cenił rasę swego bydła i że miał przy tym dość lękliwe usposobienie, postarał się o oddział żołnierzy dla pilnowania swej własności. Tak tedy Donald zapędził się niespodzianie w paszczę lwa, został pobity, i uwięziony. Gdy go skazano na śmierć, do sumienia jego przypuścił szturm z jednej strony ksiądz katolicki, a z drugiej twój przyjaciel Morton. Donald odepchnął katolika głównie z powodu ostatniego namaszczenia, które jako człowiek oszczędny uważa za wielkie marnotrawstwo oleju. Tak więc nawrócenie go przypadło w udziale panu Mortonowi, który się z tego zadania wywiązał doskonale, choć wydaje mi się, że ten Donald musiał być osobliwym chrześcijaninem. Wyznał jednakże przed sędzią, niejakim majorem Melville, jak się zdaje człowiekiem sumiennym i ludzkim, całą swoją intrygę z Houghtonem tłumacząc szczegółowo, jak ją przeprowadził, i oczyszczając cię najzupełniej od zarzutu należenia do niej. Wspomniał także, że odbił cię z rąk oficera ochotnika i że cię posłał z rozkazu Pręt... chciałem powiedzieć - Kawalera - jako więźnia do Doune, skąd, jak mniemał, zostałeś w tymże charakterze przetransportowany do Edynburga. Są to szczegóły, które przemawiać mogą tylko na twoją korzyść.

- I co się też z nim stało?

- Ach, został powieszony w Stirling, gdy powstańcy odstąpili od oblężenia: on, jego zastępca i jeszcze cztery plecty poza tym; wyróżniono go, dając mu szubienicę wyższą niż jego przyjaciółom.

- Nie mam doprawdy powodu ani cieszyć się z jego śmierci, ani się nią martwić; ale trzeba przyznać, że człowiek ten wyświadczył mi niemało złego i równie wiele dobrego.

- W każdym bądź razie jego spowiedź oddaje ci wielką „sługę, ponieważ oczyszcza twą opinię z wszelkich podejrzeń, które oskarżenie przeciwko tobie czyniły znacznie groźniejszym ód zarzutów, jakie można wytoczyć tym wszystkim nieszczęsnym ludziom,

co walczą lub walczyli do niedawna z rządem.

W tej chwili wszedł Spontoon z wyrazem niepokoju na twarzy. Przez swoich pułkowych znajomych wyszedł panią Nosebag i zastał ją rozzłoszczoną do najwyższego stopnia tym, że jakiś oszust jechał z nią z północy pod przybranym nazwiskiem kapitana Butlera z dragonów Gardinera. Zamierzała zrobić o tym doniesienie, ażeby wszczęto za nim poszukiwania, jako za emisariuszem Pretendenta; Spontoon (stary żołnierz), niby przytakując, zdołał ją jednak nakłonić do odwołania tego zamiaru. Nie było mimo to czasu do stracenia; dokładny opis zacnej damy mógł prawdopodobnie doprowadzić do odkrycia, że mniemanym kapitanem Butlerem był Waverley, a to stwierdzenie zagrażałoby nie tylko Edwardowi, ale może i jego stryjowi, a nawet pułkownikowi Talbotowi. Teraz więc należało się zastanowić, w którą stronę wypadnie się udać.

- Do Szkocji - powiedział Waverley.

- Do Szkocji? - odparł pułkownik. - A to w jakim celu? Chyba nie po to, żeby się znowu zadać z powstańcami?

- Nie, kampanię moją uznałem za skończoną, gdyż mimo wszelkich wysiłków nie udało mi się ich dogonić; teraz zaś, jak słychać, przenieśli się na zimę w góry, gdzie tacy, jak ja, stronnicy sprawiliby im więcej kłopotu niż pożytku. Bardzo być może, że oni wyłącznie w tym celu przeciągają wojnę, aby osobę Kawalera uchronić od niebezpieczeństwa, a potem wytargować dla siebie możliwe warunki. Moja obecność zwiększyłaby tylko grono tych, którzy nie chcieliby ich opuścić, a nie byłiby w stanie bronić. Sądzę, że pozostawili oni prawie wszystkich swych angielskich stronników w Carlisle dla tej właśnie przyczyny, a ogólniej jeszcze stawiając sprawę, wyznam ci szczerze, pułkowniku - choć mnie to obniży w twoim mniemaniu - że sprzykrzyło mi się całe to rzemiosło wojenne i, jak powiada „kapryśny porucznik” Fletchera¹⁴⁵, mam już tych walk po uszy...

Rycerstwo w pióropuszcach i wielkie boje zachwycaly mnie zawsze w poezji; ale nocne marsze, czuwania, noclegi pod zimowym niebem i inne tego rodzaju dodatki do owego chwalebego rzemiosła nie przypadły mi wcale do smaku, gdy odczułem je na własnej skórze. A jeśli chodzi o samą walkę, miałem jej do syta pod Clifton, gdzie kilka razy ledwie uszedłem cało. Skórom się raz pozbył w ucziwy sposób szabli, której dobyłem tylko jako ochotnik, mam zupełnie dosyć wojska i wcale mi nie spieszno doń powracać.

- Bardzo jestem rad, że tak myślisz, ale w takim razie, co tam będziesz robił na północy?

- Po pierwsze, niektóre porty na wschodnim wybrzeżu Szkocji pozostają dotąd w ręku

¹⁴⁵ Fletcher John (1579-1625) - autor licznych utworów scenicznych

stronników Kawalera; gdybym się do którego z nich dostał, mógłbym z łatwością wsiąść na okręt i przepłynąć się na kontynent.

- Dobrze - a drugi powód?

- Ha, jeżeli mam być zupełnie szczery, jest tam w Szkocji pewna osoba, od której, jak teraz widzę, szczęście moje zależy w dużo większym stopniu, niż to sobie dotąd - uświadamiałem, a o której los bardzo się niepokoję.

- Tak więc Emilia miała słuszość i miłość wchodzi tu w grę?... I któraż z tych dwóch ładnych Szkotek, które mi kazałeś podziwiać, jest tą wyróżnioną wybranką? Nie panna Glen... mam nadzieję.

- Nie.

- Ach, jeśli ta druga, to dobrze: na prostoduszność znajdzie się jeszcze rada, na pychę i zarozumiałość - nigdy. A więc ja nie chciałbym ciebie zniechęcać, a sądząc po tym, co mówił sir Everard, gdy z nim żartowałem na ten temat - przypuszczam, że byłby temu rad; mam tylko nadzieję, że ten nieznośny ojczulek, ze swoim dialektem, ze swoją tabaką, łaciną i nie mającymi końca historiami o księciu Berwick, uzna za konieczne w przyszłości osiedlić się gdzieś za granicą. Co się tyczy córki, to choć myślę, że znalazłbyś niemniej odpowiednią osobę w Anglii, nie mam zamiaru odwozić cię od tego postanowienia, jeżeli ten szkocki pączek różany tak ci naprawdę w serce zapadł. Baronet ma przecież wysokie mniemanie o jej ojcu i całym ich rodzie, a prócz tego bardzo sobie życzy widzieć cię żonatym i ustatkowanym, raz - dla twego własnego dobra, a po wtóre, ze względu na trzy gronostaje w biegu, które by inaczej mogły zbiec gdzieś zupełnie. Ale będę ci mógł dokładnie jego zdanie w tej sprawie powtórzyć, skoro sam na razie pisywać doń nie możesz - najprawdopodobniej nie tak bardzo wyprzedzisz mnie w Szkocji.

- Doprawdy? A cóż ciebie, pułkowniku, może skłaniać do powrotu w tamte strony? Chyba nie tęsknota za krainą gór i potoków.

- O, bynajmniej, ale Emilia już teraz, dzięki Bogu, powróciła do zdrowia, a jeżeli mam ci prawdę wyznać, nie mam wielkiej nadziei pomyślnego zakończenia sprawy, na - której mi obecnie najwięcej zależy, dopóki się osobiście nie rozmówię z jego królewską wysokością naczelnym wodzem; gdyż, jak Fluellen powiada, „książę kocha mnie bardzo, a ja dziękuję Bogu, że zasłużyłem sobie u niego na trochę miłości”. Wychodzę teraz na godzinkę lub dwie, żeby załatwić sprawy związane z twoim wyjazdem.

Po upływie mniej więcej dwóch godzin pułkownik Talbot powrócił i zastał młodego swego przyjaciela rozmawiającego z jego żoną; pani podobało się zachowanie i wykształcenie gościa, on zaś był zachwycony, że bodaj przez chwilę znalazł się znów w swej właściwej sferze, której towarzystwa pozbawiony był już od długiego czasu.

- A teraz - rzekł pułkownik - posłuchajcie, jak sprawę ułożyłem, gdyż niewiele mamy

czasu do stracenia. Ten młodzieniec, Edward Waverley, *alias* Williams, *alias* kapitan Butler, musi dalej występować pod przybranym nazwiskiem jako Frank Stanley, mój siostrzeniec; jutro rano wyruszy na północ, przejeżdżając powozem dwa pierwsze etapy drogi. Następnie spotka się ze Spontoonem, po czym pojedą wierzchem końmi pocztowymi do Huntingdon¹⁴⁶: obecność Spontoona, którego po drodze dobrze znają jako mojego służącego, zapobiegnie badaniom i dopytywaniom. W Huntingdon zetkniesz się z prawdziwym Frankiem Stanleyem. Studiuje on w Cambridge¹⁴⁷, ale niedawno temu, powątpiewając, czy zdrowie Emilii pozwoli mi udać się samemu na północ, wystarałem się dlań o paszport w biurze sekretarza stanu, by mógł mnie w tym zastąpić. Ponieważ głównym celem jego podróży miało być odszukanie ciebie, stała się ona teraz zbyteczna. Zna on twoją historię; zjecie razem obiad w Huntingdon i może wasze mądre głowy obmyślą jaki plan, aby usunąć lub przynajmniej zmniejszyć niebezpieczeństwo dalszej twoje wędrówki na północ. A teraz - tu wydobyl skórzany portfel - niechże cię zaopatrzę w fundusze na drogę.

- Wstydzę się doprawdy, kochany pułkowniku...

Niesłusznie - odpowiedział pułkownik Talbot. - Miałbyś w każdym wypadku prawo rozporządzać moją kieszenią, ale te pieniądze należą do ciebie. Twój ojciec w opiekunem twojego majątku. Posiadasz więc ponad piętnaście tysięcy funtów, oprócz Brere-wood-Lodge, co czyni cię najzupełniej materialnie niezależnym. Tu oto masz dwieście funtów; na każde zaś żądanie możesz otrzymać większą sumę albo otwarty kredyt za granicą.

Pierwszym użytkiem, jaki Waverley zrobił ze swego bogactwa, było napisanie do zacnego farmera Jopsona z prośbą, by przyjął w darze srebrny dzban od swego gościa Williamsa, który nie zapomniał nocy osiemnastego grudnia. Prosił go równocześnie, aby starannie przechował jego góralski ubiór i dodatki, a zwłaszcza broń, która - ciekawa sama w sobie - nabrała dlań dodatkowej wartości ze względu na przyjazne uczucia ofiarodawców. Lady Emilia podjęła się wybrać odpowiednią pamiątkę, mogącą schlebić próżności i gustowi młodej pani Williams, pułkownik zaś, sam po trosze gospodarz, obiecał wysłać patriarsze z Ulswater doskonałą parę koni do wozu i pługą.

Tak więc Waverley spędził jeden szczęśliwy dzień w Londynie, a odbywszy podróż w sposób zamierzony, spotkał się w Huntingdon z Frankiem Stanleyem. Obaj młodzieńcy zaprzyjaźnili się natychmiast.

- Odgaduję teraz grę mojego wuja - rzekł Stanley. - Ostrożny stary żołnierz nie chciał mi powiedzieć, że mogę panu oddać ten paszport, którego nie potrzebuję, ale gdyby się to potem wydało, nie pociągnie za sobą żadnych następstw jako lekkomyślna sztuczka

¹⁴⁶ Huntingdon - miasto w Anglii. Urodził się w nim Oliver Cromwell

¹⁴⁷ Cambridge - siedziba jednego z najstarszych uniwersytetów w Anglii

młodego studenta.

Ma pan zatem stać się Frankiem Stanleyem na mocy tego paszportu.

Propozycja ta istotnie usuwała większość trudności, z którymi Edward byłby się w przeciwnym razie spotykał na każdym kroku; toteż skorzystał z niej bez skrupułu, zwłaszcza że wszelkie polityczne cele były mu w tej podróży obce i że nie mógł być oskarżony o machinacje przeciw rządowi, podróżując pod osłoną paszportu ministra.

Dzień upłynął im wesoło. Młody student dopytywał o kampanię Waverleya i o obyczaje góralskie, a Edward musiał dla zaspokojenia jego ciekawości zagwizdać *pibroch* (marsz wojenny), zatańczyć *strathspey* i zaśpiewać góralską piosenkę. Nazajutrz rano Stanley odprowadził nowego przyjaciela aż do końca pierwszego etapu podróży na północy i tam rozstał się z nim bardzo niechętnie, ulegając perswazjom Spontoona, który, sam przyzwyczajony do karności, wymagał jej też stanowczo od innych.

Rozdział LXIII

Spustoszenie

Jadąc wierzchem na pocztowym koniu, jak to w owych czasie było we zwyczaju, Waverley po kilku tylko indagacjach, które skutecznie zażegnał za pomocą swego paszportu, dotarł bez dalszych przygód do granicy Szkocji. Tutaj doszły go wieści o rozstrzygającej bitwie pod Culloden¹⁴⁸. Od dawna nie spodziewał się niczego innego, chociaż powodzenie odniesione pod Falkirk okryło przedsięwzięcie Kawalera ostatnim słabym blaskiem zachodzącej sławy. Pomimo to klęska ta spadła na Edwarda jak cios, pod którym na razie załamał się zupełnie. Tak więc szlachetny, dworny i wspaniałomyślny rycerz - pretendent stał się teraz zbiegiem, na którego głowę nałożono cenę; stronnicy jego, tacy waleczni, pełni zapału i wierni, nie żyli lub przebywali w więzieniu i na wygnaniu. Gdzie był obecnie gorący i wielkoduszny Fergus, jeżeli nie zginął owej nocy pod Clifton? Gdzie prosty a serdeczny baron Bradwardine, którego słabostki podkreślały tylko jego bezinteresowność, najszczerzą dobroć i niezachwianą odwagę? A Róża i Flora, którym te upadłe filary służyły za jedyne oparcie, gdzie one mogły się podziąć, pogrążone w niedoli po utracie swych najbliższych? O Florze myślał Edward z uczuciem braterskim, o Róży z głębszym jeszcze i tkliwszym niepokojem. Może sądzone mu było zastąpić im utraconych opiekunów. Poruszony tymi troskami przyśpieszał podróż jak mógł najbardziej.

Przybywszy do Edynburga, skąd musiał rozpocząć poszukiwania, Edward odczuł całą trudność swego położenia. Wielu mieszkańców tego miasta widywało go i znało jako Edwarda Waverleya, jakże mógł więc używać tutaj paszportu Franka Stanleya? Postanowił unikać wszelkiego towarzystwa i co prędzej ruszyć dalej na północ. Musiał jednakże zatrzymać się kilka dni w oczekiwaniu na list pułkownika Talbota, któremu miał też w miejscu umówionym pozostawić własny adres, pod zmienionym nazwiskiem.

Z tym zamiarem szedł o zmroku dobrze znanymi sobie ulicami, starając się, by go nikt nie zauważył, na próżno jednak; jedna z pierwszych spotkanych osób poznała go od razu. Była to pani Flockhart, wesola gospodyni Fergususa Mac-Ivor.

- Boże miłosierny! Czy to pan, panie Waverley? Nie potrzebuje się pan mnie obawiać. Ja bym nie zdradziła nikogo w pańskim położeniu... O, smutne czasy! Smutne czasy! Jak się to wszystko zmieniło! Jacy to weseli bywaliście, pułkownik Mac-Ivor i pan, w naszym domu!

¹⁴⁸ bitwa pod Culloden - miejscowość w Szkocji, gdzie ks. Karo) Edward Stuart poniósł klęskę w walce z wojskiem, którym dowodził ks. Cumberland (z 740)

Tu poczciwa wdowa wylała kilka szczyrych łez. Zaskoczony tym, Waverley przywitał się nadrabiając miną i przyznał, że znajduje się w niebezpiecznej sytuacji.

- Ponieważ już wieczór zapada, czy nie wstąpiłby pan do mnie na filiżankę herbaty? A gdyby pan chciał się przespać w małym pokoiku, pilnowałabym, żeby panu nie przeszkadzano i nikt by pana nie poznał; Kasia i Marcia, te głupie dziewczki, uciekły z dwoma dragonami Hawleya, przyjęłam więc na ich miejsce dwie nowe służące.

Waverley przyjął zaprosiny i wprowadził się tam na kilka nocy, pewien, że w domu tej prostej istoty będzie bezpieczniejszy niż gdziekolwiek indziej.

Gdy weszli do saloniku, poczuł, że serce w nim wzbiera bólem na widok czapki Fergusa z białą kokardą, zawieszoną obok lustra.

- Ach, tak - rzekła pani Flockhart z westchnieniem, spostrzegłszy kierunek jego spojrzenia. - Biedny pułkownik kupił sobie nową właśnie w przeddzień wymarszu, a ja nie dałam mu tej zabrać, bo chciałam ją sama którego dnia wyczyścić; kiedy czasami na nią patrzę, wydaje mi się, że słyszę znowu, jak woła na Calluma, żeby mu przyniósł czapkę, jak to zawsze bywało, kiedy zamierzał wyjść. To głupio, ja wiem... sąsiedzi nazywają mnie jakobitką... ale niech sobie gadają, co im się podoba... jak wiem, że to nie dlatego... ale to był taki dobry pan, jakiego trudno znaleźć, a w dodatku taki przystojny. Ach, ale czy pan wie, kiedy ma się odbyć jego egzekucja?

- Egzekucja? Wielkie nieba! A gdzież on jest?

- Boże mój, to pan tego nie wie? Ten biedny góral, Dugald Mahony, był tu niedawno, z jedną ręką odrąbaną aż do ramienia i z wielką dziurą w głowie - pan z pewnością pamięta Dugalda, jak to zawsze nosił siekiere na ramieniu - przyszedł tutaj po prostu zebrząc, że się tak wyrażę, o coś do zjedzenia. On to nam właśnie powiedział, że naczelnik, jak go nazywali (choć ja zawsze będę go nazywała pułkownikiem), i chorąży Maccombich, którego pan dobrze pamięta, zostali wzięci do niewoli gdzieś koło angielskiej granicy. Ludzie naczelnika nie spostrzegli, że go brak, a kiedy było już za późno - o mało nie zwariowali z żalu. Powiedział też, że ten mały Callum Beg (niedobre to było, złośliwe chłopaczysko) i wasza dostojność polegli tej samej nocy wraz z wielu innymi dzielnymi ludźmi. A kiedy mówił o pułkowniku, ryczał tak, że nigdy pan czegoś podobnego nie słyszał. Teraz chodzą wieści, że pułkownik ma być sądzony i stracony razem z tymi, których wzięto w Carlisle.

- A siostra jego?

- Ta, którą nazywali lady Florą? Otóż ona pojechała do niego do Carlisle i tam gdzieś zamieszkała z jakąś wielką papistką, żeby być blisko brata.

- A ta druga młoda panna? - zapytał Edward.

- Ach, któż to może wiedzieć, gdzie się teraz która z nich podziewa? Biedaczki

nacierpią się dosyć za te swoje białe kokardy i białe róże; panienska ta udała się na północ do posiadłości ojca swego w Perthshire, kiedy rządowe wojska wróciły do Edynburga.

- Czy pani wiadomo, co się stało z ojcem panny Bradwardine?

- Ze starym dziedzicem? Nie, tego nikt nie wie; ale mówią, że bił się bardzo mężnie w tej krwawej bitwie pod Inverness; a Clank, starszy cechu kowali, powiada, że rządowcy strasznie są na niego zawzięci za to, że chwycił za broń dwa razy; bo i prawda, że powinien był uważać, ale nie ma większego głupca nad starego... biedny pułkownik stawał tylko raz.

Tyle tylko poczciwa wdowa wiedziała o losie swoich lokatorów i znajomych; wystarczyło to jednak, by Edward postanowił na wszelki wypadek udać się natychmiast do Tully-Veolan, gdzie sądził, że zobaczy Różę lub przynajmniej czegoś się o niej dowie. Toteż w umówionym miejscu zostawił list dla pułkownika Talbota, podpisany przybranym nazwiskiem i podający mu adres miasta pocztowego, położonego najbliżej od siedziby barona.

Z Edynburga do Perth najął Edward konie pocztowe, resztę zaś drogi postanowił odbyć pieszo. Lubił podróżować w ten sposób, a przy tym dawało mu to możliwość zboczenia z drogi, ilekroć ujrzałby z daleka zbliżający się oddział wojska. Przebyta kampania znacznie wzmocniła mu zdrowie i przyzwyczała go do znoszenia trudów. Bagaż swój wysłał naprzód przy nadarzonej sposobności.

Posuwając się ku północy, natrafiał wszędzie na ślady wojny. Połamane wozy, trupy końskie, chaty bez dachów, drzewa ścięte na zasieki, mosty popsute lub częściowo tylko naprawione - wszystko to świadczyło o ruchach wrogich wojsk. W tych miejscowościach, gdzie szlachta oddana była sprawie Stuartów, domy wyglądały zniszczone i opustoszałe, zwykła praca uległa przerwie, a mieszkańcy snuli się tam i z powrotem z wyrazem strachu, smutku i przygnębienia na twarzy.

Wieczór już był, gdy Edward zbliżał się do wsi Tully-Veolan, miotany uczuciami biegunowo różnymi od tych, z jakimi wjeżdżał tam po raz pierwszy. Wówczas życie było dla niego taką nowością, że największym nieszczęściem, jakie sobie mógł wyobrazić, było spędzenie nudnego lub niemilego dnia; zdawało mu się wtedy, iż cały swój czas powinien poświęcać wytwornym i zajmującym studiom, urozmaiconym towarzyską, młodzieńczą rozrywką. A teraz jakaż zmiana! Jak bardzo posmutniał, a jednocześnie zmęźniał jego charakter w ciągu kilku zaledwie miesięcy! Niebezpieczeństwo i nieszczęście to wytrawni, chociaż surowi nauczyciele. Stawszy się „smutniejszym, ale mędrszym człowiekiem”¹⁴⁹, czuł, iż wzrost pewności siebie i godności własnej wynagradzają mu utratę tych jasnych

¹⁴⁹ smutniejszym, ale mędrszym człowiekiem - słowa z *Ballady o Starym Marynarzu* poety Samuela Coleridge (1771-1834)

marzeń, które w jego wypadku doświadczenie tak szybko rozwiało.

Zbliżając się do wsi, ujrzał ze zdziwieniem i lękiem, że oddział żołnierzy zakwaterował się w pobliżu, a co gorzej, wyglądało na to, iż przybyli tam na dłużej. Wywnioskował to, widząc kilka namiotów bielejących w miejscu zwanym Łąką Gromadzką. Nie chcąc się narażać na zatrzymanie i badania, tam gdzie tak łatwo mógł być poznany, okrążył miejscowość z dala, unikając samej wsi, i zbliżył się do górnej bramy alei boczną ścieżką, dobrze sobie znaną. Jeden rzut oka dał mu poznać, jak wielkie zaszły tu zmiany. Połowa bramy, doszczętnie zniszczona i porąbana na opał, leżała na ziemi w gotowych do zabrania stosach; druga połowa zwieszała się bezużytecznie na obluzowanych zawiasach. Gzymsy nad bramami były potłuczone i poobtrącane, a rzeźbione niedźwiedzie, podobno od stuleci stojące na straży, zostały teraz zwalone ze swych posterunków i poniewierały się wśród gruzów.

Aleja ucierpiała dotkliwie. Kilka wielkich drzew ścięto i pozostawiono w poprzek drogi, a bydło wieśniaków oraz kopyta dragońskich koni rozdeptały na czarne błoto soczyste trawniki, które Waverley ongi tak podziwiał.

Wszedłszy na dziedziniec, ujrzał Edward to, czego się obawiał. Zamek został spustoszony przez wojska królewskie, które w bezmyślnej złośliwości usiłowały nawet go spalić, a chociaż grubość murów oparła się częściowo płomieniom, zewnętrzne budynki i stajnie zostały przez pożar strawione doszczętnie. Wieże i szczyty głównego budynku okopcone były i szerniały, bruk na dziedzińcu powyrywany i rozrzucony, drzwi wyłamane lub zwisające na zawiasach, okna wybite i poniszczone, a dziedziniec zasłany szczątkami porozbijanych w kawałki mebli.

Przedmioty starodawnego pochodzenia, z których baron tak był dumny i które taką czcią otaczał, padły ofiarą szczególniejszej zawziętości. Zburzono fontannę, a źródło, które ją zasilalo, zalewało teraz podwórzec. Kamienny basen, wnosząc z ułożenia go w ziemi, zamieniono na koryto do pojenia bydła. Całe plemię niedźwiedzi, wielkich i małych, doznało tej samej niełaski, co ich bracia w bramie wjazdowej, a parę portretów rodzinnych, których żołnierze widocznie używali zamiast tarcz, leżało w strzępach na ziemi. Z rozbolałym sercem, jak to sobie łatwo wyobrazić można, oglądał Edward ruinę tej szanownej siedziby. Z każdym też krokiem rosło w nim pragnienie dowiedzenia się o losie jego właścicieli oraz lęk przed tym, co ich spotkać mogło.

Wyszedłszy na taras, ujrzał dalsze obrazy zniszczenia. Balustrady były połamane, mury zburzone, boki zarosłe chwastami, a drzewa owocowe pościnane albo powykopywane.

Wśród tych śladów powszechnej zagłady niektóre szczególnie boleśnie dotknęły Waverleya. Oglądając front budynku, tak okaleczonego i zeszpeconego, zapragnął

oczywiście poszukać wzrokiem balkoniku należącego do apartamentu Róży na jej *Troisieme*, a właściwie *Cinquieme Etage*. Łatwo było odkryć to miejsce, gdyż poniżej na ziemi leżały kwiaty doniczkowe i krzewy, którymi z dumą swój balkonik przystrajała, a które z niego pozrzucano; kilka jej książek wałało się pośród rozbitych doniczek i innych szczątków. Waverley dostrzegł między nimi jedną swoją własną, a mianowicie mały tomik Ariosta, który podniósł jak skarb, choć wiatr i deszcz zostawiły na nim swe ślady.

Gdy pogrążony w smutnych rozmyślaniach, wywołanych tym widokiem, rozglądał się za kimś, kto by go mógł powiadomić o losie mieszkańców, usłyszał z głębi budynku głos, śpiewający dobrze znajomym akcentem starą szkocką pieśń:

Napadli nas ciemną nocą,
Altankę moją zburzyli.
Słudzy zbiegli przed przemocą;
Nas, bezbronnych, zostawili.

Zabili rycerza mego.
Nade wszystko mi drogiego;
Zabili go, zamęczyli,
Szaty jego zagrabili.

Księżyc wschodzi i zachodzi.
Stonce się po niebie toczy,
Ale memu rycerzowi
Sen śmiertelny zamknął oczy.

„Niestety - pomyślał Edward - czy to ty? Ciebie jednego, bezradny biedaku, oszczędziły więc losy, byś teraz bełkocąc i jęcząc napełniał niesamowitymi urywkami pieśni te komnaty, które ci niegdyś dawały opiekę?...” Po czym zawołał najpierw cicho, a potem głośniejszym głosem:

- Dawidku!. Dawidzie Gellatley!

Nieszczęsny pomylenie wychylił się spomiędzy ruin rzekomej cieplarni, która niegdyś leżała na końcu ścieżki, zwanej dróżką tarasową; na widok obcego jednakże cofnął się z oznakami przerażenia. Waverley, pamiętając jego zwyczaje, zaczął gwizdać melodię, którą Dawidek niegdyś bardzo lubił i której ze słuchu się nauczył. Gwizdanie

naszego bohatera niewiele więcej przypominało śpiew Blondela¹⁵⁰ niż biedny Dawidek Ryszarda Lwie Serce - melodia jednak odniosła skutek, gdyż spowodowała poznanie. Dawidek znowu wysunął się trwożliwie z ukrycia, Waverley zaś, nie chcąc go przestraszyć, stał nie ruszając się z miejsca i tylko jak najbardziej zachęcającymi gestami dodawał mu odwagi.

- To jego duch - mruknął Dawidek, lecz podszedłszy bliżej zdawał się rozpoznać w przybyszu człowieka z krwi i kości. Biedaczysko sam wyglądał na widmo dawniejszej swej postaci. Z dziwnego stroju, który zdobił go za lepszych czasów, pozostało tylko nędzne wspomnienie dawnej świetności; nieborak zastąpił więc braki swej odzieży kawałkami makat ściennych i firanek oraz strzępami malowideł, których pstrokaczna nadawała niesamowity wygląd jego łachmanom. Twarz jego straciła dawny swój, półprzytomny, lecz beztroski wyraz; biedak miał zapadnięte oczy i sprawiał wrażenie istoty na pół zagłodzonej i tak nerwowo roztrzęsionej, że aż litość brała.

Po długim wahaniu zbliżył się w końcu do Waverleya, a nabrawszy nieco zaufania popatrzał mu smutno w twarz i powiedział:

- Wszyscy pomarli i nie ma ich... wszyscy pomarli i nie ma ich...

- Kto umarł? - zapytał Waverley zapominając, że Dawidek nie jest zdolny do utrzymania nieprzerwanego wątku w rozmowie.

- Baron... i pan intendent... i Saunders Saunderson... i panna Róża, co tak słodko śpiewała... Wszyscy pomarli i nie ma ich... pomarli i nie ma ich...

Pójdź ze mną ku tej stronie.
Gdzie świetlik w mroku płonie -
Pójdź ze mną, pójdź na zmarłych ludzi błonie.
Wiatr świszczy; w rudej łunie
Księżyc przez chmury sunie -
A każdy zmarły w swoim śpi całunie.

Pójdź ze mną, jeśli w łonie
Serce ci męstwem płonie -
Pójdź ze mną, pójdź na zmarłych ludzi błonie.

¹⁵⁰ Blondel - giermek i bard Ryszarda Lwie Serce (1157-1199), króla angielskiego, który brał udział w trzeciej wyprawie krzyżowej i w drodze powrotnej w r. 1192 został uwięziony w zamku przez księcia austriackiego Leopolda. Blondel wg podania dostał się w przebraniu do zamku i pieśnią dał znać o swoim przyjsciu uwięzionemu tam królowi

Odśpiewawszy te słowa na jakąś dziką, chociaż poważną nutę, dał znak Waverleyowi, ażeby poszedł za nim, i szybko podążył w głąb ogrodu, kierując się wzdłuż strumienia, który - jak to może czytelnik pamięta - stanowił wschodnią jego granicę.

Dawidek, idąc bardzo prędko, dotarł niebawem do końca ogrodu i przedostał się przez zwaliska muru, który niegdyś odgradzał go od zalesionego wąwozu, gdzie wznosiła się stara wieża Tully-Veolan. Tam zeskoczył do łożyska potoku i wiódł Waverleya wielkimi krokami, wdrapując się na niektóre głazy i mozolnie okrążając inne. Przeszli u stóp ruin zamku; Waverley szedł za swoim przewodnikiem, z trudem dotrzymując mu kroku, gdyż zmrok już zapadał. Idąc z biegiem strumienia trochę niżej, stracił go zupełnie z oczu; migające jednak światełko, które dojrzał przez splątany gąszcz gałęzi i krzaków, wydało mu się przewodnikiem jeszcze pewniejszym. Ciągnęła się teraz przed nim niezmiernie wyboista ścieżka, którą postępując dotarł do drzwi nędznej chatki.

Odezwało się gwałtowne szczekanie psów, które ucichło, gdy podszedł bliżej. Z wnętrza dochodził jakiś głos, wobec czego Waverley osądził, że najroztropniej będzie posłuchać najpierw, o czym mowa.

- Kogoś tu sprowadził, ty głupi łajdaku? - mówiła jakaś stara kobieta, widocznie wielce wzburzona. Usłyszał, że Dawidek Gellatley za całą odpowiedź zagwizdał część melodii, za pomocą której przed chwilą on sam przypomniał się pamięci biednego prostaka, i teraz już bez wahania zapukał do drzwi. Śmiertelne milczenie zapanowało natychmiast wewnątrz chaty, psy tylko warczały groźnie; usłyszał też, że gospodyni podchodzi do drzwi, prawdopodobnie nie tyle chcąc je otworzyć, ile raczej zaryglować.

Zapobiegając temu, Waverley sam nacisnął klamkę i wkroczył do izby.

Przed nim stała stara, nędznie wyglądająca kobieta.

- A któż to w ten sposób wchodzi do ludzkich mieszkań, i to jeszcze o tej porze?! - zawołała.

Po jednej stronie dwa groźne, na pół zagłodzone wielkie psy myśliwskie uspokoiły się na jego widok i zdawały się go poznawać. Z drugiej strony, ukryta do połowy za otwartymi drzwiami, ale najwidoczniej niechętnie korzystająca z tej osłony - z jednym wycelowanym pistoletem w prawej ręce, lewą zaś dobywając właśnie drugiego zza pasa - stała wysoka, koścista, chuda postać w resztkach spłowiałego munduru, z brodą od trzech tygodnie nie goloną.

Był to baron Bradwardine. Nie potrzeba dodawać, że wnet odrzucił broń i powitał Waverleya serdecznym uściskiem.

Rozdział LXIV

Wymiana wiadomości

Historia barona, skoro została wyłuskana z mnóstwa przysłów oraz cytatów łacińskich, angielskich i szkockich, jakimi ją ozdobiła jego erudycja - okazała się krótka. Wiele mówił o żalu, jakim przejęło go zaginięcie Edwarda i Glenaquoicha; zdał sprawę z walk swych na polach Falkirk i Culloden, a wreszcie opowiedział o tym, jak to po ostatniej - wymienionej bitwie, uznawszy, że wszystko przepadło, powrócił do domu w tej myśli, że najłatwiej mu będzie znaleźć schronienie wśród swoich dzierżawców na własnej ziemi. Wysłano oddział żołnierzy celem spustoszenia jego dóbr, gdyż pobłażliwość nie była wtedy na porządku dziennym. Działania ich jednak powstrzymało orzeczenie sądu cywilnego. Zorientowano się bowiem, że majątek nie może być skonfiskowany przez Koronę ze szkodą Malcolma Bradwardine z Inchgrabbit, spadkobiercy męskiego, którego praw wina barona nie mogła uszczuplić, gdyż nie był to jego potomek w linii prostej; podobnie zatem jak wielu innych sukcesorów majoratu¹⁵¹, Malcolm Bradwardine wszedł w posiadanie odziedziczonych włości. Jednakże w przeciwieństwie do postępowania większości osób, które znalazły się w podobnych okolicznościach, nowy właściciel niebawem dowiódł, że zamierza z całą bezwzględnością pozbawić swojego poprzednika wszelkich korzyści z dóbr, wyzyskując niedolę barona do ostatecznych granic. Było to tym bardziej nieszlachetne, że jak wiadomo powszechnie - baron wzbraniał się przepisać dobra na własną córkę, powodując się romantycznym przekonaniem, iż nie godzi się krzywdzić tego młodzieńca jako sukcesora męskiego.

Samolubną tę niesprawiedliwość odczuł żywo lud wiejski przywiązany do swego starego pana i oburzony postępowaniem jego następcy. Sam baron ujął rzecz następująco:

- Sprawa ta nie zgadza się z uczuciami prostej ludności dóbr Bradwardine, panie Waverley, a dzierżawcy świadomie zwlekają z płaceniem swoich powinności; gdy zaś mój krewniak przybył do wsi z nowym administratorem, Jakubem Howie, w celu zebrania czynszów, ktoś nieznany - podejrzewam, że był to Jan Heatherblutter, stary strażnik łowiecki, który wraz ze mną odbywał kampanię w roku piętnastym - dał do niego strzał o zmroku, co go tak przestraszyło, że jak powiada Tullius w *in Catilinam*¹⁵²: *Abit, evasit*,

¹⁵¹ sukcesor majoratu - najstarszy męski i po mieczu potomek rodu dziedziczący majątek

¹⁵² *in Catilinam* - baron ma na myśli słynną mowę Cyncerona demaskującą Catilinę (109-62 przed n.e.), patrycjusza rzymskiego, spiskującego przeciw senatowi

*erupit, effugit*¹⁵³. Uciekł, panie - że tak powiem - bezzwłocznie do Stirling. A teraz wystawił dobra na sprzedaż, jako ostatni dziedzic majoratu. Tymczasem oskarżył mnie przed którymś z *primates*¹⁵⁴ obecnie rządzącym, jakobym był zabijaką, protektorem opryszków, morderców i wszelkich rzezimieszków. Przysłano tu więc żołnierzy, którzy zakwaterowali się w dobrach i polują na mnie niczym na kuropatwę w górach, mówiąc słowami Pisma o dobrym królu Dawidzie, albo jak się to zdarzyło z naszym dzielnym sir Williamem Wallace - choć, oczywiście, nie pragnę się przyrównywać do żadnego z nich. Myślałem, gdym pana u drzwi usłyszał, że to oni nareszcie wytropili starego jelenia w jego barłogu; zamierzałem też zginąć, jak przystało na walecznego byka, przewodnika stada. No, ale teraz, Joanno, czy nie możesz nam dać czegoś na wieczerzę?

- A jakże, proszę pana, upiekę cietrzewia, którego Jan Heatherblutter przyniósł dziś rano; a patrzcie, panowie, jak to biedny Dawidek piecze jaja tej czarnej kokoszki... Pewnie nigdy panu nie przyszło do głowy, panie Waverley, że te wszystkie jaja, tak doskonale przyprawiane na wieczerzę we dworze, obracał właśnie nasz Dawidek?... Nikt tak, jak on nie potrafi gmerać palcami w gorącym popiele.

Dawidek wcale nie jest taki głupi, za jakiego go ludzie uważają, panie Waverley; nie byłby pana tutaj przyprowadził, gdyby nie wiedział, że pan jest przyjacielem jego dostojności, a przecież nawet psy pana poznały, bo był pan zawsze dobry dla bydła i dla ludzi. Mogę panu opowiedzieć coś o Dawidku, jeżeli pan baron pozwoli; widzi pan, jego dostojność musi się ukrywać w tych ciężkich czasach - aż żal patrzeć na to - więc leży tak przez cały dzień, a czasem to i w nocy w jaskini w tej tam dąbrowie, ale chociaż jest to kąć dosyć zaciszny, a stary gospodarz z Corse-Cleugh wymościł go garstką słomy, jednakże, gdy okolica spokojna, a w nocy chłód dokuczy, jego dostojność przekrada się tu czasami, by się trochę rozgrzać przy piecu i przespać pod kocami, a potem rankiem odchodzi. Więc kiedyś z rana jakiego ja się strachu najadłam! Dwóch łajdaków w czerwonych kurtkach wybrało się ryby łowić czy coś podobnego, bo im zawsze takie rzeczy w głowie - i musieli zauważyć, jak pan baron szedł do lasu, bo wypalili za nim ze strzelby. Skoczyłem do nich, niby kwoka na psa, i jak nie krzyknę: „A czego to strzelacie do niewinnego dziecka uczciwej kobiety?” Ja im dowodzę, że to był mój syn, a oni klną i przysięgają się, że to był stary buntownik, jak te łotry przezywają jego dostojność; a Dawidek był właśnie w lesie i słyszał całą awanturę, więc też zaraz mu przyszło do głowy wdziać stary płaszcz, który jego dostojność zrzucił, żeby prędzej uciekać, i wychodzi tak z tego lasu, maszerując i rozglądając się dokoła zupełnie podobnie, jak pan baron; oszukał ich na czysto i uwierzyli, że strzelali do pomyłonego smyka, jak zwą Dawidka, dali mi tedy sześć pensów

¹⁵³ *Abiit, evasit, erupit, effugit* (łac.) - odszedł, uszedł, wymknął się, uciekł - słowa Cyserona o Catilinie

¹⁵⁴ *primates* (łac.) - wysoko postawione osobistości

i dwa łososie, bylebym nikomu o tym nie rozpowiadała. Prawda, że biedny Dawidek nie jest zupełnie taki sam jak inni, ale nie jest znów taki bardzo głupi, jak ludzie o nim myślą.

Waverley zdołał w końcu przerwać opowiadanie Joanny i zapytał o pannę Bradwardine.

- Zdrowa jest i dzięki Bogu bezpieczna w Duchran - odpowiedział baron. - Tamtejszy dziedzic, nasz powinowaty, jest bliżej spokrewniony z moim kapelanem, panem Rubrick; a chociaż jest z przekonania wigiem, jednak nie zapomina w tych czasach o starej przyjaźni. Mój intendent robi, co może, żeby z tego rozbicia ocalić cośkolwiek dla biednej Róży, ale wątpię, czy ją jeszcze kiedy zobaczę, gdyż przyjdzie mi złożyć kości gdzieś na obczyźnie.

- Ale nie, wasza dostojność - rzekła stara Joanna. - Tak samo źle z panem było w piętnastym roku, a oddano wam przecie i baronię, i wszystko inne. A teraz jaja są gotowe i cietrzew upieczony, każdy ma miskę drewnianą i sól jest, i nawet piętka białego chleba od pana intendenta, a także sporo wódki w gąsiorku przysłanym przez Łucję Macleary - przecież to prawdziwie książęca wieczerza!

- Pragnąłbym, żeby przynajmniej jeden książę, nasz znajomy, nie miał się gorzej od nas - zwrócił się baron do Waverleya, który złączył się z nim serdecznie w życzeniach płynących z troski o bezpieczeństwo nieszczęsnego Kawalera.

Następnie zaczęli rozmawiać o widokach na przyszłość. Plan barona był bardzo prosty. Zamierzał uciec do Francji, gdzie dzięki wpływom starych przyjaciół miał nadzieję otrzymać jakieś wojskowe stanowisko, do czego jeszcze zawsze czuł się zdolny. Zaproponował też Waverleyowi, by mu towarzyszył, na co Edward chętnie przystał - w wypadku gdyby stosunki pułkownika Talbota nie zdołały wyjednać mu przebaczenia. W duszy miał nadzieję, że baron zezwoli mu ubiegać się o rękę Róży i przyjmie jego pomoc na wygnaniu; wolał jednak o tym nie wspominać, dopóki własny jego los się nie rozstrzygnie. Następnie mówili o Glennaquoichu, o którym baron wyrażał się z wielką troską, aczkolwiek zauważył, że był on właśnie jak Achilles u Horacego:

*Impiger, iracundus, inexorabilis, acer*¹⁵⁵.

- Co - jak dodał - Struan Robertson¹⁵⁶ tak oto przełożył na pospolitą mowę:

Chłop niestrudzony, do szabli się pali;
Jak pieprz gorący, ostrzejszy od stali.

¹⁵⁵ *Impiger, iracundus, inexorabilis, acer* (łac.) - niestrudzony, gniewliwy, nieprześlągany, ostry. Są to słowa z Horacego *Ars poetica* (Sztuka poetycka)

¹⁵⁶ Robertson ze Struan Alexander - pisarz naśladowujący starożytnych rzymskich poetów. Brał udział w obu jakobickich powstaniach 1715 i 1745 r.

Również i Flora pozyskała sobie bezgraniczną sympatię zacnego starca.

Tymczasem robiło się późno. Stara Joanna poszła spać do jakiejś komórki za chatą. Dawidek od dawna już chrapał pomiędzy Banem a Buskarem. Psy te udały się za nim do chaty, gdy dwór został opuszczony, i tam też stale przebywały, a zażartość ich, w połączeniu z opinią czarownicy przywiązaną do starej kobiety, sprawiała, iż goście stronili wyraźnie od wąwozu. Korzystając z tego, Macwheeble zaopatrywał chyłkiem Joannę w mąkę, dodając też nieco wykwintniejszej stawy na użytek swojego pracodawcy - co wymagało jednak przestrzegania wielkiej ostrożności.

Po kilku uprzejmych słowach baron zajął zwykle swoje posłanie, a Waverley spoczął w wygodnym, choć silnie podniszczonym aksamitnym fotelu - mebel ten zdobił niegdyś paradną komnatę sypialną w Tully-Veolan (sprzęty dworskie bowiem rozproszone były teraz po wszystkich chatach sąsiedztwa) - i zasnął tak smacznie, jak gdyby znalazł się w puchowym łóżu.

Rozdział LXV

Dalsze wyjaśnienia

O świcie stara Joanna zakrzętała się po izbie, żeby obudzić barona, który zazwyczaj sypiał zdrowo i mocno.

- Muszę wracać do mojej jaskini - zwrócił się baron do Waverleya. - Czy chcesz mnie odprowadzić przez polanę?

Wyszli razem i szli wąską zarośniętą ścieżką, którą brzegiem strumienia wydeptali przechodzący tamtędy niekiedy wędkarze i drwale. Po drodze baron wytłumaczył Waverleyowi, że może bezpiecznie zatrzymać się parę dni w Tully-Veolan, a nawet poruszać się swobodnie, byle nie zapominał udawać, że ogląda majątek z polecenia jakiegoś angielskiego pana, który zamierza te dobra kupić. W tym celu radził mu odwiedzić intendenta, który wciąż jeszcze mieszkał w domu zarządu w Małym Veolanie, odległym o jakąś milę od wsi, chociaż w bliskim terminie miał się stamtąd wyprowadzić. Paszportem Stanleya może się wylegitymować przed dowódcą oddziału wojskowego, a gdyby go ktoś z ludności wiejskiej miał poznać, baron zapewniał, że nie grozi mu z ich strony żadne niebezpieczeństwo.

Pogoda ducha, z jaką baron znosił swoje nieszczęścia, miała w sobie coś czcigodnego, a nawet wzniosłego. Nie uznawał bezowocnych żalów ani chorobliwej melancholii;

losowi swemu i związanych z nim uciążliwościom poddawał się z niewzruszonym spokojem, nie złorzecząc zwycięskiej partii.

- Spełniałem, co uważałem za swój obowiązek - mówił dobry starzec - a i oni czynią niewątpliwie to samo. Martwię się niekiedy, gdy patrzę na szerniałe mury domu moich przodków, ale domy, podobnie jak rody i ludzie, dość długo istniały, jeżeli zdołały wytrwać z honorem aż do chwili upadku. A teraz dostało mi się mieszkanie, dość podobne do *domus ultima*¹⁵⁷... - stanęli właśnie u stóp stromej skały. - My, biedni jakobici - mówił dalej baron patrząc w górę - staliśmy się teraz, niby owe jaźwce z Pisma świętego¹⁵⁸ (które wielki podróżnik Pococke¹⁵⁹ nazywa Jerboa), słabym narodem, szukającym schronienia w skałach. Tymczasem bywaj zdrów, mój poczciwy chłopcze, spotkamy się znów wieczorem u Joanny, a teraz pilno mi już wrócić do mojego

¹⁵⁷ *domus ultima* (łac.) - ostatni dom, czyli grób

¹⁵⁸ jaźwce z Pisma św. - zwierzęta, o których mówi Psalm 104, borsuki

¹⁵⁹ wielki podróżnik Pococke - Pococke Edward (1604-1691) - uczonec z Oksfordu przebywający dłuższy czas na Wschodzie, znawca wschodniej kultury
270 Patmos - wyspa na Morzu Egejskim;

Patmos¹⁶⁰, co nie jest wcale łatwą sprawą dla starych, zeszywniałych kości.

Mówiąc to, począł wdrapywać się po skalnej ścianie, stawiając z pomocą rąk niepewne kroki, aż dotarł mniej więcej do połowy wysokości, gdzie kilka krzaków zakrywało wejście do jamy przypominającej kształtem palenisko pieca. Baron wsunął tam najpierw głowę i ramiona, a potem - powoli i stopniowo - resztę długiego swego ciała, aż w końcu nogi i stopy zniknęły całkowicie, on zaś legł zwinięty jak wielki wąż w swej norze lub jak długi rulon drzewa genealogicznego, pieczołowicie i z trudem wetknięty w ciasny otwór starego biurka. Waverley przez ciekawość wdrapał się za nim i obejrzał go w tym legowisku, gdyż trudno było inaczej nazwać jego schronienie.

Grota była wąska i tak niska, że nie można w niej było ani stanąć, ani nawet wygodnie usiąść, choć baron wysiłał się, by przybrać tę pozycję. Jedyłą jego rozrywką było rozczytywanie się w starym, ulubionym Liwiuszu, a dla odmiany wyskrobywanie nożem łacińskich przysłów i tekstów z Pisma świętego na pułapie i piaskowych ścianach swojej twierdzy.

Wobec tego, iż jaskinia, sucha z natury, wysłana była czystą słomą i zeschlą paprocią, tworzyła ona - jak mówił baron kuląc się z wyrazem zadowolenia i wygody, dziwnie mało licującym z jego położeniem - wcale znośne ukrycie dla starego żołnierza, jeżeli tylko nie zawiewał wiatr północny. Nie brakowało nawet, jak powiadał, placówek zwiadowczych. Dawidek i jego matka byli wciąż na straży, usiłując odwrócić wszelkie niebezpieczeństwa, a biedny prostaczek dokazywał istnych cudów zręczności, podyktowanych najwidoczniej przez instynktowne przywiązanie, byle zapewnić spokój swemu patronowi.

Edward postarał się teraz o chwilę rozmowy z Joanną. Poznał w niej od pierwszego wejrzenia tę starą kobietę, która pielęgnowała go w czasie choroby po odbiciu z rąk Natchnionego Gilfillana. Sama jej chatka, choć teraz trochę naprawiona i lepiej nieco wyposażona, była też niewątpliwie miejscem jego uwięzienia; przypomniał sobie również o istnieniu na gminnym torfowisku Tully-Veolan wielkiego pnia spróchniałego drzewa, które z pewnością oznaczało miejsce, gdzie górale spotkali się owej pamiętnej nocy. Wszystko to odtworzył sobie w myśli już poprzedniego wieczora, ale powody, których czytelnik domyśli się bez trudu, powstrzymały go od wypytywania Joanny w obecności barona.

Zabrał się więc teraz do tego z całą gorliwością, a przede wszystkim zapytał, kim była młoda osoba, która przychodziła do chaty w czasie jego choroby. Joanna zastanawiała się przez dłuższą chwilę, po czym oświadczyła, że dalsze utrzymywanie tego w tajemnicy na nic się nikomu nie przyda.

¹⁶⁰ miejsce, gdzie przebywał w ukryciu św. Jan Ewangelista.

- Była to panienska, której równej nie ma na świecie... panna Róża Bradwardine.

- A więc to też zapewne panna Róża przyczyniła się do oswobodzenia mnie - wyciągnął stąd wniosek Waverley, uszczęśliwiony, że znajduje potwierdzenie przypuszczeń, które zrodziły się w nim pod wpływem warunków otoczenia.

- A jakże, panie Waverley, nie kto inny; ale byłaby się gniewała i obraziła, gdyby przyszło jej na myśl, że pan się o tym kiedykolwiek dowie, bo przecież kazała mi mówić po gaelicku, umyślnie po to, ażeby utwierdzić pana w przekonaniu, że jesteśmy w górach. A ja znam niezłe język gaelicki, gdyż moja matka była góralką.

Parę dalszych pytań wyjaśniło całą zagadkę wydobycia Waverleya z niewoli, w jaką popadł w Cairnvreckan.

Gdy Waverley dał Fergusowi do przeczytania otrzymany za pośrednictwem Dawidka Gellatley list Róży, w którym donosiła o zajęciu Tully-Veolan przez mały oddział żołnierzy, okoliczność ta natychmiast zwróciła uwagę ruchliwego i czynnego naczelnika. Zawsze gotów niepokoić i znosić posterunki nieprzyjaciela, a przy tym pragnąc uniknąć umieszczenia większej ich załogi w sąsiedztwie i chcąc jednocześnie przysłużyć się baronowi - gdyż myśl o małżeństwie z Różą nieraz go nawiedzała - zamierzał posłać garść swoich ludzi, by przepędzili czerwone kurtki i sprowadzili Różę do Glennaquoich. Zaledwie jednak postanowił wysłać w tym celu Evana na czele niewielkiego oddziału, wiadomość o wkroczeniu w góry Cope'a z zamiarem rozbicia wojsk Kawalera, zanim zdążą się całkowicie zgromadzić, zmusiła go do stawienia się z wszystkimi siłami pod sztandar księcia.

Posłał wtedy rozkaz do Donalda Bean, by się z nim złączył; jednakże chytry awanturnik, który dobrze rozumiał wartość osobnego dowództwa, korzystał z najrozmaitszych wymówek, by nie zastosować się do tego żądania; Fergus pod naciskiem chwili musiał je przyjmować za dobrą monetę, choć w duszy postanowił zemścić się za tę zwłokę w odpowiednim miejscu i czasie. Ponieważ jednak spraw zmienić już nie mógł, kazał Donaldowi zejść na Niziny, wypędzić żołnierzy z Tully-Veolan i z zachowaniem całego poszanowania, należnego domowi barona - pozostać gdzieś w pobliżu, by opiekować się jego córką i domownikami oraz niepokoić i wyganiać wszelkie pojawiające się w okolicy oddziały ochotników lub wojska.

Ponieważ rozkaz ten powierzał mu niejako kierownictwo partyzanckiej wyprawy, Donald dostrzegł w nim możliwość znacznych dla siebie korzyści, zwłaszcza iż uwalniało go to spod bezpośredniej surowej ręki Fergususa; że zaś miał pewne poparcie u doradców Kawalera, postanowił przeto kuć żelazo, póki gorące. Bez trudności wypełnił zadanie i wypędził żołnierzy z Tully-Veolan; nie odważył się wprawdzie wkraczać do domu i niepokoić panny Róży, nie chcąc stworzyć sobie w armii Kawalera potężnego wroga, gdyż

dobrze wiedział o tym, że: „Barona gniew śmiertelną siłą płonie” - jednakże jął gorliwie pobierać kontrybucję i opłaty od dzierżawców i ciągnąc z wojny wszelkie możliwe dla siebie zyski. Równocześnie przypiął białą kokardę i odwiedzał Różę, rzekomo z wielkiego nabożeństwa dla sprawy, której służył jej ojciec, i pod pozorem przeprosin za swobodę, na jaką musi sobie pozwalać dla utrzymania swoich ludzi. W tym to właśnie czasie doszły do Róży wielce przesadzone pogłoski o tym, że Waverley zabił kowala z Cairnvreckan, gdy ten usiłował go aresztować, że został wtrącony do więzienia przez majora Melville - oraz że miał być z wyroku sądu wojennego stracony w przeciągu trzech dni. W udręce, sprawionej tymi wieściami, zwróciła się do Donalda Bean z prośbą o odbicie więźnia. Była to propozycja ze wszech miar dla Donalda ponętna; sądził bowiem, że tego rodzaju zasługa wystarczy do zmazania wielu grzechów, jakie w okolicy popełnił. Mimo to, zasłaniając się obowiązkiem i karnością, wzbraniał się tak długo, aż biedna Róża w ostatecznej rozpacz ofiarowała się zapłacić mu za to przedsięwzięcie kilkoma cennymi klejnotami, które miała po matce.

Donald Bean służył niegdyś we Francji, toteż poznał się na wartości tych klejnotów, które być może nawet przecenił. Jednocześnie zauważył obawę Róży, ażeby się nie wydało, że oddała swój skarb dla uwolnienia Waverleya. Postanowiwszy, że skrupuł ten nie może pozbawić go zysku, wyraził gotowość złożenia przysięgi, że nigdy o udziale Róży w tej sprawie nie wspomni; widząc zaś same tylko korzyści w dotrzymaniu przysięgi, z której zerwania nic by mu nie przyszło, zobowiązał się - by postąpić rzetelnie wobec młodej damy, jak powiedział do swojego porucznika - złożyć przysięgę w sposób, jaki w swym sumieniu uważał za jedynie wiążący, a mianowicie na obnażone ostrze swego pugiuału¹⁶¹. Do tego aktu dobrej woli skłoniły go szczególnie łaskawe względy, okazywane przez pannę Bradwardine córcę jego Alicji, które, pozyskując serce młodej góralki, schlebiali zarazem wielce próżności jej ojca. Alicja, nauczywszy się teraz po angielsku, odplacała dobroć Róży wielką ufnością; chętnie też oddała jej wszystkie otrzymane do przechowania papiery, dotyczące intryg w pułku Gardinera, i na prośbę

¹⁶¹ Szkoccy górale przypisywali niezwykle wielkie znaczenie pewnym swoistym postaciom przysięgi, która stawała się wtedy bezwzględnie dla nich wiążącą. Bardzo często polegało to na położeniu ręki w czasie przysięgi na własnym wydobytym sztylcie, przy czym ta sama broń, jako istotny składnik obrzędu, używana była w następstwie do karanania wszelkiego wiarołomstwa. Bez względu jednak na formę obowiązującej przysięgi, składający ją pragnęli usilnie zachować w tajemnicy ów szczegół, który czynił ją nieodwołalną. Było to niezmiernie wygodne, gdyż bez wszelkich skrupułów łamano te zobowiązania, które podjęte zostały bez zachowania obrzędu, uważanego za specjalnie uroczyste; toteż chętnie czyniono rozmaite przyrzeczenia, których nie miano zamiaru dotrzymywać dłużej, niż to wydawało się korzystne. Jeśli natomiast swoista postać przysięgi, jaką ktoś uważał za nieodwołalną, dochodziła do wiadomości ogółu, nikt mający z nim do czynienia nie zgodziłby się potem na jakąkolwiek inną jej formę. Ludwik XI, król Francji, uprawiał podobną metodę solistyczną, gdyż uznawał również wyłącznie pewien specjalny rodzaj przysięgi i dlatego bardzo niechętnie na nią się godził. Wierzył on, że jeśli nie dotrzyma takiej przysięgi (na krzyż święty z Saint Lo d'Angres - *obj. red.*), umrze w ciągu roku. (*Z przypisów autora: „Przysięga na sztylet”*).

Róży podjęła się doręczyć je Waverleyowi bez wiedzy ojca. „Mogą się one bowiem przydać dobrej panienci i ładnemu młodemu panu - orzekła Alicja - a co mojemu ojcu po tych kilku zapisanych świstkach?”

Czytelnik zapewne pamięta, że wykonała ten zamiar w przeddzień opuszczenia wąwozu przez Waverleya.

Wiadomo już czytelnikowi, jak Donald wypełnił swe zobowiązanie. Jednakże wypędzenie żołnierzy z Tully-Veolan wzniciło alarm, toteż w czasie gdy Donald czyhał na Gilfillana, wysłano silny oddział, jakiemu nie byłoby on mógł stawić czoła, z poleceniem wyparcia z kolei powstańców, założenia tam obozu i otoczenia opieką całej okolicy. Dowódca, będący człowiekiem przyzwoitym i karnym, ani sam nie narzucał się pannie Bradwardine, której samotność potrafił uszanować, ani też nie pozwalał swoim żołnierzom na żadne wybryki. Założywszy mały obóz na wzniesieniu w pobliżu dworu, obstawił też strażami okoliczne przejścia i wąwozy. Ta niepożądana wieść doszła do uszu Bean Leana, gdy powracał do Tully-Veolan. Zdecydowany wszakże otrzymać nagrodę za swe trudy, postanowił, skoro dotarcie do samego Tully-Veolan okazało się niepodobieństwem, złożyć swego więźnia w chatce Joanny, której istnienia nie, domyśliliby się nawet ludzie z dawna zamieszkali w okolicy, gdyby ich ktoś tam nie zaprowadził; sam Waverley również o niej nie wiedział. Uczyniwszy to, Donald upominał się o nagrodę i otrzymał ją. Choroba Waverleya pokrzyżowała dalsze ich rachuby. Donald ze swymi ludźmi musiał opuścić okolicę, by gdzie indziej poszukać pola dla swej awanturniczej kariery. Na usilną prośbę Róży pozostawił starego zielarza, o którym powiadano, że zna się trochę na leczeniu, aby pielęgnował Waverleya w chorobie.

Tymczasem nowe i okropne wątpliwości zbudziły się w duszy Róży. Podsunęła je stara Joanna, twierdząc, że skoro wyznaczono nagrodę za schwytanie Waverleya, a osobiste jego rzeczy tak są cenne, nie można było mieć pewności, czy Donald oprze się pokusie złamania wiary.

W rozpacz i przerażeniu Róża powzięła śmiałe postanowienie: zdecydowała się mianowicie przedstawić samemu księciu, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się pan Waverley; liczyła bowiem, że Karol Edward jako dobry polityk, a jednocześnie człowiek z sercem i poczuciem honoru, nie zechce dopuścić, by Waverley wpadł w ręce przeciwnej partii. List swój pierwotnie zamierzała wysłać anonimowo, lękała się jednak, że w takim razie nie zasłuży on na wiarę. Toteż, acz niechętnie i ze strachem, podpisała go swoim nazwiskiem i powierzyła pewnemu młodzieńcowi, który pragnąc wstąpić do wojsk księcia prosił ją o jakieś pismo uwierzytelniające.

Karol Edward otrzymał list ten w chwili, kiedy z gór schodził na Niziny, a że rozumiał polityczne znaczenie pozoru, iż łączą go stosunki z angielskimi jakobitami, nakazał

wydać jak najprędzej stanowcze polecenie Donaldowi Bean, by zdrowo i cało odprowadził Waverleya wraz z mieniem do gubernatora zamku Doune. Rabuś nie śmiał odmówić, gdyż wojsko księcia było blisko, wobec czego mogła mu grozić kara; że zaś był przy tym politykiem, nie miał ochoty utracić wskutek nieposłuszeństwa pewnych wpływów, pozyskanych dawniejszymi tajnymi usługami. Stając się tedy z konieczności cnotliwym, rozkazał swojemu pomocnikowi odstawić Edwarda do Doune, co też wykonane zostało bez przeszkód, jak to opisywaliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów. Gubernatorowi zamku Doune polecono przesłać Waverleya do Edynburga jako więźnia, gdyż książe lękał się, że w razie pozostawienia mu swobody ruchów mógłby chcieć wracać do Anglii, nie dawszy księciu sposobności osobistego widzenia się z nim. Pod tym względem Kawaler działał, co prawda, za wskazówką naczelnika z Glennaquoich, z którym porozumiał się co do sposobu postąpienia z Waverleyem; nie mówił jednakże Fergusowi, jaką drogą dowiedział się o miejscu jego przymusowego pobytu.

Szczegół ten uważał Karol Edward za tajemnicę kobiety; choć bowiem Róża napisała doń ostrożnie i jak najbardziej ogólnikowo, jakoby działając wyłącznie z czysto ludzkich pobudek i mając na uwadze służbę księcia, jednakże wyrażała tak gorące pragnienie, by wzmieszanie się jej mogło Pozostać tajemnicą, że wzbudziło to w Kawalerze przekonanie, iż los Waverleya nie jest jej bynajmniej obojętny. To słuszne przypuszczenie doprowadziło jednak do fałszywych wniosków. Wzruszenie bowiem, które Edward okazał, zbliżając się do obu panien na balu w Holyrood, wziął Kawaler na karb Róży” wyobrażając sobie, że pogląd barona na przekazanie swojej własności lub inna jakaś tego rodzaju przyczyna staje na przeszkodzie ich wzajemnym uczuciom. Opinia ludzka często wprawdzie przeznaczała Waverleya pannie Mac-Ivor, ale książe wiedział dobrze, że plotka lubi hojnie takimi darami szafować, bacznie zaś obserwując zachowanie się obu panien w stosunku do Waverleya, nie miał żadnej wątpliwości, że Anglik nic nie obchodzi Flory, a że Róża Bradwardine go kocha.

Pragnąc przywiązać Waverleya do swojej służby, a jednocześnie spełnić czyn zacny i przyjacielski, książe począł nalegać na barona w kwestii przeniesienia praw do dóbr na córkę. Pan Bradwardine zgodził się na to, lecz w następstwie Fergus natychmiast wszczął swe podwójne zabiegi o żonę i tytuł hrabiowski, którą to prośbę książe w wiadomy nam sposób odrzucił. Kawaler, stale zajęty swymi rozlicznymi sprawami, nie postarał się do owej chwili o wyjaśnienie sprawy z Waverleyem, choć często zamierzał to uczynić. Jednakże po oświadczeniu Fergususa zrozumiał, że musi zająć neutralne stanowisko wobec obu rywali, gorąco przy tym pragnąc, by zagadnienie to, noszące w sobie zarodki nieporozumień, uległo odroczeniu aż do końca wyprawy. Gdy w czasie marszu do Derby

Fergus, zapytany przezeń o powód sprzeczki z Waverleyem, oznajmił w odpowiedzi, że Edward zamierza cofnąć starania swe o rękę jego siostry, Kawaler wręcz mu oświadczył, że sam zauważył zachowanie się panny Mac-Ivor względem Waverleya i przekonany jest, iż Fergus błędnie ocenia jego postępowanie; jak bowiem ma wszelkie powody sądzić, Waverley zaręczony jest z panną Bradwardine.

Czytelnik z pewnością nie zapomniał sporu, jaki nastąpił potem pomiędzy Edwardem a naczelnikiem. Okoliczności te tłumaczą pewne niedomówienia w naszym opowiadaniu, których zwyczajem powieściopisarzy nie wyjaśnialiśmy wcześniej umyślnie, ażeby pobudzić ciekawość czytelnika.

Gdy Joanna zakończyła wreszcie opowieść o głównych powtórzonych tu faktach, Waverley z łatwością znalazł w nich klucz do rozwikłania pozostałych płątanin labiryntu, w którym dotychczas błądził. A więc to Róży Bradwardine zawdzięczał życie, które chętnie by teraz złożył w ofierze, byle móc się jej przysłużyć. Chwila zastanowienia przekonała go jednak, że jeszcze przyjemniej byłoby życie to razem z nią spędzić, co będąc niezależnym mógłby uczynić czy to za granicą, czy w kraju.

Zajęty takimi obrazami szczęścia w przyszłości, Edward udał się do Małego Veolanu, gdzie przebywał pan Duncan Macwheeble.

Rozdział LXVI

Oto Kupidyn odzyskał sumienie i spłaca swe dawne długi¹⁶²

Pan Duncan Macwheeble, nie będący obecnie ani komisarzem, ani intendentem, chociaż pusty tytuł tej ostatniej godności wciąż jeszcze piastował, uniknął prześladowań wobec faktu, że zawczasu wystąpił ze stronnictwa powstańczego i że był osobistością bez żadnego znaczenia.

Edward zastał go w biurze, zagrzebanego wśród papierów i rachunków. Przed nim stała duża miska kaszy owsianej, a obok niej łyżka rogowa i flaszka taniego piwa. Pilnie sunąc okiem po wielkim arkuszu prawniczej pisaniny, ładował od czasu do czasu pełną łyżkę tego posilnego pokarmu w swoje ogromne usta. Brzuchata butelka holenderskiej wódki stała obok, świadcząc, że zacny ten człowiek palestry wychylił już swój poranny kielich albo że zmierza dodawać smaku kaszy, popijając ją tym pokrzepiającym trunkiem, można też było przypuścić, że zachodzą oba powody jednocześnie. Nocna jego czapeczka i szlafrok uszyte były pierwotnie z tartanu, ale godny intendent również przezorny, jak oszczędny kazał je ufarbować na czarno, ażeby ich niefortunny kolor nie przypominał jego gościom nieszczęsnej wyprawy do Derby. Dla uzupełnienia obrazu dodać należy, że cała jego twarz aż po oczy umazana była tabaką, palce zaś - atramentem.

Z pewnym wahaniem spojrzął na Waverleya, gdy ten podszedł do pomalowanej na zielono barierki, która odgradzała jego biurko i krzesło od dostępu pospólstwa. Nic bardziej nie trwożyło pana intendenta niż myśli o tym, że do jego znajomości odwoływać się mogą ci nieszczęśni panowie, którzy teraz zamiast dostarczyć zysków sami raczej potrzebowali pomocy. Ale obecnym gościem był przecież ten bogaty młody Anglik - czyż można wiedzieć, w jakim się znalazł położeniu?... A w dodatku był przyjacielem barona... Co tu robić?

Podczas gdy myśli te nadawały twarzy biedaka wyraz śmiesznego zakłopotania, Waverley, czując rażącą niewspółmierność między tym, co miał do powiedzenia, a wyglądem siedzącego przed nim osobnika, wybuchnął mimo woli śmiechem, mając ochotę zawołać z Syphaxem¹⁶³:

Kato najlepiej się przecież nadaje
Do wysłuchania tych miłosnych zwierzeń.

¹⁶² Oto Kupidyn odzyskał sumienie - słowa ze sztuki Szekspira *Wesołe kumoszki z Windsoru*. Kupidyn - w mitologii rzymskiej bożek miłości, inaczej Amor, w mitologii greckiej - Eros

¹⁶³ Syphax - postać starego wojownika z tragedii Addisona (1672-1719) pt. *Calo*, której bohaterem jest Katon z Utyki, występujący (ok. 46 r. przed n.e.) przeciw Juliuszowi Cezarowi, gdy ten zmierzał do dyktatury

Ponieważ pan Macwheeble nie wyobrażał sobie, by tak serdecznie mógł się śmiać ktoś, komu grozi niebezpieczeństwo lub dokucza bieda, na widok wesołej twarzy Edwarda rozpogodził nieco swoją własną i dość serdecznie witając go jako gościa Małego Veolanu, zapytał, czym by zechciał posilić się na śniadanie. Gość jednakże oznajmił, że przede wszystkim musi mu coś powiedzieć w zaufaniu, wobec czego poprosił o pozwolenie zamknięcia drzwi.

Ta ostrożność bynajmniej nie spodobała się panu Duncanowi, gdyż pachniała możliwym niebezpieczeństwem; teraz wszelako nie mógł się już cofnąć.

Przekonany, że może zaufać temu człowiekowi, w którego własnym interesie leżało zachowanie dyskrecji, Edward zwierzył się Macwheeble'owi z obecnej swojej sytuacji oraz zamiarów na przyszłość. Chytry agent wysłuchał z obawą wzmianki o tym, że Waverleyowi wciąż jeszcze grozi odpowiedzialność, pocieszył się trochę na wieść o istnieniu paszportu, zatarł ręce rozkosznie, gdy Edward wymienił wysokość swego obecnego majątku, otworzył oczy, usłyszawszy o świetności jego widoków na przyszłość, ale gdy dowiedział się o zamiarze podzielenia ich z panną Różą Bradwardine, zachwyty i uniesienie omal nie przyprawiły go o utratę zmysłów.

Intendent zerwał się z kulejącego stołka, niczym Pitia¹⁶⁴ ze swego trójnogu, wyrzucił za okno najlepszą swoją perukę, gdyż zawadzał mu postument, na którym była zawieszona, podrzucił czapkę do sufitu i uchwycił ją znów w locie, zagwizdał *Tullochgorum*, wykonał z nieporównanym wdziękiem i zwinnością kilka obrotów góralskiego tańca, aż wreszcie opadł wyczerpany na krzesło, wołając:

- Lady Waverley!. Dziesięć tysięcy rocznie, jeśli nie więcej! Boże, ratuj, bo oszaleję!

- Amen z całego serca - rzekł Waverley. - Ale teraz, panie Macwheeble, przejdźmy do interesu.

Słowa te podziały nieco uspokajająco, ale głowa intendenta, jak się wyraził, wciąż jeszcze tkwiła „w obłokach”. Poprawił jednak pióro, zagiął duży margines na pół tuzinie arkuszy papieru, ściągnął „Wzory” Dallasa St. Martina z półki, gdzie to czcigodne dzieło porastało pyłem obok „Ustaw” Staria, „Wątpliwości prawnych” Dirletona, „Przepisów” Balfoura¹⁶⁵ i stosu starych ksiąg rachunkowych - i otworzywszy tom na ustępie omawiającym „Kontrakt ślubny”, gotował się do sporządzenia - jak się wyrażał - „małego protokołu dla zapobieżenia cofnięciu się stron”.

Z pewnym trudem Waverley wytłumaczył mu, że pośpiech taki jest przedwczesny. Oznajmił też, że przede wszystkim będzie potrzebował jego pomocy celem zabezpieczenia

¹⁶⁴ Pitia - kapłanka świątyni Apollina w Delfos. Wygłaszała ona wyrocznie siedząc na trójnogu umieszczonym nad otworem pieczary, z której wydobywały się oszałamiające ją gazy

¹⁶⁵ „Przepisy” Balfoura - dzieło prawnicze

pobytu, i prosił go o zawiadomienie oficera w Tully-Veolan, że pan Stanley, Anglik, bliski krewny pułkownika Talbota, bawi za interesami u pana Macwheeble, a znając stan kraju, posyła paszport swój kapitanowi Foster do przejrzania. Krok ten wywołał grzeczną odpowiedź oficera i zaproszenie pana Stanleya na obiad, z którego Edward - rzecz prosta - nie skorzystał, wymawiając się koniecznością załatwienia pilnych spraw.

Następnie Waverley poprosił pana Macwheeble, by wysłał konnego posłańca do miasteczka pocztowego (dokąd pułkownik Talbot miał kierować dlań korespondencję) z rozkazem, ażeby tam czekał na list do pana Stanleya i przywiózł mu go czym prędzej. W jednej chwili intendent odszukał swojego ucznia (albo posługacza, jak się to nazywało „sześćdziesiąt lat temu”), Jocka Scrivera, i niebawem Jock siedział już na grzbiecie siwego kuca.

- Pamiętaj, żebyś go nie zmęczył, mój kochany, bo on cierpi na zadyszkę od czasu... hm... Boże, zmiłuj się nade mną! (po cichu:) gdy byłem zmuszony przyłączyć się do... od czasu kiedy to gnałem go batem i ostrogami, by ściągnąć Kawalera na ratunek pana Waverleya i Vich Ian Vohra; ładnie mi się wtenczas opłaciły moje trudy! Niech Bóg przebaczy waszej dostojności! Kark mogłem skrócić - choć co prawda działo się to w chwili, gdy rzeczy takie nie były rzadkością. Ale nie ma już o czym gadać... Lady Waverley!... Dziesięć tysięcy rocznie!... Boże, zmiłuj się nade mną!

- Zapomina pan jednak, panie Macwheeble, że trzeba nam jeszcze zgody barona i samej panny.

- Niech się pan o to nie troszczy, już ja za nich ręczę; mogę panu dać na to osobistą gwarancję... Dziesięć tysięcy rocznie! Balmawhapple przy tym, to śmiech! Jednoroczny dochód wart tyle, co całe Balmawhapple! Bogu niech będą dzięki!

Chcąc powstrzymać potok uczuć intendenta Edward zapytał go, czy słyszał co w ostatnich czasach o naczelniku z Glennaquoich.

- Ani słowa - odpowiedział Macwheeble - poza tym, że wciąż jeszcze przebywa w zamku w Carlisle i że niebawem ma ponieść śmierć. Nie życzę źle temu młodemu panu - dodał - ale mam nadzieję, że ci, co go dostali w ręce, nie puszczą go i nie pozwolą mu wrócić na to górskie pogranicze, gdzie by nas znowu trafił okupem, wszelkimi gwałtami, zuchwałym uciskiem i łupiestwem.

Na tego rodzaju gawędzie, a potem na omawianiu interesu, zszedł czas aż do obiadu; Macwheeble obiecywał obmyślić jakiś sposób, by Edwarda, bez wzbudzenia podejrzeń, wprowadzić do Duchran, gdzie przebywała obecnie Róża. Nie było to łatwym zadaniem, gdyż miejscowy dziedzic zaliczał się do gorliwych stronników rządu. Kurnik intendenta doznał rekwizycji, a niebawem potrawka z kurcząt i szkockie zrazy zapachniały w małej

bawialni. Już i korkociąg wkręcano w szyjkę kwartowej butelki czerwonego wina (zagarniętego, być może, z piwnic Tully-Veolan), gdy widok siwego kuca, pełnym klusem przebiegającego pod oknem, skłonił intendenta do pieczołowitego odstawienia jej na chwilę.

Do izby wszedł Jock Scriver z paczką dla pana Stanleya, opatrzoną pieczęcią pułkownika Talbota. Gdy Edward drżącymi palcami rozwinął ją, wypadły z niej dwa urzędowe papiery, złożone, podpisane i należycie opieczętowane. Intendent podniósł je natychmiast z wrodzonym uszanowaniem dla wszystkiego, co przypomina akt prawny, a gdy zerknął na odwrotną stronę, oczom jego, a raczej okularom ukazały się następujące słowa: „Glejt bezpieczeństwa¹⁶⁶, udzielony przez Jego Królewską Wysokość osobie Cosmo Comyne Bradwardine, z dóbr tegoż miana, pospolicie nazywanego baronem Bradwardine”, winnego przystąpienia do ostatniego powstania”.

Drugie pismo Jak się okazało, zawierało glejt podobnej treści, wystawiony na imię urodzonego Edwarda Waverleya. List pułkownika Talbota opiewał jak następuje:

Mój Drogi Edwardzie!

Choć dopiero co przybyłem tutaj, starania moje już się zakończyły, kosztowało mnie to wprawdzie niemało kłopotu, jak o tym zaraz się przekonasz. Poszedłem złożyć czołobitność Jego Królewskiej Wysokości natychmiast po moim przybyciu, ale zastałem go w usposobieniu niezbyt sprzyjającym przeprowadzeniu mych zamiarów. Trzech czy czterech szkockich panów opuszczało właśnie jego ranne przyjęcie. Bardzo łaskawie mnie przywitawszy rzekł mi: »Czy uwierzysz, pułkowniku, że było tu przed chwilą pół tuzina najprzedniejszej szlachty, najwierniejszych stronników rządu na północ od rzeki Forth, jak major Melville z Cairnvrekan, Rubrick z Duchran i inni, którzy wprost wymusili na mnie swoim bezprzykładnym natręctwem chwilowo glejt bezpieczeństwa, a na przyszłość obietnicę ułaskawienia dla tego upartego starego buntownika, którego nazywają baronem Bradwardine. Twierdzą, że wysoka jego wartość osobista i łagodność, jaką okazał tym z naszych ludzi, którzy wpadli w ręce powstańców, powinny zaważyć na jego korzyść, zwłaszcza że utrata majątku będzie sama przez się dostatecznie surową karą. Rubrick podjął się gościć go we własnym domu, dopóki się stosunki w kraju nie ułożą, ale to przecież ciężka dla mnie sprawa czuć się zniewolnym do przebaczenia takiemu śmiertelnemu wrogowi domu brunszwickiego«.

Nie była to chwila pomyślna dla wytaczania mojej sprawy. Mimo to objawiłem radość z tego, że Jego Królewska Wysokość przychyliła się do takich próśb, gdyż ośmiela mnie to

¹⁶⁶ Glejt bezpieczeństwa - pismo urzędowe, gwarantujące bezpieczeństwo danej osobie

do przedstawienia podobnej prośby w moim własnym imieniu. Rozgniewało go to bardzo, ale ja trwałem przy swoim; wspomniałem o stałym poparciu naszych trzech głosów w Izbie, dotknąłem skromnie pewnych usług oddanych za granicą, choć cennych tylko przez to, że Jego Królewska Wysokość raczył łaskawie je przyjąć, i opierałem się dość silnie na własnych jego zapewnieniach przyjaźni i życzliwości. Był bardzo zakłopotany, ale uparty. Napomknąłem, że ze względów politycznych byłoby wskazane zniechęcić do udziału w możliwych przyszłych intrygach opozycjonistów dziedzica takiej fortuny, jaką stanowi majątek Twego stryja. Nie wywarło to jednak na nim żadnego wrażenia.

Wspomniałem wtedy o moich długach wdzięczności względem Sir Everarda oraz Ciebie osobiście i prosiłem, by jako jedyną nagrodę za moje usługi zechciał dać mi możliwość odwdzięczenia się Wam. Spostrzegłszy, że nadal nastrojony jest odmownie, wydobyłem z kieszeni mój dekret służbowy i oświadczyłem, uciekając się do środków ostatecznych, że skoro Jego Królewska Wysokość, mimo tak poważnych względów, nie uważa mnie za godnego łaski, której nie odmówił innym panom chyba nie więcej zasłużonym ode mnie, muszę prosić i pozwolenie złożenia z całą pokorą dymisji w ręce Jego Królewskiej Wysokości i wystąpienia ze służby. Na to nie był przygotowany; kazał mi cofnąć dymisję, powiedział kilka miłych słów o moich zasługach i na moją prośbę wyraził zgodę.

Jesteś przeto znowu człowiekiem wolnym, a ja za Ciebie przyrzekłem, że w przyszłości będziesz grzecznym chłopcem i nie zapomnisz, ile masz do zawdzięczenia łagodności rządu. Widzisz tedy, że i mój książę potrafi być równie wspaniałomyślny, jak Twój. Mój przyjaciel, generał-adiutant, zdobył dla mnie duplikat glejtu barona (oryginał ma w swym posiadaniu major Melville); posyłam Ci go, ponieważ wiem, że jeżeli potrafisz odszukać barona, sprawi Ci przyjemność być pierwszym, który zakomunikuje mu tę radosną wiadomość. Oczywiście, nie tracąc czasu, uda się on do Duchran, by tam odbyć parę tygodniową kwarantannę.

Co do Ciebie, pozwalam Ci odprowadzić go i pozostać tydzień, ponieważ, jak mi wiadomo, przebywa tam pewna piękna dama. Przy tym miło mi oznajmić Ci, że jeżeli zyskasz względy w jej oczach, sprawisz tym wielką przyjemność Sir Everardowi i pannie Racheli, którzy nigdy nie uwierzą w ustalenie Twoich widoków i zamiarów ani też w zupełne bezpieczeństwo trzech gronostajów w biegu, dopóki ich nie obdarzysz panią Edwardową Waverleyową. Otóż pewne moje własne sprawy sercowe - wiele lat temu - przeszkodziły ówczesnym planom układanym dla dobra trzech gronostajów w biegu, toteż, uczciwie mówiąc, winienem im zadośćuczynienie. Nie trać zatem czasu, gdyż po upływie tygodnia będziesz musiał udać się do Londynu, by wnieść przed sądem prośbę o

ułaskawienie.

Zawsze, drogi Waverleyu, szczerze Ci oddany

Filip Talbot”.

Rozdział LXVII

A najwięcej szczęścia dają swaty, co najkrócej trwają

Gdy minęło pierwsze radosne uniesienie, wywołane tak pomyślnymi wiadomościami, Edward zapragnął zejść natychmiast do wąwozu, by powiadomić barona o ich treści. Ostrożny intendent słusznie jednak zauważył, że gdyby baron natychmiast ukazał się publicznie, dzierżawcy i ludność wiejska mogliby objawić zbyt żywą radość i obrazić tym „władze istniejące”, do których intendent odnosił się zawsze z bezgranicznym uszanowaniem. Toteż zaproponował, by pan Waverley udał się do Joanny Gellatley i sprowadził barona pod osłoną nocy do Małego Veolanu, gdzie mógłby pokosztować znów rozkoszy dobrego łóżka. Tymczasem sam zamierzał pójść do kapitana Fostera, pokazać mu glejt i uzyskać jego zgodę na zatrzymanie barona na tę noc u siebie, a następnie wystarać się o konie, by nazajutrz wyprowadzić go do Duchran wraz z panem Stanleyem „które to nazwisko, jak sądzę, wasza dostojność zechce na razie zatrzymać” - dodał intendent.

Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, Waverley pośpieszył do chatki. Miejsce to przypominało dokładnie opis Spensera:

Tam, w zagłębieniu ciemnego wąwozu¹⁶⁷
Znalazła chatkę z gałęzi i trzciny
Nędznie skleconą, a okrytą darnią.
W niej czarownica mieszkała, odziana
W łachmany wstrętne, w dobrowolnej biedzie.
Miejsce obrała samotne, by z dala
Od wszelkich sąsiedztw, diabelskie swe dzieło,
Piekielnych pełne sztuk przed ludźmi kryjąc,
Móc na odległość szkodzić, komu chciała.

Edward wszedł do chaty, powtarzając w duchu te wiersze. Biedna stara Joanna, pochylona wiekiem, z oczyma zmętniałymi od torfowego dymu, krzątała się po chacie z ‘miotłą brzozową w rękę, mrużąc coś do siebie i starając się oczyścić kominek i podłogę na przyjęcie spodziewanych gości. Posłyszawszy kroki Waverleya, drgnęła, podniosła oczy i zaczęła się trząść, gdyż nerwy miała wielce nadszarpnięte od ciągłej obawy o

¹⁶⁷ Tam, w zagłębieniu ciemnego wąwozu... itd. - cytat z poematu Spensera *Królowa Elfów*

bezpieczeństwo dziedzica.

Z trudem wytłumaczył jej Waverley, że osobie barona nic już teraz nie grozi, a gdy nareszcie pojęła tę radosną nowinę, nie łatwiej przyszło jej uwierzyć z kolei, że nie ma on powrócić do posiadania swoich dóbr.

Waverley pożegnał się teraz z Joanną i wkrótce stanął u stóp schronienia barona. Gwizdnął z cicha i wnet zauważył, że weteran rozgląda się ostrożnie niby stary borsuk wytykający głowę z jamy.

- Pośpieszyłeś się trochę, mój drogi chłopcze - rzekł schodząc ze skały. - Wątpię, czy czerwone kurtki bębniły już na capstryk, a zanim się to stanie, nie możemy czuć się bezpieczni.

- Na dobrą wiadomość nigdy nie jest zbyt wcześnie - odpowiedział Waverley i z niezmierną radością przekazał mu pomysły nowiny. Starzec stał przez chwilę, jak gdyby Pogrążony w cichej modlitwie, a potem zawołał:

- Chwała Bogu!... Zobaczę więc jeszcze moją dziecinę.

- Ażeby już, mam nadzieję, nigdy się z nią nie rozstawać! - rzekł Waverley.

- Dałby to Bóg, chyba że będę musiał zdobywać dla niej środki utrzymania, gdyż moje interesy przedstawiają się niezbyt świetnie. Ale co znaczą światowe dostatki?

- A gdyby... - przemówił skromnie Waverley. - Gdyby zdarzyła się sytuacja życiowa, która by postawiła pannę Bradwardine ponad niepewnościami losu, w sferze, w której się urodziła - czy sprzeciwiłby się pan temu, mój baronie? Bo zapewniam cię, że jednego z twoich przyjaciół uczyniłoby to człowiekiem najszcześliwszym na świecie.

Baron odwrócił się i „spojrzał nań z wielkim przejęciem.

- Tak - mówił dalej Edward - nie będę się uważał za ulaskawionego od zesłania, dopóki nie pozwoli mi pan towarzyszyć sobie do Duchran i tam...

Baron, jak się zdawało, pragnął wyteńczyć całą swoją godność, by właściwie odpowiedzieć na coś, co w innych warunkach poczytywałby za propozycję zawarcia traktatu przymierza między domami Bradwardine i Waverley. Silił się jednak nadaremnie: ojciec brał w nim górę nad baronem; duma rodowa, wzgląd na stanowisko - wszystko to straciło swe znaczenie. Wobec radosnej niespodzianki lekki skurcz przebiegł mu szybko po twarzy, gdy ulegając popędowi serca, zarzucił ręce na szyję Waverleya i załkał wołając:

- Synu mój, synu! Choćbym cały świat przeszukał, ciebie jednego bym wybrał!

Edward odwzajemnił uścisk z serdecznym wylewem uczucia i przez chwilę obaj milczeli. Na koniec ciszę przerwał Edward:

- A panna Bradwardine?

- Jej życzenia zgodne są zawsze z wolą starego ojca; przy tym jesteś przystojnym

młodzieńcem, uczciwych zasad i wysokiego rodu; nie, ona nigdy nie sprzeciwiała się mojej woli, a nawet w najświetniejszych czasach nie mogłem pragnąć dla niej odpowiedniejszego małżeństwa jak z bratankiem mojego najzaciejszego przyjaciela, sir Everarda. Ale mam nadzieję, młodzieńcze, że nie postępujesz lekkomyślnie w tej sprawie. Spodziewam się, że zapewniłeś sobie zgodę własnych przyjaciół i krewnych, a szczególnie twojego stryja, który jest dla ciebie *in loco parentis*! Musimy się z tym liczyć najpoważniej!

Edward zapewnił barona, że sir Everard będzie sobie poczytywał za zaszczyt tak życzliwe przyjęcie propozycji, której ze swej strony udziela pełnego poparcia, a na dowód tego wsunął w rękę barona list pułkownika Talbota. Baron przeczytał go bardzo uważnie.

- Sir Everard - rzekł - zawsze mało cenił bogactwo w porównaniu z honorem i z urodzeniem: boć też, co prawda, nie ma potrzeby ubiegać się o łaski *Divae Pecuniae*¹⁶⁸. Ja jednak żałuję teraz, skoro ten Malcolm okazał się takim ojcobójcą, gdyż inaczej nazwać tego niepodobna, że chce puścić w obce ręce rodzinne dziedzictwo, żałuję tedy (tu utkwiał oczy w część dachu, widoczną ponad drzewami), że nie mogę pozostawić Róży tego starego domostwa i pól, które do niego należą. A jednak - dodał weselej - może to i dobrze, że tak się właśnie stało, gdyż jako baron Bradwardine uważałbym za swój obowiązek, nalegać na pewne ustępstwa dotyczące nazwiska i herbu, czego teraz, zostawszy szlachcicem bez ziemi, z córką bez posagu, mogę zaniechać nie narażając się na niczyje zarzuty.

„Dzięki Bogu - pomyślał Edward - że sir Everard nie słyszy tych rozważań. Trzy gronostaje w biegu i wspinający się niedźwiedź pogryzłyby się z sobą z pewnością”. Z całym przeto zapalem zakochanego młodzieńca zapewnił barona, że szczęścia szukał jedynie w sercu Róży i w nadziei otrzymanie jej ręki, a proste przyzwolenie ojca nie mniej go uszczęśliwi, niż gdyby towarzyszyły mu tytuł i dobra hrabiowskie.

Doszli teraz do Małego Veolanu. Gęś dymiała na stole, a intendent wywijął zachęcająco nożem i widelcem, witając z uciechą swego pracodawcę. W kuchni również nie brakowało gości. Stara Joanna siedziała w narożnym kąciku, Dawidek obracał rożen ku nieśmiertelnej swojej chwale, a nawet Ban i Buskar, nakarmione do syta dzięki radosnej hojności Macwheebble'a, leżały teraz pochrapując na podłodze.

Nie będziemy się silili odmalować spotkania ojca z córką - dwojga osób tak serdecznie się kochających, a rozdzielonych w tak niebezpiecznych okolicznościach. Tym bardziej zaniechamy dociekania przyczyn głębokiego rumieńca, jaki oblał twarz Róży, gdy słuchała grzecznych słów Waverleya, jak również rozstrzygania zagadnienia, czy

¹⁶⁸ *Diva Petunia* (łac.) - bogini pieniędzy

ciekawa była poznać właściwy powód jego powrotu do Szkocji. Nie będziemy nawet nużyli czytelnika drobiazgowym opisem zalotów „sprzed sześćdziesięciu lat”. Dość powiedzieć, że wobec niezwyklej pedanterii barona wszystko musiało się odbywać zgodnie z wymogami etykiety. Baron wziął na siebie, nazajutrz rano po ich przybyciu, zadanie przedstawienia Róży propozycji Waverleya, której ona wysłuchiwała z odpowiednią miarą panięńskiej wstydlivości. Fama jednakże głosi, że poprzedniego wieczoru Waverley znalazł chwilę czasu, by uprzedzić pannę o tym, co ją czeka, podczas gdy reszta towarzysztwa przyglądała się trzem wężom tworzącym fontannę w ogrodzie. Nadobne moje czytelniczki niechaj same osądzą; co do mnie jednak nie mogę pojąć, jako tak ważnej sprawie można było oznajmić w równie krótkim czasie; to pewne, że baron zużył pełną godzinę na należyte jej wyluszczenie.

Waverleya traktowano odtąd jako formalnie przyjętego konkurenta. Pani domu za pomocą uśmiechów i skinień wyznaczała mu miejsce obok panny Bradwardine przy stole oraz rolę jej partnera podczas gry w karty.

Postanowiono wreszcie, że Edward uda się do Waverley-Honour dla poczynienia przedślubnych przygotowań, a stamtąd do Londynu celem wszczęcia starań o ułaskawienie; po załatwieniu tych spraw miał wracać co prędzej, by upomnieć się o rękę swojej narzeczonej. Zamierzał także w ciągu podróży odwiedzić pułkownika Talbota, przede wszystkim jednak zależało mu na tym, by dowiedzieć się o losie nieszczęsnego naczelnika z Glennaquoich, odwiedzić go w Carlisle i spróbować, czy nie dałoby się uzyskać dlań jeśli już nie ułaskawienia, to przynajmniej zamiany lub złagodzenia kary, na jaką z wszelką niemal pewnością musiał być skazany; w najgorszym wypadku chciał zaofiarować nieszczęśliwej Florze przytułek u Róży lub w inny sposób dopomóc jej w granicach możliwości. Ocalenie Fergusa wydawało się sprawą niesłychanie trudną. Edward już przedtem usiłował zainteresować nią swego przyjaciela, pułkownika Talbota; ten jednak w odpowiedzi dał mu wyraźnie do zrozumienia, że wpływ jego w sprawach tej natury należy uznać za zupełnie wyczerpany.

Pułkownik nadal przebywał w Edynburgu i zamierzał bawić tam jeszcze parę miesięcy, czuwając nad sprawami, które powierzył mu książę Cumberland. Oczekiwał on przybycia lady Emilii, której zalecono wygodne podróżowanie i serwatkę kozią, przy czym w podróży na północ miał jej towarzyszyć Frank Stanley. Edward więc spotkał się w Edynburgu z pułkownikiem, który powinszował mu bliskiego szczęścia w najserdeczniejszy sposób i chętnie podjął się różnych zleceń, które „nasz bohater z konieczności powierzył jego staraniom. Jednakże w sprawie Fergusa był nieubłagany. Wy tłumaczył co prawda Edwardowi, że jego wstawiennictwo nie mogłoby odnieść skutku, poza tym jednak pułkownik Talbot przyznał, że nie mógłby z czystym sumieniem

użyć swojego wpływu w sprawie tego nieszczęsnego człowieka.

- Sprawiedliwość - powiedział - żądając pewnej pokuty od tych, którzy pogrążyli cały naród w strachu i żałobie, nie mogła chyba znaleźć odpowiedniejszej ofiary. Poszedł w pole najzupełniej świadomy istoty swego przedsięwzięcia. Zbadał i zrozumiał całą rzecz do głębi. Los ojca go nie odstraszył, łagodność praw, które przywróciły mu ojcowskie dziedzictwo, nie zdoła go wzruszyć. To, że był człowiekiem dzielnym, wspaniałomyślnym i obdarzonym wielu zaletami, czyni go tylko tym niebezpieczniejszym; wykształcenie jego i wszechstronne wyrobienie sprawiają, iż zbrodnia jego tym mniej zasługuje na przebaczenie; jako entuzjasta niesłusznej sprawy, nadaje się szczególnie na jej męczennika. A co najważniejsze, za jego to przewodem poszły w pole setki ludzi, którzy inaczej nigdy by nie zawichrzyli spokoju w kraju.

- Powtarzam raz jeszcze - mówił pułkownik - choć Bóg widzi, jak bardzo boleję nad nim jako nad jednostką, że ten młody człowiek doskonale uświadamiał sobie rozpaczliwość gry, na którą się odważył. Rzucił kości o życie i śmierć, o koronę hrabiowską lub o trumnę; a teraz, chcąc być sprawiedliwym względem kraju, trudno oczekiwać, by wygrał stawkę, skoro kości padły przeciw niemu.

Tak rozumowano w owych czasach, tak ustosunkowywali się do zwyciężonego nieprzyjaciela nawet ludzie dzielni i szlachetni. Miejmy w Bogu nadzieję, że pod tym przynajmniej względem nie powtórzą się już nigdy sceny ani uczucia, jakie przeżywał ogół mieszkańców Brytanii „sześćdziesiąt lat temu”.

Rozdział LXVIII

Jutro? O jak rychło! Daruj mu, daruj!¹⁶⁹

Edward wraz ze swym dawnym służącym Alickiem Polwarth, który w Edynburgu zgłosił się ponownie do jego służby, przybył do Carlisle, gdy sąd nadzwyczajny, sądzący jego nieszczęśliwych towarzyszy, jeszcze zasiadał. Podróż odbywał z pośpiechem, gdyż choć nie miał, niestety, żadnej nadziei ocalenia Fergus, chciał go po raz ostatni zobaczyć. Powinienem był wspomnieć, że w sposób nader hojny dostarczył funduszków na obronę więźniów, skoro tylko dowiedział się o dniu, na który wyznaczono rozprawę. Był przeto obrońcą, był i najlepszy radca prawny - ale rola ich ograniczała się właściwie do tej, jaka przypada w udziale pierwszorzędnym lekarzom wzywanych do łóża umierającej znakomitości.

Edward przeciskał się z trudem do sali sądowej, szczelnie zapełnionej; okoliczność, że przybywał z północy i że był niezwykle wzruszony, wzbudzała przypuszczenie, iż jest krewnym któregoś z podsądnych, wobec czego ludzie ustępowali mu z drogi. Było to trzecie posiedzenie sądu, a na ławie oskarżonych zasiadało dwóch ludzi. Orzeczenie o winie zostało właśnie przed chwilą ogłoszone. Edward spojrzął na ławę podczas pełnej grozy ciszy, jaka nastąpiła. Bez żadnej wątpliwości widniała tam dostojna postać i szlachetna twarz Fergus Mac-Ivor, choć ubranie miał zbrukane, a cerę zabarwioną tą chorobliwą żółtością, jaką powoduje długi pobyt w ciężkim więzieniu. U jego boku był Evan Maccombich, Patrząc na nich, Edward czuł ucisk w sercu i zawrót głowy; przytomność wróciła mu jednak, gdy sekretarz sądu wymawiał te uroczyste słowa:

- Fergusie Mac-Ivor z Glennaquoich, inaczej zwany Vich Ian Vohrem, oraz Evanie Mac-Ivor z Dhu Tarrasceugh, inaczej zwany Evanem Dhu lub Evanem Maccombich - wy obaj i każdy z was z osobna stoicie pod zarzutem zdrady głównej. Co macie do powiedzenia na swoją obronę, iżby sąd nie orzekł w wyroku, że macie umrzeć zgodnie z prawem?

Gdy przewodniczący sądu nakładał swą złowieszczą czapkę, Fergus nakrył sobie również głowę, po czym, patrząc nań surowym i niezłomnym wzrokiem, odpowiedział głosem pewnym:

- Nie chciałbym, by ci liczni słuchacze przypuszczali, że na takie wezwanie nie mam odpowiedzi. Ale tego, co ja bym miał do powiedzenia, wy byście nie zechcieli wysłuchać, gdyż moja obrona byłaby waszym potępieniem.

¹⁶⁹ Jutro? O jak rychło... itd. - słowa ze sztuki Szekspira *Miarka za miarkę*

Czyńcie więc, w imię Boże, to, co wam jest dozwolone.

Wczoraj i poprzedniego dnia skazaliście zagnę i szlachetną krew, by rozlana została jak woda. Nie szczędźcie i mojej.

Choćbym miał w żyłach krew wszystkich moich przodków, byłbym ją naraził w tej sprawie.

Rzekłszy te słowa, zasiadł z powrotem i nie chciał więcej wstawać.

Evan Maccombich spojrział nań z wielką troską i wstał, jak gdyby pragnąc przemówić; jednakże zmieszanie przed sądem i zakłopotanie, w jakie wprawiała go okoliczność, iż miał się wyrażać w innym języku niż ten, w którym myślał - nie pozwalały mu zabrać głosu. Szept współczucia dał się słyszeć wśród widzów, sądzono bowiem, że biedak zamierza usprawiedliwić swą zbrodnię wpływem wywieranym przez zwierzchnika. Sędzia nakazał milczenie i namawiał Evana do wygłoszenia ostatniego słowa.

- Chciałem tylko powiedzieć - przemówił Evan w sposób, który chciał uczynić przypoehlebnym - że gdyby jego wielmożność i cały dostojny sąd zechcieli puścić Vich Ian Vohra wolno na ten raz i pozwolili mu wrócić do Francji, żeby już nigdy rządu króla Jerzego nie niepokoił, to którychkolwiek sześciu najlepszych ludzi z jego klanu chętnie pójdzie na stracenie w jego miejsce; jeśli mi tylko pozwolicie pójść do Glennaquoich, ja sam ich tu sprowadzę na ścięcie czy na powieszenie, a zacząć możecie ode mnie pierwszego.

Pomimo całej powagi chwili coś w rodzaju śmiechu rozległo się na sali wobec tak nieoczekiwanej propozycji. Sędzia zgromił tę nieprzyzwoitość, a gdy uciszono się wreszcie, Evan, rozejrzawszy się surowo dokoła, dodał jeszcze:

- Jeżeli angielscy panowie śmieją się z tego, że taki, jak ja, biedny człowiek wyobraża sobie, iż jego życie i życie sześciu ludzi jego stanu warte jest życia Vich Ian Vohra, to bardzo być może, że mają wielką słusność; ale jeżeli śmieją się, ponieważ sądzą, że ja bym nie dotrzymał słowa i nie wrócił, by go odkupić, mogę ich zapewnić, że nie znają ani serca górala, ani też honoru szlachcica.

Nie było już dalszej ochoty do śmiechu pośród słuchaczy i zaległa głucha cisza.

Teraz sędzia ogłosił obu więźniom przewidziany przez prawo wyrok za zbrodnie zdrady głównej z wszelkimi budzącymi groźbę dodatkami. Stracenie oznaczone zostało na dzień następny.

- Dla ciebie, Fergusie Mac-Ivor - mówił dalej sędzia - nie widzę żadnej nadziei łaski. Musisz do dnia jutrzejszego przygotować się na ostatnie cierpienia doczesne i na obrachunek wiekuisty.

- Nie pragnę niczego więcej, wysoki sądzie - odpowiedział Fergus stanowczym tonem.

Surowe oczy Evana, którymi wpatrywał się stale w swojego naczelnika, zwilżyły się -

łzami.

- Co do ciebie, biedny, nieoświecony człowieku - ciągnął dalej sędzia - który w myśl pojęć, w jakich cię wychowano, dałeś nam - dziś uderzający przykład, jak wierność, należna jedynie królowi i państwu, bywa dzięki nieszczęsnym przesądom klanowym przenoszona na ambitną jednostkę, która w końcu czyni z was narzędzia swych zbrodni, dla ciebie tyle mam współczucia, że jeśli pragniesz ubiegać się o łaskę, będę się starał uzyskać ją dla ciebie. W przeciwnym razie...

- Nie chcę od was żadnych łask - odpowiedział Evan. - Skoro macie przelać krew Vich Ian Vohra, jedyna łaska, jakiej bym od was pragnął, to żebyście mi kazali ręce rozwiązać i oddali szablę, a sami chwilę posiedzieli tak spokojnie, jak siedzicie teraz!

- Odprowadzić więźniów - rzekł sędzia - niechaj krew jego spadnie na własną jego głowę.

Prawie nieprzytomny ze wzruszenia Edward został przez falę tłumu wypchnięty na ulicę, zanim zdołał uświadomić sobie, co się z nim dzieje. Przede wszystkim pragnął zobaczyć się z Fergussem i pomówić z nim jeszcze raz. Udał się do zamku, gdzie nieszczęsny jego przyjaciel był uwięziony, ale nie chciano go tam wpuścić.

- Szeryf¹⁷⁰ - powiedział mu podoficer - zażądał od gubernatora, by nikogo nie dopuszczono do widzenia się z więźniem, z wyjątkiem jego siostry oraz spowiednika.

- A gdzież mieszka panna Mac-Ivor?

Dano mu adres. Był to dom szanownej katolickiej rodziny w pobliżu Carlisle.

Cofnięty sprzed bram zamku, a nie chcąc składać prośby do komisarza lub sędziów we własnym niepopularnym imieniu, Edward udał się do adwokata, który stawał w sądzie w sprawie Fergususa.

Ten mu powiedział, że - jak uznano - opinię publiczną łatwo mogły wzburzyć opowiadania o ostatnich chwilach delikwentów, przekazywane przez stronników Pretendenta, postanowiono tedy pozbawić prawa odwiedzin wszelkie osoby nie będące bliskimi krewnymi skazanych. Jednakże obiecał (chcąc dogodzić dziedzicowi Waverley-Honour), że zdobędzie dla Edwarda pozwolenie odwiedzenia więźnia nazajutrz rano, zanim zdejmą mu kajdany przed straceniem.

„Czy ja śnię - pomyślał Waverley - czy też doprawdy wszystko to dotyczy Fergususa Mac-Ivor? Tego śmiałego rycerza o wolnym duchu? Wyniosłego naczelnika pokolenia, z duszy mu oddanego? Czy to on, którego widziałem; jak prowadził pościg, a potem szedł na czele swoich do ataku?... Ten dzielny, czynny, młody, szlachetny, wielbiony przez damy i opiewany w pieśniach Fergus - czy to rzeczywiście on został zakuty w kajdany jak

¹⁷⁰ szeryf - najwyższy urzędnik administracyjny w hrabstwie

złoczyńca? Czy to jego ciągnąć będą na więziennym wózku pod wspólną szubienicę, na śmierć powolną i okrutną, zadaną z ręki najnędnieszego z wyrzutek społeczeństwa? Jakże złośliwe zaiste było to widmo, które taki los przepowiedziało dzielnemu naczelnikowi z Glermaquoich!”

Drżącym głosem poprosił adwokata, by znalazł sposób uprzedzenia Fergusa o zamierzonych jego odwiedzinach, jeżeli uzyska na nie pozwolenie. Następnie, wróciwszy do gospody, napisał ledwie czytelną kartkę do Flory Mac-Ivor, uwiadamiając ją o zamiarze złożenia jej wieczorem uszanowania. Posłaniec przyniósł mu odpowiedź nakreśloną pięknym włoskim pismem Flory, której ręka widocznie nie zdrżała nawet pod ciężarem takiego nieszczęścia.

„Flora Mac-Ivor - brzmiał list - nie może odmówić widzenia się z najbliższym przyjacielem swego drogiego brata, nawet w obecnych warunkach bezprzykładnej niedoli”.

Znalazwszy się w chwilowym miejscu pobytu panny Mac-Ivor, Edward został natychmiast przyjęty. Flora siedziała przy oknie w obszernym, ciemno obitym pokoju, szyjąc, jak się zdawało, ubranie z białej flaneli. Nie opodał zakonnica w starszym wieku wyglądająca na cudzoziemkę, czytała głośno z nabożnej książki katolickiej, którą odłożyła po wejściu Waverleya, po czym natychmiast opuściła pokój. Flora wstała i wyciągnęła doń rękę na powitanie, ale żadne z nich nie odważyło się przemówić. Świeżość jej cery znikła bez śladu; zeszczuplała też znacznie, a twarz jej i ręce, białe jak najczystszy marmur posągów, stanowiły silny kontrast z żalobną jej szatą i kruczoczarnymi włosami. Jednakże pomimo tych oznak zgryzoty - w stroju jej nie było znać zaniedbania, a nawet włosy, chociaż pozbawione wszelkich ozdób ułożone były ze zwykłą starannością. Pierwsze jej słowa brzmiały:

- Czy pan go widział?

- Niestety, nie - odpowiedział Waverley. - Nie dopuszczono mnie do niego, musimy się z tym pogodzić. Czy jednak spodziewa się pan uzyskać pozwolenie?

- Tak... na... jutro - odparł Waverley; ostatnie słowo wyszeptał jednak tak cicho, że było ono prawie niedosłyszalne.

- Panie Waverley, tu w sercu moim tkwi szatan, który wciąż mi szeptuje... choć słuchanie go doprowadzić może do szaleństwa... że to ta siła ducha, którą się Flora tak szczyła, zamordowała jej brata!

- Boże wielki! Jakże pani może wypowiadać myśl tak okropną?

- A więc tak nie jest? A jednak pokutuje ona we mnie jak upiór: wiem, że to czeże urojenie; lecz mimo to nie chce ustąpić, wciąż sączy jad w moją duszę, wciąż podszeptuje, że brat mój, równie niestały jak zapalony, byłby energię swoją rozprószył na sto różnych

celów. To ja nauczyłam go skupiać wysiłki i kazałam mu postawić wszystko na jedną kartę tej strasznej, desperackiej gry. Ach! Gdybym sobie mogła przypomnieć, że choć raz jeden powiedziałam mu: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie”. Gdybym choć raz była mu rzekła: „Zostań w domu; zachowaj życie własne i twoich wasali dla zadań leżących w ludzkiej mocy!” Zamiast tego, panie Waverley, ja jeszcze podniecałam ognisty jego temperament, toteż ponoszę co najmniej połowę winy za jego zgubę! Nie dlatego żałuję jego przedsięwzięcia, iżbym uważała je za niesłuszne - o, nie! ale dlatego, że niepodobieństwem było, by mogło się ono inaczej skończyć, niż się to stało.

- Ale przecież nie zawsze wydawało się ono tak zuchwałe i ryzykowne, jakim w istocie było, a śmiały duch Fergusa byłby się go chwycił bez względu na pani opinię; rady pani posłużyły tylko do wprowadzenia ładu w jego postępowanie i uszlachetniły decyzję, na której powzięcie nie wywarły żadnego wpływu.

Flora już od pewnego czasu przestała słuchać Edwarda, pilnie zajęta swą robotką.

- Czy pan pamięta - rzekła podnosząc oczy z upiornym uśmiechem - jak to mnie pan niegdyś zastał przygotowującą dla Fergusa ślubne kokardy? A oto teraz szyję mu ślubną szatę. Przyjaciele nasi tutaj - mówiła dalej, opanowując wzruszenie - przyjmą w poświęconą ziemię swojej kaplicy krwawe szczątki ostatniego Vich Ian Vohra. Ale nie spoczną tu one w całości, bo zabraknie jego głowy!... Nie będę miała nawet tej ostatniej marnej pociechy, bym ucałować mogła zimne usta mego ukochanego Fergusa!

Tu nieszczęsna Flora, wstrząsana łkaniem, zemdląca w swoim krześle. Niewiasta, która oczekiwała w przedpokoju, weszła teraz spieszenie - i poprosiła Edwarda, by opuścił komnatę, lecz nie wychodził z domu.

Gdy po upływie pół godziny przywołano go, ujrzał, że panna Mac-Ivor wielkim wysiłkiem woli uspokoiła się znacznie. Wtedy odważył się wypowiedzieć prośbę panny Bradwardine, by Flora zechciała uważać ją za siostrę przybraną i pozwoliła jej otoczyć się opieką w przyszłości.

- Otrzymałam list od mojej drogiej Róży - odpowiedziała - w tej samej sprawie. Smutek jest samolubny i pochłaniający; gdyby nie to, byłabym napisała, że nawet mimo własnej rozpaczki odczułam drgnienie radości na wiadomość o pomyslnych dla niej widokach i o tym, że zacny stary baron uszedł cało z ogólnego rozbicia. Niech pan to odda mojej najdroższej Róży; jest to jedyna wartościowa ozdoba jej biednej Flory, a była darem księżniczki.

Wsunęła mu do ręki puzdro, zawierające łańcuch brylantowy, którym zwykła zdobić sobie włosy.

- Dla mnie w przyszłości będzie to niepotrzebne. Dobroć moich przyjaciół zapewniła mi schronienie w klasztorze szkockich benedyktynek w Paryżu. Jutro - jeżeli potrafię

przeżyć ten dzień - wyruszam w podróż z tą czcigodną siostrą. A teraz, panie Waverley, żegnaj! Obyś był z Różą tak szczęśliwy, jak na to przy swoich zaletach zasługujesz; a pomyśl czasem o przyjaciółach, których straciłeś. Nie staraj się już więcej mnie widzieć; byłaby to uprzejmość źle pojęta.

Podawała mu rękę, którą Edward oblał potokiem łez, po czym chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju i wrócił do miasta Carlisle. W gospodzie zastał list od prawnika, donoszący mu, że nazajutrz rano, zaraz po otwarciu bram zamku, zostanie dopuszczony do Fergususa i będzie mógł pozostać przy nim aż do chwili, gdy przybycie szeryfa da hasło do ostatniego pochodu.

Rozdział LXIX

...Gdy w tę dal nieznaną podróż już nas czeka, brzmi werbel śmiertelny, kir trumnę powleka¹⁷¹

Po bezsennej nocy z pierwszym brzaskiem dnia znalazł się Waverley na esplanadzie¹⁷² przed starą gotycką bramą zamku Carlisle. Długo jednak musiał po niej chodzić tam i z powrotem, zanim nadeszła godzina, gdy zgodnie z regulaminem otwarto bramy i spuszczone most zwodzony. Edward pokazał przepustkę sierżantowi straży i został wpuszczony do środka.

Miejscem uwięzienia Fergusa była ciemna, sklepiona izba w środkowej części zamku, którą stanowiła wielka wieża, przypuszczalnie bardzo starożytna, a otoczona obudowaniami z czasów Henryka VIII lub nieco późniejszych. Zgrzytowi wielkich sztab i rygli, usuwanych dla wpuszczenia Edwarda, odpowiedział brzęk łańcuchów, gdy nieszczęsny naczelnik, silnie i ciężko skuty, posunął się po kamiennej posadzce celi, by rzucić się w objęcia przyjaciela.

- Mój drogi Edwardzie - powiedział pewnym, a nawet pogodnym głosem. - To doprawdy pocziwe z twojej strony. Dowiedziałem się o czekającym cię szczęściu z prawdziwą przyjemnością. Jakże miewa się Róża? A nasz stary, cudaczny przyjaciel, baron? I jak też rozstrzygnięcie sprawę pierwszeństwa pomiędzy trzema gronostajami w biegu a niedźwiedziem i pacholkiem do butów?

- Ależ, drogi Fergusie, jak możesz mówić o podobnych rzeczach w takiej chwili?

- No tak, wchodziliśmy do Carlisle pod szczęśliwymi auspicjami¹⁷³, to pewna... na przykład dzień szesnasty listopada zeszłego roku, gdy wkroczyliśmy tu ramię przy ramieniu i zatknęliśmy biały sztandar na tych starożytnych wieżach. Ale nie jestem dzieciakiem, żebym miał się i płakać, ponieważ szczęście odwróciło się ode mnie. Wiedziałem, czym ryzykuję; rozegraliśmy tę grę odważnie, a przegraną trzeba spłacić po męsku, lecz teraz, kiedy już niewiele mi pozostało czasu, pozwól, że przejdę do kwestii, która mnie najbardziej obchodzi... Książę? Czy uszedł przed ścigającymi go psami?

- Tak, uciekł i jest w bezpiecznym miejscu.

- Bogu niech za to będą dzięki! Opowiedz mi o szczegółach jego ucieczki.

Waverley powtórzył tę ciekawą historię o tyle, o ile już wówczas przeniknęła ona do

¹⁷¹ Gdy w tę dal nieznaną... itd. - słowa z poematu Campbella, który zawiera ustęp o bitwie pod Culloden. Campbell Thomas (1777-1844) - sławny poeta ang.

¹⁷² esplanada - spacerowa aleja w mieście

¹⁷³ auspicje (z łac.) - wróżby na przyszłość, widoki na przyszłość

świadomości ogółu, a Fergus słuchał jej z głębokim przejęciem. Następnie przeszedł do losu kilku innych przyjaciół i zadał wiele drobiazgowych pytań dotyczących członków własnego swego klanu. Ludzie ci ucierpieli mniej niż inne plemiona biorące udział w powstaniu; w znacznej bowiem części rozproszyli się oni i rozeszli do domów po wzięciu do niewoli ich naczelnika, jak to było ogólnie przyjęte u górali; nie byli zatem pod bronią w czasie ostatecznego stłumienia powstania i skutkiem tego potraktowani zostali mniej surowo. Uradowało to wielce Fergusa.

- Ty jesteś bogaty, Waverleyu - rzekł - a do tego i hojny. Gdybyś usłyszał, że tych biednych Mac-Ivorów prześladowa na nędznych ich posiadłościach jakiś srogi nadzorca albo agent rządu, pamiętaj, żeś nosił ich tartan i jesteś przybranym synem ich plemienia. Baron, który zna nasze obyczaje mieszka w pobliżu naszej dziedziny, powie ci, jak możesz stać się ich opiekunem. Czy przyrzekniesz to ostatniemu ich Ian Vohrowi? Edward, rzecz prosta, dał mu to słowo, a dotrzymał go biegiem czasu tak wiernie, że dotąd w wąwozach tych żyje pamięć o nim jako o „przyjacielu synów Ivora”.

- Oby Bóg dał - mówił dalej naczelnik - bym mógł ci przekazać moje prawa do miłości i posłuszeństwa tego pierwotnego i dzielnego szczepu... Albo przynajmniej, jak się o to starałem, przekonać biednego Evana, by przyjął życie na ich warunkach i stał się dla ciebie tym, czym zawsze był dla mnie - najlepszym... najdzielniejszym... najbardziej oddanym...

Łzy, których własny los nie mógł mu z oczu wycisnąć, popłynęły teraz na myśl o losie jego mlecznego brata.

- Ale to być nie może - powiedział ocierając oczy. - Ty nie, możesz stać się dla nich Vich Ian Vohrem; te trzy magiczne słowa - tu uśmiechał się smutnie - niby owo zaklęcie „Sezanie, otwórz się!”¹⁷⁴ stanowią jedyny klucz do ich uczuć; biedny zaś Evan musi towarzyszyć swemu mlecznemu bratu w chwili śmierci, podobnie jak to czynił przez całe swe życie.

- Ale to pewne - odezwał się Maccombich dźwigając się z podłogi, gdzie, nie chcąc przerywać rozmowy, leżał dotychczas tak cicho, że w tej ciemnej izbie Edward nawet nie zauważył jego obecności - to pewne, że Evan nigdy nie Pragnął lepszego końca niż po prostu umrzeć ze swym naczelnikiem.

- A teraz - rzekł Fergus - skoro mówimy o sprawach klanu... co myślisz o przepowiedni Bodach Glasa? - I zanim Edward mógł odpowiedzieć, ciągnął dalej: - Widziałem go znowu zeszłej nocy... Stał w smudze księżycowego światła, która przez to

¹⁷⁴ Sezam - skarbiec z bajki z, *tysiąca i jednej nocy* otwierający się przy zaklęciu: „Sezanie, otwórz się!”

wysokie wąskie okno padała mi na łóżko. „Dlaczegoż miałbym obawiać się go, pomyślałem, skoro jutro, na długo przed nadejściem tej godziny, sam będę już istotą równie pozbawioną materii, jak i on?”. „Fałszywy duchu, rzekłem, czyś przyszedł oto zakończyć twe wędrówki po ziemi i nacieszyć się zgonem ostatniego z potomków twego wroga?” Widmo jak gdyby skinęło potakująco i z uśmiechem zniknęło mi sprzed oczu. Cóż myślisz o tym? To samo pytanie zadałem księdzu, a jest to dobry i rozumny człowiek. Nalegał, bym o tym nie myślał, gdyż wyobraźnia nieraz płata nam takie dziwne figle.

Pukanie do drzwi zwiastowało nadejście tego dobrego człowieka, toteż Edward usunął się na czas udzielenia obu więźniom ostatnich sakramentów i pociech religijnych według obrządku Kościoła rzymskiego.

Mniej więcej po godzinie wpuszczono go znowu; wkrótce potem garść żołnierzy weszła z kowalem, który zdjął kajdany z nóg więźniów.

- Widzisz, jakie dobre mają wyobrażenie o naszej góralskiej sile i odwadze... Leżeliśmy tutaj skuci jak dzikie zwierzęta, aż nogi ścierpły nam z bezruchu, a gdy nas mają uwolnić, przysyłają sześciu żołnierzy z nabitymi muszkietami, ażebyśmy czasem nie wzięli zamku szturmem.

Edward dowiedział się później, że przedsiębrano te niezwykle środki ostrożności na skutek desperackiej próby ucieczki, która o mały włos byłaby się więźniom udała.

Wkrótce potem bębny załogi zaczęły wybijać hasło „do broni”.

- Oto ostatnie wezwanie do wymarszu - rzekł Fergus - które słyszę i do którego się zastosuję. A teraz, mój drogi Edwardzie, zanim się rozstaniemy, pomówmy o Florze... Jest to temat, który porusza najtkliwsze uczucia, jakie jeszcze dotąd tłą się we mnie.

- My się tutaj nie rozstaniemy! - rzeki Waverley.

- O, tak, tutaj; nie chcę, byś szedł dalej. Nie, iżbym się lękał tego, co ma przyjść, dla siebie - oświadczył dumnie - ale to, co człowiek umierający zdoła mężnie i przenieść, może zabić żywego przyjaciela, który na to patrzy. Ta właśnie kara za zdradę główną - mówił dalej zadziwiająco opanowany - jest jednym z owych błogosławieństw, Edwardzie, którymi twoja wolna ojczyzna obdarowała biedną, starą Szkocję - nasze prawodawstwo, jak słyszałem, było o wiele łagodniejsze. Aleja sądzę, że kiedyś, prędzej czy później - gdy już nie będzie dzikich górali, którzy by z czulej łaskawości praw tych korzystali - wymażą je ze swoich ksiąg, gdyż stawia ich ona w jednym rzędzie z ludożercami. A choćby ta komedia z wystawianiem bezdusznej głowy... nie zdobędą się nawet na tyle dowcipu, by moją przybrać w papierową hrabiowską koronę; byłoby w tym przynajmniej coś z satyry, Edwardzie. Mam wszelako nadzieję, że głowę moją zatkną nad Szkoocką Bramą, ażebym mógł patrzeć i po śmierci jeszcze na te błękitne wzgórza mej ojczyzny, które tak bardzo

ukochałem. Baron dodałby tu: „*Moritur, et moriens dulces reminiscitur Argos*”.¹⁷⁵

Ruch jakiś, turkot kół i stąpanie kopyt końskich dały się teraz słyszeć na podwórku zamkowym.

- Ponieważ cię uprzedziłem, dlaczego nie masz iść za mną, a te odgłosy ostrzegają mnie, że godzina moja szybko się zbliża, powiedz mi tedy jeszcze, jak zastałeś biedną Flore.

Waverley, głosem dławionym przez wzruszenie, zdał sprawę ze stanu, w jakim ją zostawił.

- Biedna Flora! - odpowiedział naczelnik. - Zniosłaby lepiej wyrok śmierci wydany na siebie niż na mnie. Ty, Edwardzie, zaznasz wkrótce szczęścia wzajemnego przywiązania w małżeńskim stanie - obyś długo, długo cieszył się Różą!... Ale nigdy nie pojmiesz, jak czyste uczucie może łączyć dwie sieroty, pozostawione jak Flora i ja samotnie na świecie i będące dla siebie wszystkim od samego dzieciństwa. Jednakże tak silnie w niej tkwiące umiłowanie obowiązku i górujące nad wszystkim poczucie lojalności doda duszy jej nowych sił, gdy przeminie pierwsze dojmujące wrażenie tego rozstania. A wtedy zaczniesz myśleć o Fergusie jak o tych bohaterach naszego rodu, których czyny tak lubiła rozpamiętywać.

- Więc ona ciebie już nie zobaczy? Zdawało mi się, że się tego spodziewała...

- Konieczny podstęp oszczędzi jej tego okropnego ostatniego pożegnania. Nie mógłbym rozstać się z nią bez łez, a nie chcę, by ci ludzie pomyśleli, że zdolni są łzy ze mnie wycisnąć. Powiedziano jej, że zobaczy się ze mną o późniejszej godzinie, a ten list, który jej mój spowiednik doręczy, uwiadomi ją, że już jest po wszystkim.

Wszedł teraz oficer i oświadczył, że szeryf i jego towarzysze czekają przed bramą zamku, żądając wydania skazańców, Fergus Mac-Ivor i Evana Maccombich.

- Idę - odpowiedział Fergus. Zaraz też, podtrzymując Edwarda pod ramię, zaczął zstępować po schodach wieży, za nim Evan Dhu i kapłan, a w końcu żołnierze.

Podwórzec zajęty był przez szwadron dragonów i batalion piechoty, ustawiony w czworobok z wolnym miejscem w środku. Pomędzy ich szeregami stał niski wózek więzienny, na którym wieziono skazańców na miejsce stracenia, mniej więcej o milę odległe od Carlisle. Wózek malowany był na czarno, a ciągnął go koń siwy. Na jednym końcu tego wehikułu siedział kat, ohydnie wyglądający drab, jak przystało ludziom tego zawodu, z szerokim toporem w ręku; z drugiej strony, bliżej konia, było puste siedzenie dla dwóch osób. Poprzez głębokie i ciemne, gotycko sklepienie przejście, wiodące na most zwodzony, widać było, siedzących na koniach, szeryfa z towarzyszami, którym przepisy

¹⁷⁵ *Moritur, et moriens dulces reminiscitur Argos* (łac.) - umiera i umierając słodkie wspomina swe Argos. Słowa z *Eneidy* Wergiliusza

regulujące stosunki pomiędzy władzami cywilnymi a wojskowymi nie pozwalały posunąć się dalej.

- Nieźle to wyreżyserowali jak na końcową scenę - zauważył Fergus przyglądając się z pogardliwym uśmiechem tym pełnym grozy przygotowaniom.

Evan Dhu, przypatrzawszy się dobrze dragonom, zawołał z pewnym ożywieniem:

- Ależ to ci sami chłopcy, co cwałem zmiatali spod Gladsmuir, zanim zdążyliśmy położyć ich tuzin. Teraz to wyglądają wcale odważnie!

Ksiądz upomniał go, by zaprzestał tego rodzaju uwag.

Wózek zjechał bliżej, a Fergus, obróciwszy się, uściskał Waverleya, ucałował go w oba policzki i lekko wskoczył na swoje miejsce. Evan usiadł obok niego. Ksiądz miał jechać za nimi powozem swojego kolatora, katolickiego obywatela, w którego domu przebywała Flora. Jeszcze raz Fergus pożegnałnie skinął ręką ku Edwardowi, po czym szeregi zamknęły się dokoła wózka i cały pochód ruszył z miejsca. Zatrzymano się jeszcze na chwilę przed bramą, gdzie gubernator zamku i szeryf odprawili krótką ceremonię związaną z przekazaniem osób zbrodniarzy przez władzę Wojskową władzy cywilnej.

- Niech żyje król Jerzy! - zawołał przy tym szeryf.

Gdy ceremonia się skończyła, Fergus, stojąc wyprostowany na wózku, pewnym i silnym głosem odpowiedział:

- Niech żyje król Jakub! - Były to ostatnie jego słowa, jakie Waverley dosłyszał.

Pochód ruszył dalej, a wózek zniknął spod portalu¹⁷⁶, gdzie się na chwilę zatrzymał. Rozległ się teraz werbel śmierci, a melancholijne jego dźwięki zmieszały się z przytłumionym głosem dzwonów, płynących z sąsiedniej katedry. Echa muzyki wojskowej wkrótce zamarły, gdy pochód się oddalił, i tylko posępny dźwięk dzwonów rozlegał się dalej.

Ostatni żołnierze zniknęli już poza sklepionym przejściem, przez które przesuwali się w szeregach w ciągu kilku minut; podwórzec opustoszał teraz zupełnie, ale Waverley wciąż stał tam jak ogłuszony, z oczyma utkwionymi w ciemny korytarz, gdzie przed chwilą po raz ostatni dojrzał postać przyjaciela. W końcu służąca gubernatora, tknięta litością nad tym skamieniałym bólem, jaki twarz jego wyrażała, zapytała, czyby nie wszedł do domu i nie spoczął chwilę. Musiała pytanie swe powtórzyć dwukrotnie, zanim ją zrozumiał, ale w końcu przywołało go to do przytomności. Odrzuciwszy pośpiesznym gestem uprzejmą propozycję, naciągnął kapelusz na oczy, wyszedł z zamku i najspieszniej, jak tylko mógł przebiegając puste ulice, dotarł do gospody, gdzie wpadł do

¹⁷⁶ portal - główne wejście do kościoła, pałacu, monumentalnego budynku

swego pokoju i zaryglował drzwi za sobą.

Po trudnym do zniesienia oczekiwaniu, które - choć trwało zaledwie półtorej godziny - wydawało mu się wiekiem całym, odgłos bębnow i piszczałek rozlegający się wśród ulic, tak do niedawna pustych, oznajmił mu, że wszystko już dobiegło końca, a wojsko i tłum wracają z okropnego widowiska. Nie próbuję nawet opisywać miotających nim uczuć.

Wieczorem odwiedził go kapelan i oświadczył, że czyni to na życzenie jego zmarłego przyjaciela, który kazał mu powiedzieć, że Fergus Mac-Ivor umarł tak, jak żył, i do końca o jego przyjaźni pamiętał. Dodaje że był także u Flory, która uspokoila się nieco, odkąd było już po wszystkim. Z nią i siostrą Teresą kapłan zamierzał opuścić nazajutrz Carlisle, by udać się do najbliższego portu morskiego i stamtąd odpłynąć do Francji.

Waverley zmusił zacnego człowieka do przyjęcia wartościowego pierścionka i pewnej sumy pieniędzy na odprawienie nabożeństw za duszę przyjaciela (czym, jak sądził, sprawi Florze przyjemność). „*Fungarque inani munere*”¹⁷⁷ - powtórzył, gdy ksiądz się oddalił. Ale dlaczego nie zaliczyć tych dowodów pietyzmu do innych oznak czci, jakimi przywiązanie, wśród ludów wszelkich wyznań, święci pamięć swoich zmarłych?

Nazajutrz rano Waverley przed świtem pożegnał miasto Carlisle, obiecując sobie, że nigdy już więcej murów jego nie przestąpi.

¹⁷⁷ *Fungarque inani munere* (łac.) - oddam usługę bez wartości

Rozdział LXX

Dulce domum¹⁷⁸

Wrażenie grozy, pod jakim Waverley opuszczał Carlisle, złagodniało stopniowo, zmieniając się w smutek, a przemianę tę przyspieszyło bolesne, lecz jednocześnie kojące zadanie napisanie do Róży; choć nie mógł ukryć własnych uczuć, wywołanych tym straszliwym przeżyciem, starał się jednak oświetlić je w ten sposób, by zasmucając ją, nie wstrząsnęły zbyt jej wyobraźnią.

Z obrazem, jaki dla niej wymalował, zżył się wreszcie sam tak dalece, że już następne jego listy brzmiały pogodniej, poruszając nadzieję spokoju i szczęścia, jakie ich czekało. Jednakże - mimo iż pierwotne wrażenie grozy przerodziło się w jego duszy w łagodniejsze uczucie - Edward, wracając w strony rodzinne, nie był zdolny radować się otoczeniem w tym stopniu, jak to dawniej zwykł czynić w podobnych okolicznościach.

W miarę jednak przybliżania się do domu, zaczął po raz pierwszy od chwili opuszczenia Edynburga doświadczać tego miłego wrażenia, jakie odczuwa prawie każdy, kto z rozległych pustek, tchnących posępną wielkością, powraca do krainy kwitnącej, ludnej i doskonale zagospodarowanej. Uczucia te spotęgowały się jeszcze, gdy wkroczył do dziedziny, od tak dawna będącej w posiadaniu jego rodu - gdy poznał odwieczne dęby Waverley-Chase i pomyślał o tym, z jaką rozkoszą oprowadzać będzie Różę po wszystkich swoich ulubionych zakątkach - aż wreszcie dosięgły szczytu, gdy ujrzał wieżycę dostojnej siedziby, wznoszące się ponad otaczającymi je lasami, i padł w objęcia czcigodnych krewnych, którym tyle zawdzięczał i których kochał.

Radość powitania nie zakłóciło ani jedno słowo wymówki. Przeciwnie, bez względu na to, co przecierpieli sir Everard i panna Rachelą podczas niebezpiecznej przeprawy Waverleya u boku młodego Kawalera, zgadzało się to zbyt dobrze z zasadami, wśród których wzrosło, by ściągnąć mogło naganę czy choćby tylko krytykę.

Pułkownik Talbot przyczynił się też wielce do jak najłaskawszego przyjęcia Edwarda, opowiadając o jego mężnym zachowaniu się w wojsku, a zwłaszcza o odwadze i wspaniałomyślności okazanej pod Preston - tak że w końcu baronet i jego siostra, uniesieni zapałem na myśl, iż ich bratanek stanął w pojedynkę do walki z tak wybitnym oficerem jak sam pułkownik, a następnie wziął go do niewoli i ocalił przed rozsiekaniem - postawili w wyobraźni swej czyny Edwarda na równi z wiekopomnymi przewagami Wiliberta, Hildebranda i Nigela, sławionych bohaterów ich rodu.

¹⁷⁸ *Dulce domum* (łac.) - miło do domu (wracać)

Twarz Waverleya, ogorzała wskutek przebywania w polu, a uszlachetniona długim nawykiem wojskowej dyscypliny, nabrała wyrazu siły i dzielności, który nie tylko potwierdzał opowiadanie pułkownika, ale budził podziw i zachwyt wszystkich mieszkańców Waverley-Honour. Gromadzili się też dokoła niego, by go oglądać, słuchać i głosić jego chwałę. Pan Pembroke, który potajemnie wysławiał jego rozum i odwagę, z jaką stanął w obronie słusznej sprawy Kościoła anglikańskiego, zganiał jednak łagodnie swego ucznia za to, iż tak mało dbał o jego rękopisy; jak twierdził, naraziło go to na pewne osobiste niewygody, gdy po aresztowaniu baroneta przez królewskiego wysłańca uznał za konieczne szukać schronienia w „Księżej Norze”, nazwanej tak dla upamiętnienia usług oddanych w dawniejszych czasach.

Tymczasem we dworze zawrzało od przygotowań do ślubu Edwarda, którego to wydarzenia zacny stary baronet i panna Rachel oczekiwali z takim utęsknieniem, jak gdyby chodziło o powrót ich własnej młodości. Związek ten, jak o tym już pułkownik Talbot doniósł Edwardowi, stanowił ziszczenie ich marzeń; przemawiało za nim wszystko prócz bogactwa, a tego sami posiadali aż nadto. Pan Clippurse został przeto wezwany do Waverley-Honour pod lepszymi auspicjami niż na początku naszego opowiadania. Tym razem jednak przybył nie sam; będąc już posunięty w latach, przyjął do spółki siostrzeńca swego, z którym prowadzili teraz wspólnie sprawy pod firmą Clippurse i Hookem. Ci godni panowie otrzymali polecenie sporządzenia koniecznych zapisów na tak wielką skalę, jak gdyby Edward pojmował za żonę utytułowaną pannę w całym blasku potęgi, z ojcowskimi dobrami przypiętymi do trenu gronostajowego płaszcza.

Zanim atoli przejdę do opisu przysłowiowej zwłoki i opóźnień, muszę przypomnieć czytelnikom sposób, w jaki spada kamień stoczony z góry przez bawiącego się beztrąsko chłopca (a rozrywce tej ja sam oddawałem się chętnie w mych młodych latach): najpierw sunie on powoli, okrążając najmniejszą przeszkodę, w miarę jednak nabierania rozpędu i przybliżania się do końca swej wędrówki, poczyna pędzić w dół w wielkich susach, przeskakując rowy i płoty niby jeździec na polowaniu i osiągając szczyt szybkości na chwilę przed przejściem w wiekuisty stan spoczynku. Takim samym torem biegnie opowiadanie w rodzaju tego, które obecnie czytacie. Nad wcześniejszymi wydarzeniami rozwodziliśmy się obszerniej, tak ażebyś, miły czytelniku, zdołał przeniknąć sedno rzeczy dzięki samej fabule, bez uciekania się do nudnych bezpośrednich opisów; teraz jednakże, gdy już opowieść dobiega końca, przeskakujemy wiele ważnych okoliczności, które wyobraźnia twoja sama mogła przewidzieć, i pozwalamy ci domyślać się tego, co - opowiedziane szeroko - musiałyby wystawić na próbę twą cierpliwość.

Choć jednak ważne te sprawy trwają w opowiadaniu niewiele dłużej niż dziennikarskie sprawozdanie z trybunalskich procesów - mimo wszelkich ponagleń ze

strony Waverleya, prawna procedura wraz ze zwłoką spowodowaną ówczesnym sposobem podróżowania zajęła tyle czasu, że upłynęło znacznie ponad dwa miesiące, zanim Edward po opuszczeniu Anglii zajeżdżał ponownie przed wiejski dwór w Duchran, by upomnieć się o rękę swej narzeczonej.

Ślub wyznaczono na szósty dzień po jego przybyciu. Baron Bradwardine, dla którego wesela, chrzty i pogrzeby stanowiły uroczystości pełne doniosłego znaczenia, czuł się trochę markotny, że łącznie z rodziną z Duchran i całym najbliższym sąsiedztwem, godnym dostąpienia tego zaszczytu, można było liczyć na obecność najwyżej trzydziestu osób.

- Kiedy ja się żeniłem - zauważył - orszak weselny składał się z trzystu rodowej szlachty na koniach, nie licząc służby, a ponadto z kilkudziesięciu góralskich panów, którzy nigdy nie występowali konno.

Ślub odbył się w dniu oznaczonym. Wielebny pastor Rubrick, krewny gościnnego gospodarza, a jednocześnie kapelan barona Bradwardine, doznał przyjemności złączenia rąk oblubieńców, jako drużba zaś wystąpił Frank Stanley, który specjalnie w tym celu przybył wkrótce po Edwardzie. Lady Emilia i pułkownik Talbot zapowiedzieli również swoją obecność, lecz stan zdrowia pani w ostatniej chwili stanął na przeszkodzie odbyciu tej podróży. Ażeby to sobie wynagrodzić, ułożono, że Waverley z żoną, mający wraz z baronem niezwłocznie po ślubie udać się do Waverley-Honour, spędzą po drodze kilka dni w dobrach, które pułkownik Talbot właśnie korzystnie nabył w Szkocji i w których zamierzał przez czas pewien zamieszkać.

Rozdział LXXI

To nie mój dom - jak widzę po budowie¹⁷⁹

Nowożeńcy podróżowali hucznie i dwornie. Poszóstna karoca wedle najmodniejszego wzoru, którą sir Everard obdarował synowca, olśniewała swą świetnością oczy mieszkańców połowy Szkocji; podobnie jak rodzinna karetka pana Rubricka - była ona wypełniona damami; konno zaś jechali panowie ze służbą, w liczbie dwudziestu osób. Pomimo to, nie lękając się widma ogłodzenia, intendent Macwheeble oczekiwał ich na drodze, upraszając, by zechcieli zawadzić o jego dom w Małym Veolanie. Baron, wyraźnie zdumiony, oświadczył, że z całą przyjemnością on i jego zięć zajadą do Małego Veolanu i złożą uszanowanie swe intendentowi, ale przecież nie mogą sprowadzać ze sobą „całego *comitatus nuptialis*, czyli weselnego orszaku”. Dodał też, że „skoro - jak mu wiadomo - baronia została sprzedana przez niegodnego jej właściciela, miło mu, widzieć, iż stary jego przyjaciel Duncan odzyskał swoje stanowisko pod nowym *dominus*, czyli właścicielem”. Intendent kłaniał się, zginał w pół, kręcił niespokojnie i poty powtarzał swe zaprosiny, aż baron, choć nieco zdziwiony uporczywością jego nalegań, musiał wreszcie udzielić swej zgody, by nie ujawnić wzruszenia, które starał się silnie ukryć. Zbliżając się do alei wjazdowej, zapadł on w głęboką zadumę, z której ocknął się dopiero wtedy, gdy zauważył, że szczyt muru został naprawiony, gruzy usunięte, a nawet - o dziwo! - dwa wielkie kamienne niedźwiedzie, te obtłuczone Dagony¹⁸⁰ jego bałwochwalczego uwielbienia, wróciły na swoje miejsca nad bramą.

- Jak widzę, nowy właściciel - zwrócił się do Edwarda - okazał więcej *gusto*, jak powiadają Włosi, w krótkim okresie posiadania tych dóbr, niżli ten pies Malcolm, którego ja tu sam wprowadziłem, zdobył go: *Vita adhuc durante*¹⁸¹. A skoro już mowa o psach, czy to nie pan Ban i Buskar sadzą tam dalej przez aleję z Dawidkiem Gellatley?

- Ja bym zaproponował, żebyśmy poszli naprzeciw nich - powiedział Waverley - gdyż obecnym panem tego domu jest pułkownik Talbot, który będzie pragnął nas zobaczyć. Wahaliśmy się zrazu, czy powiedzieć ojcu, że to on kupił twoją dawną własność, a nawet i teraz, jeżeli ojciec nie ma ochoty go odwiedzić, możemy udać się wprost do intendenta.

Baronowi dało to sposobność do okazania całej właściwej mu wspaniałomyślności. Westchnął przy tym głęboko i zażywszy długi niuch tabaki zauważył, że skoro go już tak daleko przyprowadzono, nie może minąć bramy pułkownika bez złożenia uszanowania

¹⁷⁹ To nie mój dom - stara pieśń

¹⁸⁰ obtłuczony Dagon - Dagon, bożek u Filistynów

¹⁸¹ *Vita adhuc durante* (łac.) - w ciągu całego dotychczasowego życia

nowemu panu swych dawnych dzierżawców. Zsiadł przeto z konia, co też uczyniła reszta panów; również i panie wysiadły z powozów. Następnie podał ramię córce, a w miarę jak szli przez aleję, pokazywał jej, jak to prędko „*Diva Pecunia*”, którą można by nazwać opiekuńczym bóstwem południowców - usunęła ślady zniszczenia.

I rzeczywiście, nie tylko pousuwano ścięte drzewa, ale przez wykarczowanie pni, wyrównanie ziemi i obsianie jej trawą zatarto zupełnie obraz spustoszenia dla oka każdego, kto miejsca tego dawniej dokładnie nie znał. Podobna Wprawa widoczna była i w powierzchowności Dawidka Gellatley, który co chwila podchodził do nich, każąc podziwiać nowe swe szaty, utrzymane w tych samych barwach, co i dawniejsze, ale tak strojne, że godne byłyby służyć samemu Touchstone'owi¹⁸². Wytańcowywał w zwykłych swych niezgrabnych podrygach najpierw przed baronem, a potem przed Różą, przesuwając rękoma po swym I ubraniu, wołając: „Ładny, ładny Dawidek!” i ledwie mógł dośpiewać do końca którejkolwiek zwrotkę swych niezliczonych piosenek, tak tchu mu brakło z nadmiaru radości.

Również i psy witały swego starego pana tysiącnymi podskokami.

- Na honor, Rózo! - zawołał baron. - Wdzięczność tych niemych zwierząt i tego biednego półgłówka ły mi naprowadza do starych oczu, podczas gdy ten łotr Malcolm... Swoją drogą zobowiązany jestem pułkownikowi Talbotowi Iza to, że moje psy doprowadził do tak dobrego stanu, a i również i za biednego Dawidka. Ale, droga Rózo, nie możemy przecież pozwolić, ażeby oni dożywotnio ciążyli na majątku.

Gdy to mówił, lady Emilia, wsparta na ramieniu męża, powitała gości w niższej bramie, najuprzejmiej ich zapraszając. Po zakończeniu ceremoniału przedstawień, bardzo skróconego dzięki swobodzie i doskonałemu wychowaniu pani Emilii, przeprosiła ona za posłużenie się niewinnym podstępem celem ściągnięcia ich do miejsca, które mogło obudzić pewne przykre wspomnienia...

- Ale skoro ma ono zmienić właściciela, pragnęlibyśmy bardzo, ażeby baron...

- Pan Bradwardine, jeśli pani pozwoli - poprawił stary pan.

- A więc ażeby pan Bradwardine i pan Waverley zobaczyli, co zrobiliśmy dla przyprowadzenia siedziby pańskich przodków do dawniejszego stanu.

Baron odpowiedział niskim ukłonem. Istotnie, wszedłszy na dziedziniec, przekonał się, że z wyjątkiem stajni doszczętnie spalonych, a zastąpionych budynkami o lżejszym i przyjemniejszym wyglądzie, wszystko zdawało się przywrócone jak najwierniej do stanu, w jakim znajdowało się, w chwili gdy baron przed kilku miesiącami opuszczał dom, by przyłączyć się do powstania. Gołębnik był znów zapełniony, fontanna biła ze zwykłą

¹⁸² Touchstone - błazen z komedii Szekspira *Jak wam się podoba*

żywością, a nie tylko niedźwiedź panujący nad basenem, ale i wszystkie inne niedźwiedzie poumieszczone zostały z powrotem na ich właściwych miejscach, po odnowieniu lub uzupełnieniu tak starannym, że nie było na nich znać gwałtu, jaki im niedawno zadano, Skoro zwrócono uwagę na takie szczegóły, nawet zbyteczne byłoby dodawać, że sam dom jak również i ogród został gruntownie odrestaurowany, i to z największą troską o utrzymanie pierwotnego ich charakteru, a z usunięciem w miarę możliwości wszelkich śladów doznanego spustoszenia. Baron spoglądał na to w milczącym zdumieniu; na koniec zwrócił się do pułkownika Talbota:

- Choć szczerze panu jestem wdzięczny za odnowienie naszego rodzinnego godła, nie mogę ukryć zdziwienia, że pan nigdzie nie umieścił swego własnego herbu, którym jest jak wiadomo, chart, niegdyś nazywany *talbot*, zgodnie ze słowami: *A talbot strong - a strudy tyke* (bo silny chart to pies zawzięty). Takiego przynajmniej psa nosi w herbie waleczny i sławny ród hrabiów Shrewsbury, z którym rodzina pańska jest zapewne spokrewniona.

- Sądzę - odpowiedział pułkownik z uśmiechem - że nasze psy wywodzą się z jednego gniazda, i co do mnie, gdyby herby miały się sprzeczać o pierwszeństwo, - byłbym gotów powiedzieć im, jak to mówi przysłowie: „Walcz, psie, walcz, niedźwiedziu”.

W chwili gdy wygłaszał te słowa - przy czym baron zażył ponownie tabaki - wchodzili właśnie do domu wraz z Różą, panią Emilią, młodym Stanleyem i intendentem, gdyż Edward z resztą towarzystwa pozostali na tarasie, oglądając nową cieplarnię, wypełnioną najpiękniejszymi roślinami. Baron podjął znów swój ulubiony temat:

- Chciałem ci tylko powiedzieć, pułkowniku, że twoja *prosapia*, czyli pochodzenie, sięga zamierzchłych czasów, skoro zaś prawnie i godziwie nabyłeś dla siebie i swoich te dobra, które ja utraciłem w imieniu własnym i potomstwa, pragnąłbym szczerze, ażeby pozostały one przy pańskim rodzie przez tyleż wieków, przez ile związane były z nazwiskiem poprzedniego właściciela.

- Doprawdy bardzo to pięknie wyraziłeś, panie Bradwardine - odparł pułkownik.

- A jednakże dziwi mnie to, pułkowniku, że pan - któryś w czasie naszego spotkania w Edynburgu okazywał tyle *amor patriae*¹⁸³. że aż lekceważyłeś inne kraje - zdecydowałeś się teraz umieścić swoje lary, czyli bożki domowe, *procul a patriae finibus*¹⁸⁴ i jakoby wynieść się z ojczyzny.

- Zaiste, baronie, nie widzę słusznego powodu, by jeden stary żołnierz wprowadzać miał dalej w błąd drugiego - jedynie w celu dogodzenia zachciance tych głupich chłopaków. Waverleya i Stanleya oraz mojej żony, która też niewiele jest mędrsza.

¹⁸³ *amor patriae* (łac.) - miłość ojczyzny

¹⁸⁴ *procul a patriae finibus* - z dala od granic ojczyzny

Dowiedz się przeto, że nadal tak wysoko cenię swój rodzinny kraj, iż za sumę pieniędzy, którą dałem sprzedającemu tę rozległą baronię, nabyłem sobie tylko niewielki dom zwany Brere-wood-Lodge, z jakimiś dwustu pięćdziesięciu akrami gruntu, którego główną zaletę stanowi to, że leży on w bliskim sąsiedztwie Waverley-Honour.

- Któż zatem, na Boga, kupił te dobra?

- Wytłumaczy to najlepiej ten oto pan, gdyż sprawa wchodzi w zakres jego zawodu - odpowiedział pułkownik.

Intendent, którego dotyczyły te słowa, a który przez cały czas wielce niecierpliwie przestępował z nogi na nogę „niby kura na gorącej blasze”, jak to sam później określił, a jednocześnie (czego już nie dodał) gdał jak ta sama kura w radosnej chwale po złożeniu jajka - wysunął się teraz naprzód.

- Ależ mogę, zaraz to mogę waszej dostojności wyjaśnić!

Tu wyciągnął plik papierów i drżącymi z gorliwości dłońmi jął rozwiązywać sznurek z czerwoną pieczęcią.

- Oto jest oświadczenie Malcolma Bradwardine z Inchgrabbit, należycie podpisane i poświadczone wedle przepisów statutu, mocą którego za pewną sumę gotowizny, zgodnie ustaloną i wpłaconą mu do rąk - odstępuje, przelewa i oddaje całe dobra i baronię Bradwardine obejmujące Tully-Veolan z przyległościami, wraz z fortalicją i dworem...

- Na miłość boską, do rzeczy, panie, wszystko to umiem na pamięć - przerwał pułkownik.

- ...panu Cosmo Comyne Bradwardine - ciągnął dalej intendent - oraz jego spadkobiercom i legatariuszom, bezspornie i nieodwołalnie - na władanie *a me vel de me*¹⁸⁵...

- Proszę, niech się pan streszcza.

- Na honor uczciwego człowieka, pułkowniku, czytam najkrócej, jak na to styl pozwala... Pod ciężarem i - zastrzeżeniem wszelako...

- Daruj, panie Macwheeble, lecz trwałoby to dłużej niż rosyjska zima... Jednym słowem, panie Bradwardine, rodzinne dobra pańskie są znów pańską wyłącznie rozporządzalną własnością, obciążoną jedynie sumą wyłożoną na ich odkupienie, która to kwota jest, jak mi wiadomo, nieproporcjonalnie niska w porównaniu z ich wartością.

- Stara piosenka, stara piosenka, jeśli łaska waszych dostojności! - zawołał intendent zacierając ręce. - Proszę spojrzeć na księgę czynszową.

- Suma ta, wyłożona przez pana Edwarda Waverleya głównie z zapłaty za sprzedaną posiadłość jego ojca, którą ja od niego kupilem, zapisana jest na żonę jego, a pańską

¹⁸⁵ *a me vel de me* (łac.) - przeze mnie lub przez moich

córkę i dzieci jej z tego małżeństwa.

Trudno powiedzieć, czy zacnego barona uszczęśliwił bardziej zwrot rodzinnej posiadłości, czy też delikatność i szlachetność, z jaką pozostawiono mu swobodę rozporządzania nią dowolnie po śmierci, unikając w miarę możliwości nawet pozoru, iż coś komukolwiek jest winien. Gdy pierwsza chwila radości i zdumienia minęła, myśli jego powróciły do niegodnego spadkobiercy, który, jak się wyraził, „sprzedał swoje prawo pierworództwa, jak Ezaw, za miskę soczewicy”.

- Ale kto mu tę potrawę ugotował?! - zawołał intendent. - Chciałbym ja wiedzieć, kto, jeśli nie Duncan Macwheeble do usług waszej dostojności. Jego dostojność, młody pan Waverley, złożył to w moje ręce od samego początku - od pierwszych zapowiedzi, że się tak wyrażę.

Baron uchwycił Macwheeble'a za guzik i pociągnął go w jedną z głębokich framug okiennych, skąd tylko urywki ich rozmowy dochodziły do uszu reszty towarzystwa. Musiała ona z pewnością dotyczyć stemplowanego papieru i pergaminu, gdyż żaden inny temat - choćby nawet płynął z ust jego patrona, i to znowu będącego przy władzy - nie byłby zdołał przykuć tak pełnej szacunku i skupionej uwagi intendenta.

- Rozumiem waszą dostojność doskonale: może to być zrobione równie łatwo, jak wydanie zaocznego wyroku.

- Jej i jemu po mojej śmierci oraz ich sukcesorom męskim, ale jeśli Bóg pobłogosławi ich dwoma synami - w szczególności drugiemu z kolei, który ma nosić nazwisko i herb Bradwardine, bez żadnego innego miana ani jakichkolwiek postronnych godeł.

Gdy skończyła się ich poufna rozmowa, wezwano barona, by czynił honory domu nowo przybyłym gościom. Byli to major Melville z Cairnvreckan i wielebny Morton, a prócz tego dwóch czy trzech znajomych barona, których uwiadomiono już, że wrócił w posiadanie swej ojcowizny. Na dole na dziedzińcu rozlegały się też okrzyki wieśniaków, gdyż Saunders Saunderson, który z chwalebłą przezornością utrzymywał tajemnicę przez dni kilka, rozpuścił język, widząc przybycie powozów.

Gdy jednak Edward witał majora Melville uprzejmie, duchownego zaś z najserdeczniejszym i wdzięcznym wylaniem, teść jego wyglądał dość zafrasowany, gdyż nie wiedział, czy sprostą koniecznym wymogom gościnności ani też czym uraczy swoich dzierżawców: Pani Emilia uspokoiła go oświadczeniem, że choć zapewne pod wielu względami nie zdoła godnie zastąpić pani Edwardowej Waverleyowej spodziewa się jednak, że baron pochwali przyjęcie, jakie zarządziła w oczekiwaniu tak licznego zjazdu gości, dla których przewidziano różne udogodnienia mające podtrzymać sławę dawnej gościnności Tully-Veolan. Niepodobna opisać, jaką przyjemność zapewnienie to sprawiło baronowi, który, w sposób kojarzący sztywność szkockiego ziemianina z galanterią

oficera w służbie francuskiej, podał ramię pięknej pani i krokiem pośrednim między paradnym marszem wojskowym a wdzięcznym ruchem menueta poprowadził ją do obszernej jadalni, wiodąc za sobą resztę miłych gości.

Dzięki wskazówkom i usiłowaniom Saundersona wszystko tutaj, podobnie jak i w innych pokojach, dostosowano w miarę możliwości do pierwotnych wzorów; gdzie zaś potrzeba było dodać nowe meble, dobierano je do stylu i charakteru dawnych. Znalazł się jednak w tej pięknej starej komnacie jeden nowy nabytek, który łzami napełnił oczy barona. Był nim wielki, świetnie namalowany obraz, przedstawiający Fergus Mac-Ivor i Waverleya w ich góralskich strojach na tle dzikiego, skalistego, górskiego wąwozu, po którym w głębi zstępował cały klan. Oparty on był na doskonałym szkicu, narysowanym za ich pobytu w Edynburgu przez wysoce utalentowanego młodzieńca, a wykonał go w naturalnej wielkości wybitny artysta londyński. Nawet Raeburn¹⁸⁶ (którego wodzowie góralscy zdają się - żywcem występować z ram obrazów) nie mógłby lepiej oddać tego przedmiotu, a ognisty, zapalny, gwałtowny charakter nieszczęsnego naczelnika stanowił piękny kontrast z kontemplacyjnym¹⁸⁷, pełnym fantazji i entuzjazmu wyrazem twarzy jego szczęśliwego przyjaciela. Obok tego malowidła wisiała broń, którą Waverley nosił w nieszczęsnej wojnie domowej. Przyglądano się temu z podziwem i z głębokim wzruszeniem.

Bez względu jednak na cnoty i uczucia ludzie muszą jeść, toteż baron, zajmując miejsce na szarym końcu stołu, prosił, by pani Emilia czyniła honory u szczytu, tak ażeby mogli, jak się wyraził, dać dobry przykład młodej parze. Po chwili namysłu, w czasie której rozważał sprawę pierwszeństwa między Zborem Prezbiteriańskim a Episkopalnym Kościołem Szkockim, poprosił pana Mortona, jako gościa, by odmówił modlitwę przed jedzeniem, dodając, że pan Rubrick, będący u siebie w domu, złoży później dziękczynienia za wybitne łaski, jakich dane mu było doświadczyć. Obiad był wyśmienity; Saunderson usługiwał w pełnej gali wraz z resztą służby, zebraną ponownie z wyjątkiem paru, o których słuch zaginął od czasu rozprawy pod Culloden. Piwnice były zaopatrzone w wina, które uznano za wyborne; dokazano też tej sztuki, iż niedźwiedź nad fontanną na podwórku (na ten jeden wieczór) tryskał doskonałym ponczem na wódce dla uraczenia niższych stanów.

Gdy obiad się skończył, baron, chcąc wznieść toast, rzucił smętnym wzrokiem w stronę kredensu, gdzie wszakże stało sporo jego srebra, które bądź to zostało ukryte, bądź też odkupione od żołnierstwa przez okolicznych obywateli i ohotnie zwrócone pierwotnemu właścicielowi.

¹⁸⁶ Raeburn Henry (1756-1823) - słynny angielski malarz-portrecista.

¹⁸⁷ Szkot z pochodzenia kontemplacyjny - tu: zamyślony, myślący

- W tych ostatnich czasach - rzekł - wdzięczni być powinni ci, co ocalili życie i ziemię; jednakże, gdy mam wznieść ten toast, nie mogę odżalować starej rodowej pamiątki, pani Emilio - *poculum potatorium*¹⁸⁸, pułkownika Talbot...

Tu jego ochmistrz dotknął lekko łokcia barona, a ten, obejrzawszy się, ujrzał w rękach *Alexandra ab Alexandra* sławny puchar św. Duthaca, Błogosławionego Niedźwiedzia z Bradwardine. Wątpię, czy odzyskanie dóbr w większy go wprawiło zachwył.

- Na honor, pani Emilio - rzekł - człowiek w pani obecności gotów by uwierzyć w boginki i wróżki!

- Jestem naprawdę szczęśliwy - przemówił pułkownik Talbot - że przez odzyskanie tej starożytniej rodowej pamiątki mogłem dać panu dowód tego, jak bardzo mnie obchodzi wszystko, co dotyczy mego młodego przyjaciela, Edwarda. Lecz, ażeby pan nie przypuszczał, że Emilia zadaje uroki lub że ja znam się na czarach, co nie jest żartem w Szkocji, muszę panu powiedzieć, że Frank Stanley, mój siostrzeniec, który zapadł na gorączkę tartanową, odkąd wysłuchał opowiadań Edwarda o szkockich obyczajach, przypadkowo opisał nam ten oryginalny puchar. Służący, mój, Spontoon, który - jak przystało na starego wiarusa - uważa na wszystko, a mówi mało, dał mi później do zrozumienia, że widział takie naczynie, o jakim pan Stanley wspomniał, u niejakiej pani Nosebag; dama ta, która niegdyś pracowała w zakładzie zastawniczym, przypomniała sobie podczas ostatnich niemiłych wypadków w Szkocji o swym dawnym zawodzie i w następstwie wzięła na przechowanie najcenniejszą część łupów połowy armii. Może pan sobie wyobrazić, że puchar spiesznie odzyskaliśmy; wielką zaś sprawiłoby mi przyjemność, gdyby pan pozwolił mi uwierzyć, że wartość jego nie zmniejszyła się przez to, iż został zwrócony za moim staraniem.

Łza zmieszała się z winem, które baron nalewał, by wznieść kielich podziękii dla pułkownika Talbota oraz toast za powodzenie połączonych domów Waverley-Honour i Bradwardine.

Pozostaje mi tylko dodać, że podobnie jak żadne życzenie nie było nigdy wypowiedziane z serdeczniejszą szczerością, tak też i niewiele ich tylko z uwzględnieniem zmienności kolei ludzkich doczekało się, na ogół biorąc, szczęśliwego spełnienia.

¹⁸⁸ *poculum potatorium* (łac.) - kielich, puchar

Rozdział LXXII

Posłowie, które powinno było być przedmową

Podróż nasza skończona, miły czytelniku: jeśli zaś cierpliwość twa towarzyszyła mi przez wszystkie te kartki, to z twojej strony warunki układu zostały ściśle dotrzymane. Mimo to, niby ów woźnica, który otrzymał już pełną zapłatę, pozostając nadal przy tobie i z pewni} nieśmiałością stawiam drobne dodatkowe żądania pod adresem twej szczodropliwości i dobrej woli. Ty jednak masz równie dobre prawo zamknąć książkę jednego petenta, jak przed drugim zatrzasnąć drzwi swego domu.

Rozdział niniejszy miał właściwie być przedmową; wziąłem jednak pod uwagę dwie okoliczności: po pierwsze, iż część czytelników powieści, jak mi to własne moje sumienie wypomina, dopuszcza się często grzechu zaniedbania, gdy chodzi o przedmowy: po wtóre, że tenże rodzaj ludzi żądnych wiedzy - z reguły rozpoczyna czytanie od rozdziału ostatniego i z tych dwóch przyczyn umieściłem te uwagi na końcu, sądząc, że dzięki temu właśnie zostaną one przeczytane we właściwej kolejności.

W całej Europie nie ma narodu, który by w ciągu pół wieku lub niewiele dłuższego okresu czasu uległ tak całkowitemu przeobrażeniu jak właśnie królestwo szkockie.

Źródłem tych przemian stały się skutki powstania z roku 1745 a mianowicie: złamanie władzy patriarchalnej przywódców góralskich, zniesienie dziedzicznych sądów szlachty i baronów w nizinnej części kraju oraz całkowite wytępienie stronnictwa jakobitów, którzy - przeciwni zarówno wszelkiemu łączeniu się z Anglikami, jak i przyjmowaniu ich obyczajów - przez długi czas chełpili się, iż zdołali zachować w nieskalanej postaci starszokocki styl życia.

Stopniowy wzrost dobrobytu oraz rozwój handlu złożyły się na to, iż obecny lud szkocki równie daleko odbiegł od typu swych dziadów, jak współcześni Anglicy różnią się od rodaków swych z epoki królowej Elżbiety.

Polityczne i ekonomiczne skutki tych przemian scharakteryzował z wielką ścisłością i dokładnością lord Selkirk.

Ale ewolucja ta, jakkolwiek ciągła i szybko postępująca, dokonywała się jednak stopniowo; podobnie też jak ludzie spływający z prądem rzeki głębokiej i spokojnej, nie zdajemy sobie sprawy z rozmiaru przebytej drogi, dopóki nie utkwimy wzroku w odległym punkcie, od któregośmy odbili.

Jakkolwiek sam nie urodziłem się w górach (co może usprawiedliwić niejedyn błąd w posługiwaniu się narzeczem gaelickim), przypadło mi w udziale spędzić znaczną część dzieciństwa i młodości pośród ludzi stamtąd pochodzących; i oto teraz w celu

zachowania jakiegoś śladu tych starych obyczajów, których całkowitego niemal zaniku byłem świadkiem, usiłowałem - w scenach wysnutych z własnej wyobraźni i przypisanych zmyślonym postaciom - przedstawić pewne wydarzenia zasłyszane wówczas z ust osób, które w nich czynnie uczestniczyły. Najbardziej romantycznie wypadły niewątpliwie te właśnie urywki mego opowiadania, które opierają się na faktach rzeczywistych. Wzajemna pomoc, jakiej sobie użyczyli szlachcic z gór i wyższy oficer w służbie królewskiej, oraz zapal, z jakim ten ostatni wywdziękzył się za okazane sobie względy, wzięte są bezpośrednio z życia.

Nie wątpię też, iż każdy szlachcic, który po bitwie pod Culloden zmuszony był się ukrywać mógłby z własnego doświadczenia opowiedzieć o równie dziwnych schronieniach i niesamowitych a cudownych ocaleniach, jak te, które przypisałem moim bohaterom. Ucieczka samego Karola Edwarda wysuwa się tu na plan pierwszy jako przykład szczególnie uderzający. Opis bitwy pod Preston i potyczki pod Clifton zostały zaczerpnięte z opowiadania wiarogodnych naocznych świadków, a uzupełnione faktami z historii powstania, napisanej przez niedawno zmarłego, czcigodnego autora dzieła o Douglasie¹⁸⁹. Postacie szlachty szkockiej z Nizin i osobistości drugorzędnych nie są wizerunkami ludzi konkretnych, lecz opierają się na charakterystycznych cechach ówczesnej epoki, które w pewnej mierze sam zaobserwowałem za mych lat młodocianych, a częściowo zawdzięczam przechowanej o nich tradycji.

Ludzi tych starałem się opisać nie za pomocą karykaturalnego nadużywania ich rodzinnego dialektu, lecz przez odtworzenie ich zwyczajów, obyczajów i uczuć, poniekąd wzorując się nieudolnie na godnych podziwu obrazach irlandzkich pióra Marii Edgeworth¹⁹⁰, tak wielce różniących się od owych zdawkowych postaci, które wiecznie w tej samej formie panowały przez długi czas w dramacie i powieści.

Nie żywię jednak zbyt dużego zaufania do sposobu, w jaki zamiar swój wykonałem. W rzeczy samej tak mało zadowolili mnie ta moja praca, że odłożyłem ją nie wykończoną i dopiero przypadkiem po wielu latach odnalazłem pośród innych szpargałów w starej szafie, której szuflady przetrząsałem, chcąc jednemu z mych przyjaciół dostarczyć przyrządów do łowienia ryb. Tymczasem ukazały się dwa dzieła o zbliżonym temacie, pióra autorek czyniących chlubę ich ojczyźnie; mam tu na myśli *Glenburnie* pani Hamilton¹⁹¹ i niedawno wydaną książkę o zabobonach górali. Pierwsze z tych dzieł ogranicza się jednak do zwyczajów wsi szkockiej, które odtwarza z niezwykłą trafnością i

¹⁸⁹ autor dzieła o Douglasie - John Home (1722-1805). Douglas - przedstawiciel rodu szkockiego, nieprzyjaznego Anglii i rywalizującego ze Stuartami w ubieganiu się o tron

¹⁹⁰ Edgeworth Mary (1767-1849) - autorka powieści moralizujących

¹⁹¹ Hamilton Elizabeth (1778-1816) - autorka powieści o góralach szkockich pt. *Wieśniacy w Glenburnie*

wiernością; opis zaś tradycji, zebranych przez czcigodną i pomysłową panią Grant z Laggan¹⁹², różni się wielce swym charakterem od mego własnego zmyślnego opowiadania.

Rad bym się utwierdzić w przekonaniu, że niniejsza moja praca zdoła wzbudzić pewne zainteresowanie. Ludziom starszym przypomni ona zdarzenia i postacie znane im z czasów młodości, dorastającemu zaś pokoleniu opowieść ta może dać pewne wyobrażenie o życiu ich praojców.

Niemniej pragnę z całego serca, by próbę odtworzenia ginących obyczajów jego ojczyzny podjął jedyny człowiek w Szkocji, który sprostałby w pełni temu zadaniu - człowiek wybitnych zasług dla literatury pięknej, którego szkice o pułkowniku Caustie i Umphrville'u tak świetnie uwydatniają lepsze cechy charakteru narodowego. W tym wypadku zaznałbym więcej zadowolenia jako czytelnik, niż go kiedykolwiek odczuć zdołam w roli poczytnego autora, gdyby karty te zdobyły mi tak zaszczytne miano. Skoro zaś odwróciłem już w tej książce zwykły porządek rzeczy, umieszczając na końcu odnoszące się do niej uwagi, ośmielę się raz jeszcze pogwałcić uznane zwyczaje, zamykając całość następującą dedykacją:

PRACĘ TĘ
Z WYRAZAMI CZCI POŚWIĘCA
NASZEMU SZKOCKIEMU ADDISONOWI
HENRYKOWI MACKENZIE¹⁹³
NIEZNANY WIELBICIEL
JEGO GENIUSZU

¹⁹² Grant z Laggan Ann (1755-1838)-autorka poematu pt. *Górale*

¹⁹³ Mackenzie Henry (1746-1831) - autor angielskiej powieści sentymentalnej pt. *The man of feeling* (Człowiek serca) i wydawca literackiego czasopisma *The Minor* (Zwierciadło) w rodzaju pisma Addisona *Spectator*